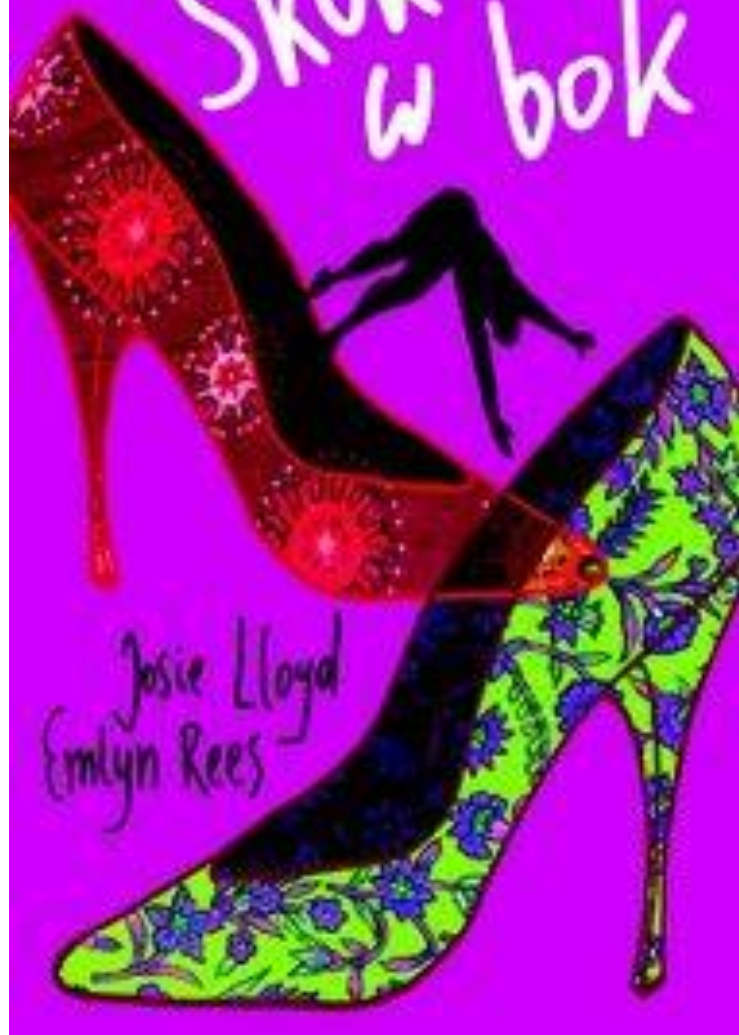


Skok w bok



Josie Lloyd
Emllyn Rees

Lloyd Josie, Rees Emlyn

Skok w bok

Kryzys roku siódmego

Jeśli chodzi o zjawisko społeczne znane jako „kryzys roku siódmego”, najważniejsze jest nie to, czy owa ochota na skok w bok jest powszechna albo czy faktycznie przychodzi siedem lat po ślubie, ani nawet, czy się w nią w ogóle wierzy. Nie, naprawdę ważne jest coś innego: czy jeśli już ją poczujesz, to zdecydujesz się ją zignorować, czy ulegniesz pokusie?

Żmije

Kiedy miałam osiem lat, dziadek tak wpisał mi się do pamiętnika: „Gdy kilka kobiet umawia się na plotki, biada tej, która wyjdzie ze spotkania pierwsza”.

Zrozumiałam, co miał na myśli, dopiero gdy dołączyłam do Żmij.

Spotykamy się co dwa miesiące. Dziś jestem spóźniona. Wcale nie myślę o nich, że to żmije, stanowimy po prostu grupę znajomych mamuś, które urodziły po raz pierwszy, to Jack je tak nazywa (albo „sabat czarownic”, co jest równie okropne). Niech tam. W końcu mój biedny mąż najbardziej cierpi, gdy muszę odreagowywać te zawołane złośliwości i aluzje po każdym konwencie Żmij.

Jack oczywiście nie rozumie, dlaczego w ogóle się z nimi widuję, ale taka grupa jest jak mafia: gdy raz się do niej wejdzie, wsiąka się na dobre. Znam te kobiety, a one znają mnie. Przeżyłyśmy ten sam ból i byłyśmy bohaterkami podobnych scen, którym towarzyszyły nie zawsze estetyczne emocje. Gdybym je opuściła, na wieki wieków zostałabym zdrajczynią. Udawałyby, że mnie nie widzą w parku, przestałyby mnie zapraszać na przyjęcia urodzinowe. Wreszcie pewnego dnia po przebudzeniu znalazłabym w łóżku odciętą głowę konia - a w najlepszym razie głowę różowego kucyka.

Przechodzę pośpiesznie przez bramę Queen's Park i idę na skróty przez korty tenisowe. Jest bezchmurny majowy dzień. Kasztanowce obsypane są stożkami kwiecia, ale nie mam

czasu się im przypatrywać. Cała spocona, pcham przez trawnik klekoczący wózek.

Na korcie jakiś młody facet gra w tenisa z instruktorem. Nogi ma zgrabne i opalone, porusza się sprężysto. Gdy wraz z powiewem wiatru dociera do mnie jego śmiech, przypominam sobie, jaki niegdyś był Jack, zanim przepracowanie, opieka nad dzieckiem i nasz nieustający kryzys finansowy zrobiły z niego poważnego faceta.

Dawniej wciąż mówiliśmy z Jackiem o tym, jak to raz w tygodniu będziemy się spotykać w porze lunchu, żeby zagrać w tenisa. Między innymi dlatego zdecydowaliśmy się kupić mieszkanie na tyle blisko parku, na ile nas było stać. Ale od kiedy trzy lata temu zamieszkaliśmy tutaj, ani razu nie spotkaliśmy się na lunchu, a co dopiero mówić o tenisie. A ostatnio już nawet o tym nie wspominamy.

Przed wejściem na plac zabaw zatrzymuję się i wyciągam ulubioną książeczkę mojego syna Bena *Buster idzie spać*. Otwieram ją na fragmencie, gdzie Buster myje ząbki. Obrazek zawiera lusterko z folii aluminiowej. Sprawdzam swoje zniekształcone odbicie w poszukiwaniu okruszków croissanta, którego ukradkiem zjadłam wcześniej, czy śladów wczorajszej rozmazanej kredki do oczu. Twarz mam czystą, ale żałuję, że nie umyłam włosów. I że nie poszłam ufarbować odrostów. I że na czole mam zmarszczki od trosk. Wrzucając książeczkę z powrotem do siatki pod wózkiem, razem ze zgniłymi skórkami od banana i zapiaszczonymi nawilżonymi chusteczkami, najbardziej ze wszystkiego życzyłabym sobie, aby mój wygląd nie miał znaczenia. Ale to są Żmije, więc ma.

Wierście mi, one z wszystkiego robią aferę. Wkładasz nowe szpilki - równie dobrze mogłabyś chodzić na szrudłach. Umalujesz usta szminką - znaczy, masz romans. A jeśli przytyjesz funta, zachowują się, jakby ci przybyło co najmniej piętnaście razy tyle.

To jest jak gra w „znajdź różnice”, gdzie każdy odkryty detal pociąga za sobą jakąś ocenę lub krytykę. Dlatego jeszcze raz wyciągam książeczkę z lusterkiem i delikatnie doty-

kam ust błyszczkiem, tak żeby wyglądało, że nic na nich nie mam. Bo nie cierpię wracać z tych spotkań sponiewierana. Zostaje mi po nich uczucie poniżenia, a dziś po prostu nie dam sobie z tym rady.

Wielki kobiecy spisek

Oczywiście, nie zawsze tak było. Kiedyś uważałam towarzystwo Żmij za wspaniałe, bo gdy zaszłam w ciążę, początkowa euforia na widok niebieskiej kreseczki na teście ciążowym szybko ustąpiła uczuciu przerażenia na myśl o porodzie.

Naturalnie, wiedziałam, że nie powinno tak być. Powinnam chodzić jak paw i z dumą i wdzięcznością przyjąć dar macierzyństwa, tymczasem ja czułam się jak Sigourney Weaver, stojąca twarzą w twarz ze śliniącym się Obcym, a w miarę jak rósł mi brzuch, rosło też moje przekonanie, że ten Obcy mnie zapłodnił i jest tylko kwestią czasu, gdy jego potomstwo wydostanie się na zewnątrz.

Kiedy więc dołączyłam do miejscowej grupy przyszłych matek i odkryłam, że nie jestem sama ze swymi lękami, uczepiłam się jej jak tratwy ratunkowej. Te kobiety sprawiały, że znów byłam normalna. Gdy ze mną rozmawiały, czułam, że wciąż mam mózg, że nie jestem tylko klaczą rozplodową. Natychmiast zaczęłyśmy dzielić się opowieściami o horrorze, który usiłowałyśmy kryć przed naszymi mężami: żylaki rozpeł-zające się w poprzek pachwin, hemoroidy, rozstępy, pojawiające się nam na brzuchach jak kontury kontynentów na mapie, i obolałe biodra, przez które kuśtykałyśmy jak starsze panie. Nie wspominając o piersiach, z których ciekło, brodawkach i znamionach, które zrobiły się dziwaczne i swędzące, i niemożliwie rozkrzewionej linii bikini, jak broda Fidela Castro.

Nauczyłyśmy się śmiać z tego wszystkiego, także z naszych obrzękłych twarzy i z tego, że nie mogłyśmy wstać z wanny. Zapewniałyśmy się nawzajem, że wcale nie przytyłyśmy, że rośnie nam „tylko brzuch”.

Ale potem jeden po drugim nadeszły porody. Śmiertelnie pobladłe, znalazłszy się w nowych opałach, zaczęłyśmy się znowu czepiać jedna drugiej, szczęśliwe, że nie tylko my czujemy się, jakbyśmy ledwo uszły z życiem z przerażającego wypadku. („Wietnam” - w ten sposób Jack, maniak filmowy, podsumował mój poród. „Jakby człowiek wziął udział w bitwie o Hamburger Hill”. W pewnym sensie miał rację. Naprawdę po wszystkim czułyśmy się jak weteranki).

Najgorsza jednak była zdrada. Odkrycie Wielkiego Kobiecego Spisku. Przypuszczam, że służy on temu, by nie zaginął ludzki ród, ale fakt jest faktem: nikt (a zwłaszcza inne kobiety) nie mówi nam całej prawdy o porodach.

Nikt nie opowiada o ginekologicznym horrorze, który towarzyszy wydaniu na świat kolejnej istoty ludzkiej. Nikt nie przygotowuje cię na moment, kiedy odkrywasz, że składasz się z mięsa, nie makijażu; i że tak naprawdę masz więcej wspólnego z rzeźnikiem niż sklepem kosmetycznym; i że to objawienie zmieni cię na zawsze.

Więc w tygodniach po porodzie, my, Żmije, pocieszałyśmy się nawzajem. Pełnym zgrozy szeptem dzieliłyśmy się drastycznymi szczegółami tego, przez co przeszłyśmy. Wyplakiwałyśmy się sobie nawzajem na ramieniu, próbując pogodzić się z pozszywanym kroczem, popękkanymi sutkami i nieprzespanymi nocami, przed resztą świata udając, że emanujemy macierzyńskim spokojem.

Jednak problem z każdą grupą kobiet (jak wie każda kobieta) jest taki, że z czasem staje się ona źródłem ukrytej rywalizacji. A gdy nasze maluchy przestały być noworodkami? Znalazłyśmy się na zdradliwych ruchomych piaskach, które powoli przemieszczały się od punktu „jak się czuję y” do „jak sobie r a d z i m y”. Zaczęłyśmy się oceniać nawzajem, analizować, porównywać nasze świeżo nabyte umiejętności macierzyńskie - i odkrywać u siebie braki.

Próba wiary

Biorę głęboki wdech i zbliżając się do naszych stolików przy piaskownicy, uśmiecham się promiennie. Stoliki są drewniane, jak w ogródkach piwnych przy pubach, z przymocowanymi do nich ławkami. Pamiętam, że Jack miał taki w ogrodzie przy domu, który dzielił kiedyś ze swoim najlepszym kumplem Mattem. Tylko że te w parku są znacznie mniej atrakcyjne, bo zamiast orzeszków i lodowatego piwa pełno na nich niesmacznych pałeczek chlebowych i lepkich kubeczków po soku.

W piaskownicy szaleje kilkoro dzieci, które znam od dnia ich narodzin. Jedną z najbardziej zaskakujących rzeczy, jakie odkrywa się, zostając rodzicem, jest fakt, że mimo całego kitu, jaki wciskają nam w telewizji, naprawdę ważniejsze niż wychowanie są geny. Wszystkie te maluchy urodziły się z gotowymi osobowościami. Te słodkie są słodkie od samego początku, a te niegrzeczne są po prostu niegrzeczne. Oczywiście, nie wolno tego powiedzieć na głos, tak jak i przyznać się do tego, że się serdecznie nie znosi czyichś dzieci.

Nie zrozumcie mnie źle; niektóre z tych szkrabów uwielbiam. Jestem szczerą, gdy żartuję, że zrobimy im obciach, tańcząc na ich dwudziestych pierwszych urodzinach. Ale w sumie mamy ośmioro dzieci. Statystycznie rzecz biorąc, jedno z nich na pewno wyrośnie na kryminalistę.

Żmije siedzą we wzorowym komplecie, otoczone ochronną tarczą wózek. Bryluje Camilla. Mogłabym przysiąc, że była w solarium. Ma na sobie ładną letnią spódnicę i sportowe buty firmy Converse. Siedzi okrakiem na ławce, jedną ręką bujając wózek (najdroższy ze wszystkich), w którym - na szczęście - śpi ten mały diabeł Tyler. Jej druga ręka (z pierścionkiem - symbolem wiecznej miłości wysadzonym brylancikami, ofiarowanym jej, gdy leżała w prywatnym szpitalu położniczym, przez mężusia Geoffa, który jest szychą w BBC) spoczywa ostentacyjnie na wyдутym brzuchu.

- To już szesnasty tydzień - śmieje się do Sophie.

Sophie jest zaprzeczeniem typowej mamusi. Jest śliczna, z tymi piegami i zadartym noskiem, w bojówkach i chustce na głowie. Miga gołym płaskim brzuchem, na którym ma tatuaż. Jack nazywa ją „Womb Raider”¹ zawsze z niepokojącym błyskiem w oku, takim samym jak kiedy widzi na ekranie prawdziwą Angelinę Jolie. Jednak nie spędza mi to snu z powiek. Jack może sobie fantazjować, ale nie jest typem poszukiwacza przygód. W każdym razie, teraz już nie.

Na mój widok Faith poklepuje miejsce obok siebie z przesadnym entuzjazmem. Jeśli chodzi o modę, Faith zatrzymała się w latach dziewięćdziesiątych (fryzurę ma jak Rachel z *Przyjaciół*), ale dziś ma też na nogach nowe buty firmy Converse. Przebiega mi przez myśl, że może wręcz śledziła Camillę, po czym w sekrecie kupiła takie same. Ujmijmy to tak: to nie Camilla naśladuje ją.

- A, jesteś, Amy - mówi Camilla z uśmiechem. Wymieniamy całusy. Wciskam się na siedzenie obok Faith.

Właściwie trochę czekałam na ten dzień. Nie czarujmy się, w moim kalendarzu nie ma zbyt wielu rzeczy, którymi można się ekscytować. Jest ich tak mało, że nie muszę już nic notować. Oto czynności, które niezmiennie wypełniają mi czas: opróżnianie zmywarki, zakupy, zmienianie pieluszek, pranie i gotowanie. Są też te związane z Benem: w poniedziałek basen i Wodne Dzieci, we wtorek Tańczące Króliczki, w środę Małpia Muzyka, a w czwartek Harce w Parku. (W piątki, oczywiście, wygłupiamy się i szalejemy).

No i od czasu do czasu spotykamy się w gronie Żmij.

Jednak w tej samej sekundzie, w której zostaję przyjęta przez moją grupę, przypominam sobie, czego w niej nie cierpię. Macierzyństwo, jak odkryłam, zrównuje ze sobą wszystkie kobiety. Nagle przestaje się liczyć, czy jesteś świetnym prawnikiem, architektem lub choćby nawet słynną projektantką mody (na co kiedyś miałam nadzieję w tym wieku).

¹ *Womb* (ang.) - tono. Aluzja do gry komputerowej i filmu *Tomb Raider* z Angeliną Jolie.

Ponieważ mój syn liczy sobie tyle samo miesięcy, co dziecko Faith, czyni mnie to najwyraźniej taką samą jak ona. Możecie mnie nazwać snobką, ale Faith jest naprawdę dość głupia. Świadomość, że jestem „taka sama” jak ona, sprawia, że mam ochotę się wyrwać i zrobić coś szalonego. Na przykład powiedzieć jej, że uważam tę jej wieczną dobroduszość za niewiarygodnie fałszywą, a irytujące aluzje na temat mojego życia za prymitywne i bezpodstawne. I że pod cnotliwą fasadą, jak podejrzewam, kryje się najbardziej jadowita ze wszystkich żmij.

- Oj, wciąż ta paskudna wysypka - zagaja Faith, pokazując na Bena. Mój syn śpi, umęczony napadem złości (wywracanie oczami, rzucanie zabawkami, zdzieranie sobie gardła), który zaprezentował wcześniej, gdy przypinałam go do wózka. Można by pomyśleć, że jest niewinnym więźniem, którego z celi śmierci wloką na krzesło elektryczne.

Wyciągam rękę i opiekuńczo dotykam anielskiej twarzyczki mojego synka. Kilka wywołanych przez histerię plam to bynajmniej nie paskudna wysypka. Czuję, jak serce wyrzywa mi się do mojego syneczka z miłością, podszytą poczuciem winy. Na wspomnienie walki, jaką stoczyliśmy, żałuję teraz, że wyszłam z siebie i nazwałam go „małym skurwielem” za to, że się przez niego spóźniłam.

- Nic mu nie jest - stwierdzam tonem, który, mam nadzieję, utnie dalszą konwersację na ten temat.

Ale słowo „empatia” w słowniku Faith nie istnieje.

- To może być początek ospy - spekuluje.

Wyraźnie ma nadzieję, że tak jest. Mnie by do głowy nie przyszło krytykować jej córkę Amalie czy wytykać jej choroby, jakby to była wada. Nie śmiałabym wyrazić opinii, że Amalie wygląda - jak mówi Sarah - na „lekkostukniętą”.

- Nic dziwnego - ciągnie Faith. - Biedny Ben pewnie ma obniżoną odporność po tym okropnym kaszlu, który go męczył ostatnim razem... Coś krąży w powietrzu.

Uśmiecham się tak beznamietnie, jak tylko potrafię.

- Może to ptasia grypa - podsuwam. - Nigdy nic nie wiadomo.

Przez chwilę mam nadzieję, że Faith uzna moje słowa za to, czym są, czyli za żart. Niestety, nie. Nachyla się bliżej.

- Mam tamiflu - zwierza mi się. - Gromadzę zapasy od miesiący. Uzbierałam tyle, że mogę ci dać parę opakowań. A może ci podać stronę internetową?

Brak mi słów na ripostę, bo w pierwszym odruchu myślę, że jeśli Faith ma przetrwać pandemię, wolę zginąć razem z innymi.

Na szczęście naszą uwagę przyciąga Camilla, która nachyla się konspiracyjnie, grzechocze różową buteleczką z pastylkami i zerka na Sophie, co wywołuje nasze chichoty i pomruki. Oczywiście, to dlatego Camilla i Sophie wyglądają na tak zadowolone z siebie: Sophie jest w ciąży.

A potem nadchodzi spontaniczna fala wyznań i okazuje się, że Faith, Linda i Abby też starają się o „numer dwa”. Lan podnosi obie ręce ze skrzyżowanymi palcami i patrzy w dół na swój brzuch (choć jest tak mikroskopijny, że trudno uwierzyć, by zmieściło się w nim coś wielkości oliwki, nie mówiąc o płodzie). Camilla piszczy z zachwytu i zaczyna rozdawać kwas foliowy w pastylkach jak nastoletnia dilerka ecstasy.

Zaczyna się.

Powtórka z rozrywki

Przy tych stolikach w ciągu ostatnich dwóch i pół roku omówiono wiele tematów. Niektóre z nich z perspektywy czasu wydają się absurdalne, jak na przykład niekończąca się debata „znieczulenie czy poród naturalny”. Śmiechu warte. Jak tylko dzieci zaczęły się pchać na ten świat, wszystkie wrzeszczałyśmy, żeby dali nam prochy. Basenik Abby do porodu w wodzie został w bagażniku samochodu. Linda kopniakiem posłała pod ścianę wypożyczoną maszynę do masażu pleców, Lan dźgnęła Phila w jądra swoimi igłami do akupunktury, gdy zasugerował, że mogą pomóc, a Sophie histerycznie wrzeszczała, zagłuszając taśmę z ćwiczeniami oddechowymi.

Po urodzeniu dzieci, rzecz jasna, tematy rozmów Żmij stały się bardziej konkretne. Pamiętam miesiąc pod hasłem „czy pozwoli się karmić butelką?”, a potem „skąd będę wiedziała, że już można mu/jej dawać stałe pokarmy?”. Następnie przeszliśmy do „czy nie za wcześnie na przyuczanie do nocniczka?”. No i nieustanna debata „niania, żłobek czy ja?”.

Te rozmowy są tak prymitywne, że mam ochotę się zastrzelić.

Dzisiaj podobnie. Szybko kończymy z datami ostatnich miesiączek i przechodzimy do powodów posiadania drugiego dziecka. Pytanie zasadnicze: po co znowu przez to przechodzić?

- A ty, Amy? - pyta wreszcie Camilla. - Siedzisz tak cicho. Myślisz o drugim?

- Ty też musisz zająć się ciążą - dodaje Faith - bo inaczej będziesz się czuła wyobcowana.

Jestem w centrum uwagi.

Prawda jest taka, że chciałabym mieć drugie dziecko. Problem w tym, że nigdy, przenigdy nie przyznałabym się przed Żmijami, dlaczego chcę je mieć. Bo jeśli mam być szczerą, myślę o kolejnym dziecku w ten sposób:

1. Jeśli zdecyduję teraz, przez kolejne kilka lat nie będę musiała się martwić o następny etap mojej kariery zawodowej i zaoszczędzę sobie nieuchronnego upokorzenia związanego z nieudanymi rozmowami o pracę. Od czasu gdy Friers, dom mody, w którym pracowałam, został przejęty przez inną firmę, a mnie zwolniono, minęło pięć lat, a odkąd rzuciłam nudną i stresującą robotę jako kierowniczką biura w agencji rezerwacji biletów - trzy lata.

2. Jeśli będę miała drugie dziecko, może po nim schudnę.

3. Jeśli teraz zajdę w ciążę, mogę przestać obiecywać sobie robienie brzusków i odłożyć to na później, i będę też miała dobre usprawiedliwienie dla mojego zwiotczałego brzucha następnym razem, gdy włożę bikini.

- Och... właściwie jeszcze o tym nie rozmawialiśmy z Jackiem - kłamię.

(Rozmawialiśmy. Powiedział, że nie ma mowy).

Jestem świadoma, że kolejny raz dałam się nabrać na starą sztuczkę Żmij. Udało im się uczynić reprodukcję zajęciem grupowym i teraz czuję, że jestem po niewłaściwej stronie.

- Uwielbiałam dyskutować o tym z Edem - rozpływa się Sophie. - Jest całkiem inaczej, gdy decydujecie się na to po raz drugi, prawda?

Camilla, Lan i Sarah przytakują gorliwie. Sophie śmieje się głośno i beczelnie.

- Nie miałam pojęcia, że to się stanie tak szybko. Najbardziej podobały mi się same starania!

Skręcam się, gdy słucham tych frazesów, jednak serce wali mi z dziecinną zazdrością. Zawsze uważałam, że mam lepszą, zdrowszą relację z Jackiem niż którakolwiek z tych kobiet ze swoim facetem. Nie mogę znieść faktu, że wszystkie zdecydowały się dalej rozmnażać - zakładając, że to się stanie ot, tak - i najwidoczniej wszystkie próbują zająć w ciążę, rozkoszując się cudownym, zmysłowym seksem.

Spoglądam na Bena. Czuję, że Camilla wpatruje się we mnie.

- Nie mówię, że Jack i ja nie chcemy mieć drugiego - staram się, żeby mój głos nie brzmiał defensywnie - ale tak bardzo podoba mi się bycie mamą w tej chwili. Jest wspaniale. Nie chcę tego psuć Benowi. A poza tym, znów być w ciąży...

- O Boże, tak - przerywa Faith. - Biedna Amy. Pamiętasz, jakie miałaś nudności?

Dobre sobie. To ona stękała przez całą ciążę, nie ja. Ta dziewczyna jest tak dobra w projekcji, że powinna pracować w kinie. Jak zwykle wszystko przekręca.

- I powinniście chyba pozbyć się tego mieszkania - dodaje Camilla ze współczuciem. - To znaczy, ono jest urocze, i w ogóle, ale raczej nie ma tam miejsca na drugie dziecko.

Jack ma rację: to Żmijowate Wiedźmy.

I po co mi to było

- Aha, żebym nie zapomniała, Yitka szuka jakiejś pracy na wieczory - oznajmia Camilla. - Czy któraś może jej potrzebuje? Amy? Chyba mówiłaś ostatnio, że szukacie baby-sitterki?

- No... w przyszłym tygodniu mamy rocznicę ślubu... Mówiąc to, czuję się, jakbym rzuciła świeży udziec sarni

stadu wygłodzonych wilków. Następuje runda przechwałek na temat rocznic ślubu, w trakcie której dowiadujemy się, że na ostatnią Geoff zorganizował dla Camilli romantyczną kolację w domu przygotowaną przez jakąś pomniejszą kulinarną gwiazdę telewizji, a mąż Faith, Craig, zawsze kupuje jej czerwone róże, po jednej na każdy rok małżeństwa.

Sophie zwierza się, że Ed planuje zabrać ją w przyszłym miesiącu do Paryża na weekend bez Ripley. To miała być niespodzianka, ale paryski hotel „The George Cinq” przez pomyłkę przysłał na jej adres domowy rezerwację ze szczegółami menu *gastronomique*. Szkoda.

Próbuję bagatelizować plany moje i Jacka z uwagi na fakt, że nie mamy jeszcze żadnych. Nie jestem nawet pewna, czy Jack pamięta.

W zeszłym roku, gdy przechodził fazę polityczną (podał swoją kartę z punktami, które można wymienić na nagrody, i wreszcie zaczął sortować śmieci), oświadczył też, że zrywa ze świętowaniem. Miał na myśli Dzień Matki (amerykańskie bzdury) i Dzień Ojca (bez sensu) oraz rocznice ślubu („Dlaczego ktoś ma mi dyktować, kiedy powinienem być romantyczny?”), a wreszcie walentynki (które już nas podobno nie dotyczą, bo nie jesteśmy singlami). Dopiero gdy zagroziłam, że nie kupię mu na urodziny Playstation 3, przyznał, że urodziny powinny stanowić wyjątek od reguły. A więc, nawet jeśli będzie pamiętał o naszej rocznicy, na pewno nie powinnam liczyć na wystawną imprezę.

- Chcielibyśmy po prostu spędzić ten wieczór razem - mruczę. - No wiecie, może pójdziemy do kina...

- Na pewno możecie zrobić coś o wiele bardziej ekscytującego niż wyjście do kina, ale tak czy siak - przerywa Camilla - po prostu musisz sobie pożyczyć Yitkę.

„Dzięki. Mogę ją sobie pożyczyć, tak? Jakby była swetrem, a nie dziewczyną, która skończyła psychologię z wyróżnieniem, która mieszka w tym kraju, płaci podatki, świetnie mówi po angielsku i fantastycznie radzi sobie z dziećmi”. Nie mam odwagi powiedzieć tego na głos.

- No wiesz, Yitka może już mieć jakieś plany - sugeruję zamiast tego. Camilla patrzy na mnie zdziwiona.

- Masz na myśli plany towarzyskie? - śmieje się, jakby mi odbiło. - Yitka nie ma planów. Jak mówiłam, jest świetna. Naprawdę ciężko pracuje. Nie sądzę, żeby w ogóle miała jakichś znajomych.

Pewnie, po co jej znajomi, skoro ma za szefową Camillę?

- Ale musisz na nią uważać - mówi Camilla. - Ostatnio robiła jakieś aluzje, żeby podwyższyć jej stawkę do siedem pięćdziesiąt za godzinę.

A więc... wyjaśnijmy to sobie. Camilla, bardzo z siebie rada, pozwala Yitce opiekować się swym ukochanym synkiem, powierzając jej odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo, szczęście i wczesną edukację, tylko po to, żeby potem orznąć ją na pięćdziesiąt pensów za godzinę?

I robi to kobieta, która, wydając sześćset pięćdziesiąt funtów na kaszmirowy bezrękawnik, usprawiedliwiała się, że wychodzi tylko dwa pięćdziesiąt na jedno noszenie.

Jezu.

Na szczęście w tej chwili budzi się Tyler. Jego wrzask jest tak głośny, że wrywa ze snu Bena. Następuje chwilowy chaos, wyjmowanie plastikowych pojemników z jedzeniem i pół godziny starań, by sprawiedliwie obdzielić dzieciaki marchewkami, plus dziesięć minut plotkowania o nowym kierownictwie parkowej kafejki i pytań, czy dzisiaj wszystkie zamawiamy ciastka. Dla aktywnej, wysportowanej Sarah to tak, jakby pytać, czy dzisiaj oddychamy.

Kawę latte ignorujemy, najwyraźniej kofeina utrudnia zapłodnienie.

Gdy w końcu zamówienia zostają złożone, przychodzi pora na tradycyjne doniesienia o dziwactwach żywieniowych każdego z maluchów. Fascynujące. Serio. Wartki dialog, celne kwestie. Naprawdę. Dziwne, że Spielberg nie dzwoni.

Nie mam odwagi przyznać, że Ben trzeci dzień prowadzi strajk głodowy i każdą miseczką jedzenia (z wyjątkiem frytek z solą i octem), jaką mu podam, ciska o ścianę.

- Mój Boże - rzuca Camilla - jak tak patrzę teraz na wszystkie dzieciaki, nie mogę się nadziwić, że mój Tyler jest taki duży w porównaniu z nimi. Nie wiem, czy już wam mówiłam, ale używam pieluszek rozmiar pięć!

Oświadcza to tak, jakby, będąc na plaży nudystów, przechwalała się, że jej mąż jest hojniej niż inni wyposażony przez naturę. Wszyscy to widzą, ale ona i tak musi to powiedzieć.

Żadna z nas nie ma szans na ripostę, bo Camilla zaraz dodaje:

- To co robimy w tym roku z urodzinami maluchów? Znowu łączymy?

Wydaję jęk. W zeszłym roku w starannie wybranym dniu, który nie przypadał na urodziny żadnego z dzieci, usadziłyśmy maluchy na sofie i robiłyśmy im zdjęcia, a Camilla dawała nam do zrozumienia, jaki to dla nas zaszczyt, że użycza nam swojej wielkiej rezydencji.

- Tylko że w zeszłym roku było tyle zawracania głowy, z tymi dwoma przyjęciami - ciągnie Camilla.

Nic o tym nie wiem. I zgaduję, ze sposobu w jaki zawiesza przy tym głos, że miałam nie wiedzieć. Nie miałam pojęcia, że urządziła jeszcze jedno przyjęcie oprócz tego dla Żmij. Z całą pewnością nie byłyśmy zaproszone. A przynajmniej ja nie byłam.

- Więc myślę, że w tym roku każda z nas powinna zrobić przyjęcie dla własnego dziecka. Tak jest łatwiej.

I jest większa okazja do rywalizacji.

- Ja już zarezerwowałam Pizza Teca na dwudziestego siódmego na całe popołudnie. Rozrywkę zapewnia tam Bella Bubbles - mówi Camilla, potwierdzając moje podejrzenia.

Dookoła słyhać pomruki świadczące o tym, że wywołała należyte wrażenie.

- Czyli, niech pomyślę... - Przebiera palcami. - Amy, ty jesteś pierwsza, prawda?

Zbyt późno uświadamiam sobie, że ukręciłam bicz na samą siebie. Publicznie oświadczyłam, że nie chcę mieć drugiego dziecka, tak bardzo podoba mi się macierzyństwo. A więc jeśli powiem prawdę: że aż do tej chwili nie przeszło mi przez myśl, żeby zrobić przyjęcie dla Bena, bo ma dopiero dwa lata i nie będzie go pamiętał, Żmije tego nie kupią.

- Tak. W następną niedzielę - mówię z werwą, jakbym już miała opracowany plan. Udaję, że szukam w torebce. - Zaproszenia są... Ojej, zostawiłam je w domu - kłamię. - W każdym razie mam nadzieję, że wszystkie możecie przyjść.

Kiwają głowami i wyglądają na zadowolone.

- Z mężami? - pyta Sarah, z ustami pełnymi babeczki. Potakuję przyjaźnie, choć czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Ostatnim razem Jack powiedział, że prędeż wbije sobie w głowę widelec, niż spędzi minutę w jednym pokoju z mężem Sarah, Chorym Rorem.

O Boże. Co ja zrobiłam?

Chłopiec Bumerang i modliszka zwyczajna

Gdy otwieram drzwi do mieszkania i uderza mnie ten zapach, natychmiast przypomina mi się szkolna wymiana, na którą pojechałem do Francji w wieku trzynastu lat.

Wirują mi w głowie długo tłumione wspomnienia: *pain au chocolat*, balisongi, petardy, papierosy Gauloise Blonde... i słodka, pryszczata Marianna o brudnoblond włosach. Miała cycki tak wielkie, że można by z nich zjeżdżać na nartach, uśmiech tak szeroki, że mógł złamać serce, nauczyła mnie całowania z języczkiem, jak w kinie, i obiecywała, że będzie pisać do mnie do Anglii, ale nie wysłała ani jednego listu.

Radosne czasy, być może, ale to ten zapach kwatery na przedmieściach, gdzie mieszkałem, utkwił mi najbardziej w pamięci.

Państwo Legard byli rzeźnikami. Madame Legard (twarz starzejącej się Bardotki, ciało starzejącego się zawodnika sumo) miała szóstkę dzieciaków i życie upływało jej na pieczeniu na ruszcie podrobów, smażeniu cebuli, gotowaniu kalafiora, zmienianiu pieluszek, ścieleniu łóżek i przygotowywaniu kąpeli.

Ich mieszkanie pachniało jedzeniem i dziećmi, praniem i ryszotkiem.

Był to przytłaczający, duszący zapach. Krztusiłem się od niego, dostawałem zawrotów głowy, czułem się klaustrofobicznie, jak w pułapce.

I dlatego - mimo niezwykłych wdzięków Mariannę - cieszyłem się, gdy mój krótki pobyt w Europie dobiegł końca.

Wciągając w płuca świeże morskie powietrze na promie w drodze powrotnej do domu i haftując do La Manche nielegalnie kupionym martini bianco, dziękowałem Bogu, że byłem tam tylko gościem i że mam przed sobą całe życie.

A jednak, proszę bardzo - dwadzieścia lat śmignęło jak z bicza trząśł, a mój własny dom pachnie zupełnie tak samo, jak wtedy mieszkanie Legardów...

Czuję się, jakbym zatoczył koło, jakby wszystko, przed czym kiedyś uciekałem, nagle mnie dopadło. Czuję się jak Chłopiec Bumerang.

Gapię się na ciasny korytarz mojego mieszkania, jakby to była lufa karabinu.

Mdły zapach bulionu dochodzący z naszej kuchni miesza się z intensywną kwaśną wonią wyplutego i już skisłego mleka, które ozdabia wzorkiem obicie blokującego mi drogę wózka w niebieską kratkę.

Do tych aromatów dochodzi wszechobecny intensywny smród, dochodzący od zawijacza pieluszek w pokoju Bena. To diabelskie urządzenie ma za zadanie zawijać i przechowywać zużyte jednorazowe pieluchy w celofanie o cytrynowym zapachu, jak wianuszek okupkanych kiełbasek.

Istnienie czegoś takiego przechodzi moje pojęcie. No bo p o c o ktoś miałby chcieć pakować gówienka? Pakuje się prezenty, a wątpię, by do któregoś z tych śmierdzących zawiniątek ktoś kiedykolwiek doczepił karteczkę z ozdobnym napisem „Kiedy tylko to zobaczyłem, pomyślałem o tobie...”.

Ale czy mnie ktoś pyta o zdanie? Zawijacz pieluszek podarowała nam moja teściowa, więc nie mogę z nim zrobić tego, na co miałbym ochotę - to znaczy wywalić go, spalić, przekazać na cele naukowe, czy wręcz wysadzić w powietrze za pomocą silnego materiału wybuchowego... Zamiast tego, muszę z nim żyć. I akceptować go.

Tak jak akceptuję inne smrody w moim życiu. Bo tak naprawdę to niczyja wina... te odory i fetory. To po prostu element bycia rodzicem. Amy i ja naprawdę

sprzątamy. Odkurzamy i wietrzymy. Czyścimy mopem i szorujemy. Tylko że czasem - w porach posiłków, w porach kąpieli, w porach zmieniania pieluszek - zapach bierze górę, zwłaszcza w takim małym, dwupokojowym mieszkaniu, jak nasze.

Czasem mam ochotę uciec stąd w poszukiwaniu otwartych przestrzeni, tak samo jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i biegłem z rozpostartymi ramionami, udając samolot i mając naiwną nadzieję, że za chwilę naprawdę wystartuję i pofrunę.

Ale nie uciekam. Bo nie jestem dzieckiem. A poza tym wiem teraz to, czego nie wiedziałem wówczas: że nawet najszybszy samolot musi gdzieś wylądować.

A ja wylądowałem tutaj.

Więc zrzucam zabłocone robocze buty, zamykam drzwi i mówię sobie tak:

„Co z tego, że moje życie czasem cuchnie? I tak mam powody do radości, nie?”.

A potem rozglądam się za jakimś dowodem na to, że rzeczywiście tak jest.

I mam szczęście. Nie muszę daleko szukać.

Przedarłszy się przez tor przeszkód z na wpół złożonego wózka, przewróconego fotelika samochodowego, drewnianego pojemnika na klocki i kosza z wikliny na pluszaki, odkrywam, że pierwszy dowód na to, jak hojne jest dla mnie życie, stoi odwrócony plecami do mnie tuż za drzwiami kuchni...

Amy Rossiter: jeśli ja jestem yang, to ona yin, jeśli ja rock, to ona roli, jeśli ja Moët, to ona Chandon, jeśli ja jestem rybą, to ona frytkami.

Ma na sobie obcisły czarny bawełniany top, na włosach chustkę w biało-niebieski wzór, którą związała na karku, a ten, pokryty delikatnym puszkciem, zaprasza do pocałunku. Czarny top podjechał nieco w górę, ukazując zmysłowy pas skóry u dołu kręgosłupa, nad brązowym skórzanym paskiem od niebieskich dżinsów.

Nie odwraca się. Nie słyszała, jak wszedłem. Miesza na patelni kalafior z serem, który pokrywa się pęcherzykami,

bulgocze na kuchence gazowej i wygląda jak powierzchnia Księżyca. Wyciąg nad kuchenką warczy w najlepsze, a podkręcony głośno iPod daje czadu. Leci *Lefs Get It On* Marvinina Gaye'a...

Może przesądza o tym ten pas nagiej skóry. Albo ta prosta chustka, która, przyznaję, wzbogaca scenariusz elementem fantazji na temat hożych wieśniaczek. Albo ta piosenka. A może nawet sam fakt, że to nie *Teletubisie* mówią *Ejoo*, co ostatnio najczęściej słychać, gdy wracam do domu.

Z drugiej strony, może chodzi po prostu o to, że tyłeczek Amy, opięty ciasno džinsami, zaczyna się kołysać delikatnie - nawet hipnotycznie - w lewo i w prawo...

Nie wiem, która kombinacja tych audiowizualnych czynników wyzwala moje uśpione libido, ale rezultat jest jeden: ogarnia mnie nagle nieprzeparte pragnienie, żeby ją przelecieć.

Nieprzeparte pragnienie, aby ją przelecieć, oraz faktyczna możliwość, aby ją przelecieć, ostatnio rzadko się w moim życiu zbiegają.

Głównie dlatego, że Amy i ja rzadko bywamy sami. A gdy już się tak zdarzy, zwykle jesteśmy tak wykończeni, że wizja klapnięcia na sofę wydaje się bardziej atrakcyjna niż wskoczenie do łóżka.

Już dawno minęły te sprośne bzykanka przed wyjściem do pracy, na których zbudowaliśmy nasz związek.

Przepadły we mgle czasu te szybkie niegrzeczne i gwałtowne randki w porze lunchu, które dodawały smaczku naszym dniom roboczym.

W zapomnienie poszły zuchwałe weekendowe wycieczki-ucieczki, pogoń autostradą w poszukiwaniu taniego pensjonatu ze skrzypiącym łóżkiem i przytulnym kominkiem.

Tylko miłym wspomnieniem pozostają całowieczorne lubieżne sesje parujących kąpieli i powolnych masaży.

Teraz staliśmy się z Amy Niewolnikami Nerwowych Numerków, Sułtanami Szybkiego Seksu, Królem i Królową Kalkulowanej Kopulacji.

Jeśli nie mamy kaca (a mamy często), próbujemy to robić w niedzielę rano, zanim obudzi się Ben.

Jeśli nie spotykamy się z przyjaciółmi (a spotykamy się często), próbujemy to robić w weekend w porze lunchu, kiedy Ben pogrąża się w popołudniowej drzemce.

A jeśli nie mamy kaca, nie spotykamy się ze znajomymi ani nie padamy z nóg (co zdarza się rzadko), próbujemy to robić wieczorami, po położeniu Bena do łóżeczka i przeczytaniu mu bajki *Gdzie jest mój nocnik* (która raczej nie jest rekomendowanym przez seksuologów tekstem o właściwościach afrodyzjaku).

Innymi słowy, Amy i ja robimy to, gdy nam się uda. Seks, który kiedyś był pozycją z menu smakosza, teraz stał się kanapką wsuwaną w metrze. To coś, co robi się w biegu, wciska się między spotkania a obowiązki - i tak, jak w przypadku fast foodów, mimo że zawartość jest całkiem smaczna, rzadko syci na długo.

Ale ten moment - tu w kuchni, zaraz po pracy - naprawdę ma w sobie coś z anomalii. To niepowtarzalna okazja, na jaką już straciłem nadzieję.

Jestem tak zaskoczony nieobecnością przy boku Amy mojego synka czy jakiejś zaprzyjaźnionej mamuski, która przyprowadziła swojego dzieciaka na podwieczorek, że nie mogę się powstrzymać; sunę do przodu, wydaję z siebie komiczno-perwersyjne „Grrr!” i dopełniam je czułym pchnięciem miednicy w uroczy tyłeczek Amy.

Gdy moje ramiona obejmują ją automatycznie w talii i zaczynają pełznąć w górę do jej piersi, czuję, jak się wzdryga, zaskoczona.

Są pewne reakcje, których się człowiek spodziewa, wykonując taki otwarcie erotyczny gest wobec ukochanej kobiety. Lekki wyrzut: „Ale mnie wystraszyłeś!”. Optymistyczne: „Kiedy ty wreszcie dorośniesz?”. Czy choćby podniecone: „Mmmm...”. Natomiast ja słyszę: - Co pan robi, do cholery?

A powód tego ryknięcia staje się rażąco oczywisty z chwilą, gdy ona obraca ku mnie wściekłą twarz. To nie jest t a ona.

Ta kobieta w chusteczce na głowie - w jej pośladki wciąż wciskają się moje genitalia, a wokół piersi krążą jak sępy moje ręce - jest kimś, kogo nigdy w życiu nie widziałem.

I jakby ten straszliwy, przerażający fakt wymagał jeszcze potwierdzenia, w drzwiach kuchni pojawia się Amy, która przytrzymuje na biodrze Bena.

Zasycha mi w ustach, jakbym właśnie zjadł worek soli.

- Co ty r o b i s z, do cholery? - pyta Amy, piorunując wzrokiem najpierw mnie, a potem tę młodszą kobietę w chustce na głowie, która, purpurowa na twarzy, wpatruje się we mnie z niemym oburzeniem.

Ogarnia mnie przerażenie, gdy idę za jej wzrokiem, bo widzę najpierw swoje ręce, wciąż wyciągnięte do przodu i wymownie złożone w kształt miseczek.

A potem swoje biodra, które, jak sobie dopiero teraz uświadamiam, wciąż podrygują jak u lalki Elvisa na desce rozdzielczej w samochodzie, jakby stały się niezależne od ciała.

Przypomina mi się film przyrodniczy, który oglądałem kiedyś na Discovery, o obyczajach godowych modliszek, gdzie odwłok samca wciąż wykonywał ruchy frykcyjne długo po tym, jak samica pożarła jego głowę na śródkoitalną przekąskę.

Z ust dobywa mi się dziwne kwilenie. W moich dżinsach jądra wykonują bardzo nietypowy manewr, nerwowe podrygi, niczym dwa młode norniki, które, znalazłszy się twarzą w twarz ze śmiertelnym drapieżnikiem, umykają, szukając schronienia u matki.

Krzyżuję ramiona, chrząkam i uspokajam biodra.

- Bardzo przepraszam - mówię do dziewczyny w chustce.

- Wszystko ci wyjaśnię - zwracam się do Amy.

- Myślałem, że pani to Amy - to do dziewczyny.

- Naprawdę - do Amy. - Myślałem, że to ty.

Obie wymieniają spojrzenia, jakby ustalały, czy najpierw mnie wykastrować czy zastrzelić.

A biorąc pod uwagę, jak się w tej chwili czuję, druga z tych dwóch opcji byłaby zarówno przysługą, jak i ulgą.

- Tata śmieśny - mówi Ben.

Uśmiecha się do mnie, oczka mu błyszczą, jakbym był wyjątkowo zręczną małpą, która właśnie wykonała niezwykle sprytną sztuczkę. Chichocze i pokazuje na mnie.

- Tata śmieśny, mama - powtarza.

To sprawia, że kobieta w chustce się rozluźnia. Widzę to w jej twarzy. „Hej”, musi sobie myśleć, „jeśli mały uważa, że on jest w porządku, to może, mimo wszystko, nie jest seryjnym molestatorem...”.

Ja też się odprężam, jak zawsze na widok Bena, tak, jak odprężyłem się, widząc swoją mamę, gdy byłem dzieckiem. Dzięki Benowi czuję się solidny, czuję się częścią czegoś większego niż ja sam. On nadaje właściwą perspektywę moim problemom i sprawia, że czuję się bezpieczny i silny.

Podchodzę do niego i całuję go w nosek.

Ani na chwilę nie tracę z nim kontaktu wzrokowego.

Moje dziecko, mój chłopaczek, moje oczko w głowie, synek, z którym, marzę o tym, niedługo, gdy będzie miał siedem lat, będę grać w piłkę i któremu mam chętkę kupić piwo, gdy skończy siedemnaście lat... dzieciak, który rozjaśnia mi każdy dzień.

- Bzz, bzz. - Przyciskam mu nosek, jak dzwonek u drzwi.

- Bzz, bzz. Bzz, bzz - powtarza, uśmiechając się szeroko i z zachwytem.

Gdyby tylko dorosłych można było tak łatwo zadowolić. Ale jedno spojrzenie na patrzącą wilkiem Amy mówi mi, że nic z tego.

Pomarszczony palec Michaela Douglasa

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - kręci głową Amy. Stoi plecami do zamkniętych drzwi sypialni, z których tak bardzo odłazi farba, że wyglądają jak eukaliptus zrzucający

korę. Przyszła za mną z kuchni, zostawiając Bena z kobietą w chustce, która, jak już wiem, jest, ni mniej, ni więcej, tylko naszą nową babysitterką, a na imię ma Yitka.

- Mówiłem ci już - odpowiadam, przysiadając na brzegu łóżka i ściągając przepocone skarpetki - to był wypadek. Jestem niewinny. Ona była w przebraniu.

- W przebraniu?

- Miała na głowie chustkę - przypominam jej.

- Och, czyli to jej wina, tak? Wiedziałem, że Amy w końcu zrozumie.

- No właśnie.

- A żeby uniknąć nieporozumień na przyszłość - ciągnie Amy - może powinnam ją poprosić, żeby przyczepiła sobie na plecach kartkę z napisem: „Nazywam się Yitka, nie Amy. Więc proszę, nie łap mnie za tyłek ani za cycki”.

- Nie ściszałem ich - zwracam jej uwagę. - Tylko pogłaskałem.

Ta istotna różnica jakoś umyka uwadze Amy.

- Dziwię się, że nie wybiegła z wrzaskiem na ulicę - burczy. - Choć i tak by nie mogła - dodaje, gapiąc się oskarżycielsko na mój brzuch. - Bo wpychałeś w nią swój interes.

Wydaję z siebie jęk i zaczynam rozpinąć koszulę.

- Możemy już to zostawić? Otarłem się o nią, okay? Przez pomyłkę. To jeszcze nie seksualne przestępstwo stulecia.

Amy krzywi wargi z niesmakiem. Wstaję i zdejmuję spodnie.

- Tak się o nią ocierać... jak napalony pies... to obrzydliwe... Boże, biedna dziewczyna. Musiała się czuć jak... nie wiem, jakby zaatakowała ją męska wersja pani Robinson!

- Ha! - wołam triumfalnie, teraz już nagi, z rękami na biodrach - to o to chodzi! Nie o to, co zrobiłem, tylko k o m u . Nie o sam czyn, ale o profil ofiary. Wiek Yitki pogarsza sprawę.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Powiedziałaś. Właśnie mnie oskarżyłaś, że jestem jak Anne Bancroft z zarostem.

Amy milczy. Bo nie ma co powiedzieć. Bo jej freudowskie przejęzyczenie wyraźnie zdradziło, że moje nieumyślne obmacywanie innej kobiety jest niczym w porównaniu z faktem, że ta kobieta jest od niej młodsza.

Powinno mnie to oczywiście bawić, jako niedorzeczne, ale w rzeczywistości wkurza mnie i przygnębia.

Ponieważ kiedyś byłoby całkiem normalne, że się dobieram do kobiety w wieku Yitki. Ale wygląda na to, że tamten czas minął. W oczach Amy najwyraźniej przekroczyłem tę cienką linię, która dzieli beztroskiego uwodziciela od... zboczeńca. Jeszcze parę lat i niewątpliwie awansuję na Starego Zboreźnika (prochowiec i subskrypcja świerszczyka - obowiązkowe).

- Typowe - dodaję.

- Dla kogo?

- Dla ciebie. Dla kobiet. Dla kobiecego stosunku do par, gdzie mężczyzna jest trochę starszy. Jasne, Demi Moore może sobie romansować z Ashtonem Kutcherem. A Dianę Keaton z Keanu Reevesem. To czysty feminizm. Ale niech no tylko Michael Douglas dotknie pomarszczonym palcem Catherine Zety-Jones... od razu zmywają mu głowę, że jest starym satyrem.

- I dlatego prawdopodobnie tak samo myśli o tobie Yitka. Ściągam ręcznik z oparcia krzesła.

- Bzdury. Poza tym Yitka jest tylko trochę młodsza ode mnie.

- Trochę?

- OK. Parę lat.

- Siedemnaście, Jack. Ty masz trzydzieści pięć, a ona osiemnaście. Mógłbyś być jej ojcem.

- Z biologicznego punktu widzenia pewnie tak - ustępuję.

- I prawnego. I zwyczajowego. Mnóstwo trzydziestopięcioletków ma dzieci w jej wieku.

Muszę przyznać, że te chłodne statystyki są dla mnie szokiem, ale postanawiam nie dać się zbić z pantałyku. Ani wbić w poczucie winy.

- I właśnie dlatego - ciągnę - powinnaś wziąć to, co zaszło w kuchni, za komplement.

- Za co?

- No, przecież Yitka jest atrakcyjną dziewczyną. Więc to, że wziąłem jej osiemnastoletni zadek za twój, musi ci schlebiać, nie?

- Och, a ja głupia myślałam, że komplement to jest, jak ktoś mi powie, że miałam świetny pomysł albo że dziś mam ładną fryzurę...

Widzę, że faktycznie zrobiła sobie pasemka i podcięła włosy.

- Naprawdę masz dziś ładną fryzurę - mówię pośpiesznie, próbując naprawić błąd. Serio, wygląda super.

- „Spontaniczny”, Jack. Może sprawdzisz sobie ten wyraz w słowniku? Znajdziesz go między smętny a stuknięty.

Odwraca się, żeby odejść, ale łapię ją za łokieć.

- Hej - mówię łagodnie, podchodząc bliżej. - Nie kłóćmy się. Nie dzisiaj.

Na moment mruży oczy. Już myślę, że moja próba załagodzenia spięcia przyszła za późno i że zaraz zacznie się prawdziwa kłótnia, co ostatnimi czasy zdarza się zdecydowanie za często i za łatwo. Ale czuję, że ona odpuszcza, a mięsień jej ramienia się rozluźnia.

- Lepiej weź prysznic, ty gnojarku - mówi czule, marszcząc nos.

Uśmiecham się powoli i wzruszam ramionami, bo nie ma co protestować. Moje robocze ubranie wysmarowane jest końskim nawozem, który nawet powchodził pod paznokcie.

Tak właśnie spędziłem popołudnie - rozsypując końskie gówno na grządkach kwiatowych pani Wilson. Końskie gówno czystej krwi, żebyście sobie nie myśleli - przywiezione ze stadniny w Essex po, tak, tak, funta za kilogram.

W ten sposób (między innymi) zarabiam teraz na życie: sprzedaję gówno ludziom bogatszym ode mnie.

Jak to kiedyś ujęła Amy: „Kiedyś tylko mieszkaliśmy na kupie, teraz żyjemy z kupy”.

Nie można powiedzieć, że wstydzę się tego, co robię. Czasem jednak zdaje mi się, że wolałaby, abym się zajął czymś szlachetniejszym. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że kiedyś, na początku naszego małżeństwa, tak było - ona pracowała w domu mody, a ja przyzwoicie zarabiałem, sprzedając obrazy firmom w City. Ale potem Amy zaszła w ciążę. A moje zamówienia stopniowo się skurczyły.

Odbyłem spotkanie kryzysowe z dawną znajomą, Chloe, która jest doradcą finansowym w Brighton, i przedyskutowaliśmy, co lubię i co mógłbym robić, za co by mi płacił.

Odrzuciła mój pierwszy pomysł: tematyczny bar kanapkowy o nazwie Kromka Nostra z mafią jako motywem przewodnim.

Ale podobał jej się drugi: architektura krajobrazu.

Więc wziąłem kredyt w banku i odbyłem dwunastotygodniowy kurs, a potem dostałem pracę w Greensleeves, londyńskiej firmie, która projektuje i pielęgnuje ogrody bogatych ludzi.

Pracuję dla nich pięć dni w tygodniu, a w niedzielę pomagam w ich sklepie z warzywami organicznymi na targu przy Queen's Park.

Innymi słowy, wypruwam sobie flaki. Ale muszę, bo potrzebuję pieniędzy.

Nasze mieszkanko jest obciążone hipoteką, na dodatek wciąż spłacam kredyt, który wziąłem na kurs architektury krajobrazu, i żongluję długami na różnych kartach kredytowych oraz naszym debetem.

Krótko mówiąc, niewiele zostaje pod koniec miesiąca. Zwłaszcza teraz, gdy Amy nie pracuje. Ale jakoś sobie radzimy. I nie narzekamy. Co daje mi napęd i napawa mnie dumą.

Tak jak teraz uśmiech Amy, która patrzy, jak owijam ręcznik wokół pasa, podnoszę spodnie i koszulę i wrzucam je do kosza na brudną bieliznę.

Zazwyczaj zostawiam ubranie robocze w sklepie Green-sleeves w Queen's Park, gdzie zwykle też biorę prysznic i szoruję się do czysta, ale dziś śpieszyłem się do domu.

Bo dzisiaj jest specjalny dzień. Nasza rocznica ślubu. Mija siedem lat, od kiedy poślubiłem Amy Crosbie, miłość mojego życia i matkę mojego dziecka. Dzisiaj mija siedem lat, od kiedy wypowiedziałem jedyne mądre słowo w swoim życiu: „Tak”.

- Pośpiesz się i weź prysznic. - Amy wyjmując szminkę, przykuca i maluje się przed lusterkiem stojącym na nocnym stoliku. - Zarezerwowałam bilety do kina na wpół do.

- Tak, jasne - rzucam. - Kino. Nie mogę się doczekać.

Pogadajmy o seksie, kochanie

Ale oczywiście nie docieramy do kina, mimo że zapłaciliśmy za bilety z góry przez Internet. Idziemy sobie Mortimer Road, stajemy obok trójki charkających, szurających nogami, zakapturzonych nastolatków na przystanku autobusowym na Kensal Rise i czekamy na autobus numer 52, który ma nas zabrać do Electric Cinema na Portobello Road.

Czekając, gapimy się z zazdrością, jak para wygłodniałych dickensowskich sierot przed cukiernią, na sylwetki ludzi w ciepłym bursztynowym świetle okien pubu naprzeciwko.

Bez słowa obserwujemy, jak nadjeżdża nasz autobus. Bez słowa patrzymy, jak kaptury wsiadają. Bez słowa zostajemy tam, gdzie jesteśmy, i odprowadzamy autobus wzrokiem.

Potem, jak dwoje dzieciaków, które urwały się z lekcji, pędzimy na drugą stronę Chamberlayne Road do pubu The Greyhound.

Ta nieuzgodniona, a jednak zgodna zmiana celu nie zaskakuje żadnego z nas, bo zawsze tak robimy. Rezerwujemy bilety na różne imprezy, do kina, na musical czy kabaret, ponieważ takie kulturalne rozrywki uzasadniają wydatek na opiekunkę. (Pójście do pubu najwyraźniej go nie usprawiedliwia, bo moglibyśmy się równie dobrze narąbać w domu).

- Nie korzystamy z atrakcji Londynu - uzalamy się obowiązkowo, pilnie surfując po stronach teatrów i planując wieczorne wyjścia.

- Tolerujemy wszystkie minusy tego miasta: korki, podatki, zatłoczone metro - oświadczamy rozsądnie, wynajmując opiekunkę - a powinniśmy się nurzać w jego wielkim kulturalnym bogactwie.

A jednak te słowa o rozwoju intelektualnym to tylko parawan, za którym niezmiennie czai się milczące porozumienie, że tak naprawdę nigdy nie zobaczymy żadnego z tych spektakli.

To tylko rekwizyty, preteksty, środek do celu.

Pozwalają nam wyjść z domu bez dziecka, cofnąć czas i znów poczuć się młodo, i posiedzieć w pubie, jak wtedy, zanim urodził się Ben.

Mówiąc inaczej, to jest najlepszy sposób na to, żeby wrócić do siebie.

Lub przynajmniej powinien być. Był kiedyś.

Tylko że dziś, dwie godziny po wejściu do Greyhounda, nie jestem już pewien, czy tak jest.

Problem nie dotyczy samego pubu. Pub jest w porządku. Pełno w nim ludzi, tętni życiem, a jedzenie jest doskonałe. Z głośników leci ostatnia płyta Gotan Project, a cała klientela wydaje się radosna i zrelaksowana.

Nie, to nie otoczenie jest tutaj problemem. To my. Amy i ja. To my już tutaj nie pasujemy. Podczas gdy kiedyś gładko wchodziliśmy w tryb pubu (elokwencja, flirt i zabawa), teraz nie możemy wyjść z trybu „dom” - posłuchajcie tylko, o czym w tej chwili rozmawiamy...

- Możesz uwierzyć, że naprawdę to powiedziała? - pyta Amy. - To znaczy, że użyła słów „jak Shrek”? Nie sądzisz, że to niewiarygodne?

- Po prostu szok - odpowiadam, ale nie dlatego, że nie mogę uwierzyć, jak podle wyraziła się Faith o kształcie uszu dzieciaka Lindy.

Nie mogę uwierzyć w coś innego: że zdaniem Amy warto o tym mówić. Zwłaszcza w czcigodnym dorosłym otoczeniu pubu. W dodatku w naszą rocznicę ślubu, gdy za niespełną godzinę ta kopciuszkowa wyprawa w nocne życie dobiegnie końca.

Amy upija kolejny łyk białego wina i kontynuuje opowieść o tym, co zaszło między Faith a Shrekiem Seniorem, ale trudno mi się skoncentrować na jej słowach.

Nie dlatego, że Amy jest nudną osobą. Naprawdę nią nie jest. (Zresztą podejrzewam i mam nadzieję, że relacjonuje mi te ploteczki, bo sądzi, że na co dzień coś mnie omija).

I nie dlatego, że mi na niej nie zależy. (Bo mi zależy. Tak jak na Benie. Ogromnie).

Tylko że macierzyństwo to nudny temat. Wywołujący śpiączkę. Przynajmniej u mnie (i podejrzewam, że u każdego, kto nie jest matką).

To wszystko jest tak bezlitośnie nudne: codzienny porządek zajęć, życie towarzyskie w parku, maleńkie, szczerze mówiąc, niezauważalne kroczyki, którymi mój synek wchodzi w dorosłość...

Zalewanie kogoś tą lawiną przyziemnych szczegółów jest jak zmuszanie dziecka do oglądania wiadomości czy orędzia królowej w dzień Bożego Narodzenia. Wiadomo, że to ważne, ale czy nie fajniej byłoby obejrzeć jakąś kreskówkę albo Bonda?

Większość ojców, których znam, myśli podobnie. To dlatego nigdy nie usłyszycie nas dyskutujących o macierzyństwie. Ani o ojcostwie, jeśli idzie o ścisłość. Ani o niczym związanym z wychowywaniem dzieci.

Jeśli jakiś ojciec zadaje innemu ojcu pytanie: „Jak tam dzieciaki?”, odpowiedź zawsze - z wyjątkiem poważnej choroby lub śmierci - brzmi tak samo: „W porządku”.

Natomiast jeśli jakaś matka zada to samo pytanie drugiej matce, odpowiedź zawsze zaczyna się od słów: „No więc...”, i może trwać godzinami.

To nie znaczy, że ojcowie kochają swoje dzieci mniej. Tylko mniej o nich wiedzą niż matki. Większość ojców, których znam, to ojcowie na pół etatu, doraźna pomoc, zastępstwo w nagłym wypadku, ale niewiele więcej.

My po prostu nie jesteśmy w tym dobrzy.

Dlatego rozmowy o tym to specjalność kobiet, jak kuracja oczyszczająca czy złuszczenie naskórka, i wszystkie inne te

maty, których nie poruszamy, nie dlatego że nie chcemy, tylko dlatego że nie potrafimy.

- To co twoim zdaniem powinniśmy mu kupić? - pyta Amy.

- Komu?

- Benowi. Na urodziny.

- Ach. - Myślę o tych wszystkich prezentach gwiazdkowych, na które nawet nie spojrział. - Nie wiem - odpowiadam.

- Więc pomyśl - nalega Amy. - To ważne.

- Tak?

- Oczywiście.

- Pozwól sobie przypomnieć, że ostatni prezent ode mnie, wóz strażacki ze strażakiem Samem, wrzucił do sedesu i spuszczał wodę tyle razy, że musieliśmy wezwać hydraulika, żeby go wyłowić.

- Myślał, że to łódź podwodna. - Ton Amy jest defensywny, jak zawsze gdy krytykuję naszego malucha. - On nie chciał...

- Wiem, wiem, mówię tylko, że moim zdaniem jemu jest wszystko jedno, co dostaje na urodziny. Jeśli kupimy mu domek Boba Budowniczego, to go zniszczy, jeśli lalkę z *Gwiezdných wojen*, oderwie jej głowę. Prawdopodobnie byłby równie zadowolony, gdybyśmy mu dali metalową patelnię i drewnianą łyżkę, żeby mógł w nią walić.

- A może mu damy drewnianą łyżkę, żeby mógł walnąć ciebie.

Widzę, że Amy obrzuca mnie tym karcącym spojrzeniem, zarezerwowanym dla strażników od prawidłowego parkowania i ludzi, którzy pozwalają swoim psom robić kupę na chodniku.

- Ja tylko wyrażam swoją opinię.

- Konkretnie jaką? Że mamy dać naszemu jedynemu synowi na urodziny dwa używane przybory kuchenne?

- Gdybyśmy je ładnie zapakowali, nie zauważyłby nawet różnicy.

Równie dobrze mógłbym zaproponować, żebyśmy mu podarowali dawkę węglika.

- Nie, Jack. Urodziny to specjalna okazja. Dlatego musimy mu kupić coś wyjątkowego. Coś, co zapamięta. - Mówi to powoli, jakbym to ja był dzieckiem.

Gdy Amy rozpoczyna wykład socjologiczny o tym, jakie to ważne, aby wychowywać dziecko nie tak, jak wychowywano nas samych, ale jak żałujemy, że nas nie wychowywano, łapię się znów na tym, że moja uwaga ucieka od niej jak piasek przez zwężenie klepsydry.

Zaczynam ukradkiem przyglądać się dziewczynie, która przysiadła na jednym z wysokich stołków obok telewizora. Jest młodsza od Amy, jakieś pięć lat (a więc nie na tyle młoda, żeby móc być moją córką, z biologicznego czy innego punktu widzenia).

Patrzę, jak jej ładne jasnozielone oczy błyszczą zmysłowo w półmroku, gdy śmieje się z czegoś, co powiedziała jej koleżanka. Kiedy wstaje, żeby podejść do baru, widzę zarys jej koronkowego biustonosza (czarnego) pod wyszywaną bluzką z falbankami (białą). Rejestruję z aprobatą jej nogi i tyłek, takie że można by z nią było wyczyniać akrobacje całą noc.

Wiem, to nie w porządku taksować w ten sposób wzrokiem nieznaną. Tym bardziej że jestem tu ze swoją żoną. Najbardziej zaś, że to w dodatku nasza rocznica ślubu.

Ale wszyscy faceci patrzą na kobiety. Wszyscy faceci patrzą na wszystkie inne kobiety. Od chwili, gdy po raz pierwszy dostrzeżemy związek między erekcją i widokiem płci przeciwnej, gapimy się, podziwiamy i oceniamy.

Takie zachowanie, rzecz jasna, lepiej maskować. Osobiście lubię sprawiać wrażenie, że wyrastam ponad tę prymitywną seksualność, że zszedłem z drzewa i w niczym nie przypominam tych namolnych męskich małp, które w weekend wypełniają bary na West Endzie, żłopiają litrami piwsko i wybałuszają gały na wszystko, co się rusza i ma cycki.

Ale tak naprawdę jestem taki sam. Tyle tylko że moje podejście jest bardziej subtelne. Nie gapię się, tylko zerkam.

Właśnie tak, jak teraz.

I zastanawiam się, leniwie, niewinnie, co by się stało, gdybym nie był żonaty, gdybym podszedł do tej dziewczyny i spróbował użyć dawnego czaru?

To znaczy, czy wciąż mam to coś? Czy mógłbym z tą zielonooką? Czy ona mogłaby ze mną? Dziś wieczorem? Czy może musiałyby to potrwać dłużej: kwiatki, kolacje, żarty i okazywanie uczuć? W równoległym wszechświecie może by się nawet skończyło na zakochaniu?

A może wszystkie tego typu możliwości zostały już wyczerpane, myślę ponuro. Czy minęła już moja data ważności w wielkim seksualnym supermarkecie życia? Czy leżę sobie na półce z towarem przecenionym, obok dużej paczki kiełbasek i firmowych jogurtów z rabarbarem, bez szans, aby zauważył mnie ktoś bardziej wyrobiony niż polujący na przeceny emeryci i pijaczkowie?

Sącząc swoje piwo, zmuszam się, żeby wrócić do Amy.

- On potrzebuje specjalnego prezentu i wyjątkowego dnia - mówi - i to kolejna rzecz, którą chciałam z tobą omówić... Pomyślałam, że byłoby fajnie, gdybyśmy w weekend zaprosili parę osób...

- Słuchaj - przerywam - nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, ale...

- Ale co?

- Ale czy nie moglibyśmy, no, nie rozmawiać przez chwilę o dzieciach?

- Nie mówimy o dzieciach.

- Mówimy.

- Nie. Mówimy o jednym dziecku, naszym dziecku. Które, tak się składa, w ten weekend kończy dwa lata.

Kołyszę się na krześle i składam ręce na piersi.

- Kiedyś rozmawialiśmy o innych rzeczach - rzucam.

- Wciąż rozmawiamy.

- Kiedy?

- Cały czas.

- Więc dlaczego nie teraz? - pytam. Patrzy na mnie podejrzliwie.

- O czym chcesz rozmawiać?
- Nie mów tego w taki sposób.
- W jaki sposób?
- W taki. Jakbym miał problem.
- Problem?
- Tak. Jakbym miał problem, który potrzebuję omówić - wyjaśniam. -
Jakbym tylko dlatego chciał z tobą pogadać.

Marszczy brwi, zdezorientowana.

- A nie masz?
- Nie. Nie ma żadnego problemu.
- Chcesz po prostu pogadać?
- Tak, o różnych rzeczach.
- Tylko nie o dzieciach?
- Właśnie. Tak, jak rozmawialiśmy kiedyś.

Rozgląda się po sali przez kilka sekund, potem zaczyna się śmiać. Rumieni się z zażenowaniem, przez co wygląda seksownie, jakby ktoś przyłapał ją nago.

- O czym kiedyś rozmawialiśmy? - pyta. - Bo już nie pamiętam.

Odpowiadam jej szerokim uśmiechem.

- Ja też. Musiał więc minąć kawał czasu.

- To znaczy - poprawia się - pamiętam, że to robiliśmy. Nie kładliśmy się do późna, piliśmy wino, ale nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy.

- Może się starzejemy - sugeruję.

- Może. Albo zapomnieliśmy, jak się relaksować.

- Wiem - mówię - o czym kiedyś rozmawialiśmy...

- O czym?

- O seksie. Rozmawialiśmy o seksie. A w każdym razie był to jeden z tematów.

Śmieje się.

- Chcesz rozmawiać o seksie?

Siedzę tak odchylony, że widzę zaokrąglenie jej łydki pod stołem.

- Bardziej chciałbym się zająć praktyką.

- Mam nadzieję, że ze mną - ostrzega.

- Ty siedzisz najbliżej - drocę się z nią.
- No, dzięki...
- I najbardziej mi pasujesz.
- To już lepiej.
- Tak bardzo mi pasujesz, szczerze mówiąc, i siedzisz tak blisko... -
Serce zaczyna mi walić - ... że pomyślałem sobie, że powinienem dać ci to... - Sięgam do kieszeni marynarki i wyciągam prosty srebrny łańcuszek, który dziś po południu w przerwie na lunch kupiłem u ulubionego jubilera Amy.

Okrażam stolik, ona unosi włosy, a ja jej go zapinam.

Gdy delikatnie całuję jej kark, zastanawiam się, jak kiedykolwiek mogłem pomylić go z karkiem Yitki. Kark Amy jest o niebo bardziej zmysłowy.

- Dziękuję - mówi Amy, czerwieniąc się. Kołysze łańcuszek w dłoni, a potem pozwala, żeby jego srebrne ogniwa spływały pomiędzy jej palcami jak woda. - Jest piękny - mówi.

Całuję ją.

- Tak jak ty. - I naprawdę tak myślę. Patrzę na Amy, a zielonooka z tyłu za mną nagle przestaje istnieć.

- Mam nadzieję, że nie był zbyt drogi - mówi Amy z troską, gdy wracam na swoje miejsce przy stoliku.

Był, ale nie mówię jej tego. Tak jak nie wspominam o nadgodzinach, na które zapisałem się w pracy. Po prostu cieszę się, że jej się podoba.

- Jesteś niegrzeczny, Jack. Przecież mówiłeś: „Zadnych prezentów rocznicowych”. Teraz czuję się okropnie. Ja nic dla ciebie nie mam.

- Na pewno coś wymyślimy...

Śmieje się, biorąc mnie za rękę. Patrzy mi w oczy.

- Chcesz, żebym cię uwiodła? - pyta. Uśmiecham się.

- Myślałem, że już nigdy o to nie zapytasz.

Tango horyzontalne

Niektóre rzeczy w życiu tworzą idealne kombinacje. Glosy Johna Lennona i Paula McCartneya. Wielki Kanion Kolorado i wschód słońca. Kawa i telewizja. Truskawki i śmietana. Ciało Amy przytulone do mojego.

Nie tylko jest tak jak należy, również w y g l ą d a jak należy. Jak wspaniałe malowidło, triumf treści i formy, gdzie każde pociągnięcie pędzla jest bezbłędne, takie, żeby żywy obraz osiągał właściwy efekt jako całość.

Jest tak, jakby nigdy nie mogło być inaczej, kiedy t e części mojego ciała współpracują w idealnej harmonii z tamtymi częściami jej ciała.

I, podobnie jak wspaniałe dzieło sztuki, jest to widok, który nigdy mi się nie znudzi. Za każdym razem gapię się zdumiony i zafascynowany jakimś nowym jego aspektem.

Amy jest prawdziwą instrumentalistką. Jest jak Vanessa Mae i jej skrzypce. Czy Blondie przy mikrofonie. Czy Jethro Tuli z fletem.

Och. Może lepiej to porównanie do Jethro Tuli odłożmy na bok.

I skupmy się na tym, co robi Amy. - Aaa - jęczę cicho.

Wpatrując się w cienie rzucane na sufit sypialni przez świece, które Amy zapaliła wcześniej, myślę sobie, że mógłbym tak zostać na zawsze.

Ale oczywiście nie chodzi tylko o moją przyjemność.

Chodzi nie tylko o branie, ale także o dawanie.

Amy też najwyraźniej o tym myśli, bo w milczeniu zaczyna się powoli przemieszczać na łóżku.

Nasze ciała zmieniają położenie.

Do pozycji 69.

Zastanawiam się, czy istnieje gdzieś jeszcze taki idealny układ liczb? Popatrzcie tylko na nie, leżące bok przy boku. Czy jest gdzieś tak doskonała inwersja i rozkoszna perwersja?

To kwestia smaku, jak mniemam...

Czas płynie jak ciepły strumień i wkrótce przechodzimy do horyzontalnego tanga. To procedura niby tak dobrze nam już znana, a jednak wciąż nas zaskakuje i nie traci świeżości.

Następuje mały zgrzyt, gdy muszę usunąć spomiędzy pośladków łapę misia, którego Ben zostawił w łóżku, ale poza tym wszystko idzie jak po maśle. Jesteśmy jak dwie baraszkujące wydry.

W końcu Amy siada na mnie okrakiem i zaczyna ujeżdżać co sił w nogach, jakby za chwilę miała zdobyć pierwszą nagrodę w wyścigu Grand National.

- Tak - krzyczy zachęcająco. - Właśnie tak. Och, mmm.

- Mmm...

- Och, Jack...

- Och, Amy...

- Mmm Jack, o, tak...

- Och, Amy... och, mmm...

- Och, Jack... tak, tak... ja chyba zaraz... zaraz będę...

- Kaku. Kaku?

- Kaku - potwierdza Ben ze swego łóżeczka w sąsiednim pokoju.

Te dwie krótkie sylaby sprawiają, że balon naszego podniecenia pęka jak od ukłucia szpilką. Otoczenie przechodzi straszliwą transformację. Egzotycznie oświetlony buduar, w którym się kochaliśmy, na powrót staje się naszą nędzną, ciasną sypialnią upstrzoną świecami. Fantazja sięga bruku. Szybując w wyobraźni, zostaliśmy brutalnie zestrzeleni.

Biodra Amy przestają ocierać się o moje. Jej palce wyplątują się z moich włosów, zwalniają uścisk na moich ramionach, tak że zostają z dłońmi zamkniętymi na jej piersiach, jakbym dokonywał badania lekarskiego.

Przez około dziesięć sekund słyszę tylko nasze oddechy, płytkie i szybkie. Modlimy się, żeby cisza trwała, co będzie oznaczać, że Ben zasnął.

- Kaku! - woła znowu Ben. Amy mruczy, sfrustrowana.

- Muszę go przebrać.
- Najlepiej za niemowę.
- Ha, ha. - Zaczyna się ze mnie staczać.
- Proszę, nie. Już prawie skończyliśmy.

To prawda. Balansujemy na krawędzi Orgazmowego Klifu, tylko sekundy dzielą nas od skoku w Kanion Endorfinowej Rozkoszy.

- Nie zwracaj na niego uwagi - błagam. - Może zaraz zaśnie. Może to wcale nie chodzi o pieluszkę. Może coś złego mu się śniło.

Amy patrzy na mnie sceptycznie.

- Co, kaku? - pyta.

- Czemu nie? To możliwe. Przecież w tym wieku nie ma zbyt wielkiego wyboru tematów nocnych koszmarów, co nie? Śmiertelna lawina ekskrementów - wyliczam - zabójczy atak pluszowego misia, uduszenie piersią... Mmm - uświadamiam sobie - co za piękna śmierć...

- Ka! Ku! - wrzeszczy Ben.

Amy obdarowuje mnie krótkim całusem.

- Jeszcze tu wrócę.

Na te słowa, wypowiedane przez Schwarzeneggera w *Terminatorze*, odpowiadam kwestią Russella Crowe'a z *Gladiatora*, kiedy zachęca on swoje wojska do nieustraszonej walki w nadchodzącej bitwie:

- Zostań ze mną! - wołam. - Nie rozłączaj się. Ale Amy mnie nie słyszy; już jej nie ma. Wzdycham, obracam się na bok, i pociągam łyk wody ze

szklanki przy łóżku.

Ona ma rację, oczywiście. Nie ma sensu kontynuować, gdy Ben już się obudził. Jego krzyki o nową pieluszkę nie są idealnym erotycznym podkładem muzycznym. Nie jest nim nic, co ma związek z dziećmi (niewątpliwie dlatego Prince postanowił napisać piosenkę o Alphabet Street, a nie alpha-betti spaghetti¹).

¹ **Alphabetti spaghetti - makaron w kształcie literek w sosie pomidorowym dla dzieci.**

- Już dobrze? - Słyszę, jak Amy pyta Bena kilka minut później.

Na to jest tylko jedna dobra odpowiedź: brak odpowiedzi. Bo to by znaczyło, że Ben kupił bilet w jedną stronę - z powrotem do krainy Morfeusza.

Jednak on oświadcza:

- Mlećko.

- Kochanie, jest środek nocy - informuje go Amy stanowczo. - Proszę cię, zamknij oczka i śpij.

Następuje pauza długości głębokiego westchnienia.

- Okay, skarbie - poddaje się Amy. - Pójdę po butelkę. Słyszę, jak idzie do kuchni.

- Wracaj! - wołam, wiedząc, że nie wróci.

A raczej, wiem, że wróci - za dwadzieścia minut, po wielu próbach, nieudanych, uśpienia Bena, i skuli się w naszym łóżku między nim a mną, jak zawsze, gdy on się budzi.

Czując, że mój penis powoli więdnie, siadam na łóżku.

Czar całkowicie prysł.

Ben zaczyna płakać, kwiląc najpierw jak kocię, potem zwiększając głośność z każdym kolejnym oddechem, rozkręcając się jak syrena alarmowa, zmierzając nieubłaganie w kierunku czegoś, co przejdzie w ogłuszające wycie.

Wzdycham i wstaję z łóżka.

Krzywię się, bo uderzam się w stopę o złożone łóżeczko podróżne, upchnięte pod ścianą w jego pokoju. Gryzę się w wargę, żeby powstrzymać przekleństwa pod adresem tego durnego ustrojstwa: trudniej je złożyć niż kostkę Rubika; ciężiej rozłożyć niż przygnieść do ziemi ubłoconą świnię.

Płacz Bena dochodzi do zenitu, wwiercając się we mnie niczym zgrzyt kredy po tablicy albo kruszenie styropianu. Dreszcze przebiegają mi wzdłuż kręgosłupa.

Pośpiesznie chwytam go w objęcia. Ucisza się. Zaglądam w jego ciemne oczy.

Pachnie mentolem. Zgaduję, że to Vick Vaporub, co prawdopodobnie oznacza, że jego niewyraźne przedpołudniowe pociąganie nosem przeszło w wyraźne wieczorne przeziębienie.

Może jednak nie. Nie cierpię, gdy jest chory. Mam wtedy wrażenie, że zawiodłem, że nie powinienem go wychowywać w Londynie, tylko w jakimś czystym miejscu, pozbawionym zarazków. Na przykład na wyspach Galapagos. Albo że powinienem był przejść kurs pierwszej pomocy, albo zostać lekarzem czy farmakologiem zdobywcą Nobla, który mógłby udowodnić swoją miłość i poświęcenie dla synka, wyczarowując cudowne leki własnego pomysłu, żeby zapobiec wszelkim możliwym dolegliwościom.

Zamiast tego przytulam go do piersi i szepczę, że go kocham. Słyszę, jak wzdycha i serce mi mięknie.

Uśmiecham się, bo przychodzi mi na myśl, że jestem w tym o wiele lepszy niż kiedyś. Pamiętam, jak pierwszy raz wziąłem go na ręce, na oddziale położniczym, kiedy Amy, zmęczona, leżała obok nas na łóżku, niczym przekłuta nadmuchiwana lalka.

Byłem tak niepewny jak szympan, którego właśnie posadzono u steru promu kosmicznego i powiedziano mu: „Okay, jesteście gotowi. Teraz zawieź nas na Marsa”.

Gdy patrzę na Bena i przytulam go mocno, aby poczuć, jaki jest solidny i realny, czasem ogarnia mnie panika na myśl, że mogłoby go w ogóle nie być.

A mogłoby się tak stać. Gdybyśmy się nie spotkali z Amy... Albo gdybyśmy się spotkali, ale zerwali ze sobą... Bena nie byłoby teraz tutaj.

To jest odrażająca myśl. Nie możliwa. Ale wciąż do mnie wraca i ściska mi pierś lękiem. I sprawia, iż wierzę, że po prostu n i e mogło stać się inaczej. Amy i ja musieliśmy się pobrać. Los tak chciał. Od samego początku.

Niosę Bena do naszego pokoju i wchodzę z nim do łóżka.

Amy wraca kilka minut później, patrzy na nas i uśmiecha się. Wygląda pięknie w migoczącym świetle świecy. Stoi tak, nic nie mówiąc, potem obchodzi po cichu pokój dookoła i gasi świece, jedną po drugiej.

- Przepraszam - szepcze, wsuwając się do łóżka obok nas i podając butelkę Benowi, który chwytą ją i zaczyna pić.

- Za co? - pytam, głaszcząc ją po ramieniu.

- Za to, że musieliśmy w ten sposób przerwać. Może źle mu wybraliśmy drugie imię. Może zamiast nazwać go zwyczajnie Benjamin Matthew powinniśmy byli nadać mu imiona Benjamin *Coitus Interruptus* Rossiter.

- W porządku. To nie twoja wina. A poza tym, wiesz, co mówią...

- Co?

- Pół bzykanka jest lepsze niż nic.

- Kto tak mówi?

- Pewnie głównie mamusie i tatusiowie.

Milczy przez parę sekund, potem zaczyna chichotać.

- Bzyk - mówi.

- Co?

- Bzyk. To pół bzykanka. Więc przynajmniej możemy powiedzieć, że odbyliśmy fajny bzyk.

- Właśnie - odpowiadam sennie. - A kto wie? Może kiedyś w tygodniu skończymy go „ankiem”.

Znowu chichocze.

- Rozegraj to dobrze, a może nawet zrobię ci las.

Tym razem ja się śmieję. Biorę jej rękę w swoją dłoń i mocno ją ściskam. Wypełnia mnie szczęście, jakiego nigdy nie znałem, zanim nie spotkałem Amy. Zamykam oczy i pozwalam, by ogarnęła mnie ciemność.

A potem już tylko we trójkę oddychamy, leżąc obok siebie, odpływając w nasze osobne sny.

Poranna chwaia

Dzień dobry. Słuchacie Radia CapitalChat. Nazywam się Jessie Kay, będę waszą gospodynią do jedenastej trzydzieści. Wysłuchaliśmy piosenki Waterloo Sunset grupy The Kinks, o Julie Christie i Terensie Stampie... podobno. Powinna was ona wprawić w dobry nastrój na piękny słoneczny poranek w stolicy. W tym tygodniu zaczynamy nowy program pod nazwą „Moim zdaniem”. Sądzę, że już pora, byście wy, słuchacze, też mogli się wypowiedzieć. Chcemy, żebyście codziennie dzwonili i opowiadali nam o sobie. Wyrzucicie z siebie ważne problemy. Temat na dziś: „Pracujący rodzice”. Dzwoncie lub wysyłajcie SMS-y na numer 0871...

- Amy, gdzie są moje kluczyki? - krzyczy Jack z sypialni.

Jest dziewiąta trzydzieści. Usiłuję wmusić w Bena trochę płatków pszennych, ale on, siedząc w swoim wysokim krzeselku przy stole kuchennym, wydaje z siebie najdłuższe „pffffff” w swoim życiu.

Przynajmniej wygląda trochę lepiej, myślę, przykładając mu dłoń do czoła. Od czasu naszej rocznicy w zeszłym tygodniu biedactwo ma okropne przeziębienie i co noc ląduje w naszym łóżku, z czego nie jesteśmy szczególnie zadowoleni. Mogłabym go zostawiać, żeby płaczem ukołysał się z powrotem do snu, ale ten sukinsyn z góry, Tim Bierny Agresor, wali w nasz sufit, ledwie Ben zakwili. (To jego własna wina i głupota, bo ulegając modzie, zerwał parkiet, więc teraz nie ma izolacji akustycznej. Zwróciliśmy mu na to uwagę w starannie przemyślanym liście, ale to tylko pogorszyło sprawę).

Jednak okazuje się, że moje kłopoty to nic w porównaniu z problemami Jacka. Ja powinnam zajmować się Benem całą noc i wciąż być promienna, rześka i troskliwa dla mojego męża. Tak, nawet wtedy, gdy zachowuje się jak gbur.

Ponieważ, panie i panowie, nie zapominajmy, że mężczyzna znosi zakłócenie snu o wiele gorzej. Tak. O wiele, wiele gorzej. Właściwie to dziwne, że nie przeprowadzono jeszcze badań naukowych, które by dowiodły, że z medycznego punktu widzenia jakakolwiek forma zajmowania się dzieckiem w nocy jest zabójcza dla zdrowia mężczyzny.

- Amy? - krzyczy Jack znowu, więc ściszam radio. Skąd mam wiedzieć, do cholery, gdzie są jego kluczyki?

Dlaczego mu się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty, niż pilnować jego rzeczy osobistych? Wystarczy, że pilnuję swoich i Bena. Czy Jack nie zdaje sobie sprawy, ile to zajmuje miejsca w mózgu? Odpowiedź brzmi: zbyt dużo.

- Sprawdź w marynarce - odkrzykuję.

- Sprawdzalem.

- W koszu na brudną bieliznę?

- Nie ma ich tam.

Słyszę po tonie jego głosu, że stoi w sypialni i utyskuje na mnie. Nawet nie zajrzał do kosza.

Po sekundzie pojawia się w drzwiach kuchni, patrząc na mnie spojrzeniem furjata. Ponieważ poszliśmy spać dopiero o czwartej rano, oboje zaspaliśmy, a Jack powinien być już w pracy. Na szyi ma kawałeczki zakrwawionego papieru toaletowego, ponieważ golił się w pośpiechu. Dobrze mu tak, bo podwędził mi moją tępą maszynkę.

- Oho, tatuś mnie nakrył - mówię do Bena, nabierając łyżeczkę papki.

- Widzisz, mamusia wstała w środku nocy, wyjęła tatusiowi kluczyki z kieszeni marynarki i... - nachylam się bliżej do Bena i unoszę brwi, jakbym opowiadała straszną bajkę - s c h o w a ł a j e !

Ben chichocze, ale Jackowi nie jest do śmiechu. Ma na czole więcej zmarszczek niż Jeremy Paxman, który w wywiadzie przypiera do muru nieuczciwego polityka.

- Amy, do cholery, jestem spóźniony.

Tym zdaniem udaje mu się zakomunikować, że nie tylko jest to całkowicie moja wina, ale także, że nie traktuję go poważnie. Poza tym, jego czas jest ważniejszy niż mój. Trzy punkty minusowe dla Amy.

Jednak doświadczenie nauczyło mnie, że zmuszanie go, by sam poszukał tych kluczyków, nie ma najmniejszego sensu. Jeśli to zrobię, zacznie siać spustoszenie w mieszkaniu, drzeć poduszki na sofie i opróżniać szuflady, przez cały czas mi złorzecząc.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto takich sytuacjach Jack znajduje to, czego szuka (zwykle kluczyki od samochodu, okulary przeciwsłoneczne, komórkę lub portfel), przy sobie lub tam, gdzie ostatnio zostawił - czyli w kieszeni marynarki, rzuconej na podłogę.

Więc to delikatna sytuacja.

Z jednej strony, jeśli mu ustąpię i znajdę te cholerne kluczyki, nie tylko utwierdzę go w przekonaniu, że sam nie potrafi niczego znaleźć, ale także umocnię swoją rolę niewolnicy od szukania kluczyków. Co nie wróży zbyt dobrze, bo już widzę, że Ben pod tym względem zmienia się w mini-Jacka.

Z drugiej jednak strony, jeśli nie pomogę Jackowi, będę musiała cały dzień sprzątać pobojuwisko, które po sobie zostawi.

I niestety, tak czy siak, mój mąż będzie w złym humorze.

Rzucam miseczkę z płatkami na krzeselko Bena, wstaję, ciężko wzdychając, mijam Jacka i idę do sypialni, kierując się prosto do kosza na brudną bieliznę. Jego marynarka leży z boku na stercie.

Podnoszę ją i sprawdzam w kieszeniach. Ani śladu kluczyków. Więc zaglądam pod szorty na wierzchu kosza z brudami. Tak właśnie myślałam.

Trzymam kluczyki w górze na palcu wskazującym, oczekując przeprosin albo chociaż pełnego skruchy buziaka.

- No widzisz? Schowałaś je - oznajmia triumfalnie, wyrywając mi je z ręki. - Skąd miałem wiedzieć, że tam trzeba szukać?

- Mówiłam ci, że w koszu na brudną bieliznę. Trzeba szukać pod rzeczami, Jack.

Przewracam oczami i idę z powrotem do kuchni. On nie odcina się, nie domaga się ostatniego słowa. Biorę to za coś w rodzaju podziękowania. Zastanawiam się, czy będziemy się wciąż tak zachowywać za pięć, dziesięć, pięćdziesiąt lat? Czy szurając nogami w balkoniku do chodzenia, wciąż będę szukać jego książeczki emeryta albo sztucznej szczęki? Podejrzewam, że to możliwe.

- Mama, patrz. - Ben pokazuje na miseczkę z płatkami, która leży odwrócona do góry dnem. Maż rozprysnięta jest na ścianie. On przygląda się tej ciekawostce ze swego tronu, jakby nie miał z tym absolutnie nic wspólnego.

- I pewnie ja mam to teraz posprzątać, tak? - Wiem, że to pytanie retoryczne. Podkręcam radio.

- Co to za stacja? - pyta Jack. Idzie za mną do kuchni, bierze ze stołu mój kubek i pije moją herbatę. - To jakaś chała.

- Znudziła mi się tamta.

To nie do końca prawda. Bojkotuję stację, której zwykle słucham, ponieważ w zeszłym tygodniu podczas popołudniowej audycji trzymali mnie przy telefonie dwadzieścia minut, a znałam wszystkie odpowiedzi i mogłam wygrać telewizor plazmowy - i wkurzyłam się, bo dziewczynie, która w końcu wygrała, pomagał didżej. Fakt, że nie mamy tak dużej ściany, żeby zawiesić na niej telewizor plazmowy, nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o zasadę.

A więc, co wam leży na wątrobie, drodzy słuchacze? Macie szansę to wyjawić. Poczujecie się po tym o wiele lepiej. Dzwońcie do Jessie Kay. Po tej piosence porozmawiamy z naszym pierwszym słuchaczem...

Zaczyna się *Morning Glory* Oasis.

- Kto to jest Jessie Kay? - pyta Jack. - Sądząc po głosie, jakaś stara prukwa.

- Głos ma całkiem miły. Wiesz co, mogłabym tam zadzwonić. - Wrzucam do kosza na śmieci garść papierowych ręczników pokrytych płatkami śniadaniowymi.

- To czemu tego nie zrobisz?

Kręcę głową i zdmuchuję sobie grzywkę z twarzy.

- Bo to głupie. Kto by chciał mnie słuchać?

- I tak by nie miało znaczenia, co powiesz. O tej porze radia słuchają tylko świry i znudzone gospodynie domowe. Wszyscy normalni ludzie są w pracy.

- Normalni ludzie, tacy jak ty, czy to masz na myśli? - odparowuję, pokazując mu język.

Celowo się ze mną drażni, ale nie zdaje sobie sprawy, że igra z ogniem. Całuje najpierw mnie, a potem Bena w czubek głowy.

- Żartuję, kochanie - mówi. - Na żartach się nie znasz, czy co? Myślałem, że lubisz być kobietą niepracującą.

Chwilę później drzwi frontowe zamykają się z trzaskiem, a ja sięgam po słuchawkę.

Radio CapitalChat Program: „Moim zdaniem” Dzwoni: Amy z Zachodniego Londynu

No cóż, Jessie, niestety, sama nie jestem pracującą matką, ale zdecydowanie popieram rodziców, którzy się na to zdecydowali. Widzisz, moja znajoma, Ali, jest pracującą matką i często marzę sobie, że jestem taka, jak ona. Bo ona codziennie nosi szpilki, nie adidas, i seksowne miniówki zamiast zaplamionych jogurtem spodni od dresu, a jej torebka jest pełna szminek i cyfrowych organizatorów, a nie pieluch i niedojedzonych biszkoptów.

Gdy przychodzi do biura, natychmiast robią jej herbatę i opowiadają mnóstwo smakowitych plotek. Ludzie naprawdę słuchają, co ma do powiedzenia. I umawiają się z nią na spotkania, żeby omówić ważne problemy. Porównaj z tym durne Teletubisie czy najnowsze doniesienia, że ostatnia kupa była ogromna.

Ale problem w tym, że w odróżnieniu od Ali, ja nie mam ważnego stanowiska, na które mogłabym wrócić, a po dwóch latach siedzenia w domu nie ma sensu, żebym czepiała się jakiegokolwiek pracy. Po co miałabym płacić komuś za opiekę nad moim ko-

chanym dwulatkiem i siedzieć w jakiejś recepcji za pensję mniejszą niż bierze niania?

Owszem, mamy w okolicy żłobek, ale nie bez powodu nazywają go „rumuńskim sierocińcem”. Poza tym nawet gdybym chciała, nie mogę tam zostawić małego, żeby cały dzień walił głową w ścianę obitą materacem, bo nie zapisałam go w porę, czyli w chwili gdy mój mąż właśnie ostatnim spazmatycznym pchnięciem doprowadzał do porzęcia.

Szkoda, że tego nie zrobiłam. Powinnam była złapać wtedy za telefon i zwrócić się do męża: „Poczekaj, kochanie, masz tu chusteczkę higieniczną - a gdzie położyłeś ten spis pobliskich żłobków?”.

Czyli nie mam wyboru, muszę być niepracującą matką. I wmawiam sobie, że tak jest lepiej, bo zajmuję się moim dzieckiem w okresie, kiedy kształtuje się jego osobowość.

Więc dlaczego czuję się taka bezużyteczna? I dlaczego wciąż mam poczucie winy? Dlaczego odnoszę wrażenie, że pozbyłam się wszystkich nowoczesnych feministycznych zasad? Nie tak miało być. Przepraszam, ale czy nie należę do pokolenia, któremu powtarzano, że może mieć wszystko? Cóż, powiem ci, że to był jeden wielki kant.

Chyba pozostaje mi tylko dalsze rozmnażanie.

Aha, zaraz! Czy ja czasem o czymś nie zapominam?

No tak, przecież nie możemy sobie pozwolić na kolejne dziecko, bo ja nie pracuję...

Taniec Króliczków czas zacząć

Jest wtorek, co oznacza dla nas Tańczące Króliczki w Not-ting Hill. Czeka nas długa i nudna podróż autobusem, ale w końcu co innego mam do roboty? Już zaliczyłam swoje pięć minut sławy na dziś. Jessie Kay miała rację: wypowiedzenie tego, co miałam na wątrobie, sprawiło, że poczułam się o wiele spokojniejsza.

W autobusie dzwonię do Jacka, żeby mu powiedzieć o tym, że wzięłam udział w programie.

- Jak leci? - pytam.

- Co?

- Jak leci? - powtarzam. Uśmiecham się. Chcę mu powiedzieć, że czuję się o wiele lepiej.

- Wszystko w porządku, Amy. - W jego głosie wyczuwam zarówno zakłopotanie, jak i irytację. Podejrzewam, że jest w towarzystwie kolegów z pracy. - Jest dokładnie tak samo, jak godzinę temu, gdy wychodziłem z domu. Czy chcesz czegoś konkretnego, bo jestem po łokcie ubabrany w gównie? Dosłownie.

- Nie, to nic takiego. - Wycofuję się i próbuję nie pokazać po sobie rozczarowania. - Jadę do Notting Hill, to wszystko.

- Super - mówi z rozdrażnieniem i wzdycha. - Kocham cię, cześć.

Warczę coś do telefonu, a potem piszę SMS-a do Ali, żeby jej powiedzieć, że wspomniałam o niej w radiu dziś rano, ale zaraz czuję się jak żalosna oferma. Ona jest przecież w pracy, a to wydaje się niewiarygodnie atrakcyjne i strasznie dalekie od mojej przyziemnej rzeczywistości.

Darowałabym sobie Króliczki, ale zapłaciłam za całą serię, a inne panie mówiły mi, że nie dostanę zwrotu pieniędzy. Poza tym podczas wyprawy mam szansę obejrzeć eleganckie wystawy na Westbourne Grove i pofantazjować na temat butów.

Co więcej, mijam kiosk, gdzie zawsze kupuję los na loterię. Wiem na pewno, że ten właśnie kiosk miał już dwóch wielkich zwycięzców. Ja będę trzecia.

Gdy wygram, kupię wielki wypasiony dom na wzgórzu z bajecznym widokiem na Londyn z atelier dla Jacka, a drugi na jakiejś karaibskiej wyspie, gdzie Jack i ja będziemy spędzać większą część roku. Będę miała tyle służących, że Camilla udławi się swoimi kaszmirowymi kardiganami. Zatrudnię seksownego trenera osobistego, który mnie doprowadzi do formy, i wspaniałą niańkę dla dzieci (będę miała jeszcze trójkę). Jack i ja będziemy spędzać dni razem, jedząc na lunch ryby złowione rankiem z prywatnego mołu, odbywać sjesty i uprawiać namiętą, szaloną miłość w specjalnie zaprojektowanym apartamencie na wierzchołku drzewa, gdzie za sąsia-

dów będziemy mieć tylko egzotyczne ptaki. I, co najważniejsze, dzieci nie będą mogły się tam dostać.

Właśnie wychodzę z kiosku, manewrując wózkiem wokół sterty gazet, gdy dzwoni Ali.

- Naprawdę nie wiem, po co wróciłam do pracy - rzuca zaraz po przywitaniu. Mówi szeptem, bo, jak się okazuje, dzwoni z biurowego kibelka. Mimo to słyszę, że głos więźnie jej w gardle.

- Wszystko w porządku, Al?

- Nie, nic nie jest w porządku - wzdycha ciężko. - Jestem tak cholernie zmęczona. Bez przerwy. Wstaję o szóstej z Oscarem, a potem muszę dojechać do pracy, gdzie spędzam cały dzień, a traktują mnie jak półetatowca, bo wychodzę o osiemnastej trzydzieści. Kobiety w żłobku patrzą na mnie wilkiem, bo odbieram Oscara tak późno, że jest już cały zapłakany i zmęczony, i ja też padam na twarz, a potem jeszcze kąpiel i usypianie. A po wszystkim biorę się za papiery, żeby nadrobić zaległości z biura...

- Ale ja myślałam, że chciałaś wrócić do pracy. Sądziłam...

- Nie mam czasu na nic, Amy. Mówię ci, na nic. Nie mam czasu zrobić zakupów, posprzątać, zrobić prania, spotkać się ze znajomymi. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz uprawiałam seks. W domu mam gigantyczny chlew i bez przerwy gnębi mnie poczucie winy. Wydaje mi się, że jestem dla wszystkich rozczarowaniem. Beznadziejny pracownik, beznadziejna koleżanka, żona i matka.

Jej wybuch wprawia mnie w osłupienie, ale czuję też zmieszanie z powodu mojego porannego wystąpienia w radiu.

- Hej, nie powinnaś się czuć winna - pocieszam ją. - To ja mam wyrzuty sumienia. Ty przynajmniej jesteś użytecznym członkiem społeczeństwa.

- I mam spaprana relację z własnym dzieckiem. No, nie wiem. Rozkoszuj się tym, Amy. Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara.

Wchodzę do hallu, wciąż jeszcze zażenowana tyradą Ali. W ciągu ostatnich dwóch lat zapisywałam się do wielu takich

grup dla maluchów. Wszystkie są dość okropne. Ale może Ali ma rację. Może powinnam się zrelaksować i bardziej się cieszyć przebywaniem z Benem. Jednak wystarcza mi jedno spojrzenie na tłum Tańczących Króliczków, by po raz kolejny stwierdzić, że w ogóle tu nie pasuję.

Z jednej strony hermetyczna grupka straszliwie eleganckich mamus z bogatych dzielnic Kensington i Notting Hill. Wszystkie mają na sobie markowe dzinsy w najmniejszym możliwym rozmiarze, ogromne pierścienie z brylantami jak kastety i botoksowane czoła. Są też nianie. Wszystkie gadają do siebie po słowacku, ale przynajmniej są życzliwe (i inteligentne).

Króliczki prowadzi Trish z pomagierką Magdą, której jedyną rolą jest obsługiwanie sprzętu grającego. Magda ma farbowane włosy na pazia a la Kleopatra i coś szalonego w wyrazie twarzy. Zdaje się, że jest lekko stuknięta.

Z kolei na Trish aż miło popatrzeć. Dzisiaj ma na sobie trykot z fioletowej lycry. Bez wątpienia powrót do czasów, gdy chodziła na castingi do pierwotnej obsady musicalu *Fame*. Jej wytrzeszczone oczy zdobi ciężki makijaż, a czerwona szminka zatyka bruzdy wokół ust. Ale jej poświęceniu zawodowemu nie można nic zarzucić.

Osobiście uważam, że aby pracować z dziećmi, człowiek musi być pozbawiony genu odpowiadającego za zakłopotanie. Jest taki prezenter w telewizji dziecięcej, który wypełnia przerwy między programami. Ben go wprost uwielbia. Uważa, że jest szalenie zabawny, natomiast ja za każdym razem, gdy na niego patrzę, myślę: „Człowieku, jak możesz robić coś takiego w pracy, a potem wracać do domu i uprawiać seks?”.

Hej, kochani, zgadnijcie, gdzie jestem! Tak, brawo, leżę w łóżku z moją żoneczką! Spójrzcie tylko, co tu mam: śliczny różowy sutek! Sutek można głaskać paluszkami. Znam taką piosenkę -jeśli chcecie, możecie śpiewać ze mną: „Rej, suteczku, mój malutki, rośnij duży i twardziutki...”.

Ten facet sprawia wrażenie kompletnego kretyna, ale przecież musi mieć agentów, charakteryzatorów i księgowych.

Czy oni biorą go na poważnie? Czy on traktuje tę pracę jako szczebel w drabinie kariery do poważnych filmów telewizyjnych? Czy marzy o wielkiej sławie w Hollywood? Albo pragnie zachwycić krytyków w teatrze Old Vic?

Jest dla mnie tajemnicą, jak ci ludzie - ten facet z telewizji i Trish z Tańczących Króliczków - mogą wykonywać swoją pracę. Dla mnie publiczne śpiewanie *Kręcą się, kręcą koła autobusu* jest nie do zniesienia. Zawsze gdy mamy śpiewać razem z dziećmi, wychodzi ze mnie zbuntowana nastolatka. Muszę walczyć z pragnieniem ucieczki, zmuszać się, by zostać na podłodze w siadzie po turecku. Wytrzymuję tylko dlatego, że wymyślam sobie w głowie alternatywne słowa: „Mamusię w autobusie Valium chcą, Valium chcą, Valium chcą. Mamusię w autobusie valium chcą przez cały dzień”.

Magda przyciska klawisz i rozlega się ryk piosenki *Listonosz Pat*. W hallu ustawiono nadmuchiwany sprężynujący zamek. Ben wyskakuje ze swojego wózecka prosto na niego. Widzę po błysku w jego oku, że ma zamiar skoczyć najwyżej, jak się da, a może nawet wypróbować swoją nową umiejętność: ciosy głową, tak zwanym bykiem. Upatrzył sobie za cel elegancką Jessicę. O sześć miesięcy starsza Jessica ma już niezłe wyniki w konkurencji „wydrapywanie oczu”, więc zanosí się na niezłą walkę. Ben ma chyba jakiś rachunek do wyrównania.

Ledwo zdołałam zrzucić adidas i wdrapać się na maty ochronne, żeby go przechwycić, gdy już zdążył wywalić z zamku koleżankę Jessiki. Jej matka patrzy na mnie z urazą, na ile to możliwe, zważywszy, że nie da rady za bardzo ruszać botoksowaną twarzą. Głupia krowa.

Tańce poprzedza dwadzieścia minut „soft play”. Dla mnie oznacza to dwadzieścia minut rozpaczliwych wysiłków, by zminimalizować liczbę kontuzji gromadki brzdąców, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki gromadzą się wokół mojego synka. Bawią się w coś, co wygląda jak intensywny trening drużyny rugby z przyrzadami. Mimo że przyrzadami są watowane wałki, ta zabawa ani trochę nie jest bezpieczna.

Wśród łez i szamotaniny, my, dorośli, staramy się uprzejmie konwersować. Jack uważa, że ja spędzam całe dnie z kobietami o podobnych do moich poglądach, świetnie się bawiąc, paplając i plotkując w najlepsze wśród zabawnych przekomarzanek, ale on, podobnie jak wszyscy znani mi mężczyźni, nigdy nie odwiedził żadnej z tych grup. Gdyby to zrobił, szybko by się zorientował, że pod względem towarzyskim to biegun północny. Kontakty między dorosłymi są tu w najlepszym razie żałosne.

Ramy konwersacji wydają się przerażająco wąskie. Na przykład, nie słychać tu „dzień dobry” ani „co słychać?”. Informacje osobiste muszą być zredukowane do absolutnego minimum, nie używa się nawet imion, a ponieważ jesteśmy tutaj w roli opiekunów, musimy sprawiać wrażenie, że naszą pełną uwagę obdarzamy podopiecznych, a nie tematy konwersacji. A z tematami jest problem. Wystrój wnętrza i otoczenie są zbyt nudne, żeby je komentować, a ponieważ połowa kobiet to cudzoziemki, uwagi na temat pogody spotykają się z zakłopotaniem. Więc zostają nam tylko dzieciaki.

- To ile ma już pani mały?

- Prawie dwa.

Pełne zrozumienia kiwnięcie głową. Następne pytanie.

Problem w tym, że te rozmowy zaczynają się nigdzie i kończą nigdzie. Nawet gdybym miała cokolwiek wspólnego z którąś z tych kobiet, nie mam szans się tego dowiedzieć.

Trish woła nas do kółka.

Ona nie żartuje. Wyciąga zatyczkę z nadmuchiwanego zamku, który szybko opada na podłogę w kącie jak pijak.

Wszystkie posłusznie siadamy. Trish wkracza w środek koła.

- Dzieci, zaczynamy - szczebiocze, dając znak ruchem głowy Magdzie, która przyciska guzik na odtwarzaczu płyt kompaktowych.

To nie ta piosenka. Trish, wściekła, macha ręką, potem ciężkim krokiem udaje się w róg pokoju, żeby zrugać Magdę.

W końcu zaczyna się właściwa muzyka.

- I pięć, sześć, siedem, osiem - skanduje Trish, uśmiechając się szeroko i ciągnąc wszystkie dzieci doongi.

- Nie, muma, nie. - Ben wpęła mi na kolana i ukrywa buzię w moim ramieniu. Zawsze, kiedy przeżywa silne emocje, mówi do mnie „muma”. Pachnie rozkosznie - płynem do zmiękczenia tkanin, szamponem dziecięcym i grzanką z pastą marmite.

Poniekąd się z nim zgadzam. Trish wygląda strasznie nawet dla mnie, co dopiero dla dwulatka.

- Do domu - prosi. Odchyła się, chwytając mnie rączkami za ramiona i patrząc na mnie tymi wielkimi brązowymi oczami o niebywale długich rzęsach.

Serce mi pęka. Jakaś część mnie chce porwać go w ramiona, zabrać do domu i bronić przed tymi dziećmi i horrorem przymusowej zabawy z nimi.

Może wszystko byłoby prostsze, gdybym pozwoliła mu siedzieć cały dzień w domu przed telewizją dziecięcą, aż osiągnie wiek szkolny. Może to byłaby wystarczająca edukacja. W końcu, kto powiedział, że on musi udzielać się społecznie? I dlaczego właśnie w tej grupie? Nawet dla dorosłego nie jest ona zbyt błyskotliwym towarzystwem.

Ale nie. Robię to dla niego. Dla własnego dobra dołączy do nich, czy tego chce, czy nie. Poza tym już za to zapłaciłam.

Odpycham go delikatnie.

- Idź, kochanie, wszystko w porządku. Muma jest tutaj.

Trish namierza go i łapie. Im dłużej jej się przyglądam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że przypomina Złą Czarownicę z Zachodu z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Pomalowane na fioletowo paznokcie wyglądają jak szpony u jej pomarszczonych dłoni. Podświadomie oczekuję, że zaraz pojawi się stado złych małp.

Oczy Bena robią się wielkie z przerażenia i wypełniają się łzami. Gdy Czarownica odciąga go ode mnie, patrzy na mnie, jakbym go zdradziła na całej linii. Tak mogłaby patrzeć Dorota,

gdyby Toto zlał się w jej czerwone pantofelki, a potem prze-handlował ją za puszkę Pedigree Chum.

- Niedobra mama - woła.

Au.

Katastrofa

Oczywiście pod koniec sesji Ben jest zachwycony i nie chce wracać do domu. Muszę go odciągnąć siłą i wynieść pod pachą z hallu. Dzieci takie są. Nie znoszą tego, czego nie znają. Uwielbiają to, co znajome.

Przechodzę właśnie przez ulicę w drodze na przystanek, gdy dzwoni mi telefon. Mam nadzieję, że to Jack. Tak manewruję Benem i wózkiem, że w jakiś sposób udaje mi się nacisnąć odpowiedni klawisz. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że to moja mama.

- No więc, co do urodzin Bena... ? - mówi tytułem powitania z intonacją pytająco-wyczekującą, dzięki czemu udaje jej się dać mi do zrozumienia, że jest dotknięta, bo jeszcze nie dostała pocztą ręcznie robionego zaproszenia (na przykład kartki z odciskami zrobionej przez Bena pieczętki z ziemniaka?).

- Urodziny Bena? - pytam, ignorując oczywistą aluzję. Podnoszę synka wyżej, przyciskając telefon ramieniem, bo muszę przenieść wózek nad wysokim krawężnikiem. Ktoś na mnie trąbi.

- Pieprz się! - krzyczę. Jakimś cudem udaje mi się znaleźć wolny palec, który pokazuję kierowcy.

- Co mówiłaś? - pyta mama.

- Nie do ciebie.

- Do kogo?

- Nieważne.

- Najwyraźniej ważne, bo inaczej nie używałabyś takiego języka jak... Ben usiłuje uderzyć mnie „z byka”.

- Przestań - ostrzegam go.

- Nie przestanę - to mama.

- Nie ty - mówię, doprowadzona do rozpacz. - Ben.

- Ben jest z tobą? No, to tym bardziej nie powinnaś tak się odzywać.
Boże, daj mi siłę.

Puszczam wózek i przykładam palec do ust, chcąc nakazać Benowi, żeby był cicho, ale on jest niezadowolony i raz za razem próbuje uderzyć mnie w twarz.

- Mamo, posłuchaj, naprawdę nie mam czasu. Czy jest coś...

- Więc kiedy jest przyjęcie? - pyta mama, wyraźnie zirytowana, że zmusiłam ją do ujawnienia prawdziwej przyczyny wykonania telefonu.

Wsadzam Bena do wózka.

- Przyjęcie? Hm. Cóż, nie zastanawiałam się nad tym, mamo - kłamię. Szczerze mówiąc, nie myślę o niczym innym, od kiedy zostałam sprowokowana przez Żmije, ale za żadne skarby nie mogę zaprosić nikogo z rodziny. Gości zrobiłoby się o wiele za dużo jak na możliwości naszego mieszkania, a jest już za późno, żeby myśleć o wynajęciu jakiegoś lokalu.

Poza tym pieniędzy mamy w tej chwili mniej więcej tyle, że wystarczy najwyżej na wypożyczenie filmu na DVD. To przez to, że Jack kupił mi ten wisior. Było mi wtedy strasznie głupio, że w niego zwątpiłam i myślałam, że zapomniał o naszej rocznicy. Czułam się podle, jak niewierny Tomasz, tak że następnego dnia przetrząsnęłam całe mieszkanie, aż znalazłam rachunek za biżuterię i sprawdziłam cenę (wiem, tak się nie robi). Chyba chciałam stłumić poczucie winy, ale rachunek tylko potwierdził, że Jack zaszalał i w prawdziwie romantycznym geście kupił mi taki prezent, żebym na pewno była nim zachwycona. Delikatny, ale niewątpliwie kosztowny łańcuch w rodzaju tych, jakie dostają bogate dziewczynki (na przykład Camilla). Kocham Jacka za to, że to zrobił (wciąż mam to cacko na sobie), ale teraz na koncie zostały jakieś nędzne grosze, a ponieważ byłam tak niesprawiedliwa co do naszej rocznicy, nie miałam odwagi zawiadomić go, że

zaprosiłam wszystkie Żmije z mężami i dziećmi na urodziny Bena. Jeśli jeszcze do tego zaproszę mamę, on oszaleje. Mama nabiera powietrza, rozważając okropność moich słów.

- Ależ musisz urządzić przyjęcie, kochanie. Pomyśl o tym dziecku.

To dziecko. Zawsze tak mówi. Nie „twój syn” czy „mój wnuk”, czy nawet po imieniu. Nie, w ważnych rozmowach, gdzie potrzebuje podnieść status Bena, a obniżyć mój, on jest „tym dzieckiem”. Może gdybym mieszkała nie w Londynie, tylko w Galilei i była Matką Boską, przyzwyczaiłabym się, że ludzie mówią o moim synu „to dziecko”. Ale w tej sytuacji strasznie mnie to denerwuje.

- M y ś l ę o Benie, mamó - podkreślam dobitnie. - Myślę o tym, że on ma dwa lata i że mieszkamy w małej dziupli, a on i tak nie będzie tego pamiętał...

- Jak możesz w ogóle tak mówić? - przerywa. - O c z y - w i ś c i e, że będzie pamiętał. To znaczy, może nie w sensie fizycznym, ale emocjonalnym... podobno obchodzenie urodzin w gronie najbliższej rodziny dziecka ma ogromny wpływ...

Mówi to w taki sposób, jakby właśnie cytowała podręcznik dla rodziców - jakiego ja nigdy sobie nie sprawiłam, za to ona ma ich całą półkę, bo stale je kupuje od narodzin Bena.

Próbuję przypiąć synka szelkami do wózka, ale on nie chce o tym słyszeć. Wydaje z siebie cichy pomruk, a policzki robią mu się czerwone.

- Proszę - syczę do niego przez zaciśnięte zęby. Tylko nie to. Nie dzisiaj. Przytrzymuję go ramieniem, twarz mi tężeje. Nachylam się nad nim nisko.

- Nie ruszaj się z wózka - grożę. - Bo inaczej...

Ale jest już za późno. Błyska czerwona lampka. Ben uznał, że warunki sprzyjają pełnoobjawowemu napadowi złości.

Głodny. Raz. Zmęczony. Dwa. Przystanek pełen znudzonych gapiów, niemających nic lepszego do roboty, jak przyglądać się atakowi hysterii. Trzy. Matka zdenerwowana. Cztery. Co więcej, matka rozmawia z babcią. Pięć...

Ben wygina się gwałtownie do tyłu. Wyrzuca rękę z całej siły do przodu i wali mnie w nos prawym sierpowym, którego nie powstydziliby się Mike Tyson.

- Nie! Wózek nie! WÓZEK NIE!!! - wrzeszczy, miotając się.

- Mamo... mammo... mogę oddzwonić później? - pytam uprzejmie, starając się zachować spokój, choć trzymam się za nos. W głowie mi wiruje. Patrzę na rękę. Jest krew.

Nie do wiary, mama wciąż nawija.

- Mam każde z twoich urodzin w albumie z fotografiami

- ciągnie, jakby w ogóle nie słyszała, co do niej mówię.

- Mogę ci przynieść. Twoje drugie urodziny były wspaniałe. Przyszli Alice i Richard, i cała stara paczka.

Ona uważa, że to wystawia jej laurkę jako matce. Gdyby miała choć jedną uncję matczynej intuicji, wyczułaby, że właśnie przechodzę kryzys i przestałaby się bawić w „kto jest lepszą matką”.

Ben wciąż się rzuca. Wrzeszczy tak głośno i szarpie się tak mocno, że jakiś rowerzysta zatrzymuje się, żeby mu się przyjrzeć, a potem rozgląda się, czy nie widać ukrytej kamery. Tak jakby to był jakiś chwyt reklamowy.

Dlaczego, mimo że tyle lat harowałam w szkole, gromadząc tony nieprzydatnej, niepraktycznej wiedzy - jak przeprowadzić sekcję dżdżownicy, jak zapytać po niemiecku, gdzie jest najbliższy parking (*Wo ist das Parkplatz, bitte?*), jak opanować Word Perfect, jak posługiwać się klawiszami logarytmicznymi na kalkulatorze - nikt nie nauczył mnie, jak poradzić sobie z maluchem, który ma napad hysterii?

Czuję, jak wzrok gapiów na przystanku wwierca mi się w plecy. Czekają na koniec sceny.

Ale skąd, do cholery, mam wiedzieć, co robić?

Okay, w i e m, że powinnam przejąć kontrolę nad sytuacją. W końcu to mój syn. Ale jeśli go podniosę, najprawdopodobniej zada mi cios głową, a wystarczy mi jedna kontuzja. Jeśli pozwolę mu wyjść z wózka, najprawdopodobniej zacznie walić głową w chodnik.

Ale co to w ogóle za pomysł? Nie mogę go podnieść ani pozwolić mu wyjść z wózka. On ma prawie dwa lata. Jeśli pozwolę mu wygrać, już po mnie. Uzna, że jestem słaba, że to on jest górą, i zanim się obejrzę, będzie miał czternaście lat, zacznie się urywać ze szkoły, posuwać swoją dziewczynę, nie wracać do domu, włóczyć się po klubach i prowadzić po pijanemu motorower. Wiem, bo sama to przerabiałam.

Więc nie ulegnę mu. Nie ma mowy.

Przyciskam go do wózka i znów próbuję zapiąć szelki.

Ale trzymanie się własnych zasad jest strasznie trudne. Jestem obrażana słownie i fizycznie. Na forum publicznym. Czy nie powinien się tu natychmiast zjawić wysłannik pokojowy ONZ? Z rozpaczą odwracam się do tłumu, ale wszyscy się tylko na mnie gapią. To jasne, że nikt nie ma najmniejszego zamiaru mi pomóc.

Z desperacją patrzę w niebo. Może jakiś helikopter z drabinką ratowniczą?

- To jak będzie? - Mama czeka na odpowiedź.

Muszę jakoś poradzić sobie z kryzysem. Po prostu za słaba jestem, żeby znieść atak dwóch pokoleń naraz. Choć nienawidzę siebie za to i wiem, że będę tego żałować, podejmuję nagłą decyzję o potencjalnych długoterminowych konsekwencjach. Ulegam mojej matce.

- Okay, okay, okay, to przyjdź w niedzielę. Zrobię małe przyjęcie - warczę na nią, kuląc się wewnątrz z powodu własnej słabości. - Muszę już kończyć, chyba mi się rozładowuje... - Przyciskam klawisz i odłączam ją.

Wrzucam telefon do torebki i koncentruję się na Benie. Dociskam go, zmuszając się, żeby nie zakląć. I... ha! W końcu zapinam paski szelek.

Ignorując jego przeraźliwie wściekłe wrzaski, ruszam stanowczym krokiem z przystanku. Chrzanić autobus.

- Biedne maleństwo - mówi jakaś pani, gdy mijam przystanek. Zagląda do wózka, a potem patrzy na mnie. - On jest pewnie po prostu głodny, skarbie.

Coś podobnego. Któż to się pojawia dokładnie wtedy, gdy go nie potrzebujesz? Autentyczny WSB (Wścibski Stary Babsztyl). Typowe.

WSB spotyka się na każdym kroku. Byłam naprawdę zszokowana, gdy odkryłam ich istnienie, ponieważ jestem kobietą, a nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby udzielać niechcianych, lekko krytycznych rad nieznajomej osobie, która jest wyraźnie zestresowana. Tego się po prostu nie robi. To wbrew wszelkim kodeksom etykiety.

No chyba, że jest się WSB. WSB to gatunek sam w sobie. A młode matki są dla nich łatwym łupem. Zawsze cię wyśledzą i wybiorą na zadanie ciosu moment, gdy nie możesz się bronić. „Czy pani ma zamiar nakarmić to dziecko?” (dział nabiałowy w Tesco, gdy Ben miał dwa tygodnie i zapowietrzał się z wściekłości). „Jemu jest za gorąco, przegrzeje się. Dlatego się denerwuje” (gdy utknęliśmy w metrze, w południe, w czasie fali upałów). Mogłabym jeszcze długo wymieniać...

Ale złotą zasadą radzenia sobie z WSB jest nigdy nie zaczynać z nimi rozmowy. Ponieważ one naprawdę myślą, że wiedzą o twoim dziecku więcej niż ty.

„Spadaj, wiedźmo”, rzucam w myśli, mijając ją szybkim krokiem, ale wiem, że nadal ciąży na mnie klątwa WSB. Czuję się podle i jestem przygnębiona.

Na to jest tylko jedna rada: zastrzyk glukozy.

Nurkuję do najbliższego sklepu i kupuję sobie czekoladowy batonik. Na opakowaniu jest informacja o konkursie: „Wygraj podróż i zakupy w Nowym Jorku”. Taaa. Jasne. Jakby to faktycznie mogło się zdarzyć.

Jednak przystaję na ulicy i czytam szczegóły. Ben usnął. Wpycham baton do ust i już mam ruszać dalej, gdy dzwoni moja komórka.

To Alex Murray, producent programu Jessie Kay w Radio CapitalChat. Jestem tak zmieszana, że przez dobrą chwilę nie rozumiem, co mówi. Wygląda na to, że moje poranne wystąpienie w radiu wywołało spory odzew wśród dzwoniących.

Wszystkie kobiety zgadzają się ze mną. A teraz Jessie Kay uważa, że to ja jestem gwoździem programu. I chce, żebym zadzwoniła znowu. Ha!

Widzisz, Jack, myślę, wycierając krew z nosa wierzchem pieluchy, nie jestem tylko znudzoną gospodynią domową ani wariatką.

Jestem mimo wszystko kimś.

Egzorcyzm Amy Rossiter

Przełączam radio z powrotem z CapitalChat na XFM, zdejmuję marynarkę, przeciągam się i ziewam. Jest sobota rano, właśnie minęła jedenasta i dałbym wszystko, żeby jeszcze poleżeć w łóżku.

Za kuchennym oknem ciepłe słońce przesącza się przez liście eukaliptusa. Pokrywa cętkami nasz ogródek w kształcie tosta, i o podobnym rozmiarze.

Delikatne żółte kwiatki jaśminu błyszczą jak na Boże Narodzenie światełka wzdłuż tylnego muru ogrodu pokrytego bluszczem. Ze zniszczonego drewnianego bocznego płotu zwisa watą cukrową białych kwiatków wiciokrzew, a róże, które zasadziłem w zeszłym roku na urodziny Amy, są w pełnym rozkwicie i lśnią, bo je wcześniej podlałem.

Chyba dobry dzień na grilla, którego zaplanowała Amy. Prawie żałuję, że nie zaprosiłem paru swoich znajomych.

Problem w tym, że większość z nich (jak Ug, Chas i Mikey) jeszcze nie ma dzieci, więc kinderbale nadal są wysoko na ich liście „straszliwych obciachów” (prawdopodobnie tak samo jak wstawanie w weekend przed lunchem, spędzanie piątkowego wieczoru w domu czy słuchanie Jamesa Blunta).

A jeśli chodzi o tych moich znajomych, którzy mają dzieci... ich też nie byłoby fair zapraszać. Przede wszystkim, na pewno sami są zmęczeni dziećmi, a po drugie, żaden z nich już nie mieszka w okolicy. Założywszy rodziny, rozpierzchli się po całym kraju, jak ludzie w czasie wojny.

Zostali zmuszeni do wstąpienia w szeregi nowych plemion, w bezpieczniejszych dzielnicach, z czystszyimi ulicami i lepszymi szkołami.

- Tata, patrz...

Odwracam się i widzę, że mały jubilat, który siedzi w swoim krzeselku przy kuchennym stole, rozsmarowuje sobie po całej buzi pastę marmite. Całuję go w czoło, a on wśród chichotów wymawia moje imię.

- Co t o jest? - chce wiedzieć Amy, wchodząc do kuchni i patrząc na dwie torby z Sainsbury's, które właśnie rzuciłem na stół.

Ma na sobie dżinsy, sandały bez palców i luźny zielony top. Jest rozczochrana i seksowna, jak zawsze rano, zanim jeszcze zdąży wziąć prysznic i ułożyć włosy.

A może to po prostu stres.

- Zakupy - odpowiadam.

- A gdzie reszta?

- Piwo jest w samochodzie. Wziąłem dodatkową zgrzew-kę. I trochę wódki. Wiesz, na wszelki wypadek... - Na wypadek, gdyby przyjęcie urodzinowe Bena okazało się fajne, to mam na myśli. A jest na to taka sama szansa, jak że do zabawiania maluchów zgłoszą się osobiście Jim Carrey i Mike Myers. A jednak, nigdy nic nie wiadomo...

- Pytam, gdzie reszta jedzenia?

- Nie ma żadnej reszty. To wszystko.

- Ale... - Zaczyna przetrząsać torby, jakby była urzędniczką kontroli celnej na lotnisku Heathrow i właśnie dostała cynk. - A gdzie organiczny kurczak? - pyta stanowczo. - A miód manuka? A oliwki Belazu i paluszki z sezamem? Gdzie guacamole i haloumi? I... i wszystko inne, co było na liście, którą ci dałam?

Wpatruje się we mnie ze złością, jakbym to ja, a nie ona, nagle zaczął mówić językiem Marsjan.

- A, to - mówię. - Nie kupiłem nic z tych rzeczy.

- Co?

- Doszedłem do wniosku, że to gruba przesada.

- Gruba przesada? Ty doszedłeś do wniosku? T y, który włożyłeś tyle wysiłku w zorganizowanie tego przyjęcia...

- Och, daj spokój. Mamy mnóstwo mięsa na grill, które właśnie się rozmraża, a większość rzeczy z tej listy i tak by wylądowała w koszu na śmiecie. To by było straszne marnotrawstwo.

Amy nie odpowiada. A przynajmniej nie słowami. Zamiast tego warczy. A ten warkot, który mógłby wydać z siebie rottweiler, gdyby ktoś chciał mu zabrać ulubioną kość, przestrzega: „Spadaj, koleś, bo inaczej będziesz kulał do końca życia”.

Patrzę z konsternacją, jak Amy wydziera mi trzy kartony mleka i wpycha je do lodówki, niczym pociski artyleryjskie do armaty.

Już mam jej zwrócić uwagę, że jej aktualny poziom gniewu (siedem przecinek dziewięć na skali Amy-Richtera) stanowi kompletnie niewspółmierną reakcję na moją całkowicie uzasadnioną racjonalizację jej nadmiernie ambitnego planu zakupów, gdy nagle przychodzi mi na myśl inna możliwość.

- Ile osób zaprosiłaś? - pytam.

- Już ci mówiłam: kilka.

- Ile?

Trzaska drzwiami lodówki i staje ze mną twarzą w twarz.

- Trzydzieści.

- Trzydzieści? - wykrztuszam z siebie. - Przecież my nawet nie znamy trzydziestu osób!

- Ben zna.

Gapię się na nią, zdumiony tym, że życie towarzyskie mojego dwuletniego syna najwyraźniej przyćmiło moje.

- Wymień ich - żądam.

Recytuje listę nazwisk, a ja zaczynam jęczeć jak astmatyk, który właśnie ma atak.

To jest jak karykatura programu „Oto twoje życie”. Zamiast zobaczyć paradę ulubionych osób z mojej przeszłości (z których każda trzyma w zanadrzu jakąś wazeliniarską i dowcipną anegdotkę, potwierdzającą fakt, że jestem wspaniały),

mam gościć panteon tępaków, nudziarzy i przypadkowych znajomych (z których większość nawet nie pamięta mojego imienia).

Ale Amy wydaje się całkowicie nieświadoma mojego dyskomfortu. Ignorując mnie, przechodzi obok i z hałasem wysypuje zawartość pierwszej torby na stół.

Gapi się na wyrzucone z niej rzeczy tak jak spanikowany lekarz wojskowy-nowicjusz na pierwszą ofiarę bitwy w stanie krytycznym.

„Dlaczego ja?“, zdaje się mówić jej spojrzenie. „Dlaczego teraz? Nigdy nie chciałam być lekarzem. Nigdy nie chciałam iść na wojnę“.

Wnętrznosci torby z Sainsbury's kryją następujące rzeczy: paczkę różnych chipsów, niebieskie galaretki, wielką pakę różowych pianek żelowych, osiem torebek toffi, ciasto biszkoptowe w różowo-żółtą szachownicę i przecenioną puszkę herbatników bożonarodzeniowych z nieudanymi wizerunkami postaci z kreskówek na pokrywie.

Diagnoza Amy brzmi:

- Tu jest dość tłuszczów nasyconych, by zatopić lotniskowiec.

Ale jestem na to przygotowany. Wysypuję zawartość drugiej torby i pokazuję dwie marchewki i jabłko, które przewidująco kupiłem.

- Myślałem, że moglibyśmy z nich zrobić patyczki? - sugeruję uczynnie. - Wiesz, takie pałeczki...

Amy łapie ogromną torbę solonych orzeszków i podnosi ją tak, jak Poirot mógłby trzymać naładowany pistolet.

- Co ci się w tym nie podoba? - pytam.

- Nie można serwować orzeszków na przyjęciu dla dzieci, Jack. Nie wiesz, co to jest wstrząs anafilaktyczny?

- Ta kapela punkowa? - ryzykuję.

Wydaje jęk i chwytą torcik z kolorowymi cukierczkami na wierzchu, który nagle nie wygląda na taki duży ani taki elegancki, jak na półce w supermarkecie. Zaczyna rozdzierać brązowe, poplamione lukrem opakowanie, ale nagle nieruchomieje. Ramiona jej opadają. Patrzy żałośnie na stół.

- Nie jestem Chrystusem, Jack - jęczy. - Jak mam ich wszystkich tym nakarmić?

- Gdybyś mi wcześniej powiedziała prawdę o tym, ile przyjdzie osób...

- Tylko byś się rozzłościł - krzyczy, trzymając się stołu, jakby była na statku w czasie sztormu. - O, już się złościysz.

J a się złościę? To ona wygląda, jakby była na castingu do filmu *Egzorcyzmy Emily Rose*. Patrzę na jej uszy, czy nie ma tam śladów krwi lub kłębow pary, ale wtedy jej twarz wykrzywia się w grymasie cierpienia i zaczyna mi być jej żal.

- O Boże - lamentuje - moja matka pomyśli, że jestem już całkiem do niczego...

Współczucie wyparowuje ze mnie jak kropelka wody na słońcu. Teraz moja kolej na dramatyczne przedstawienie.

- Zaraz, zaraz. - Wyciągam rękę jak glina zatrzymujący ruch uliczny. - Twoja matka? Twoja matka ma tu przyjść?

- Tak.

- Dzisiaj?

- Nie, Jack, w przyszłym tysiącleciu, do cholery.

- Ha. Wtedy to pewnie dopiero od nas wyjdzie.

- Przychodzi tylko na godzinkę.

- Godzinkę - zgadza się Ben.

- Ostatnio, gdy mówiła to samo, wyszła od nas trzy dni później - przypominam jej.

Okay, przerwa. Wiem. Teściowa Katastrofa (TK). Oczywiście, że to trochę banał, ale nie ma dymu bez ognia. A TK naprawdę istnieją. Wiem, bo sam mam taką. Podstępnie weszła w moje życie wkrótce po tym, jak ja podstępnie znalazłem drogę do majtek jej córki. I od tej pory go nie opuściła.

- Tu nie chodzi o ciebie, Jack - narzeka Amy. - To nie twoje przyjęcie. Tu chodzi o Bena.

- Bena - powtarza Ben, jakby akcentując ten punkt. Ale ja nie zamierzam odpierać jej argumentów i mam już

dość bycia obwinianym. Wstałem o siódmej. Zrobiłem zakupy. Zgodziłem się na tego grilla. Jestem tu, nie? Cholera, robię, co do mnie należy.

- Nie - nagle robię się bardziej agresywny niż pirania, która ma okres - tu chodzi o c i e b i e. O to, żebyś się pokazała przed swoimi znajomymi i swoją matką... O to, żebyś mogła powiedzieć: „Spójrzcie na mnie. Czyż nie jestem supermamuśką?”.

Ben zaczyna płakać.

- Popatrz, co zrobiłeś! Popatrz, co zrobiłaś! - Amy i ja besztamy się zgodnym chórem i oboje rzucamy się w kierunku naszego syna, każde pragnąc zaznaczyć swoją wyższość moralną.

Niestety, Amy dopada go pierwsza. Łapie Bena triumfalnie, całuje go gwałtownie po buzi, a potem przyciska mocno i melodramatycznie do piersi, jakby była słodką małą Nancy próbującą chronić Olivera Twista przed krwiożerczymi szponami wstrętnego Billa Sikesa.

- Okropny tatuś - mówi do Bena - żeby tak dziecko przestraszyć.

- Brzydka mamusia - odcinam się - cały czas krzyczy.

- Kretyn - syczy Amy.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć czymś podobnym (zastanawiam się, czy wybrać „jędzę”, „małpę” czy „zołzę”), ale zaraz je zamykam, ponieważ oto otwiera się przede mną szeroko droga do udowodnienia swej wyższości moralnej. J a nie zniżam się do małostkowych wulgaryzmów. J a potrafię wznieść się ponad to.

- Nie nazywaj mnie tak przy nim - rzucam. - Przepróż. I to zaraz.

Ale moja dzielna obrona dobrych manier i starych dobrych wartości rodzinnych nie robi na Amy wrażenia.

- Odpieprz się! - krzyczy, a potem wypada z kuchni na korytarz jak nastolatka z zachwianą równowagą hormonalną.

- Super - wołam za nią. - Idź sobie. To rozwiąże wszystkie problemy.

- Nie, Jack, to nie rozwiąże - wybucha - ale pójdźcie do sklepu na rogu, tak. I kupienie wszystkiego, co t y miałeś kupić.

Właśnie gdy Amy sięga do klamki, chcąc otworzyć drzwi, rozlega się dzwonek. Amy zastyga w bezruchu.

- Kto to? - pyta, nagle patrząc na mnie. - Goście mają być dopiero za godzinę.

Zakładam ręce na piersi i uśmiecham się.

- Hm, to ciekawe...

Oczy Amy błyskają groźnie.

- Nie wiesz, czy to ona.

Och, wiem. Z taką pewnością, z jaką Harry Potter wyczuwa zbliżanie się dementora, który nadchodzi, by wyssać z niego radość życia...

Idę za Amy, która otwiera frontowe drzwi naszego mieszkania. Gdy wyglądamy na krótki, wyłożony kafelkami wspólny korytarz, oboje widzimy, że miałem rację.

Po drugiej stronie witrażowych drzwi widać wyraźnie sylwetkę kobiety o wielkiej fryzurze. Jest tylko pięć możliwości: Marge Simpson, Dusty Springfield, jedna z tych dwóch lasek z zespołu B52 albo... mama Amy.

Z drogi, dawco spermy

- Cholera - rzuca Amy. - Zagadaj ją, dobrze, Jack? Nie może zobaczyć tego opakowania po torcie. Będzie wiedziała, że go nie zrobiłam sama.

A więc teraz potrzebuje sojusznika...

Choć może to brzmi lekko paranoicznie, panika Amy jest uzasadniona. Jej matka, Jan, jest prefeministycznym tworem z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Autentycznie wierzy, że każda kobieta warta, żeby nosić takie miano, winna być w stanie zrobić na drutach szalik, wyprasować koszulę, wydoić krowę i, co najważniejsze, upiec i polukrować biszkopt.

Natomiast każda kobieta, której nie udaje się sprostać tym wydumanym standardom, jest narażona na pełne dezaprobaty cmokanie ze strony Jan, niezależnie od innych wielkich osiągnięć życiowych.

Byłem kiedyś świadkiem komentarza Jan po przeczytaniu artykułu na temat Andrei Dworkin¹: „Trudno się dziwić, że z taką postawą i takim gustem w kwestii ubioru wciąż jest sama”.

Spanikowana Amy stawia Bena na podłodze i próbuje wcisnąć się między mnie a Piekielny Wózek, żeby dostać się do kuchni.

Ale ja jestem jak Prometeusz. Nie ruszam się z miejsca na krok.

- Przesuń się.

- Co się mówi?

- Co?!

- Słyszałaś.

- Proszę - syczy, przyciskając się do mnie i próbując, bez powodzenia, utorować sobie drogę.

Dzwonek znów dzwoni, ale ja nadal jestem niewzruszony.

- Chodzi mi o inne magiczne słówko - oświadczam. - To, którego się używa, gdy się żałuje, że nazwało się kogoś kretyńcem przy jego synu.

W odpowiedzi na moją niebezpodstawną prośbę Amy mruczy coś, czego nie dosłyszałyby nawet nietoperz z aparatem słuchowym.

- Nie rozumiem.

- Powiedziałam przam - warczy Amy przez zaciśnięte zęby.

- Przam? - pytam, przenosząc uwagę na Bena, który stoi za nią z kciukiem w buzi. - Nie jestem pewien, czy wiem, co znaczy „przam”. Nie jestem nawet pewien, czy istnieje takie słowo. A ty, Ben? Czy kiedykolwiek słyszałeś to dziwne słówko?

- Kto drzwi, tata? - pyta Ben, bo dzwonek rozlega się po raz trzeci.

Amy wreszcie podnosi na mnie wzrok.

- Przepraszam - wyrzuca z siebie. Uśmiecham się dobrodusznie.

¹ **Andrea Dworkin - radykalna feministka amerykańska.**

- No widzisz. To nie było takie trudne, prawda?

Gdy w końcu się odsuwam, żeby ją przepuścić, jest zbyt wściekła, by mi odpowiedzieć. A jednak udaje jej się syknąć jedno słowo.

- Menda.

Nie mam czasu zastanowić się nad faktem, że pierwszy raz któreś z nas zwraca się do drugiego w ten sposób. Nie mam też czasu odpowiedzieć jakąś inwektywą (no i nie wiedziałbym, czym przebić „mendę”. Zgaduję, że musiałby to być co najmniej poziom „skurwysyna”).

Dzwonek rozlega się znowu i dzwoni teraz bez przerwy, jakby ten, kto stoi na zewnątrz, umarł z nudów i opadł bezwładnie na przycisk.

Ale gdy otwieram drzwi frontowe, widzę, że moja teściowa ma się bardzo dobrze, czuć ją delikatnie jakimś detergentem i jak zawsze głośno żuje miętową tabletkę zobojętniającą kwasy, tak jak Clint Eastwood zwykł był ssać obcięte na obu końcach cygaro.

- Cześć, Jan! - wołam. - Jak miło, że przyszedłeś. Oczywiście, biorąc pod uwagę jej reakcję, równie dobrze

mogłem powiedzieć: „Hej, Jan, pokaż majtki!”.

Bo reakcji nie ma żadnej. Bo Jan nie słucha. W każdym razie, nie mnie. Bo dla niej jestem przezroczysty.

Uśmiecham się krzywo, a ona patrzy gdzieś obok mnie, jakbym był wyjątkowo nieciekawym meblem. Podobnie jak brak powitania, jest to forma obelgi, do której przyzwyczajam się, od czasu gdy Jan po raz pierwszy odtrąciła mnie, jak profesjonalny zapaśnik, w drzwiach oddziału położniczego.

Jej konsekwentną postawę wobec mnie od chwili narodzin jej jedyne wnuka można podsumować w ten sposób:

„Z drogi, dawco spermy. Twoja rola skończona. Mamy twoje DNA i nie przewidujemy cię do innych zadań. Na razie...”.

Inaczej mówiąc, Jan nie przysłała do mnie. Nie jestem nawet pewien, czy ona w ogóle mnie widzi, tak marginalny stałem się w jej planach.

Może to nawet jest choroba, zastanawiam się. Być może *ślepotus zolzum antipaticum*.

Jej oczy penetrują teren wokół mnie jak system namierzania pocisków helikoptera Apacz, wreszcie zatrzymują się na Benie.

Niczym Gollum z *Władcy Pierścieni*, Jan dostrzega wyłącznie swój Skarb, znany również jako mój syn, i dopiero na jego widok się uśmiecha.

- Jest mój śliczny chłopczyk - grucha, przepychając się obok mnie i kucając przy Benie, a jej twarz przybiera ten skrzywiony wyraz pod tytułem „pójdź, dziecię, i ucałuj moje wąsate usta”, który babcie mają opanowany do perfekcji.

Szkoła dla babć i dziadków

Czasem się zastanawiam, czy istnieje jakaś szkoła, do której zapisują się babcie i dziadkowie w chwili, gdy odkrywają, że ich potomstwo będzie mieć własne potomstwo.

Lekcje, w których należałoby uczestniczyć w miesiącach poprzedzających narodziny wnuka, mogłyby wyglądać tak:

LEKCJA PIERWSZA: *Jak wywęszyć kupę*. Popularny sposób okazywania *nieufności*, używany przez dziadków do wzmocnienia własnego autorytetu, a polegający na podważaniu umiejętności wychowawczych ich dzieci. Początkujący dziadek/babcia uczy się różnych metod wykrywania zafajdanej pieluchy, od prostego, lecz skutecznego *zmarszczenia nosa*, przez o niebo bardziej dramatyczny *krótki niuch plus torsje*, do ekstremalnego *wsadzenia nosa i wężania*.

LEKCJA DRUGA: *Siedzenie*. Staroświecka metoda polegająca na tym, że dziadkowie nigdy nie spuszczają wnucząt z oka, zapewniając częstą krytykę i udzielając licznych porad, ale nigdy żadnej formy praktycznej pomocy.

LEKCJA TRZECIA: *Powtarzanie dawno skompromitowanych porad wychowawczych z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku, jak na przykład: „To dziecko trzeba podtuczyć”, „Łyk whisky w twojej odżywce zawsze cię świetnie usypiał” czy „Dawaliśmy ci klapsy, aż tyłek był w siniakach, i jakoś ci to nie zaszkodziło”.*

LEKCJA CZWARTA: *Podkreślanie wyższości własnych genów, czyli każdą atrakcyjną cechę biologiczną, którą odznacza się dziecko (ładne oczy czy zgrabny nosek), należy natychmiast przypisać wyższości własnych genów. I na odwrót, wszelkie mniej atrakcyjne cechy (trzy sutki itp.) trzeba natychmiast zwalić na genetycznie mętne wody małżonka-nicponia.*

Wiem jedno: gdyby istniało coś takiego jak szkoła dla babć i dziadków, Jan na pewno dostałaby dyplom z wyróżnieniem.

Dziwny przypadek ni** dzienną porą**

Jednak nie jest tak źle. Gdy Jan macha rękami wokół mojego krocza, usiłując złapać Bena, który nagle się zawstydził i stara się bez powodzenia umknąć przed uściskiem Cruelli de Mon, przyciskając się do mojej nogi jak napalony pies, z ulgą dostrzegam nieobecność większej torby z ubraniami czy wręcz broszury z agencji nieruchomości, oferującej dom w sąsiedztwie (moja największa obawa).

- Chodź do babci - ćwierka Jan. Ściąga usta i odcina ofierze odwrót.

Ale Ben nie ma zamiaru tego znosić. Już wie, jak łaskocze ten wąsik.

Poza tym jest chłopcem. A mama Amy, od piętnastu lat zgorzkniała rozwódka, zapomniała już, jak się obchodzić z chłopcami. Im więcej okazuje się nam uczucia, tym mniej przeważnie dajemy w zamian.

Ben pryca na nią, a Jan piorunuje mnie spojrzeniem, jakbym w jakiś sposób był winny jego reakcji.

- Popatrz, kto przyszedł - zwracam się do Bena tym sztucznym śpiewnym głosem, który rodzice rezerwują wyłącznie dla dzieci w obecności teściów. - Tak, to babcia. Co się mówi do babci?

Ben uśmiecha się do mnie szeroko.

- Menda - rzuca.

Czas zwalnia swój bieg. Zrywa się wicher. Gdzieś w oddali samotny wilk wyje do księżycyca.

No to pięknie. Ze wszystkich słów, akurat to. Jedna z niewielu inwektyw, która bankowo gwarantuje obrazę. Zwłaszcza wypowiedziana przez dwulatka. W jego urodziny. Do kochanej babci.

- Mięta. Mięta. Mięta - nucę, próbując ratować sytuację i uśmiecham się głupio do Jan, jakby absolutnie nic się nie stało.

Ale mój plan odwrócenia uwagi Bena przynosi drastycznie odwrotny skutek, ponieważ on odśpiewuje mi:

- Menda-menda-menda-mend...

Patrzę na mego syna z przerażeniem. Nie potrafi nawet wypowiedzieć wyraźnie własnego imienia, a jakimś cudem udaje mu się wymówić ten wybrany element słownictwa z całą powagą i dykcją telewizyjnego spikera.

Oczy Jan utkwione są we mnie. Znów widzę to spojrzenie -jedyne, którym mnie ostatnio zaszczyca - spojrzenie, które mówi: „Cóż, nietrudno zgadnąć, po kim on to ma”.

Właśnie wtedy, z policzkami płonącymi ze wstydu, spostrzegam Amy stojącą w drzwiach kuchni, i oboje wybuchamy śmiechem.

Ta ostatnia scena, oczywiście, rozgrywa się tylko w mojej wyobraźni.

Amy i ja nie wybuchamy niepowstrzymanym śmiechem. Chciałbym, żeby tak było. Podobnie jak życzyłbym sobie, żebyśmy z Amy nadal okazywali solidarność w obliczu cholernego krytykanctwa jej matki, żebyśmy umieli jej powie-

dzieć - niech da sobie siana i spada. Tak jak chciałbym, żeby właśnie teraz zadzwonił telefon i żeby to był Bill Gates, który mi powie, że ma dość bycia najbogatszym człowiekiem wszechświata, że właśnie wybrał moje nazwisko na chybił--trafił ze światowej książki telefonicznej i chce się ze mną zamienić na życie - a co najważniejsze, na konta w banku.

Ale, jak mówię, to dzieje się w mojej wyobraźni.

W rzeczywistości Jan zwraca się do mnie:

- Powinieneś się wstydzić - po czym łapie Bena z podłogi i tuli opiekuńczo w ramionach, dokładnie w ten sam sposób, w jaki zrobiła to Amy w kuchni niecałe dwie minuty temu.

Piorunuję ją wzrokiem, gdy idzie za Amy do kuchni. Myślę sobie, stojąc tam jak wyrzutek w moim własnym korytarzu: „Taaa, i nietrudno zgadnąć, po kim Amy to ma.

Orgazm Sharon Stone

Nie wiem, kiedy nastąpił ten *comeback* konfliktu płci. Nie wiem, co wywołało to przesunięcie tektoniczne, które na powrót rozdzieliło nas, mężczyzn i kobiety.

Oczywiście, w podstawówce istniała wielka przepaść, której nie chciałem przekroczyć, więc przyjaźniłem się tylko z chłopakami i unikałem towarzystwa dziewczyn z racji tego, że plotkowały, były słabe i nie potrafiły dobrze rzucać piłką.

Ale potem wszedłem w okres dojrzewania i zacząłem patrzeć na kobiety bardziej przychylnym okiem. Do tego stopnia, że będąc nastolatkiem i dwudziestolatkiem, cały czas podlizywałem się im i próbowałem udowodnić, że my, chłopcy, tak bardzo nie różnimy się od nich. Pracowałem nad umiejętnością słuchania. I nad wrażliwością i wdziękiem. Stałem się ramieniem, na którym można się było wypłakać. I ręką, którą można było potrzymać.

Nawet sam w to uwierzyłem. Grałem po pracy w softball i udawałem, że umiejętność rzucania prosto tak naprawdę

wcale nie ma znaczenia. Przestałem mówić o samochodach i piłce nożnej i wszystkich innych bzdurach, które uchodzą za domenę mężczyzn. Zamiast tego zacząłem opowiadać o ludziach i o tym, co nimi powoduje.

Opłaciło się. Ponieważ rozpracowałem też, co kieruje dziewczynami. I z wieloma się zaprzyjaźniłem. I z wieloma z nich, co było wówczas równie ważne, także chodziłem.

A dziś, na przyjęciu, obsługuję grill na końcu ogrodu, w centrum grupy czysto męskiej, natomiast wszystkie kobiety jak kwoki skupiły się przy kuchni z dziećmiakami.

Równouprawnienie to to nie jest.

I ten nieustanny podział na mamusie i tatusiów. Staliśmy się jak ogień i woda. Przestaliśmy szukać ze sobą kontaktu, bo już tego nie potrzebujemy. Nie flirtujemy, bo nie jest to już konieczne. Ponieważ nasze najważniejsze decyzje co do płci przeciwnej już zostały podjęte. Ponieważ już znaleźliśmy partnerów i dokonaliśmy reprodukcji.

Więc zamiast udzielać się towarzysko, współczujemy sobie nawzajem w naszych spolaryzowanych obozach, mamusie z mamusiami, a tatusiowie z tatusiami. Zachowujemy się jak członkowie grup wsparcia. („Cześć, nazywam się Jack Rossi-ter i jestem... rodzicem...”).

Podajemy sobie skręty za plecami naszych dzieci, rozmawiając o tym, jak brakuje nam snu i porannego leniuchowania w łóżku, o wścibskich teściach i listach kandydatów do dobrych szkół, i o starych dobrych czasach, zawsze o starych dobrych czasach, o tym jak poznaliśmy nasze partnerki i o tych wszystkich szalonych rzeczach, które kiedyś robiliśmy, o naszych byłych dziewczynach i złych dawnych nawykach, tylko po to, żeby przypomnieć sobie nawzajem - i sobie samym - że nie zawsze byliśmy tacy nudni.

- Świetne steki - mówi, przeciągając samogłoski, Rory (mąż Sarah i ojciec Lepkiego Louisa - nosiciela permanentnego gila w lewej dziurce), który właśnie przeżuwa kanapkę jak gadająca krowa u Disneya.

Metroseksualny Ed (partner Sophie, ojciec Ripley) potwierdza kiwaniem głowy. Jest ubrany, jakby wrócił z fotoreportażu w śródmieściu Basry i ma na sobie okulary przeciwsłoneczne tak wielkie, jakby przyszedł na casting do remake'u Muchy. Od kiedy się pojawił, nie powiedział ani słowa. Mam wrażenie, że albo jest katatonicznie naćpany, albo po prostu *trop chic pour moi*.

- Dzięki - przyglądam się Rory'emu nieufnie. Miałem nieszczęście rozmawiać już z kiedyś z Chorym Rorym. Używam słowa „rozmawiać” w bardzo luźnym sensie, jako że Rory zwykle mówi do ludzi, zamiast słu chać choćby jednego ich słowa.

Mimo że jest sobota, a rok mamy 2006, a nie 1986, Rory ma na sobie niebieską marynarkę z mosiężnymi guzikami. I džinsy (wyprasowane, z kantami, naturalnie od Armaniego), które są dla niego o wiele za ciasne i w których ukrył najniższą część swojego brzucha, tak że wygląda, jakby miał przetokę.

Jeśli ubranie Rory'ego przesyła jakiś komunikat, zgaduję, że brzmi on: „Spójrzcie, jaki ze mnie ciul”.

- Organiczna czy zwykła? - pyta, unosząc w moim kierunku kapiącą od tłuszczu kanapkę z kiełbasą w taki sposób, że najchętniej przeszedłbym od razu na wegetarianizm.

„Człowiek czy Klingon?”, mam ochotę się odciąć, ale zamiast tego odpowiadam:

- Organiczna.

To, oczywiście, kłamstwo. Kiełbaski pochodzą z najciemniejszych zakątków zamrażarki w sklepiku na rogu. Z wielkiej przecenionej paki. Prawdopodobnie każda zawiera parę świńskich napletków - ta myśl niesamowicie mnie rozwesela, gdy obserwuję, jak Rory żuje.

- Od rzeźnika czy z targu? - pyta dalej Rory.

- Z targu - decyduję.

- W Borough czy w Queen's Park?

- W Queen's Park.

- Słyszałem, że masz tam stragan - mówi Geoff (mąż Camilli i ojciec Tyler a, który na pewno otrzymał imię po tym psycholu z filmu *Podziemny krąg*).

Masz, niby że na własność (a nie, że tam haruję). Mógłbym go wprowadzić z błędu, ale nie robię tego.

Geoff to blady, chudy facet, który robi coś przy kontraktach w BBC. (Jego obowiązki mogą równie dobrze sprowadzać się do ich zszywania, sądząc z tego, że dziś do tej pory wykazał dynamizm i osobowość małża).

- Zgadza się - odpowiadam.

Tak naprawdę, to wolałbym być tam teraz i orać w pocie czoła razem z moimi współniewolnikami z Greensleeves, Domem i Lee (albo „Tweedle-Domem” i „Tweedle-Lee”, jak sobie ich prywatnie ochrzciłem).

Ale jestem tutaj.

I bawię się jak cholera.

- Sam nigdy tam nie chodzę - mówi lekceważąco wysoki i tęgi chłopak z City, Danny (mąż Abby, ojciec Emily). - Nie chce mi się.

Nic dziwnego, myślę. Oczy ma przekrwione z braku snu i wygląda jak zombie. Od kiedy przyszedł, kołysze się niepewnie na piętach, co wywołuje u mnie podejrzenie, że albo potrzebuje leków, albo ma but ortopedyczny.

- Ja też nie - mówi Willbillphil. - Wolę pizzę.

Nigdy wcześniej nie spotkałem Willbillphila, ale wydaje się dość nieszkodliwy. Nie usłyszałem dobrze jego imienia, a jego partnerki i potomka też jeszcze nie zidentyfikowałem. Jeśli o mnie chodzi, może nawet ich nie mieć i po prostu być intruzem, głodnym sąsiadem, który, poczuwszy grill, wszedł na krzywy ryj, wspiał się przez ogrodzenie po trochę bezpłatnego żarcia.

I nieważne, czy to prawda, ponieważ jedyne, co mam wspólnego z pozostałymi obecnymi tu facetami, to zdrowa sperma. Wszyscy jesteśmy sobie obcy. I dzięki Bogu.

A największym „obcym” jest Rory.

- Na targu jest za dużo pieprzonych wyjących bachorów - narzeka. - Zostawiam to wszystko żonie. Zwłaszcza w weekendy. Szczerze mówiąc, wolę zostać w łóżku i pogrzać gruchę.

- Gruchę? - upewniam się, zastanawiając się, czemu ten człowiek, którego prawie nie znam, postanowił mi się z tego zwierzyć.

- No. Albo pooglądać piłę na starym Sky Plusie - rozmyśla głośno. - Zależy jak dużego mam kaca.

Geoff i Danny kiwają życzliwie głowami, jakby chcieli powiedzieć: „Tak, wszyscy to przerabialiśmy...”.

- Aha - mówię. I niestety, widzę to. Z najdrobniejszymi detalami we wspaniałym technicolorze. Widzę straszliwy obraz Rory'ego o purpurowej twarzy, zaciekle walącego konia przy... przy czym? Stronie internetowej? Starych „Playboyach”? Czy „Tatlerze”? A może nad portfelem swoich akcji albo zdjęciem żony lidera Partii Konserwatywnej z autografem?

- Oczywiście, czasem - Rory kontynuuje swoje zwierzenia - uprawiam „zrób to sam” podczas oglądania Sky Plus...

- Przy piłce nożnej? - pytam, zdezorientowany. Rory krzywi się, jakby go właśnie osa ugryzła w nos.

- Nie bądź obrzydliwy. Za kogo mnie bierzesz? Za obleśnego pedryła?

Obleśnego pedryła? W którym to stuleciu żyjemy według tego człowieka? Jestem zbyt oniemiały, żeby odpowiedzieć.

- Nie, kretynie - warczy na mnie. - Mówię, że mogę się zwalić przy jakimś filmie, co sobie nagram. Wiecie, jak *Nagi instynkt*, gdzie ta jak-jej-tam, pokazuje cipkę...

„Hmm”, myślę. „Jestem pewien, że Sharon Stone w tej chwili siedzi w domu i doprowadza się do powolnego i zmysłowego orgazmu, myśląc o... tobie, Rory...”.

Mąż Faith, Craig, chichocze jak hiena po gazie rozweselającym. Wyraźnie niewiele ostatnimi czasy wychodzi z domu. I chyba z korzyścią dla reszty społeczeństwa.

Na szczęście rozmowa nie rozwija się dalej, bo nadchodzi Jan, która wciska się między Craiga i Rory'ego, nie mówiąc nawet dzień dobry, i bierze sobie hamburgera.

Potem przepycha się z powrotem tą samą drogą i staje plecami do nas. Gdy namierza wzrokiem Bena i zaczyna

nucić pod nosem *Wlazł kotek na płotek*, patrzę na nią, myśląc: „To z twojego powodu wynaleziono punk rocka...”.

Jednak mimo wszystko, w porównaniu z Rorym i resztą, Jan jest aniołem, a w tej chwili - jeśli tylko jej przedłużająca się obecność przerwie ich poprzednią rozmowę - niech sobie tutaj stoi, ile chce.

Kiedy w końcu parę minut później daje sygnał do walki: - Pobawimy się w komórki do wynajęcia? - ja też działam.

Włączam na iPodzie *The End Doorsów*, mając nadzieję, że choć kilka z tych osób zrozumie aluzję i da nogę.

Ale wtedy spostrzegam w drzwiach kuchni Matta. „Nareszcie”, myślę, „jakaś ludzka istota, z którą można pogadać...”.

- Przepraszam. - Wręczam Craigowi szczypce grillowe jak zatruty kielich i opuszczam grupę.

Ojciec chrzestny

Matt jest ojcem chrzestnym. Naturalnie, nie takim ojcem chrzestnym jak w rodzinie Corleone - chociaż ciemnowłosey Matt jest przystojny trochę na sposób włoski, a kiedyś nawet, po awansie w kancelarii adwokackiej w City, gdzie pracuje, pojechał na Sycylię na dwutygodniowy kurs zarządzania.

Nie, Matt jest ojcem chrzestnym Bena. Nie chodzi o to, że ochrzciliśmy naszego syna, czy że chciałbym, aby Matt zajął się Benem, gdyby coś się stało. Zwłaszcza że Matt sam nie jest ojcem ani partnerem w stałym związku, a jego wizja rozsądnego wychowania to karmienie Bena cukierkami za moimi plecami i wygłupianie się z jego zabawkami Action Man. (Ostatnio po wizycie Matta Amy znalazła trzy rozebrane figurki marines ułożone na kuchennym stole w scenie jak z twardej gejowskiej pornografii).

Nie żeby Matt był gejem. On naprawdę nie ma z tym nic wspólnego. Jest tylko po prostu niedojrzały. Skłonny do wypitki. I lekko zakręcony.

I to są właśnie trzy powody, dla których pozostaje moim najstarszym i najlepszym przyjacielem.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - pyta, rozglądając się dookoła. - Chyba nigdy w życiu nikogo z nich nie widziałem.

- To ludzie z parku - informuję go. Czoło marszczy mu się z dezorientacji.

- To znaczy, włóczędzy? Nie mówiłeś mi, że to impreza charytatywna.

- Nie, mam na myśli ludzi z pobliskiego parku.

- A, ludzie od dzieciaków. - Spozstrzega stado samic z młodymi, które przebyły gromadnie sawannę trawnika i teraz pasą się przy stole, na którym Amy rozłożyła chipsy i przekąski. - Dobry Boże - mówi Matt - jakby szarańcza pustoszyła pole uprawne. Kto to, ta GI Jane? - pyta.

- Sophie - odpowiadam i obaj gapimy się z podziwem na jędrne pośladki Womb Raider prężące się w wojskowych szortach, gdy pochyla się, żeby podnieść pluszową pszczołę swego synka.

- A więc to możliwe - odzywa się Matt.

- Co?

- Wciąż wyglądać zabójczo pięknie, nawet po urodzeniu dziecka.

- Tak - odpowiadam - jasne.

Mówię to bardziej defensywnie, niż zamierzałem, przez moment myśląc, że on celowo sugeruje, że reszta matek tutaj - łącznie z Amy - nie jest już zabójczo piękna.

Kiedy jednak patrzę na twarz Matta, nie znajduję tam śladu złości, więc albo to było freudowskie przejęzyczenie, albo ja widzę afront tam, gdzie go nie ma.

Co oznacza, że gdzieś w podświadomości ja też tak uważam.

Natychmiast czuję z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie aż takie, żebym nie zaczął ukradkiem porównywać Amy i Womb Raider.

Rzecz jasna, nie da się obiektywnie ocenić wyglądu kogoś, kogo się kocha. Jednak staram się.

Owszem, widzę, że Amy przybyło parę kilo. Ale przecież mnie też. I kiedy się uśmiecha, widzę na jej twarzy więcej zmarszczek niż kiedyś - ale znów, to samo dotyczy mnie. Poza tym, zmarszczki są dowodem na to, że człowiek się śmieje, a to chyba dobrze?

Ale czy wciąż uważam, że ona jest piękna? Zabójczo piękna? Gdybym nigdy wcześniej nie spotkał Amy ani Sophie... gdybym w tej chwili widział je obie po raz pierwszy... gdybym był zainteresowany tylko (jak Matt) seksem... którą z nich wybrałaby moja wewnętrzna małpa, żeby przedłużyć gatunek? Czy rzeczywiście Amy? Czy mimo wszystko ją?

Zanim w głowie pojawia mi się odpowiedź, moje myśli zakłóca jakieś poruszenie na końcu stołu. Patrzymy z Mattem, jak dzieciak Faith wymiotuje jej na rękaw i przedramię.

Faith wpycha wrzeszczące zarzygane dziecko najbliżej stojącej uczestniczce sabatu, po czym szybko biegnie do nas.

- Jack, bądź tak miły i przynieś mi papierowy ręcznik
- prosi, a wymiociny spływają jej powoli po rękawie koszuli. - Cześć - zwraca się do Matta i wyciąga do niego rękę.

- Jestem Faith.

Matt gapi się z obrzydzeniem na owsiankopodobną smugę, skapującą w kierunku jej dłoni.

- A ja Chastity¹ - mówi, szybko cofając się o krok. Skaczę do kuchni i wracam z papierowym ręcznikiem,

który Faith chwyta bez słowa i pędzi z powrotem na sabat.

- Od kiedy to jest przyjęte w towarzystwie? - pyta mnie Matt.

- Co, niemówienie dziękuję?

- Nie, udawanie, że bycie pokrytym rzygowinami to nic takiego...

- Nie wiem, chyba mniej więcej od wtedy, od kiedy towarzystwo zaakceptowało omawianie rodzajów kup dziecięcych przy obiedzie.

- To też się zdarza?

- Och, tak, Anakinie Skywalkerze - uśmiecham się. - Ale to nie wszystko. Smarkaczu, musisz się jeszcze dużo nauczyć...

Matt bierze moje ręce w swoje i spogląda na nie.

- Co ty robisz? - pytam.

- Sprawdzam, czy się jeszcze nie pochlastałeś.

Patrzemy, jak uczestniczki sabatu dokonują przegrupowania, ustawiając się z dziećmi w kółku (lub nawet pentagramie). Głośniki iPoda zaczynają ryczeć *Ring-a-Ring o' Roses*, dziecięcą pioseneczkę, która ponoć traktuje o średniowiecznej dżumie.

Nagle łapię swoje odbicie w oszklonych drzwiach do ogrodu. Wyglądam nieforemnie w spłowiałych rozciągniętych niebieskich szortach i białym T-shircie z żółtym napisem CTU. Uświadamiam sobie, że stałem się duchem mego dawnego eleganckiego ja.

- Ładna koszula - zwracam się do Matta. Jak zwykle wygląda jak spod igły, w nowiutkim łaszku od Paula Smitha i japońskich džinsach, od razu pociętych żyletkami i spranych, żeby sam nie musiał zawracać sobie tym głowy.

- Ja ciągle muszę się jeszcze starać - odpowiada. Pomijam milczeniem ten złośliwy przytyk. Matt twierdzi,

że istnieje odwrotnie proporcjonalna zależność między długością związku, w którym jesteś, a wysiłkiem, jaki wkładasz w swój wygląd. (Wam, żonatym, jest łatwo - powiedział mi kiedyś. - Możecie wyglądać jak śmieciarze, a i tak regularnie zaliczacie).

- Skoro już mówimy o staraniu się - zmieniam temat. - Gdzie ona jest? Myślałem, że ją przyprowadzisz.

Ją. Nową dziewczynę. To nic zobowiązującego, zapewniał mnie przez telefon, ale to musi być niezła foczka, bo inaczej nie proponowałby, że ją pokaże.

- Masz na myśli Honey¹?

¹ *Honey* (ang.) - miód, ale też imię żeńskie.

Ostrzegawcze spojrzenie, które mi posyła, zniechęca mnie do zadania oczywistego pytania: „Więc ona jest z tych słodkich i lepkich? A lubi bzykanie?”. Najwyraźniej już słyszał ten żart.

- Ona jeszcze przyjdzie, tak? - upewniam się. Matt marszczy czoło z zakłopotaniem.

- Miała przyjść. Tylko że martwi się o swoją sukienkę. Wiesz, przy tych wszystkich dzieciakach. Ciuch jest markowy, nie chce go zniszczyć. Widzisz, idziemy później na przyjęcie.

- Znaczy, prawdziwe przyjęcie? Dla dorosłych. Z jedzeniem dla dorosłych, muzyką dla dorosłych i rozmowami dla dorosłych.

- Przestań tak mówić. - Matt rozgląda się dookoła. - Tu też jest fajnie.

Patrzę na Jan, która właśnie przeprowadza klasyczne śledzenie...

- Amy - woła - uważaj... on może...

Patrzę na Amy i Bena, który tarza się po trawie, używając sobie za wszystkie czasy, w kostiumie Spidermana, podarowanym mu przez Jan (superprezent, nawet ja to muszę przyznać, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę fakt, że Jan prawdopodobnie nie wie, k t o to jest Spiderman).

I spoglądam na czyste niebo, i przypominam sobie, że jestem zdrowy...

Ale mimo wszystko, nie mogę powstrzymać zazdrości na myśl o Matcie, który wciąż hasa na Pionierskich Terenach Miejskiego Singla.

Zapewne to dlatego, że kiedyś było nas dwóch. Ja byłem Jesse Jamesem, a on Frankiem, ja byłem Butchem, a on Sundance'em. A teraz mój kolt spoczywa w kaburze i zamiast ujeżdżać konie, sprzedaję ich gównu, natomiast Matt wciąż rabuje banki...

- No tak - przyznaję. - Tylko że...

- Że co?

- Sam nie wiem. Tylko że ty prowadzisz teraz fajne życie... Masz jeszcze dokąd pójść... w lepsze miejsce...

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.
 - Amy! - krzyczy Jan. Złapała w swoje graby Bena i podnosi go wysoko, wachając jego pupę.
 - Matt wygrzebuje portfel i wyjmuję parę banknotów.
 - Masz - mówi, wyciągając je w moim kierunku. Nie biorę ich.
- Mówię:
- Co to jest?
 - Prezent urodzinowy dla Bena.
 - Co? Chcesz mu dać gotówkę?
 - Nie, baranie. Chcę mu dać jakąś zabawkę, ale nie wiedziałem, co kupić. Nie wiem, co jest teraz *cool*.
 - Więc chcesz, żebym ja coś dla niego wybrał?
 - Właśnie. I powiedz mu, że to ode mnie. Wciąż nie biorę pieniędzy.
 - Nie patrz tak na mnie - mówi Matt, wsuwając mi pieniądze do kieszeni. - To nie tak, że mi się nie chciało, tylko że... - Patrzy na błękitne niebo, szukając odpowiednich słów. - Po prostu, ja się w ogóle nie znam na dzieciach. To inny świat. Twój, rozumiesz? Nie mój.

Domino

- Nie, moim zdaniem to nie jest w porządku, do cholery!

Siostra Jacka, Kate, przyszła na urodzinowego grilla spóźniona i powiadomiła nas, że właśnie zerwała z Tone'em, z którym była dwa lata. A Jack, niewiele myśląc, zaprosił swoją cholerną siostrzyczkę, żeby zamieszkała z nami. Za darmo.

- Daj spokój, Amy, to moja młodsza siostra - tłumaczy. - To nie fair pobierać od niej czynsz.

Super, zobaczymy, czy będzie fair, gdy ona puści nas z torbami. Nie, naprawdę, jak on mógł?!

Ale dla Jacka to nie jest żaden problem. Siedzi w wannie z wielkim kleksem piany na głowie i czeka, żebym mu podała Bena. Ja klęczę na macie łazienkowej, zdejmując zapaskudzoną pieluchę z naszego syna, który postanowił ćwiczyć breakdance dla początkujących, cofając się przede mną na pupie i zostawiając na dywaniku brązową smugę.

- No i co takiego się stało? - pyta Jack, gdy kończę podcierać Bena i go podnoszę. Jestem po łokcie umazana gównem. - Chodź do tatusia - mówi Jack śmiesznym głosem, biorąc Bena.

- Stało się to, Jack, że mieszkamy w klitce wielkości pieprzonego znaczka pocztowego, gdybyś przypadkiem nie zauważył. Gdzie konkretnie twoim zdaniem ona ma spać?

- Może w pokoju Bena?

- A on znowu z nami?

- Co to znaczy, znowu? I tak śpi z nami co noc. - Jack pochyla się w przód i ozdabia czubek głowy Bena pianą. Są do siebie strasznie podobni. - Okręciłeś sobie tę swoją mamusię wokół małego paluszka, co, gościu?

Wydaję z siebie sfrustrowane prychnięcie, podnoszę śmierdzącą pieluchę i wychylam się na korytarz, żeby ją wyrzucić do kosza na pieluchy, który wydziela obrzydliwy fetor.

Jestem urażona insynuacją Jacka, że jako matka idę na łatwiznę. Jak on śmie? Przecież to nie o n wstaje do Bena w środku nocy. O n zawsze dziwnym trafem smacznie śpi. Ze stoperami w uszach.

- To wolałbyś, żeby prowokował tego skurwiela z piętra wyżej? - warczę, gapiąc się w lustro na odbicie Jacka w wannie i szorując dłonie i ramiona w umywalce jak udręczony chirurg w *Oстрыm dyżurze*.

Ale Jack nie daje się zastraszyć, tylko odpowiada mi gniewnym spojrzeniem.

Wygląda na to, że zaczęło się nasze domino kłótni. Jeśli jedno z nas przewróci tę pierwszą kostkę, ona spadnie na następną, a ta na kolejną. Korzystając z różnych ścieżek, możemy ciągnąć kłótnię, jak długo chcemy, ale na drodze głównej możemy dojść od kostki numer jeden („Ben płacze w nocy”) przez numer dwa („Potrzebujemy większego mieszkania”) prosto do podwójnej szóstki („Ty mnie nie doceniasz”) w ciągu paru minut.

Tak mało czasu ostatnio spędzamy ze sobą, że nawet sprzeczki musimy prowadzić szybko, w telegraficznym skrócie.

Rezygnuję z pokusy, żeby ją zacząć, reflektując się, że to pora kąpieli - czyli oficjalny czas relaksu dla Bena. Biorę głęboki oddech i znów kieruję rozmowę na temat mojej szwagierki i jej rychłego przybycia. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób złożył jej tę ofertę darmowego zakwaterowania i wyżywienia. Ale Jack jest wcieleniem niewinności i miłości braterskiej.

- To tylko na parę tygodni - mówi. - Aż Kate się pozbiera. Poza tym myślałem, że ją lubisz.

- Oczywiście, że ją lubię. Nie o to chodzi. Powinieneś był mnie najpierw zapytać, to wszystko.

Jack prycha.

- Aha, tak jak ty zapytałaś mnie, czy zgadzam się na zwołanie w weekend sabatu czarownic i zaproszenie twojej matki? Nie wiedziałem, że muszę cię prosić o pozwolenie na wszystko. Ty mnie nigdy nie prosisz.

- Okay, okay. - Jestem zła, że wygrał. Czuję, jak kostki domina naprawdę się chwieją. Jeśli nie będę ostrożna, wrócimy do przekleństw, mojej matki i tej kłótni, którą zaczęliśmy, ale nigdy nie udało nam się jej skończyć. Oboje wiemy, że nie wolno przy Benie więcej wymówić słowa na „m”.

- Daj spokój - teraz Jack próbuje mnie udobruchać. - Przecież nie mogłem odmówić. Kate należy do rodziny, a teraz, gdy mama przeprowadziła się do Hiszpanii, a tata mieszka w San Francisco, ona jest jedyną osobą z mojej rodziny, którą w ogóle widzimy. Poza tym, cały dzień siedzi w pracy i mówi, że popilnuje Bena wieczorem zawsze, gdy będziemy chcieli. Nigdy nie wiadomo, może nawet uda nam się w końcu pójść do kina?

Kino. To gałązka oliwna, wiem. Prawie, jakbym została zaproszona na randkę. Ale nie mogę tego przyjąć. Idę do sypialni, rzucam się na niebieską kołdrę i leżę tam, pogrążona w apatii, jak zagubiony żaglowiec, który utknął na szerokim, błękitnym morzu, unieruchomiony przez ciszę.

Jeszcze jedno ciało w mojej jaskini

Mężczyźni - mam na myśli mężczyzn hetero - nie rozumieją, jak skomplikowana jest kwestia gości. To pewnie dlatego, że kwestia warunków życia zazwyczaj umyka ich uwadze. Właściwie nie mieliby nic przeciwko temu, by spać na poplamionej piwem sofie w poplamionych piwem ubraniach przez całe tygodnie, jeśli tylko mieliby dach nad głową. (Z mojego doświadczenia wynika, że właśnie z takiego środowiska

naturalnego większość kobiet ratuje swoich późniejszych partnerów). Problem w tym, oczywiście, że nawet jeśli poświęcimy całe lata, by ich przeprogramować (paznokcie się obcina, nie obgryza, obcięte wrzuca do kosza, nie zostawia na umywalce, klapę sedesu się opuszcza, lepiej jeść prawdziwe jedzenie z ładnych talerzy, a nie makaron instant prosto z patelni, te ładne talerze następnie wkłada się do zmywarki, wlewa detergent i pamięta, by ją włączyć...), oni i tak przy pierwszej nadarżającej się okazji potrafią wrócić do tego naturalnego stanu niechlujstwa i gnuśności. I sądzą, że wszyscy tak mają.

Dlatego właśnie Jack z takim lekceważeniem traktuje to, że jego siostra ma z nami zamieszkać. Co za problem? To tylko mieszkanie, nie? Tylko jaskinia. Więc, myśli Jack, jedna osoba więcej czy mniej nie robi różnicy.

Na co ja odpowiadam: robi wielkie pieprzone zamieszanie, ot, co.

Jack kompletnie nie ma pojęcia, co naprawdę pociąga za sobą zaproszenie jego siostry na dłużej. Uważa, że z mojego punktu widzenia wymaga to tylko szybkiego odkurzenia i, ewentualnie, wlanie wybielacza do sedesu. Powtarzam, nie ma o tym pojęcia.

Bo przecież tu chodzi o dumę. To jest moja jaskinia. Moje życie. A ja nie jestem przygotowana na to, żeby ktokolwiek - a zwłaszcza ktoś z rodziny - zobaczył, że nasza rzeczywistość nie jest wcale taka, jak model nowoczesnego życia, który staramy się realizować, gdy ktoś do nas wpadnie.

Miałabym taki sam stosunek do każdego, kto zamieszkałby w moim domu, ale ponieważ Kate jest kobietą i członkiem rodziny, wyzwanie jest tym większe. Poza sprzątnięciem ogólnym, absolutne minimum, które muszę wykonać przed jej przybyciem, to:

Kupić, wyprać i wyprasować nową poszwę na kołdrę, poszewki na poduszki i ręczniki, dokonać generalnego przeglądu łazienki, w tym usunąć pleśń z fug między kafelkami, powywalać puste buteleczki z szafki - zajrzy tam na pewno,

wszystkie dziewczyny tak robią; pochować podpaski olbrzymich rozmiarów, elektryczny odsysacz pokarmu, osłonki na piersi przy karmieniu oraz inne przedmioty, które mogą przerazić niewinną dwudziestoparolatkę; wyprać, wysuszyć i wyprasować pokrowce na sofę i dywaniki (zaskorupiałe sucharki i zestarzałe niemowlęce wymiociny - mało atrakcyjne); zrobić miejsce w szafie Bena - co oznacza znalezienie nowego miejsca na szeroki wachlarz prezentów urodzinowych, w tym miniaturowy samochód od ojca Jacka przysłany w gigantycznym pudle transportem lotniczym (dzięki, naprawdę mamy mnóstwo miejsca!), przypuścić atak na kuchnię, wymyć lodówkę i zrobić gigantyczne zakupy - muszę mieć kilka pizz w zapasie na wyjątkowe sytuacje, bo nie chcę, żeby Kate odkryła, ile dań na wynos konsumujemy w tygodniu.

- Czemu nie wyluzujesz? - woła Jack z łazienki, gdy zwlekam się z łóżka i z hałasem przetrząsam szuflady Bena w poszukiwaniu czystej piżamy.

Widzę, że Jack stara się zawrzeć pokój, bo przypomina mi, że zaoferował się dziś wieczorem zająć kąpielą i usypianiem.

Ha!

Właśnie, Jack, czemu nie wyluzuję?

Bo ty jesteś facetem, więc twoja wielkoduszna oferta, że wykąpiesz naszego syna i położysz go spać, nie zawiera nic poza umyciem go i przytuleniem. Wybrakowana ta propozycja, w dodatku podstępna.

Bo nie ma najmniejszego sensu, żebym chociaż spróbowała położyć się i poczytać magazyn „Heat”, jak sobie wymyśliłeś. Ponieważ gdy tylko wygodnie się ułożę, zaczniesz wołać z łazienki: „Amy? Możesz go wyjąć z wanny? Amy? Gdzie jego piżama? Amy? Gdzie są pieluchy? Amy? Gdzie jego butelka?”.

Dlaczego mężczyźni są tak beznadziejni, jeśli idzie o wielozadaniowość? Nie potrafiliby jednocześnie schodzić po schodach i żuć gumy.

Mruczę to wszystko do siebie pod nosem, wracając do łazienki. Jack uczy Bena składników szamponu Head and Shoulders.

- Polynaphtalenesulfonate. Metylchloroisothiazolinone. Glycol distearate - czyta.

- Nie sądzisz, że lepiej byłoby go nauczyć czegoś prostszego? - pytam. - Na przykład zwierzątek.

- *Jawohl, mein Fuhreñ* - Jack bierze plastikową książeczkę kąpielową i przewraca ociekające wodą kartki. Wskazuje na mnie.

- Kto to jest?

- Mama - mówi Ben.

Jack pokazuje Benowi obrazek w książeczce.

- A co to jest?

- Muu.

- Dobrze - chwali Jack. - Mama muu. Ben kwiczy ze śmiechu.

- Mama muu. Mama muu.

- Dzięki. Bardzo śmieszne, Jack - mówię, ale mój mąż i syn są zbyt zajęci historycznym śmiechem, żeby odpowiedzieć.

Publiczne pranie brudów

Po raz pierwszy w moim małżeńskim życiu mam tajemnicę. Okay, może małą, ale faktem jest, że nie powiedziałam Jackowi o moich wejściach na antenę Radia CapitalChat. A teraz, im dłużej mu nie mówię, tym bardziej jestem zadowolona, że nie powiedziałam.

Jak tylko sięgnę pamięcią, dzieliłam się z Jackiem każdym najmniejszym szczegółem z mego codziennego życia, ale teraz, gdy nie powiedziałam mu o moich regularnych telefonach do radia, nagle uświadamiam sobie, ile nie wiem o tym, co Jack robi poza domem i czego o n nie mówi mnie.

Próbowałam go wypytywać, ale Jack mówi, że ostatnią rzeczą, o jakiej chce mówić po powrocie do domu, jest praca. Twierdzi, że jest nudna.

Ale kariera zawodowa Jacka jest poniekąd i moją, bo finansuje moje życie, więc uważam, że sprawiedliwość wymaga,

żeby opowiadał mi interesujące ploteczki o ludziach, z którymi pracuje. A poza tym, co w tym złego, że jestem ciekawa? Czy to nie jest mój żoniny obowiązek, interesować się wszystkim, co dotyczy Jacka? Myślałam, że zwierzanie się stanowi nieodłączny element małżeńskiego życia.

Mój mąż ma jednak inne zdanie. Pewnie powinnam uszanować jego opinię i nie traktować tego jak odrzucenie, ale boli mnie, że on nie chce dzielić się wszystkim ze mną, tak jak ja z nim.

No, teraz sobie ulżyłam za wszystkie czasy - jednak dziwnie się czuję, zwierzając się tysiącom nieznajomych, a nie mojemu mężowi.

Następnego ranka znów jestem na antenie.

Radio CapitalChat Codzienna dyskusja Jessie: Czy to prawda, że kobiety są bardziej wytrzymałe na ból niż mężczyźni? Dzwoni: Amy z Zachodniego Londynu

No cóż, Jessie, myślę, że my, dziewczyny, odczuwamy ból tak samo jak mężczyźni. Różnica jest taka, że bardziej dojrzałe sobie z tym radzimy. Wystarczy spojrzeć na piłkarzy, żeby zobaczyć, jakie z facetów mięczaki.

Mężczyźni podchodzą do bólu tak dramatycznie. Gdy mojego męża boli głowa, to nie jest ból głowy, tylko migrena. Gdy uderzy się w palec, złamał sobie kość. Jeśli się przeziębi, to jest grypa, gdy mu mucha wpadnie do oka, na pewno oślepie...

A jacy z nich hipochondrycy. Jack ma całą furę chronicznych dolegliwości, które mogą dać o sobie znać w każdej chwili: Zdradliwe Kolano (stara kontuzja, która powraca ze straszliwymi konsekwencjami i która rok w rok jest odpowiedzialna za to, że Jack nie jest w stanie wziąć udziału w Londyńskim Maratonie). Aha, i nie zapominajmy o jego Słabym Ścięgnie Achillesa, Strzelającym Ramieniu, Wrażliwym Pęcherzu, Zapaleniu Języka, a już najgorsza ze wszystkiego jest Wprawdzie Niezdiagnozowana-ale-pra-wie-na-pewno-Gorączka Malaryczna, która dziwnym trafem atakuje zawsze rankiem po popijawie.

Ale widzisz, Jessie, sądzę, że mężczyźni mają psychologiczny cierpieniomierz, który mogą dowolnie regulować. I tak na przykład, ból kolana, który powoduje, że Jack leży na sofie z zimnymi kompresami, niezdolny nawet podnieść pilota, nagle może okazać się trochę mniej dotkliwy, gdy kumpel zaprasza go do pubu - a z drugiej strony, może równie gwałtownie przybrać na sile i wymagać leżenia w łóżku do odwołania, jeśli, na przykład, moja matka zaprosi nas na lunch.

My, jako kobiety, musimy im współczuć. Jakakolwiek oznaka niecałkowitego oddania, czy choćby najmniejsza aluzja, że bierzemy ich niezbyt poważnie lub podejrzewamy o udawanie, świadczy o tym, że ich nie rozumiemy, i spotyka się z oburzeniem.

Mogę tylko powiedzieć, że całe szczęście, że mężczyźni nie rodzą dzieci. Rodzaj ludzki wymarłby po jednym pokoleniu.

Lubię występować w radiu. Szczerze mówiąc, im częściej to robię, tym bardziej n a p r a w d ę mi się podoba. I nie byłoby problemu, gdyby nie to, że zaczęłam się niebezpiecznie podkochać w Aleksie Murrayu, producencie, mimo że rozmawiałam z nim tylko przez telefon.

Zazwyczaj nie fantazjuję na temat kogoś realnego. Zwłaszcza kogoś, kogo nigdy nie widziałam.

Są oczywiście faceci, którzy tradycyjnie, choć sporadycznie zaludniają moje myśli: George, Brad, Damien i, dziwna rzecz, ten facet z wiadomości ITV, który jest niesamowicie sexy, ale oni wszyscy są bezpiecznie zamknięci w parku rozrywki moich fantazji, gdzie tkwią razem z olejkami do masażu, gorącymi kąpielami w świetle księżycy i prywatnymi samolotami, czekając na moje wizyty (które, jeśli mam być szczerą, nie zdarzają się ostatnio tak często, jakbym chciała).

Ale Alex jest inny. Alex jest z realnego świata. Ze świata „przedtem”. Sprawia, że czuję się, jakbym wciąż była jego częścią - i, w odróżnieniu od moich facetów z parku rozrywki, pobudza we mnie to, o czym już od dawna nikt nie pamięta: mój umysł.

Może to dlatego, że, poza Jackiem, moje życie codzienne wypełnione jest prawie wyłącznie banalnymi sprawami innych kobiet i małych dzieci, ale rozmowa z Aleksem strasznie mnie nakręca. Wiem, że nie powinnam się za wiele w tym doszukiwać, ale on mnie rozśmiesza, a ja, gdy z nim rozmawiam, jestem błyskotliwa i dowcipna. Jakoś tak głupio mi schlebia to, że z całego Londynu to ja jestem słuchaczką, do której dzwoni.

- Łatwo jest uruchomić stację z telefonicznym udziałem słuchaczy - wyjaśniał Alex podczas naszej ostatniej pogawędki - jednak nie uwierzyłybyś, ilu dzwoni cudaków. Produkcowanie programu Jessie to koszmar, ale ty jesteś darem niebios, Amy. To wspaniale, że znaleźliśmy kogoś, na czyjej inteligentnej, zabawnej wypowiedzi można zawsze polegać.

To ja. Inteligentna i zabawna. I można na mnie polegać.

Jego słowa dały mi pewność siebie, której potrzebowałam.

- Cóż, ja też się bardzo cieszę, że jestem w programie - wyznałam mu.
- Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy przypadkiem jest jakaś szansa na pracę w CapitalChat... myślę o zmianie zawodu. Strasznie bym chciała dostać się do radia.

Dziwne, ale nie śmiał się ze mnie. Powiedział nawet, że będzie o tym pamiętał, i od tamtej pory po kryjomu ekscytuję się myślą o szansie na potencjalną pracę. Jestem zdecydowana postarać się, żeby Alex nie zmienił dobrej opinii o mnie.

Po programie nie rozłączam się, tylko rozmawiamy dalej.

- Wiem, że to dziwna prośba, ale czy mogłabyś mi dać numer do Jacka? Wiem, że Jessie szuka ogrodnika - mówi Alex. - Właśnie wprowadziła się do dużego domu w Notting Hill, a wy mieszkacie w Zachodnim Londynie, prawda?

- Yyy... tak - jąkam się.

Mieszkaamy w Zachodnim Londynie, ogólnie rzecz biorąc, tylko że nie w tej części Zachodniego Londynu, którą ludzie mają na myśli, gdy mowa o Zachodnim Londynie.

- Mógłbym ci to załatwić. Jeśli twój facet chce tę robotę...

Czy chce? Byłby zachwycony. Wciąż mu powtarzam, żeby zaczął pracować na swoim.

- Byłoby wspaniale, Alex - rozplýwam się przy telefonie.

Naprawdę by było. Tylko jak mam powiedzieć Jackowi, że załatwiłam mu pracę u Jessie Kay, nie przyznając mu się, co opowiadam na antenie? O nim. O nas. O naszych brudach? Bo nie ma szans, żeby Jack uznał to za tak samo zabawne jak Alex.

Nagle czuję, że się czerwienię i ogarnia mnie poczucie winy. Kurczę. Już zdążyłam zapomnieć, jak trudne może być posiadanie sekretów.

Bez troski jak niedzielny poranek

Niedziela rano. Jestem w kafejce w parku z Edem, mężem Sophie. To spotkanie całkiem przypadkowe - po prostu Rip-ley wypatrzyła Bena, czy odwrotnie, i oboje bawią się teraz na zewnątrz, a Ed i ja stoimy właśnie w kolejce po kawę. Na pewno nie pamięta, jak mam na imię.

Jestem przekonana, że Sophie dostałaby ataku szału, gdyby zobaczyła, jak Ripley balansuje niepewnie nad klombem pełnym błota, ale Ed nawet nie zauważył, że jego córce może grozić zabrudzenie, a co dopiero kontuzja. Mała wrzeszczy i skacze w kółko jak szympan. Charakterystyczne smugi z czekolady na buzi i papierek w ręce pozwalają podejrzewać, że jest pod wpływem najpopularniejszego dziecięcego narkotyku, znanego pod nazwą Milky Way.

- Gdzie jest Sophie? - pytam, siadając przy jednym ze stolików na zewnątrz, i pijam łyk latte.

- Pewnie wstanie dopiero za parę godzin - odpowiada Ed. - Późno się wczoraj położyliśmy.

- Tak?

- Goście. Impreza na koniec zdjęć - wyjaśnia Ed. - Wiesz, jeden z tych wieczorów, które trochę wymykają się spod kontroli.

Nie wiem, ale najwyraźniej Ed zna je bardzo dobrze.

- Wszyscy wyszli gdzieś koło czwartej czy piątej - ciągnie, zdejmując okulary i pocierając twarz. Jego gałki oczne wyglądają jak kule bilardowe. Chyba wiem, jaki rodzaj imprezy ma na myśli.

Mimo to nie mogę się oprzeć wrażeniu wyizolowania. Jack i ja nie byliśmy zapraszani ani nie wydawaliśmy przyjęcia - oprócz tego dla Bena - całe wieki.

Ed ziewa nonszalancko, przeciągając się. T-shirt podjeżdża mu do góry i widać kępkę włosów wyrastającą z jego dzinsów w kierunku pępka. Szybko odwracam wzrok.

- Co gotowaliście? - pytam, czując, że powinnam podtrzymać konwersację. Mam wrażenie, że jestem strasznie sztywna. Pytanie brzmi, jakby je zadała moja matka, nawet ja to czuję.

- Nic. Wynajęliśmy firmę cateringową. - Ziewa i odwraca wzrok.

Nagle widzę siebie oczami Eda. Dla niego jestem najwyraźniej jedną z mamus, znajomych Sophie w brudnych dzinsach i bezkształtnym T-shircie, bez makijażu. Wątpię, czy kiedykolwiek przyszłoby mu do głowy pomyśleć o mnie w kontekście seksualnym albo ukradkiem o mnie fantazjować, jak Jack o Sophie (tak podejrzewam). Na tę myśl - że stałam się kompletnie asekualna - zalewa mnie fala przygnębienia.

Ed wyraźnie nie jest zainteresowany podtrzymywaniem uprzejmej rozmowy. Odchyła się na swoim krześle i wystawiając twarz do słońca, zamyka oczy.

Typowe zachowanie niedzielnego tatusia. Rozglądam się po kafejce.
Anarchia.

Para czterolatek wsypuje sobie do ust cukier; jakiś samotny dzieciak szaleje na skradzionej hulajnodze, strasząc gołębie. W kącie wyje jakieś dziecko, a obok dwa maluchy się biją. Ich ojciec, nie zwracając uwagi na tę scenę, zajęty jest poszukiwaniem w kieszeniach drobnych, żeby zapłacić za górę lepkich słodkich bułeczek, które nabył, by przekupić swoje pociechy.

Kawałek dalej na placu zabaw widać mężczyzn czytających gazety, nieświadomych, że ich maluchy wiszą głowami w dół ze zjeżdżalni jak nietoperze.

Ale najbardziej odrażający ze wszystkich tatusiów właśnie wychodzi z rykiem zza rogu. To tatuś-sierżant. Ma na sobie niedzielne ubranie cywilne: obowiązkowe luźne bawełniane spodnie, skórzane sportowe mokasyny i różową koszulkę polo z podniesionym kołnierzykiem. Maszeruje w kierunku kafejki, wygładzając grzywkę i wywrzaskując rozkazy do swoich dzieciaków.

- Toby, zostaw tu hulajnogę. Tutaj, dziecko, tutaj! Jonquin, trzymaj drzwi. I pospieszcie się. Piłka nożna za piętnaście minut, pamiętajcie. Jeśli kupicie kanapki z bekonem, będziecie potrzebować czasu, żeby je strawić.

Gdy tatuś-sierżant otwiera drzwi kafejki, wychodzi z niej kobieta-relacja-na-żywo z dzieckiem na ręku. Jest niesamowita. Zachowuje się, jakby miała dziwną odmianę syndromu Tourette'a, która objawia się tym, że chory czuje przymus do nieustannego komentowania wszystkiego, co się dzieje.

- ... i patrz, wychodzimy z kawiarni i przechodzimy obok stolików i popatrz, na niebie jest słońeczko. Włożymy czapeczkę? Tak, włożymy, dla Pana Słońce...

To wyraźnie wariatka. Niech ktoś skróci jej cierpienia.

Wstaję po cichu. Nie mam zamiaru zostawać przy Edzie i pilnować Ripley, gdy on ucina sobie drzemkę w słońcu. Podchodzę do ścianki wspinaczkowej, żeby mieć oko na Bena. Mówię mu, że za dwie minuty idziemy.

- Patrz, Muma, patrz! - woła Ben, podbiegając, żeby znów wspiać się na ściankę. Bawi się świetnie.

- Pięknie, skarbie - mówię.

Ale wcale nie jest pięknie. Nie ja miałam się nim opiekować. Dziś rano miał to robić Jack. Tweedle-Dom i Tweedle-Lee w tym tygodniu zajmują się organicznym targiem. Gdy usłyszałam, że Jack nie pracuje, postanowiłam zrobić sobie wolny poranek, może wziąć długą spokojną kąpiel albo po

prostu zrelaksować się i poleżeć dłużej w łóżku. Zrobić cokolwiek, co oderwałoby mnie od spełniania każdej zachcianki mojego dwulatka, mimo że go Kocham i uwielbiam.

Jednak, jak zwykle, mimo obietnic, Jack nie wstał wcześniej i dlatego znowu ja jestem na niedzielnej zmianie. Może to okropne, że tak mu wyliczam, ale to siedemnasty dzień z rzędu, kiedy zajmuję się Benem rano.

Ale z drugiej strony, przypominam sobie, Jack ciężko pracuje na mnie i Bena, więc sprawiedliwość wymaga, żeby sobie pospał. W końcu to on ponosi finansową odpowiedzialność za naszą rodzinę. To on musi wstawać i iść do pracy.

Mimo to czuję się rozżalona. Czy opiekowanie się Benem nie jest pracą? „Daily Mail” twierdzi, że jest, ale jakoś nikt nie uważa, że pełnoetatowa opieka nad dzieckiem i prowadzenie gospodarstwa domowego naprawdę się liczą.

Jack tylko wtedy mógłby zrozumieć, jak ja się czuję, gdyby wstał przez siedemnaście dni pod rząd razem z dwulatkiem i zajmował się tym dwulatkiem przez cały dzień. Dopiero wtedy może uświadomiłby sobie, jak ważna... niezbędna... jest czasem przerwa.

Ale to nigdy nie nastąpi. Bo gdybym zostawiła Jacka, żeby zajmował się Benem przez siedemnaście kolejnych dni, na drugi dzień on by wynajął pieprzoną niańkę.

- Chodź - mówię do Bena - pójdziemy poszukać taty. „Tak, chrzanić Jacka”, myślę. „Pójdziemy i jednak go obudzimy”.

- Taty nie - odpowiada Ben. - Huśtawki.

- Nie. Chodź.

- Huśtawki - powtarza.

- Nie.

- Czemu nie huśtawki? - Przechyliła głowę na bok. Jego buzia wyraża rozczarowanie i ciekawość. Nie mam serca tłumaczyć.

- Okay, pójdziemy na huśtawki, ale tylko na chwilę - kapituluję.

- Ja, ja, ja - woła Ripley.

- Musisz zapytać tatusia - mówię.

- Zrobiłam kupę - informuje pogodnie, chwytając się za pupę.

Świetnie.

Prowadzę ją do Eda.

- Trzeba jej zmienić pieluchę. Powietrze wokół nas robi się zielone.

Patrzy na mnie i trudno powiedzieć, kto tu jest maluchem, Ripley czy jej ojciec.

- Dobrze. - Ed siada prosto, ale wyraźnie nie ma pojęcia, co robić. W życiu nie przyszłoby mu do głowy, żeby zabrać ze sobą pieluchy i chusteczki do wycierania pupy.

- Cóż, ja idę na huśtawki - informuję. - Na razie.

- Amy - nagle przypomina sobie, jak mam na imię. - Nie masz przy sobie tych rzeczy? No wiesz? Zapasowej... no, jak to się nazywa...

Czuję się, jakbym rozmawiała z cudzoziemcem. Wyciągam z dna wózka i podaję mu majteczki treningowe Huggies i nawilżane chusteczki.

- I co teraz? - pyta Ed. - Gdzie mam to zrobić? To znaczy, gdzie są toalety? - Jest kompletnie bezradny.

„Aha. Więc nie jesteś taki duży i mądry, co, Ed?“, myślę, napawając się jego zakłopotaniem. Szkoda, że go teraz nie widzą jego szpanerscy kumple.

Potem patrzę na Ripley, a ona na mnie. Czy naprawdę mogę zostawić ją w rękach człowieka, który najwyraźniej nie spał tej nocy i od dawna nie zakładał dziecku pieluchy? A co dopiero majteczek treningowych? Ed nie będzie miał zielonego pojęcia, że musi jej zdjąć spodenki i...

- Chcesz, żebym ją przebrała? - pytam.

Przez moment mam wrażenie, że Ed padnie na ziemię i zacznie całować moje stopy.

- Zrobiłabyś to?

- Chodź, kochanie. - Wyciągam rękę do Ripley.

Po wszystkim idziemy na huśtawki i bawimy się przez chwilę. Ripley siedzi w piaskownicy, natomiast Ed kładzie się z nogami na jednej z ławek, z czapką baseballową na twarzy.

Jestem wściekła na siebie. Powinnam go była z tym wszystkim zostawić.

Już mam wracać, gdy widzę, jak przez bramę parku wchodzi Jack.

A więc przeczytał moją dwuwyrzową kartkę. Była tak niedbała, jak tylko się dało: „W parku”.

- Hej, mała - woła, podchodząc do mnie.

- Tata! Tata! Tata! - Ben rzuca się na Jacka, jakby on był jakimś niesamowitym superbohaterem. Siadam na jednym ze stolików dla maluchów i zakładam ręce na piersi, zirytowana ogromem adoracji, jaki Ben rezerwuje dla swego ojca leniucha.

- O co chodzi? - pyta Jack, siadając koło mnie.

- Jestem trochę zmęczona, to wszystko.

- Czemu nie wrócisz do domu się położyć?

- Bo już wstałam i się ubrałam. Odechciało mi się spać.

- Przecież mówiłaś, że jesteś śpiąca.

- Mówiłam, że jestem zmęczona. Jack patrzy na mnie, zdezorientowany.

- Nie obwiniaj mnie. Myślałem, że dzisiaj śpisz dłużej.

- Ja też tak myślałam.

- To dlaczego wstałaś?

- Hm... może dlatego, że nasz syn już nie spał?

- No to co? Czemu go po prostu nie zostawiłaś?

- Nie mogłam go po prostu zostawić. Był na nogach już od godziny.

Jack wzdycha, sfrustrowany.

- Nic na to nie poradzę, jeśli chcesz odgrywać męczennicę.

- Nie odgrywam męczennicy, Jack. Nie mogłabym go zostawić, żeby się bawił sam. On ma dwa lata. Poza tym robiłby za dużo hałasu.

- Cóż, ja jestem wykończony. Przepraszam, że go nie słyszałem, ale mogłaś mnie zbudzić, jeśli to było dla ciebie naprawdę ważne. Miałem ciężki tydzień w pracy i...

- Wiem. Nie musisz mi mówić.

Przerywa nam Ben, który przychodzi z czymś lepkiem i obrzydliwym na rękach, domagając się nawilżanej chusteczki. Wycieram go.

- No to co chcesz robić? - Jack ziewa.

Nie ma sensu go atakować. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszam się, żeby mój głos brzmiał mniej wrogo.

- Cóż, skoro już przyszedłeś, możemy równie dobrze jeszcze trochę tu wszyscy posiedzieć. Spędzić „czas dla rodziny”.

- Ale czas dla rodziny zaczyna się dopiero o wpół do dwunastej - mówi Jack.

To jakaś wyraźnie wymyślona przez niego naprędce statystyka.

- Wpół do dwunastej? - powtarzam. - Czas dla rodziny zaczyna się dopiero o wpół do dwunastej. Skąd to wzięłeś?

- Rozejrzyj się. Tu są sami pojedynczy rodzice.

„Tak”, mam ochotę powiedzieć. „Tatusiowie. Mamusie są w łóżkach”.

- Nie ma sensu, żebyśmy tu oboje zostawali. Jest za wcześnie - ciągnie.

- Okay. Świetnie - warczę, wstając. - Wracaj do łóżka, jeśli tego właśnie chcesz.

Chwyta mnie za ramię i ciągnie w dół koło siebie na ławkę. Dopiero gdy patrzę na niego, widzę, że mnie podpuszcza, ale nie jestem w nastroju, żeby podjąć grę.

- To jak? Idziesz?

Jack obejmuje mnie ramieniem i krzywi się.

- Neeee. Nie warto.

- Dlaczego?

- Bo znam cię aż za dobrze - mówi głosem Tony'ego Soprano. - Bo jak cię tu zostawię, walniesz mnie w jaja.

Wyszczierzam zęby i robię gwałtowne kłapnięcie zębami.

- Tak, żebyś wiedział, do cholery. Nie tylko cię walnę, ale jeszcze ugryzę.

- Dalej, śmiało - mówi, uśmiechając się. - Rzucam ci wyzwanie. Przydałoby mi się trochę akcji.

Bezczelny gnojek.

Kate i katastrofa

Po tygodniu przebywania u nas mojej szwagierki Kate stwierdzam, że mam dość. Nie jestem pewna, jaką łzawą historyjkę wcisnęła Jackowi, ale nie wygląda na specjalnie zrozpaczoną po zerwaniu z Tone'em. Mam coraz większą pewność, że daliśmy się nabrać. Jesteśmy po prostu jej krewnymi-frajerami, na tyle naiwnymi, żeby jej pozwolić mieszkać za darmo, podczas gdy ona czeka, aż nadarzy się okazja wynajęcia z kimś dużego eleganckiego mieszkania.

Jack jednak nie chce o tym słyszeć. Wciąż uważa ją za swoją małą siostrzyczkę i lubi odgrywać opiekuna. Ale teraz, kiedy mieszkamy razem, odkryłam, że ona w najmniejszym stopniu nie potrzebuje pomocy. Pewna siebie Kate jest niezależną nowoczesną dziewczyną.

Natomiast nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jednocześnie jej ocena mojej osoby raczej się pogorszyła. Czasem przyłapuję ją na tym, że patrzy na mnie z pewnym przerażeniem. To jasne, że straciłam swój status Amy-żylety zajmującej się modą, która poślubiła jej brata. W jej oczach nie mam żadnego statusu.

I zapewne obwinia mnie też o to, że Jack rzucił karierę artystyczną. Nie mam pewności. Nic nie powiedziała, ale coś w jej zachowaniu budzi we mnie podejrzenia, że za moimi plecami odbyły się pewne rozmowy rodzinne. Wolałabym, żeby zapytała mnie wprost. Bo wtedy mogłabym jej wszystko wyjaśnić.

Może za bardzo to wszystko analizuję, bo, jeśli mam być szczerą, zazdroszczę jej. Przypomina mi mnie samą, gdy byłam w jej wieku, poza tym że (co irytujące) jest o wiele bardziej *cool*. Ma wyczesaną pracę w reklamie w Noho i szafę (Bena) pełną odlotowych kostiumów ze spodniami i dobranych do nich seksownych topów. O ile się orientuję, jadła już we wszystkich najbardziej ekskluzywnych londyńskich restauracjach na koszt firmy, a zaproszenia na członka najmodniejszych klubów traktuje ze zblazowaniem.

Widzę, że jest bezpardonowo skoncentrowana na sobie, tak jak to potrafi tylko ktoś bez partnera, dzieci i domu do prowadzenia. Ma obsesję na punkcie swego życia towarzyskiego i jest uzależniona od kieszonkowego komputera. Nie potrafi rozmawiać bez odebrania i wysłania przynajmniej trzech e-maili i SMS-ów. Większość z nich jest od i do różnych mężczyzn, z którymi ona się „jakby” spotyka.

Może jestem staroświecka, ale nie bardzo rozumiem, jak można się z kimś „jakby” spotykać. Jednak Kate na razie chyba nie ma zamiaru się ustakować i znaleźć kolejnego stałego chłopaka. I mówi, że jest szczęśliwa, bo może jeszcze grymasić, włócząc się ze swoją „trendy” paczką.

- Za wcześnie na zakładanie rodziny. Mam przed sobą jeszcze całe lata zabawy, zanim zagrzebię się w pieluchy - oświadczyła mi. - Co najmniej dziesięć lat.

Co do tych jej znajomych, mam pewne zastrzeżenia. Kate wciąż przyjaźni się z Sally McCullen, dziewczyną, z powodu której Jack i ja omal się nie rozstaliśmy. Dziewczyną o obyczajach tak lekkich, że aż dziw, że jeszcze nie fruwa.

Okay, minęło prawie dziesięć lat od czasu, gdy Jack się z nią zadawał, i teraz jesteśmy szczęśliwym małżeństwem i rodziną, ale mieszkanie z osobą tak blisko związaną z Modliszką McCullen zaczyna mnie niepokoić - zwłaszcza że Jack postanowił przy swojej siostrze odgrywać rozrywkowego chłopca. Zwykle chrapie na sofie już o jedenastej, ale od kiedy Kate z nami mieszka, udaje, że jest duszą towarzystwa i otwiera butelkę whisky („kieliszeczek przed snem”) za każdym razem, gdy ona w końcu przywleka się z jakiejś „trendy” imprezy.

Jest środa rano. Jack śpi jak zabity po ostatniej nocnej sesji z siostrą. Już mam iść do łazienki i spróbować się ubrać, gdy do kuchni wpada Kate. Ziewa, mówi, że zasnęła, i ma pretensje, że jej nie obudziłam.

- Chcesz tosta? Właśnie zrobiłam - proponuję.

- Nie ma mowy. Chleb jest strasznie tuczący, a ja jestem t a k a gruba!

Co ona bredzi? Jak patrzę na swoje zdjęcia z czasów, gdy miałam dwadzieścia parę lat, przypominam sobie, jak bardzo się martwiłam brakiem płaskiego brzucha. Ha! Gdybym tylko wtedy miała świadomość, że tamten brzuch był tak płaski, jak już nigdy potem, traktowałabym go jak skarb. Cały dzień nosiłabym bikini. Przekłułabym sobie pępek i zawiesiła w nim lśniące klejnoty.

- Masz świetną figurę - mówię szczerze. - Korzystaj z tego.

- Ale czuję się gruba. Bóle menstruacyjne - wyjaśnia, krzywiąc twarz z udawanym cierpieniem. - Może powinnam sobie wziąć dzień wolnego.

Bóle menstruacyjne? Kobieto! Nie mów mi o hormonach czy problemach kobiecych, bo dla kogoś, kto przeżył czterdziestoosmiogodzinny poród, bóle menstruacyjne to małe miki. A co powiesz na poszerzanie szyjki macicy? Albo nacięcie krocza? Spróbuj tego, i dopiero wtedy domagaj się współczucia.

- Mam jakieś tabletki - proponuję usłudze.

Ona nie może, po prostu nie może wziąć dnia wolnego! Czekam na telefon od Aleksa Murraya. Dziś rano w programie Jessie mam się wypowiadać o ludziach, którzy gromadzą rupiecie, a ponieważ mieszkam z człowiekiem, który ma ich tyle, że wynajmuje garaż, mam chyba prawo opowiedzieć o Jacku i jego „wewnętrznym śmieciarzu”.

- O Boże, nie, przecież mam ten lunch - mówi Kate, uderzając się w czoło. - Muszę tam być. Lepiej się pośpiesz.

Już mam powiedzieć, że tylko skoczę przed nią do łazienki, ale moją uwagę odciąga Ben, a gdy podnoszę znowu wzrok, Kate już nie ma. Słyszę, jak zamykają się drzwi do łazienki.

Mijają minuty. Potem pół godziny.

Mój prywatny czas w łazience przeszedł do historii. Ostatnio nie mogę nawet wyskubać sobie brwi, żeby Jack czy Ben nie wpadli z jakimś pytaniem.

Co ona, do diabła, tam robi?

Proszę, pośpiesz się, błagam ją w myślach. Strasznie mi się chce siusiu. Wstałam dwie godziny temu. A więc od

ostatniego razu minęło prawie dziesięć godzin, a moje zwieracze już nie działają tak, jak kiedyś. Boję się, że długo nie wytrzymam.

Przykładam ucho do szpary w drzwiach łazienki. Słyszę, jak cicho nuci, fałszując. Przecież Kate ma gdzieś iść. Z kimś się spotkać. Mówiła, zdaje się, że musi się pośpieszyć.

Dwie minuty później skaczę już po mieszkaniu. Nie pozostaje mi nic innego. Wkradam się do pokoju Bena i ignorując wszystkie markowe ciuchy Kate, klękam i wygrzebuję spod łóżka nowy nocnik mojego syna, do którego mam zamiar zacząć go przyuczać w następnym miesiącu.

Patrzę na lśniący niebieski plastik. Czy ja całkiem oszalałam? Czy naprawdę mam zamiar to zrobić? „Tak, do cholery jasnej, myślę. Jestem zdesperowana”.

Kucam nad nocnikiem. Wraca spokój. Przymykam oczy z czystą rozkoszą. Jak mówi stare przysłowie, nie ma nic tak przecenianego jak zły seks i tak niedocenianego jak porządny sik.

- O mój Boże! Amy? Co ty robisz?

Otwieram gwałtownie oczy. W drzwiach stoi Kate, owinięta moim nowym ręcznikiem.

- Ja tylko...

Upokorzenie nie pozwala mi kontynuować wyjaśnień. Podnoszę nocnik, truchcikiem przebiegam obok niej, by w korytarzu wpaść prosto na Jacka.

Oblewam się całą zawartością nocnika z własnymi simkami.

- A niech mnie! - woła Jack. - Mały tyle wyprodukował?

Zanim pokażą się pastelowe napisy końcowe

Jestem w radosnym nastroju, bo zmierzam na spotkanie z Jessie Kay. Czuję się, jakby dzisiejszy dzień był początkiem czegoś nowego, jakbym okrążał przylądek i zmieniał kurs, a kapryśny wiatr fortuny nagle zaczął wiać mi w plecy.

A to wszystko dzięki Amy. Od miesiący powtarzała mi, żebym zaczął pracować na swoim, a teraz zawdzięczam jej tę szansę.

I mówić tu o przypadku. Ona chciała zadzwonić do tego badziwiastego programu w radiu. Ja ją do tego zachęcałem. Potem o tym zapomniałem. Aż tu nagle któregoś wieczoru Amy mówi, że jednak zadzwoniła, że na tyle im się spodobała, że poprosili, by dzwoniła, kiedykolwiek ma ochotę - ze swoimi opiniami i tak dalej. No więc tak robi, dzwoni do nich od czasu do czasu, żeby gadać o - jak mówiła? - a, tak, o modzie i takich tam babskich sprawach.

Ktoś może zapytać, ale co to wszystko ma wspólnego ze mną. Cóż, ostatnim razem gdy Amy zadzwoniła, producent tego programu wspomniał, że ta bogata laska, Jessie, szuka kogoś do przeprojektowania jej ogrodu...

Dlatego jestem właśnie tutaj i teraz... *Ta-raaa! Z prawej strony sceny wchodzi Jack Rossiter, Ogrodnik Sławnych Osobistości...*

Powinienem być chyba posłuchać programu Jessie Kay przed przyjściem na to spotkanie. Oczywiście, w imię rzetelnego przygotowania, nie dla przyjemności, bo ta audycja to kompletne bzdury, szmira, wyłącznie dla bab.

Kłopot w tym, że gdy program pani Kay jest na antenie, zawsze jestem w pracy, a Rupert, mój szef, nie pozwala nam

w robocie słuchać muzyki ani radia, nawet przez słuchawki. „Wyglądałoby, że się obijacie”, mawia, a u niego są takie ceny, że pewnie coś w tym jest. Powinniśmy przez cały czas sprawiać wrażenie superpracowitych i profesjonalnych.

I właśnie tak mam zamiar wyglądać dziś u Jessie Kay. Dlatego jestem gładko ogolony, uczesany, mam obcięte paznokcie, wyprasowane spodnie i elegancką czystą koszulę.

Kurczę, wyglądam bardziej, jakbym szedł na randkę niż na rozmowę o pracy.

No to co? Dziś żaden wysiłek nie będzie przesadny, bo to moja wielka szansa - czuję to - i nie mogę tego spieprzyć.

Bo czy można sobie wyobrazić lepszy sposób na to, żeby wypuścić odgałęzienie głównej firmy? Jeśli się zastanowić, Odgałęzienie to niezła nazwa dla firmy ogrodniczej, jeśli faktycznie pójdę naprzód i założę własny legalny biznes.

Choć to, co robię w tej chwili, nie jest tak całkiem legalne. To mój oficjalny czas pracy, za dziesięć funtów na godzinę zryczałtowanej stawki Greensleeves (albo Green s l a v e s, jak częściej o tym myślę¹). Powiedziałem szefowi, że idę się spotkać z potencjalną klientką (prawda). Nie dodałem tylko, że Jessie to moja potencjalna klientka, nie jego. Wszelkie ewentualne zyski z dzisiejszego spotkania wpłyną prosto na konto mojej skromnej osoby. A dlaczego nie? Ta potencjalna gratka trafiła mi się dzięki Amy. Więc dlaczego miałbym się z nim dzielić?

Sądząc z luksusowego adresu, który Amy zapisała mi na kawałku papieru, spodziewam się, że dom Jessie będzie robił wrażenie, i mam rację.

Gdyby Notting Hill naprawdę miało bijące serce - jak lubi mówić mój znajomy agent obrotu nieruchomościami - to St Thomas's Gardens można by określić jako jego rozrusznik.

Skręcam teraz w jedną z tych szerokich, obsadzonych drzewami ulic, pełnych wolno stojących czteropiętrowych georgiańskich rezydencji.

Greensleeves - zielone rękawy, Greenslaves - zieloni niewolnicy.

Domy, które mijam, mają nawet podjazdy - podjazdy! - które w tej nadmiernie rozwiniętej części Londynu o zawyżonych cenach równie dobrze mogłyby być pasami startowymi. Dzielnica jest tak ostentacyjnie bogata, że nie zdziwiłby mnie widok fosy, lądowiska dla helikopterów czy prywatnej armii.

Znajdujemy się tu na gruncie porsche, bentleyów i lexusów, a większość wystawionych modeli jest warta więcej niż nasze mieszkanie (niektóre wyglądają wręcz na większe od niego).

Z każdą chwilą czuję się bardziej skrupowany własnym środkiem transportu. Ponieważ nie załatwiam sprawy służbowej dla Greensleeves, wziąłem swój prywatny samochód (znany także jako Rzęch, Tatamobile albo generał Lee - generalnie zarżnięty). To ciemnoszary dwunastoletni citroen. Czuć go czerstwymi obwarzankami, a za każdym razem, gdy się do niego wsiada, słychać chrzęst, z uwagi na multum wyschniętych przekąsek, które Ben zdołał w nim porozwalać w czasie swego krótkiego życia.

Nie ma odtwarzacza płyt CD ani MP3, ale jest radio, które podłączyłem do iTripa i iPoda. Dla inspiracji słucham *The Go! Team*.

Jadę i szukam numeru 5. Sceneria sprawia, że czuję się jak na planie filmowym w jakiejś brytyjskiej komedii romantycznej. Do tego stopnia, że zatrzymując się przed podjazdem posesji nr 5, spodziewam się zobaczyć inteligencika Hugh Granta, który, potykając się i coś mamrocząc, idzie chodnikiem, a po chwili wpada na wyrafinowaną, spowitą obłóczkiem Chanel Julię Roberts, która całkiem przypadkowo jest amerykańską gwiazdą filmową incognito i która tylko sprawia wrażenie histerycznej i egzaltowanej, bo tak naprawdę jest samotna i spragniona miłości jak wszyscy, i zakochuje się w słabym, lecz uroczym Hugh, ale najpierw muszą pokonać (z pomocą kilku nadludzko inteligentnych kumpli Hugh z Oksfordu albo Cambridge) mnóstwo nieprawdopodobnych komediowych perypetii, aby na koniec dojść do wniosku, że miłość nie tylko zmienia wszystko, ale jest też w stanie przekroczyć wszystkie

społeczne, kulturowe i finansowe bariery, a tego epokowego odkrycia dokonują w samą porę - zanim na ekranie pojawią się pastelowe napisy końcowe i zabrzmie niedawno odgrzebany nostalgiczny hit *Wet, Wet, Wet...*

Tymczasem przez zasmarowane paluchami boczne okienko Rzęcha dostrzegam krępego mężczyznę po czterdziestce w ciemnym, szarym na miarę garniturze i okularach przeciwsłonecznych Ray-Ban, który maszeruje przez brukowany podjazd numeru 5, a potem wrzuca jasnobrązową walizkę do bagażnika czarnego woskowanego porsche.

Czyli raczej James Bond. Mój scenariusz komedii romantycznej z Hugh i Ju najwyraźniej nie wypalił. Teraz oglądamy tradycyjny thriller. Albo raczej oglądalibyśmy, gdyby nie jeden surrealistyczny element.

Mężczyzna nie ma nic na nogach. Ani butów, ani skarpetek. Styl Chrystusowy.

Jeszcze dziwniejsze jest to, że gdy zamyka z trzaskiem bagażnik porsche i otwiera drzwi od strony kierowcy, żeby wsiąść, wydaje się kompletnie nieświadomy tego faktu.

Potem waha się i marszczy czoło, bo w głowie zaczyna mu błyskać lampka alarmowa.

Dopiero wtedy patrzy w dół.

Przez sekundę sercem jestem z nim, gdy krzywi twarz, a fasada męskiego wyrafinowania rozpada się w pył. Teraz wygląda jak mały chłopiec, który zaraz wybuchnie płaczem.

Potem zaciska pięści, a jego twarz zastyga w maskę wojowniczej determinacji. Odwraca się i patrzy w górę podjazdu. Wyjmuje coś z kieszeni, chyba piersiówkę, i pociąga łyk, potem kolejny, wreszcie obciąga całą. Chowa butelkę i ociera usta wierzchem dłoni, po czym jeszcze raz patrzy spode łba na dom.

„Nie, człowieku, nie”, proszę go w myślach. „Nie bądź głupi! Odjedź stąd. Wsiadaj do swojego porsche i uciekaj. Uciekaj z tego przeklętego miejsca, póki twoja godność jest jeszcze nietknięta...”

Bo nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby wydedukować, co tutaj się dzieje. Fakty mówią same za siebie: roztargnienie

tak wielkie, że się wyszło z domu bez butów; spakowana walizka; przygotowany samochód. Żałosny wniosek nasuwa się sam.

Ten facet to żaden szpieg. I nie jest bohaterem thrillera. Ani też klasycznej komedii romantycznej. Nie, mamy tu do czynienia z komedią romantyczną bez happy endu. To zerwanie, rozpad, impas, a ten facet właśnie ma zamiar popełnić straszny sztubacki błąd. Chce wejść z powrotem do domu, po tym jak już stamtąd wyszedł. Ja, jako były *troubadour d'amour*, mam dość doświadczenia, żeby wiedzieć, że z tego nie może wyniknąć nic dobrego.

Nigdy nie wynika.

Jednak Człowiek Bez Butów ma inne plany. Energicznie kroczy w górę podjazdu, otwiera drzwi frontowe numeru 5 i znika w środku.

Mijają sekundy. Czekam, aż się znowu wyłoni, upokorzony i zawstydzony, ale jego nie ma.

Sekundy zmieniają się w minuty.

Sprawdzam jeszcze raz adres, który dała mi Amy. To musi być dom Jessie. Więc jeśli mam rację, że tam w środku rozpada się jakiś związek, to prawie na pewno jest to związek Jessie i Człowieka Bez Butów.

Wybieram numer telefonu Jessie, który dostałem od Amy razem z adresem, ale włącza się tylko poczta głosowa. Jest druga czterdzieści pięć, i jestem już piętnaście minut spóźniony na spotkanie z Jessie.

Powinienem zostawić wiadomość i zwać, ale wciąż widzę zaciśnięte pięści i tę wściekłą twarz mężczyzny, i wyraz szaleństwa na niej, który coraz bardziej przypomina Normana Batesa z *Psychozy*...

Wysiadam z Rzęcha i patrzę na dom.

Gdybym był gliną, prawdopodobnie w tym właśnie momencie zadzwoniłbym po posiłki. „Hutch, tu Starsky. Zadzwoń do Huggyego”. Albo: „Riggs, tu Murtaugh. Siedzę na bombie!”.

Ale ja nie jestem gliną. Jestem ogrodnikiem i coś mi mówi, że żaden z moich kumpli z Greensleeves nie będzie miał

ochoty poświęcić spokoju własnego popołudnia na ratowanie miru domowego jakiejś nieznajomej. Nie, to jest coś, z czym muszę sobie poradzić sam.

Myśliwiec i promień ściągający

Drzwi frontowe do domu są wciąż kusząco uchylone.

Przyciskam lśniący mosiężny dzwonek, ale nie działa.

Gdy wchodzę do szerokiego holu wejściowego w biało-czarną szachownicę, słyszę głośnie krzyki. I piski. A nawet od czasu do czasu bolesny ryk, jakby cielącej się krowy.

Zamieram.

Dom jest tak wielki, że początkowo trudno jest się zorientować, skąd pochodzą te dantejskie dźwięki.

Czuję się także zdezorientowany przejściem z jasnego światła dziennego do tego chłodnego mroku, i przypominam sobie, jak się zgubiłem w Muzeum Historii Naturalnej na szkolnej wycieczce, gdy miałem siedem lat, i nie potrafiłem się zorientować, z której strony woła mnie nauczycielka historii.

Kiedy moje oczy przywykają do mroku, widzę, że po lewej i prawej stronie są podwójne drzwi, a przede mną marmurowe schody. Z wysokiego sklepienia zwisa oszałamiający kryształowy żyrandol w stylu art deco, a w powietrzu unosi się gryzący zapach politory. To staroświecki dom, pełen antyków i pozłacanych lusterek, ale wszelki efekt wspaniałości psuje chaos na pół rozpakowanych pudeł, rozrzuconych po podłodze.

I roztrzaskana butelka białego wina u podnóża schodów... Krzyki na chwilę milkną.

- Halo? - wołam, uznając, że powinienem obwieścić swoją obecność, jako że formalnie rzecz biorąc, wtargnąłem tu nielegalnie, a jeśli jednak nie jestem świadkiem zerwania i, choć to mało prawdopodobne, Człowiek Bez Butów naprawdę jest tajnym agentem, to miałby pełne prawo mnie rozwalić ze swojego walthera PPK.

Odpowiada mi tylko echo mojego własnego głosu. Potem znów słyszeć krzyki.

Gdy przechodzę przez hol, słyszę je wyraźniej: „maminsynek z mikroskopijnym fiutkiem”, „psychotyczna zdzira”, „sukinsyn-alkoholik” i „botoksowana suka”, jedno po drugim.

Uzmysławiam sobie też, że owe mało pieszczotliwe określenia dochodzą zza drzwi ukrytych po prawej stronie u dołu schodów.

Serce zaczyna mi bić mocniej, bo słyszę trzask rozbijanego przedmiotu i krzyk kobiety.

Kiedy jednak podbiegam do otwartych drzwi pomieszczenia, które okazuje się ogromnym atrium, natychmiast widzę, że uczyniłem pochojne założenie.

Krzyku nie wydała wcale kobieta, tylko mężczyzna.

Człowiek Bez Butów kuli się naprzeciwko mnie, za rat-tanową sofą, otoczony skorupami porozbijanej ceramiki. Wygląda jak z góry skazany na przegraną statysta z *Plutonu*, przygwożdżony ogniem z karabinu maszynowego.

- Bądź rozsądna - krzyczy.

- J a ? - brzmi odpowiedź kobiety, która pozostaje poza zasięgiem mojego wzroku, za drzwiami, gdzieś po mojej prawej stronie. - Roland, jak śmiesz, kurwa, mówić mi „bądź rozsądna”. A czy ty byłeś rozsądny, kiedy wzięłeś swój zwiędły frędzelek i wsadziłeś go tej małej dziwce?

- Na miłość boską - zaczyna protestować Roland. - Już ci mówiłem...

Chcę się pochylić do przodu, żeby zajrzeć za futrynę i zobaczyć kobietę, która wymyśla Rolandowi, ale zmieniam zdanie, bo na wysokości mojej głowy przelatuje i rozbija się o ścianę za rattanową sofą jakaś roślina w doniczce, obsypując głowę obłąkanego Rolanda kolejnym gradem odłamków i ziemią z *Aucuba japonka*.

- Dobra - ryczy on - dość tego, kurwa. Tylko daj mi te pieprzone buty!

- Chodź i weź sobie - warczy kobieta.

On okręca się dookoła, jakby miał zamiar rzucić granat nad sofą, potem wstaje, żeby stawić czoło wrogowi jak mężczyzna.

Muszę przyznać, że lepiej by się tego nie dało zsynchronizować.

On wstaje.

Ona rzuca.

On się uchyla.

Za późno.

Pierwszy but (chyba lewy) wali Rolanda w szczękę. Drugi uderza go w kostki dłoni, bo podniósł ręce, żeby osłonić twarz.

To by nawet było zabawne, jako odcinek *Swędzacza i Drapacza z Simpsonów*, ale Roland nie jest bohaterem kreskówki. Krzyczy z bólu i gorączkowo maca wokół siebie po podłodze, jakby buty były tak śliskie jak para ryb.

Robi się tym mniej zabawnie, że zaraz po włożeniu butów Roland zauważa mnie.

- Kim pan jest? - brzmi pierwsze pytanie. - Kto to jest, u diabła? - drugie skierowane jest do niewidocznej części pokoju, ponieważ ja nie odpowiadam.

- O kim ty mówisz, do cholery? - pyta kobieta, której wciąż nie widzę.

- Yy, o mnie - w końcu ryzykuję ujawnienie się.

Dopiero teraz mogę w pełni docenić wspaniałość tego pokoju. Można by tu zmieścić kilka autobusów piętrowych jeden koło drugiego, i wciąż jeszcze znalazłoby się miejsce dla stołu bilardowego. Jednak pomieszczenie pełne jest roślin, wielkich roślin. Wielkich jak w *Parku jurajskim*. Takich, które wyglądają, jakby mogły się nagle pochylić i odgryźć ci głowę.

Mój wzrok przeskakuje od *Pogonatherum saccharoideum* przez *Convolvulus* do *Yucca gloriosa* - aż wreszcie zatrzymuje się na niej, autorce wszystkich wrzasków.

O w mordę!

Wygląda, jakby wyszła z reklamy bielizny Wonderbra (muszę przyznać, że pozwoliłem sobie parę razy w życiu na taką fantazję). Ale to jest rzeczywistość. Ona jest prawdziwa.

I wysoka. I ciemnowłosa. I wyćwiczona jogą. I ciut po czterdziestce. I niesamowicie zmysłowo zaokrąglona i niesamowicie cycata.

Nie ma też na sobie nic prócz białego biustonosza i majtek.

Bierze na wpół wypalonego papierosa z popielniczki i zaciąga się długo i elegancko, a potem zerka przez liście jak amazońska wojowniczką - na mnie.

Rany... co to za spojrzenie. Czuję się jak jeden z myśliwców TAI w *Gwiezdnym wojnach* złapany przez generator promienia ściąającego Gwiazdy Śmierci. Albo jak królik w świetle reflektorów pędzącego samochodu. Wiem, że to spojrzenie jest niebezpieczne, ale jakoś nie mogę się poruszyć.

Jest hipnotyzujące, rozkazujące, obezwładniające...

- Jak on tu, kurwa, wszedł? - żąda odpowiedzi Roland, pośpiesznie zawiązując sznurówki. - Dlaczego, kurwa, on ma klucze?

Oczekuję, że ona powie mu prawdę (równie, kurwa, wulgarnym językiem): że jestem, kurwa, ogrodnikiem, który, kurwa, przyszedł, żeby, kurwa, pogadać o jej, kurwa, ogrodzie. O-kurwa-kay?

Ale ona milczy.

Za to dostrzegam w jej oczach złośliwy błysk, gdy gasi papierosa w doniczce i rzuca:

- Nie twój cholerny interes, k i m on jest. To, z kim się spotygam, nie ma nic wspólnego z tobą, Rolandzie. Już nie.

Zaraz, zaraz. Z kim się s p o t y k a m? To nie wygląda dobrze.

Już nie jestem ogrodnikiem.

Stałem się seksualnym obiektem przetargowym.

Zwracam się twarzą do Rolanda, który właśnie wydał taki dźwięk jak kobra, gdy się na nią nadeptnie bosą stopą podczas jej sjesty.

Kiedy do mnie podchodzi, żałuję, że nie mam na sobie kombinezonu Greensleeves (tak, one naprawdę mają zielone rękawy). Albo że nie posiadam jakiejś legitymacji, którą mógłbym mu machnąć przed nosem jak amerykański policjant.

„Wszystko w porządku, sir. Nie ma powodu do obaw. Wcale nie posuwam tej pani. Jestem tu w celach czysto zawodowych. Wie pan, jestem dyplomowanym architektem krajobrazu”.

Zamiast tego mówię:

- Hej, gostek. Coś ci się pomyliło.

Roland gapi się na mnie, jakby z moich ust właśnie uleciał żywy nietoperz.

- Czy mi się zdaje, czy właśnie powiedziałaś do mnie „gostek”? - pyta.

Rozumiem jego oburzenie i nawet obrzydzenie, że ktoś go tak nazwał. Szczerze mówiąc, mnie też trudno uwierzyć, że to powiedziałem. Nigdy tak do nikogo nie mówię. Muszę być bardziej spanikowany tą sytuacją, niż myślałem.

- Nie chciałem.

- Więc nie rób tego.

- Nie będę.

Ale Roland już mnie nie słucha. Jego uwaga znów skupia się na niej.

- Wiedziałem. - Twarz purpurowieje mu dokładnie w taki sam sposób jak Benowi, gdy właśnie zapełnia pieluchę. - Wiedziałem, że też kogoś masz, ty zakłamana pieprzona suka.

„To może ja przyjdę później”.

Naprawdę chcę to powiedzieć głośno, ale nie mówię, tylko myślę.

- Nie nazywaj jej tak, złamasie.

Naprawdę chcę to tylko pomyśleć, ale, niestety, mówię głośno.

Miałem zamiar to tylko pomyśleć, ponieważ w tej sytuacji (czyli kłótni, w której ta kobieta nazwała już Rolanda nierozsądnym, bzykającym zdziroy maminsynkiem o mikroskopijnym fiucie) jego wulgarnej odzywki nie można uznać za eskalację słownych działań wojennych.

Nazwałem go głośno złamasem dlatego, że zwrotu „zakłamana pieprzona suka” używał w pijackim bełkocie mój ojciec w niezwykle przykrej, toksycznej, alkoholowej, konfliktowej fazie, którą przechodzili z matką na krótko przed

tym, jak ojciec odszedł i „wymienił ją na nowszy model” (to jego niedawne słowa, nie moje).

Nie odważyłem się wtedy stawić czoła ojcu, ponieważ miałem tylko osiem lat, a on był groźnym, tyranizującym nas draniem, i chociaż ja i on byliśmy dla siebie uprzejmi przez większość mego dorosłego życia, cały czas żałuję, że się z nim porządnie nie rozmówiłem. Jak się okazuje, do tego stopnia, że moja podświadomość postanowiła znaleźć sposób na katharsis.

A Roland jest klasycznym obiektem przeniesienia, to pewne. Po pierwsze, jest ode mnie starszy o co najmniej dziesięć lat. I bardziej krępy niż ja, całkiem jak mój ojciec. Tylko że waga mego ojca była głównie efektem picia guinnessa i pożerania ciasta, a masa tego gościa - co zauważam, gdy podchodzi bliżej - pochodzi z siłowni.

Już za późno, żeby się wycofać.

A poza tym, jak twardy może być facet o imieniu Roland?

Gdyby miał na imię Gary, wtedy, okay, miałbym powody do obaw. Gary to ulicznik. Gary prawdopodobnie dorasta! na rynsztokowym osiedlu w ubogiej części śródmieścia i zna parę przykrych sztuczek. Imiona Dave czy Tel także mogłyby zapalić lampki alarmowe. Oba sugerują zimnych drani.

Ale Roland? Roland? Jak rolada, miękkie ciasto, ciepłe kluchy. Przecież w kronikach historycznych nie figuruje żaden Roland Groźny czy Roly Niszczyciel, prawda? (Tak naprawdę jedyni Rolandowie, jacy mi w ogóle przychodzą do głowy, to grubas w okularkach z serialu *Grange Hill*, z około 1982 roku, i ten ponury z zespołu Tears for Fears - a u niego jedyną przerażającą rzeczą była fryzura skręcona mocnym żelem).

- Co ty, kurwa, powiedziałeś? C o, kurwa, powiedziałeś? - Ten Roland naprawdę zadaje to pytanie dwa razy, jakby nie dość wrzasnął na mnie za pierwszym razem.

Bo wrzasnął.

A może ma jakąś wadę wymowy, przez którą nie może przestać się powtarzać. W takim wypadku możemy stać tutaj jeszcze długo.

Odrobina jego śliny ląduje na moim policzku. Stoi tak blisko mnie, że widzę jego soczewki kontaktowe (barwione na niebiesko, wielka podróba) i czuję jego oddech (cuchnie lazanią z puszek, co przywodzi mi na myśl pomyje, które pani Smith i pani Davies, kucharki z piekła rodem, serwowały w mojej podstawówce i żeby było śmieszniej, nazywały je lunchem).

- No... - staram się emanować spokojem i ogłada. - Ta „pieprzona suka”, to niezbyt miłe.

Patrzy mi prosto w oczy.

- Chcesz się dowiedzieć, co jeszcze jest niemiłe?

„No, mógłbym długo wyliczać. Brokuły, konserwy wołowe, adwokat, flaki, adwokat i flaki razem, rozwód, egzaminy, kinderbale i nie zapominajmy, oczywiście, o śmiercionośnym, obrzydliwym, belzebubim oddechu Rolanda...”.

Ale w tym momencie uświadamiam sobie, że Roland nie pyta po to, by poznać odpowiedź. Zdradza go sposób, w jaki to mówi, jakby wypowiadał wyuczoną kwestię, którą usłyszał w jakimś filmie - w dodatku prawdopodobnie chałwatym. Pewnie z Chuckiem Norrisem, Sylwestrem Stallone'em lub Vinem Dieslem, gdzie Chuck, Sły czy Vin zabawiają jakiegoś naiwnego, nieszczęsnego durnia właśnie taką dowcipną uwagą, na sekundę przedtem, zanim zacisną pięść i...

Efekt Florence Nightingale

Prask!

Obracam się w zwolnionym tempie, jak tancerz wyciągający ręce po dłonie partnerki, ale nikt mnie nie łapie, więc padam sromotnie na ziemię.

Kontury pokoju rozmazują się. W głowie mi szumi. Czuję się, jakby spuchła mi dziesięciokrotnie, niczym piłka plażowa, którą ktoś podłączył do pompki do opon samochodowych.

Gdy zaczynam odzyskiwać ostrość widzenia, leżę płasko na plecach i gapię się przez listowie atrium na błękitne niebo, wysoko, wysoko nade mną.

Nawet nie zdążyłem się spostrzec, kiedy zadał mi cios. Jeśli to był cios, myślę oszołomiony, a nie kula z uzi albo naładowany ołowiem kij baseballowy w łapie goryla, który przedawkował sterydy - bo tak właśnie się czuję.

Moje oczy namierzają Rolanda, który wchodzi chwiejnie w zasięg mego wzroku. Stoi nade mną i się gapi.

- O... - zaczynam. Chciałem powiedzieć: „Odejdź ode mnie, ty ociekający testosteronem, antyspołeczny, psychopatyczny, sadystyczny draniu”, ale mój wstrząśnięty mózg i usta nie mogą w tej chwili sklecić tego zdania.

Na Rolandzie nie robi to wrażenia. Wciąż popisuje się wyćwiczoną przed lustrem postawą bokerską, wymanikiuro-wane łapska ma zaciśnięte w pięści.

Potem, zszokowany i zdumiony, widzę, jak lekko przestępuje z nogi na nogę i pozwala sobie na okrutny uśmiech satysfakcji. Jakby był zawodowcem. Właśnie znokautował championa, bo tak naprawdę jesteśmy w Vegas, otoczeni migającymi fleszami aparatów fotograficznych, a sędzia odlicza do dziesięciu. Teraz pozostaje tylko czekać na olśniewającą modelkę w bikini, która udekoruje tors Rolanda lśniąca szarfą.

Pozer i palant.

- Nie ruszaj się - warczy.

Jakbym miał jakiś wybór. W uszach syczy mi jacuzzi, a moje nogi podrygują słabo, jakbym udawał zdychającą muchę.

I wtedy ona go chwyta. Od tyłu. Bez ostrzeżenia. Jak ninja. Chwyta go kleszczowym uściskiem za kark i za prawe ramię.

Wygląda to tak, jakby bardzo zasadnicza nauczycielka wu-efu wyrzucała z klasy wyrównawczej krnąbrnego ucznia. Albo jakby ten chudy, zamaskowany karateka o nazwisku Kendo Nagasaki rozkładał na łopatki rzekomo niepokonanego

brodatego olbrzyma w walce zapaśniczej. Albo jakby Urna dopieprzała wszystkim w *Kill Bill*. Innymi słowy, jest kapitalnie.

Ta kobieta to czysta poezja. Jestem jej fanem numer jeden.

- Naprzód, dziewczyno - udaje mi się wymamrotać. Czuję się całkiem jak podniecony nastolatek, który patrzy z podziwem, jak ona siłą wyprowadza Rolanda z pokoju i z zasięgu mego wzroku.

Gdybym miał flagę, to bym nią zamachał. Albo chociaż pompony cheerleaderek. Nie jestem dumny. Zostałem stworzony do miłości, nie do walki. Natomiast ta kobieta najwyraźniej ma nerwy ze stali.

Zawdzięczam jej wspaniałe przedstawienie.

I jestem wdzięczny, że on zniknął.

Nie raz oberwałem - choćby od ekschłopaka Sally (tej, której imienia nie wolno wymawiać) McCullen, Jonsa - ale to było dawno temu, a ostatnio straciłem wprawę. Cholernie mnie boli.

Dwie minuty później moja ubrana w biustonosz i majtki wybawicielka wraca, pomaga mi wstać i prowadzi mnie do rattanowej sofy, na której sadza mnie ostrożnie.

Gdy odgarnia z twarzy falistą grzywkę koloru kawy, zauważam, że ma piękne niebieskie oczy.

Przypomina mi Raquel Welch w filmie *Milion lat przed naszą erą*, i czuję, jak żołądek fika mi koziołka.

Ona patrzy na mnie, a na jej twarzy walczą współczucie i gniew.

Ja tymczasem próbuję nie gapić się na jej imponujący dekolt, który moje widzenie obwodowe już zarejestrowało jako absolutnie zabójczy i znajdujący się zaledwie kilka cali ode mnie.

Próbując skoncentrować uwagę na czym innym, niepewnie dotykam ust i spoglądam na czubki swoich palców. Są czerwone od krwi.

- Rozciął panu wargę - mówi ona - ale proszę się nie martwić. Nie jest tak źle.

Teraz, gdy już nie rzuca mięsem, ma miły głos, i akcent z wyższych sfer, ale taki, który zdradza też inteligencję.

- Przyniosę lód. Proszę tu poczekać.

„A właśnie miałem zamiar pobiec za Rolyem i dać mu nauczkę...”.

- Jedno pytanie.

- Jakie?

- Pani jest Jessie, tak?

- Tak.

- O, to dobrze. Bo bardzo nie chciałbym zachłapać krwią niewłaściwego domu.

Zdobywa się na uśmiech.

Niecałą minutę później jest z powrotem, owinięta - co za rozczarowanie - w puszysty biały szlafrok. Czuję, jak coś zimnego i twardego przywiera do mojej wargi.

- Cctt? - syczę.

- To lód Magnum. - Może się panu trochę lepić twarz, ale dzięki temu opuchlizna szybciej zejdzie.

Gdyby nie ból szczęki, zacząłbym chichotać z powodu tej mimowolnej dwuznaczności. Biorę od niej loda.

- A ja myślałem, że popularniejszym sposobem jest mrożony groszek.

- Nie jem mrożonych warzyw - odpowiada ona. - Są takie pospolite.

Mówi do faceta, który przez całe dzieciństwo i wczesną młodość był przekonany, że warzywa rosną w plastikowych woreczkach, ale milczę.

- Prowadzę stragan z ekologicznymi warzywami w Queen's Park - informuję ją zamiast tego. „Dla mojego szefa”, już mam dodać, ale zmieniam zdanie i o tym też nie wspominam. Bo Jessie myśli, że pracuję na swoim.

- Świetnie. Czy będzie pan mógł dostarczyć mi ich trochę raz w tygodniu? - pyta.

- Jasne.

- Połowę owoców, połowę warzyw.

- Nie ma sprawy. Naprawdę, żaden problem.

- Może pan je przywieźć, gdy przyjedzie pan następnym razem.
Serce mi łomocze.

- To znaczy, że pani chce, żebym dla niej pracował?

- Oczywiście. Chcę, żeby pan zajął się ogrodem i wszystkimi roślinami w domu.

- Ale jeszcze o tym nawet nie rozmawialiśmy. - Chcę przez to powiedzieć, ma się rozumieć, że nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach.

- Nie musimy.

- Nie?

- Nie. Przecież właśnie stanął pan w mojej obronie. I chętnie zapłacę każdą pańską aktualną stawkę...

Na to oczywiście nie ma odpowiedzi, więc trzymam gębę na kłódkę.

Jednak nie mogę powstrzymać bolesnego uśmiechu. Bo oto jest. Mój pierwszy występ solo. Tak po prostu. Odgałęzienie zaczęło rosnać. Już widzę te wizytówki.

- Niech pan zdejmie koszulę - poleca Jessie i zaczyna mi ją rozpinąć, nie czekając na reakcję.

- Po co?

- Jest na niej krew. Jeśli ją od razu namoczę, szybko zejdzie.

A więc ona jest nie tylko świetnie opłacaną gospodynią programu radiowego i mistrzynią wschodnich sztuk walki, ale także kopalnią praktycznej wiedzy. Czy jest coś, zastanawiam się, czego ta kobieta nie potrafi?

Nie przestaje mnie rozbierać. Mimowolnie wstrzymuję oddech z zażenowania i prostuję plecy. Mam świadomość, że jest to niewłaściwe zachowanie, łagodnie mówiąc. Powinienem z wdzięcznością przyjąć troskliwą pomoc medyczną od mojej nowej pracodawczynie, a nie zachowywać się jak nastolatek, który po raz pierwszy obnosi swój młody tors na plaży.

Ale nie da się zaprzeczyć. W tym wszystkim jest coś intymnego, coś zmysłowego. Gdy obserwuję palce Jessie odpinające mi guziki, aż do pasa, nie mogę powstrzymać myśli,

że wyraźnie ma w tym doświadczenie. Palce poruszają się z szybką sprawnością kleszczy kraba pod wodą, tak szybko jak druty do robótek - a gdy podnoszę wzrok, widzę, że ona patrzy na moją twarz, nie na swoje ręce. Wszystko, co robi, jest w tym dotyku...

Tylko raz traci wątek, na samym końcu - i nie mogę powstrzymać próżnej myśli, że celowo - gdy jeden z jej paznokci (pomalowanych na czerwono jak u wampa) muska niechcący moją skórę, tuż nad biodrem, w miejscu, które Amy z roztargnieniem zawsze głaszcze po seksie.

Amy.

To imię rozlega się w mojej świadomości jak trzaśnięcie z bicia. Aż się wzdrygam.

- Wszystko w porządku? - pyta Jessie. Udaję, że pocieram szczękę.

- Jasne - mówię - tylko ukłucie.

Poczucia winy, myślę. No bo gdyby Amy teraz tu weszła, to...

Ale c o właściwie zrobiłaby Amy? Co mogłaby zrobić? Okay, trzeba przyznać, że m a m y tu niewiarygodnie atrakcyjną kobietę, która właśnie staje za mną i zsuwa mi z ramion koszulę. Ale widać też krew na tej koszuli i na mojej wardze. Innymi słowy, są mocne dowody, że wszystko, co się tu dzieje, jest całkowicie legalne.

A jeśli nawet Jessie, ze słońcem sączącym się przez jej włosy na moją twarz, wygląda w tej chwili w moich oczach jak anioł, to prawdopodobnie objaw lekkiego wstrząśnienia mózgu. Albo coś w rodzaju Syndromu Florence Nightingale. Co absolutnie usprawiedliwia moje życzliwe do niej nastawienie. Jest całkowicie naturalne. I kompletnie niewinne.

Nie ma powodu, by mieć wyrzuty sumienia.

Jessie staje znów przede mną i patrzy na moją nagą pierś.

- Ćwicz pan, czy to po prostu praca? - pyta, delikatnie przykładając mi do wargi chusteczkę higieniczną, którą potem wkłada mi do ręki.

- Ee... i to, i to - kłamię.

W rzeczywistości, gdy byłem ostatni raz na siłowni, miałem na sobie adidasy marki Dunlop, trójkolorową opaskę w stylu Johna McEnroe'a, a na liście przebojów królował *Human League*.

Ale imponująca figura Jessie świadczy o tym, że jest ona fanatyczką fitnessu, a nawet ja wiem, że główną zasadą biznesu jest tworzenie więzi, bo ludzie lubią robić interesy z podobnymi sobie.

- Dzięki - mówi Jessie - za to, że próbował pan uspokoić Rolanda.

- Zrobiłbym to samo dla każdego - odpowiadam skromnie.

- Powinien pan nazwać swoją firmę ogrodniczą Sir Ga-wain.

- Ten od Zielonego Rycerza? - zgaduję.

- Ogrodnik z klasycznym wykształceniem - uśmiecha się Jessie. - Nieźle trafiłam, co?

- Raczej oglądałam za dużo filmów...

Zastanawiam się, czyjeż powiedzieć, że prawdziwą przyczyną mojej heroicznej postawy nie była ona, tylko moja relacja z ojcem, ale milczę. Po co psuć coś dobrego i przyznawać się do faktu, że moje tak zwane bohaterstwo to tylko spontaniczny wybuch freudowskiego gniewu? Jessie ma mnie za swego rycerza w lśniącej zbroi, a ja raczej przywykłem do wizji Amy, która postrzega mnie jako wieśniaka po kolana w gównie. Mógłbym polubić ten nowy wizerunek.

- Ale poważnie - ciągnie Jessie - był pan bardzo dzielny.

- Wymawia to słowo w taki sposób, że w moich uszach brzmi jeszcze bardziej *cool*. - Roland ma czarny pas w taek-wondo - wyjaśnia.

Raczej *tumando*, myślę.

- Pani też była niezła. Wywalić go z domu w ten sposób! Jeśli się pani kiedykolwiek znudzi radio, na pewno mogłaby pani zrobić karierę jako komornik albo bramkarz w klubie.

Przez twarz przemyka jej cień uśmiechu, który zaraz znika.

- To on mnie namówił na zajęcia z samoobrony - rzuca.

- Co za ironia, że na koniec użyłam jej przeciwko niemu.

- Czy on zawsze się tak zachowuje? - pytam.

- Jak?

Ocieram wargę chusteczką.

- Jak ktoś, komu przydałaby się kara sądowa za zbliżanie się do pewnych osób.

- Nie, a poza tym - dodaje - on chyba lubi być karany. To głównie o to się kłóciliśmy. Znalazłam w jego kieszeni wizytówkę. Proszę. - Podnosi z podłogi jakiś prostokącik i podaje mi.

Jest na nim zdjęcie młodej Azjatki ubranej w obcisły lateksowy kombinezon. Na głowie ma czapkę uniwersytecką z kwadratowym, płaskim denkiem, a w ręce trzcinkę do bicia. Napis pod spodem głosi: Ośrodek Poprawczy dla Niegrzecznych Chłopców Wdowy Chłostaczki. Jest też numer telefonu komórkowego.

- Zadzwoiłam na ten numer - ciągnie Jessie - i zapytałam, jakie oferują usługi. Połowa z nich była tak dziwaczna, że musiałam je sprawdzić w Internecie...

- Pokazała mu to pani?

- Oczywiście. Nigdy nie umiał kłamać, wszystko się wydało. Chodził na dziwki przez całe sześć miesięcy, gdy byliśmy razem. Gnojek. - Widzę łzy w jej oczach. Wyciera je ze złością.

- Może przyjdę kiedy indziej.

- Nie. W porządku. Nic mi nie jest. Tylko się ubiorę i przyniosę panu T-shirt. Niech się pan rozgości.

Kiedy pośpiesznie wychodzi, trudno powiedzieć, czy płacze, czy nie.

90DD

Kto nie marnuje, temu nie brakuje, myślę, odwijając loda Magnum i odgryzając kawałek.

Mmm. Bardzo dziwne wrażenie smakowe. Krew i czekolada. Krewolada. Połączenie ciekawsze, niż by się można

spodziewać. Może wyślę nawet e-mail do firmy i zasugeruję, żeby dodali ten smak do swojej oferty.

Czuję się o wiele lepiej, więc ryzykuję wstanie. Robię parę niepewnych kroków i dochodzę do wniosku, że zdecydowanie wracam do siebie.

Powoli przechadzam się po atrium. Moja kuchnia, największe pomieszczenie w mieszkaniu, jest długa na osiem kroków. Tu, jak obliczam teraz, jest dwadzieścia osiem.

To dom, o jakim zawsze marzyłem, będąc dzieckiem, ale w jakim jakoś nigdy nie udało mi się zamieszkać. I nie mogę się powstrzymać: wciąż widzę przebłyski tego innego życia, jakie mogło być moim udziałem.

Imprezy z Jude'em, Sienną, Keirą i całą paczką; rozrzucone po podłodze na wpół ukończone płótna; mój najlepszy kumpel, gwiazdor rocka, w kącie, nieprzytomny po szalonej nocy. I oczywiście, mój triumfalny powrót z ceremonii rozdania nagród Turnera; niania prowadzi mnie na górę do sypialni jak z Piotrusia Pana, gdzie wszystkie dzieciaki stoją rzędkiem, żeby dać tatusiowi buzi na dobranoc, zanim uda się on na kolację do Ritza.

Ale żeby się zanadto nie przygnębiać tą wizją utraconego życia, zaczynam podnosić połamane rośliny. Tulę je w ramionach, jakby były dziećmi, i wsadzam do pustych doniczek w kącie atrium.

- Na pewno jest pan ojcem - słyszę głos Jessie. Nawet jeśli wychodząc, płakała, na jej twarzy nie ma śladu

łez. Ubrana jest, jakby wychodziła na kolację, w czarny top na ramiączkach, długie białe spodnie i pantofle bez pięt ze sznurkową podeszwą.

- Tak - przyznaję. - A pani? Ma pani dzieci?

- Nie, ja jestem raczej typem bizneswoman. Stawiam na karierę.

Rzuca mi T-shirt z napisem „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”, ubieram się, a wtedy ruchem głowy pokazuje zasnutę pajęczynami szklane drzwi w kącie atrium.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

- Jasne. - Podchodzę, by do niej dołączyć. - A tak przy okazji, wspaniały dom.

Przekręca klucz w zamku.

- Należał do mojej mamy. Zmarła w zeszłym miesiącu. Czyli teraz jest mój. Nie znam się na roślinach. Roland powiedział, że powinnam się ich pozbyć i zmodernizować wnętrze, ale mama wszystkie sadziła sama, przypominają mi o niej, więc chcę je zatrzymać. Poza tym, Rolanda już nie ma, więc kogo obchodzi jego opinia?

Otwiera pchnięciem drzwi, przez które wlewa się światło. Idę za nią.

Na zewnątrz jest jak w raju, albo na jednej z ilustracji w książce *Wiejski pamiętnik edwardiańskiej damy*, którą w dzieciństwie czytała moja siostra. To ogród, jaki mieszkańcy przedmieść i wsi traktują jak coś normalnego, ale w tej części stolicy mógłby równie dobrze być wyłożony złotem.

- Więc jakie są rokowania? - pyta, gdy obchodzimy go dookoła, a ja dotykam palcami roślin. - Czy to nieuleczalne?

Zatrzymujemy się przy ławce obok szopy, która, jak reszta ogrodu, widziała już lepsze czasy. Jessie siada na niej i mruga, spoglądając w wieczorne słońce.

- Nie - odpowiadam - myślę, że wyjdzie z tego.

Jessie wstaje i się przeciąga, a potem, zrzucając buty, robi bardzo dziwną rzecz: powitanie słońca, eleganckie i pełne wdzięku.

Jest w tym coś tak spokojnego, tak intymnego, że muszę w końcu odwrócić wzrok. (Chociaż może to mieć coś wspólnego z jej tyłeczkiem o kształcie brzoskwini, wypiętym tuż przede mną).

- Więc będzie pan mógł się nim zająć? - pyta, trzymając ręce na biodrach i omiatając spojrzeniem ogród.

- Jasne. - Wykonuję w myślach kilka obliczeń, a potem szybko podwajam swoje szacunki. - Kompleksowa opieka zajmie jakieś sześć godzin w tygodniu.

- Aż tyle? - dziwi się ona, po czym szybko dodaje: - Och, cóż... chyba zawsze dobrze jest mieć przy sobie mężczyznę.

- Zerka na mnie. - W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać.

Nie znajduję odpowiedzi, co ją najwyraźniej bawi.

- Chodźmy - mówi. - Odprowadzę pana do drzwi.

I to też podoba mi się w tym domu, myślę, gdy idziemy do wyjścia. W moim mieszkaniu wystarczyłoby mi tylko pokazać palcem. Tutaj, dotarcie do wyjścia zabiera nam minutę.

- Cóż - mówię na pożegnanie, gdy stoimy już na zewnątrz

- cieszę się na współpracę z panią.

- Ja też.

- Przy okazji, jestem wielkim fanem pani programu. Patrzy na mnie filuternie.

- Raczej okropnym kłamczuchem.

Czuję, że się czerwienię. To się nazywa zostać przyłapanym.

- W porządku - mówi Jessie. - Mój program nie jest dla kogoś takiego, jak pan. Jest dla znudzonych ludzi, uwięzionych w domu.

Wzięłbym to za fałszywą skromność, ale ona wygląda, jakby mówiła poważnie. Myślę o Amy i o tym, jak błyszczały jej oczy, gdy mówiła, ile radości sprawia jej występowanie w programie Jessie. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby ją teraz usłyszała. Ale nie słyszy. A ja tego nie powtórzę. Po co jej psuć zabawę?

- Jeszcze raz chcę przeprosić - mówi Jessie. - Za to, co się stało wcześniej. Roland jest strasznie zazdrosny. Jak zobaczył, że wchodzi do mnie taki atrakcyjny młody człowiek, jak pan... no, po prostu nie wytrzymał. - Uśmiecha się do mnie. - Ale brawa dla pana, że nie dał się pan zastraszyć.

- Nie ma sprawy.

- Wspaniale było pana poznać, Jack. - Wyciąga rękę z udawaną oficjalnością.

Gdy ściskam jej dłoń, czuję w swojej coś chłodnego. Spoglądam w dół i widzę srebrny kluczyk Yale.

- To od bocznego wejścia - wyjaśnia. - Alarm jest wewnątrz, tuż na prawo.

- Jaki jest szyfr? - pytam, zarówno zaskoczony, jak i zadowolony z tego przejawu zaufania.

- 90DD - mówi z uśmiechem. - Mój rozmiar. Może pan wpadać, kiedy chce.

Ja też się uśmiecham i dokonuję szybkich obliczeń. Zazwyczaj kończę w Greensleeves o piątej.

- Prawdopodobnie będę przeważnie wczesnym wieczorem. Ponieważ jest lato, mamy jeszcze sporo słońca, a to najlepsza pora do podlewania roślin.

- O, to dobrze. Czyli prawdopodobnie będziemy się często widywać. W domu dzwoni telefon. Jessie marszczy brwi.

- To pewnie on. Chce się pogodzić.

- Co mu pani powie? - pytam.

- Żeby się pieprzył, bo na mnie nie ma co liczyć. Już nie. Powiedziawszy to, znika w domu, bez oglądania się, niedbale zatrzaskując za sobą drzwi.

„Atrakcyjny młody człowiek...”.

Wsuwam klucz do kieszeni i idę w kierunku Rzęcha, wyprostowany jak Sir Gawain. Czuję się dobrze. Czuję się szlachetny i dzielny. Czuję się, jakbym rozpoczął karierę, i chyba tak jest. W końcu właśnie zacząłem pracować na swoim.

Dopiero gdy wsiadam do Rzęcha, uświadamiam sobie, że chociaż spotkaliśmy się dzięki Amy, Jessie ani razu o niej nie wspomniała.

Ja też nie.

Nawet pchły to robią

Ósma wieczorem. Jestem wykończona. Dziś po południu byli tu Louis i Finny. Bawili się z Benem i razem mało nie roznieśli mieszkania. Powyciągali wszystkie zabawki i obrzucali się jedzeniem. Właśnie zbieram ostatnie kupki galaretki z patio, gdy uświadamiam sobie, że Jack wrócił i zakrada się do mnie od tyłu.

Zamyka mnie w ciasnym uścisku, a ja wstaję, odwracam się i kładę mu głowę na piersi. Jest cudownie. Wydaję z siebie długie westchnienie. Zawsze zapominam, że Jack tak niesamowicie umie tulić i że pasuję do niego jak fragment układanki. Gdy jestem w jego ramionach, zawsze czuję się znów jak kobieta, a nie robot do sprzątania. Słucham regularnego, równego bicia jego serca i przez jedną sekundę w moim zwariowanym dniu przeżywam chwilę niezmaconego spokoju.

Ale nie mogę tak trwać zbyt długo. Jestem zbyt podniecona. Płonę z ciekawości, czy dostał pracę ogrodnika Jessie.

Więc się odsuwam. Już mam zadać pytanie, gdy zauważam jego twarz.

- Co ci się stało? - Jego górna warga jest grubsza i chyba też krwawiła, jakby go ktoś uderzył.

- A, to. - Dotyka ust. - Nic.

- Jak to nic? Co się stało? Jack się krzywi.

- Wiesz... klasyczny błąd z podręcznika ogrodnictwa. Stałem na grabie i walnęły mnie w twarz.

Śmieję się i gładzę go po włosach.

- O, moje biedactwo. Bolało?

- Byłem zaskoczony i tyle. Przez własną głupotę.

- Wyglądasz inaczej.

- Tak?

Ciągnę go za T-shirt. Jest żółty i ma napis „Bliskie spotkania”.

- Skąd to masz?

- Ach. - Jack spogląda na swoją koszulkę. - Tamta była poplamiona krwią. Musiałem pójść kupić nową.

- Nie wygląda na nową.

- Ee... yy... bo nie ma wyglądać. Ma wyglądać na używaną. Retro. Taka moda.

- Ale...

Jack nachyla się blisko.

- Hej, zapomnij o tym - przerywa mi, bierze mnie palcem pod brodę i ciągnie moją twarz ku swojej. - To nieważne.

Zawsze miałam słabość do Jacka, gdy jeszcze zajmował się sztuką. Wydawał mi się taki sexy, cały powalany farbą, z oczami zmęczonymi od wysiłku. Podobnie było, gdy zaczął pracować w Greensleeves. Lubiłam, jak mnie uwodził, gdy wracał z pracy, cały spocony i męski, ale nie robił tego już całe wieki. Jestem zaskoczona, widząc w jego oczach to nieme pytanie.

Całuje mnie. Jego warga jest spuchnięta i ma metaliczny smak. Odsuwam się.

- A... nie, nigdzie nie pójdziesz. - Przyciąga mnie z powrotem.

- Jack...

- Ćśśś. - Całuje mnie znowu.

- Ale...

- Gdzie jest Ben? - pyta cicho.

- Śpi.

- A Kate?

- Wyszła.

- To dobrze.

Całuje mnie mocniej. Kładę mu dłonie na piersi.

- Zaraz. Poczekaj chwilę. Dostałeś?

- Co?

- No, pracę u Jessie, oczywiście.

- Mhm.

Piszczę z radości i zarzucam mu ręce na szyję. Nie posiadam się ze szczęścia.

- Musimy to jakoś uczcić!

- Przepraszam, ale... właśnie to robię, pani Rossiter. - Podnosi mnie i okręca w kółko. Potem znów zaczyna mnie całować i jednocześnie coś do mnie mówi. Prowadzi mnie tyłem, zzuwając po drodze buty. Chichoczę.

- Ale... ale... jak było? - pytam wśród pocałunków. Muszę wiedzieć więcej. Muszę się dowiedzieć wszystkiego o Jessie. To jest zbyt ekscytujące.

- Gdzie?

- U Jessie?

Nie odpowiada. Zamiast tego łapie mnie za pośladki i przyciąga mocno do siebie. Nie ma najmniejszych wątpliwości, co ma w głowie i w bokserkach. Wydaje z siebie zduszony pomruk, a ja się śmieję.

- Jaki jest jej dom? - nalegam.

- Okay - jego głos jest chrapliwy i natarczywy. Nie zwraca uwagi na to, co mówię.

- Tylko okay? A ona, poznałeś ją?

- Mhm. - Pociąga za mój pasek i odpina klamrę.

- I? - pytam. - Jaka ona jest?

- No wiesz. Nic specjalnego. Trochę przyciężka. Przeterminowana.

Znów mnie całuje. „Przeterminowana” to wyrażenie Jacka opisujące starsze kobiety, które w jego opinii najlepsze czasy mają nieodwracalnie za sobą. To okropne, seksistowskie, dyskryminujące słowo, ale zawsze mnie śmieszy, ze względu na to, że nigdy nie używa go w stosunku do mnie.

Jack wsuwa rękę pod mój T-shirt i odpina mi ramiączko stanika. Śmieję się i wydaję okrzyk, a on manewruje mną w kierunku salonu i sofy.

- Mam zamiar cię posiąść, żono - mówi z zabawnym akcentem z wyższych sfer. - Gotuj się!

Ale ja nie jestem gotowa. On nie może się tak po prostu na mnie rzucać. Muszę zrobić siusiu. Muszę się przebrać z moich wygodnych mamusinych spodni w coś bardziej seksownego. Potrzebuję makijażu, perfum, odświeżacza do ust...

Ponieważ, w odróżnieniu od Jacka, moje libido wciąż jest mocno uśpione. Mimo że lubię jego zaloty i chcę na nie zareagować, jest mi o wiele trudniej niż jemu przełączyć się na tryb „pożądanie”.

Nie zrozumcie mnie źle, uwielbiam seks z nim, ale ciężar codziennych domowych obowiązków nie wpływa najlepiej na moją seksualność. Bo dla mnie ochota na seks jest absolutnie niekompatybilna ze zmienianiem pieluch, karmieniem dziecka, gotowaniem, robieniem zakupów i nieustannym sprzątaniami. Znaczna część mojej osobowości przepada bezpowrotnie, gdy w pobliżu jest Ben.

Jack przewraca mnie na sofę. Znowu wydaję okrzyk, bo coś mi się wpija w plecy. Jack zagląda za mnie, wyciąga spomiędzy poduszek ciężarówkę Boba Budowniczego i ciska ją na drugą stronę pokoju.

- Chodź tu, ślicznotko - mówi już swoim normalnym głosem.

Chcę się czuć zmysłowo, naprawdę chcę. Chcę być tą dziewczyną, jaką według Jacka jestem, ale nic na to nie poradzę - mój umysł wciąż działa w trybie dziennym.

Więc kiedy Jack zaczyna mnie pieścić, ja zastanawiam się nad tym, czy nastawiłam zmywarkę i co zjemy na kolację. Staram się jak mogę myśleć o czymś seksownym, ale wciąż krążą mi po głowie *Główny podejrzany* i *Taniec z gwiazdami*, a potem zakupy internetowe. Czy powinnam kupić tę bluzeczkę ze strony Top Shopu, czy nie będę w niej wyglądać głupio?

Jack musi wyczuwać, że myślami jestem gdzie indziej, bo po chwili przerywa. Idzie do kuchni i wraca z butelką wina i dwoma kieliszkami.

Podwijam kolana pod siebie i uśmiecham się do niego.

- Co jest? - pyta, a ja od razu wiem, że rozumie i doskonale czuje, co się dzieje w mojej głowie.

Otwiera wino i nalewa mi do kieliszka.

- Chciałabym, żebyś mi opowiedział więcej o dzisiejszym dniu.

- Co chcesz wiedzieć?

- W i e s z, co chcę wiedzieć. Wszystko.

Tak naprawdę chcę się dowiedzieć, czy Jessie mówiła coś o mnie. Czy Jack wie, co mówiłam w radiu. Czy ona robiła jakieś aluzje do moich występów w jej programie. Nawet jeśli robiła, Jack nie wydaje się zbyt przejęty.

- Mówiła coś o tym programie?

- Trochę. - Jack wręcza mi kieliszek wina i siada koło mnie na sofie. Jego dłoń wędruje po moim brzuchu, a ja instynktownie wstrzymuję oddech. Jack pochyla się i całuje mnie w kark.

- No więc co mówiła?

- Nie chcę o niej rozmawiać. Nie teraz. Później. Teraz bardziej mnie interesuje to, co m y robimy.

- Okay. - Całuję go w czoło. - Ale najpierw... - Wznoszę kieliszek. - Za ciebie. Za to, że jesteś najbardziej fantastycznym mężem na świecie. Jestem z ciebie taka dumna, mój Jacku.

Trącamy się kieliszkami, a gdy spotykamy się wzrokiem, mój żołądek wywraca fikołka. I moje libido przystępuje do działania. I cała jestem jego.

I nagle leżymy razem nago na sofie w spoconej płataninie rąk i nóg, i jest wspaniale.

- Wiesz, co sobie pomyślałem... może włączymy to DVD? - szepcze Jack.

- Tego pornosa, którego dostałeś od Matta? Jack uśmiecha się i unosi brwi.

- Czemu nie?

- Och... nie wiem. Ja właściwie nie...

- Nie bądź pruderyjna.

- Nie jestem.

Tak naprawdę dopiero się rozkręcam i nie chcę się rozpraszać.

- Bo wierz mi, wszyscy oglądają pornosy. - Jack sunie ustami między moimi piersiami i całuje mój brzuch.

- Wszyscy? Naprawdę? - Nie mogę sobie wyobrazić Ca-milli czy Faith oglądających porno.

- Oczywiście.

- Ja nie znam nikogo, kto ogląda.

- To dlatego, że o tym nie mówią. Bo to nie jest poprawne politycznie. Nikt nie chce przyznać, że robi coś wątpliwego moralnie czy kibicuje czemuś, co jest w pewnym sensie wyzyskiem, ale i tak wszyscy to robią.

- Ale...

- No, będzie fajnie.

Śmieję się, a Jack zeskakuje z sofy i wyszukuje DVD. Wraca i siada koło mnie.

- Okay, wybierz numer, od jednego do sześciu.

- Pięc.

Jack kieruje pilota na telewizor, przyciska „Wybór scen” i film się zaczyna. Mój mąż pochyla się i całuje mnie, a ja oddaję pocałunek, ale czuję się trochę groteskowo, zwłaszcza gdy widzę, co się dzieje za jego głową.

- Co jest? - pyta Jack.

- Nic.

- Cała się spięłaś. O co chodzi?

- O tego faceta.

- Którego? - Jack odwraca głowę, żeby spojrzeć na ekran.

- Tego po prawej... o, nie... teraz on jest po lewej.

- Obok tej brunetki?

- Nie, tej z kucykami.

- Co z nim?

- Chodzi o jego...

- Co jego? Przygryzam wargę.

- Jego, no wiesz... ptaszka.

Jack przygląda się uważnie.

- O Boże! Jest ogromny.

- Nie o to chodzi. Tylko że... nie uważasz, że wygląda trochę jak Yul Brynner w golfie?

Jack wybucha śmiechem, schodzi ze mnie i siada obok. Patrzymy przez chwilę i zgodnie przechylamy głowy, pod tym samym kątem co obraz na ekranie.

- Chyba nie jest im zbyt wygodnie - mówi Jack.

- Ona wyraźnie nie ma nic przeciwko temu.

- Ta w kucykach?

- Nie, ta, która właśnie wsiadła na Yula Brynnera. Biorę kieliszek i upijam łyk wina.

- Myślisz, że oni o tym rozmawiają? - pytam.

- O czym?

- Co będą robić. Wiesz, o kolejności, w jakiej to zrobią. Jak o układzie tanecznym.

- Masz na myśli, z choreografem? - Patrzy przez chwilę na ekran. - Nie, to raczej improwizacja.

- Nawet dialogi? - pytam. - Chyba nie sądzisz, że ktoś im pisze scenariusz?

- Nie, nie, Rudi - odzywa się Jack groteskowym akcentem. - Stop. Nie „zwijaj kabel”. Jeszcze rrraz. Kfestia bszmi „Ciągnij druta!”. Okay?

- A co potem? - pytam ze śmiechem. - Myślisz, że ściskają sobie ręce? I wymieniają wizytówki. I gratulują sobie osiągnięć.

- Albo obciągnąć...

Oboje chichoczemy jak uczniaki.

- Och, przynajmniej ma chwytliwą ścieżkę dźwiękową - mówię. - Myślisz, że można ją kupić w Amazonie?

- „Pornoklasyki krajów bałtyckich część czwarta”!

Tak się zanosimy od śmiechu, że dopiero słysząc zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych, uświadamiam sobie, że jesteśmy oboje nagusieńcy jak nas pan Bóg stworzył.

- Cześć - woła Kate. Drzwi zatrząskują się za nią. Patrzymy na siebie spanikowani.

- Kurwa! - Jack katapultuje się z sofy i zatrzymuje dopiero przy drzwiach do salonu, podczas gdy ja niezdarnie wciągam na siebie dzinsy i koszulkę.

Rzucam Jackowi bokserki i T-shirt. Udaje mu się je włożyć, a mnie zanurkować za pilotem i wyłączyć telewizor, sekundę przed wejściem Kate.

- Co tu tak ciemno? - pyta, naciskając przełącznik światła. Jack wyłania się zza drzwi.

- Dziwne - mówi. - Myślałem, że światło się zepsuło, chyba właśnie je naprawiłaś.

Patrzy na mnie jak przestraszony nastolatek i czmycha do kuchni.

- O, cześć. Dobrze się bawiłaś? - pytam Kate. Mój głos brzmi dziwnie. Przełykam ślinę, jeszcze bardziej zmieszana, gdy spostrzegam, że jest z nią jakiś facet. Łysiejący, ale dość przystojny, w niechlujnym garniturze w prążki, T-shircie i brudnych białych adidasach. Przesuwam ręką po włosach. Muszę wyglądać okropnie.

- To jest Simon - oznajmia Kate. - Podrzucił mnie do domu.

- Miło pana poznać - wyduszam z siebie.

Kiedy wyciąga do mnie rękę, najpierw ukradkiem wycieram swoją w podkoszulek. Potem on siada obok Kate na sofie.

Chrząkam.

- My... yy... właśnie piliśmy wino. Przyniosę więcej kieliszków...

Zwiewam do kuchni. Jack stoi przy zlewie.

- Zaproponowałaś im drinka? - syczy z przerażeniem. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiedziałam, co zrobić - syczę w odpowiedzi.

- Myślisz, że ona coś podejrzewa?

- Myślę, że tak. A ten facet siedzi na moich majtkach.

- Wykręć się jakoś. Spotkamy się w łazience.

- Nie. Nie. Nie zostawiaj mnie. Musisz tam wrócić - błagam go.

- Nie mogę. - Spogląda w dół na swoje bokserki, a ja idę za jego wzrokiem. Faktycznie, coś stoi... na przeszkodzie.

Zobowiązałam się więc zabawić tych niechcianych gości. Zabieram drugą butelkę wina i kieliszki do salonu. Nagle uderza mnie, że Kate nazwała moje mieszkanie swoim domem, ale teraz nie mam czasu się tym przejmować.

- Pracujecie razem? - pytam, starając się opanować głos. Serce bije mi szybko. Czy widać, że się pocę? Dokucza mi świadomość, że nie mam na sobie stanika i wyglądam, jakbym się wybierała na konferencję o przemyśnianiu orzeszków ziemnych.

- Tak, Simon to mój szef. Pracowaliśmy nad nową kampanią reklamową Adidasa - mówi Kate. Najwyraźniej się przed nim popisuje.

- Wiesz, tą, o której ci mówiłam.

Nie mogę myśleć logicznie. Nie mogę się skupić. Pocieram czoło.

- Mm... tak, chyba tak - tyle udaje mi się powiedzieć.

- Spot pokazują dziś wieczorem - dodaje Kate. - Zaraz, zaraz. Jeśli włączymy, może jeszcze go złapiemy.

Obracam głowę w zwolnionym tempie i patrzę, jak Kate bierze pilota i wycelowuje go w telewizor. Naciska guzik. I oto proszę.

W całej okazałości i w technicolorze. Goran i Rudi... do których teraz dołączyła kolejna para dziewcząt z nierealnie nadmuchanymi piersiami. W dużym zbliżeniu.

Z towarzyszeniem efektów dźwiękowych. Wszyscy nieruchomiejemy. Simon, Kate i ja gapimy się na ekran.

Wreszcie Simon, kompletnie niespieszony, zakłada ręce za głowę, rozpiiera się na sofie i rzuca:

- O ile wiem, ta pozycja fachowo nazywa się „parzenie herbaty”.

Witaj, przyjaciółko

Dziwnie się słucha programu Jessie teraz, gdy Jack ją zna. Jestem jej bardzo wdzięczna, że dała mu szansę, bo od tego spotkania ma w sobie tyle entuzjazmu i naprawdę serio myśli o Odgałęzieniu, własnej firmie.

Wprawdzie to oznacza, że Jack będzie pracował dłużej i wracał do domu już po zaśnieściu Bena, ale on tak kalkuluje, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, wkrótce będzie zarabiał dość, aby opłacić opiekunkę na parę przedpołudni w tygodniu. Czyli ja też mogę zacząć myśleć o tym, co chcę robić.

Ciężko jest, gdy nie ma kogoś, z kim można to obgadać. Powiedziałabym Żmijom, że wkrótce będę miała parę wolnych przedpołudni i teoretycznie mogłabym zacząć nową pracę, ale wiem, kim dla nich są pracujące matki: Wszetecznymi Nierządnicami z Babilonu.

Nie mogę im też powiedzieć, że potajemnie fantazjuję o pracy w radiu, bo chociaż Alex Murray „będzie o tym pamiętał”, wiem, jak nierealnie to brzmi.

Ale skoro Jack poznał Jessie, można spojrzeć na tę sprawę z lepszej perspektywy. Z głosu Jessie wydaje się taka zwyczajna. Zawsze wyobrażałam ją sobie jako wampa, ale teraz gdy Jack opisał ją jako przyciężką i przeterminowaną, inaczej mi się z nią rozmawia. Trochę mi jej żal. Musi czuć się samotna w domu matki, tylko w towarzystwie roślin.

Radio CapitalChat Codzienna dyskusja Jessie: Czy wciąż jesteś blisko ze swoimi przyjaciółkami? Dzwoni: Amy z Zachodniego Londynu

Nie wiem, Jessie. Może to dlatego, że od jakiegoś czasu jestem mężatką, a może dlatego, że jestem trzydziestoparoletnią matką, ale między mną a moimi przyjaciółkami nie ma już takiej bliskości, o jakiej opowiadali inni słuchacze. Z drugiej strony, nie czuję już potrzeby, by zwierzać się z każdego szczegółu mojego

życia erotycznego czy przez cztery bite godziny omawiać prze: telefon swoje problemy, i nie mam czasu na babskie zakupy ani leniwe wyjazdy weekendowe. Nie ma waku dla powiernicy moich sekretów, ponieważ nie mam żadnych sekretów.

Oczywiście, miło byłoby pomyśleć, że jeśli zechcę, mogę co wieczór wyjść na drinka z dziewczynami, ale, szczerze mówiąc, po całym dniu zajmowania się Benem jestem tak padnięta, że większość wieczorów spędzam z moim mężem na sofie przed telewizorem.

Więc to pewnie moja wina, że czasem czuję się samotna i opuszczona - ale chyba każdy czasem tak się czuje?

Oczywiście, nie zrozum mnie źle, Jack i ja mamy przyjaciół, jednak przeważnie spotykamy się z innymi małżeństwami podobnymi do nas. A reszta znajomych, z którymi spędzam większość czasu - takich jak Zmi... takich, jak moje inne koleżanki-mamuśki - to znajomi z wygody. Spotykamy się, bo mieszkamy w tej samej dzielnicy i łączą nas dzieci, ale one nie są moimi prawdziwymi przyjaciółkami. Gdyby spotkało mnie w życiu coś bardzo złego - chodzi mi o mój związek - nie mogłabym się zwrócić do żadnej z nich.

Całe szczęście, że nic złego nie dzieje się w moim życiu, bo w przeciwnym razie byłabym rozłożona na łopatki. Nie miałabym nikogo.

Biała sofa czy rycerz na białym koniu?

To nie do końca prawda, myślę sobie później, bo miałabym Helen. Formalnie rzecz biorąc, ona wciąż jest moją najlepszą przyjaciółką. Od dwóch miesięcy mam w kalendarzu wpisaną datę spotkania z H. Wcześniej nie dała rady. Obie ubolewamy nad tym, że nie widzimy się częściej, zwłaszcza że mieszkamy w tym samym mieście, ale nasze drogi trochę się rozeszły. Szczególnie teraz, gdy ona została jedną z dyrektorek stacji telewizyjnej, gdzie pracuje od pięciu lat.

Cieszę się, że robi taką karierę, chociaż wiem, że źle znosi odpowiedzialność i długie przesiadywanie w pracy. Ma odjazdowe mieszkanie przy Borough Market i dostosowany do własnych potrzeb mercedes-kabriolet - samochód, o którym zawsze obie marzyłyśmy - ale zasmuca mnie, że tak się od siebie oddaliłyśmy.

Mieszkanie H. jest tak nieskazitelne, że wygląda jak hotel. Nie byłam tu ponad sześć miesięcy. W tym czasie kupiła nowe sofy, dywany i lampy i widzę, że było też malowanie. Czuję się dziwnie, że te wszystkie decyzje podjęła sama, ani razu nie rozmawiając o tym ze mną.

Ogólnie podziwiam wszystko, przesuвам dłońmi po nowiutkich tkaninach dekoracyjnych i zanurzam palce w grubym białym dywanie. W życiu nie widziałam miejsca bardziej nieprzyjaznego dzieciom. Czy nie dlatego ona nas nie zaprasza, bo podejrzewa (słusznie), że Ben mógłby je zniszczyć?

Na gzymsie kominka stoją rzędkiem fotografie z życia H. w gustownych srebrnych ramkach. Na każdej jest bardzo promienna i szczęśliwa. Największe zdjęcie przedstawia nas obie, roześmiane, w dniu mojego ślubu. Przesuwam po nim ręką.

Gdybym była facetem i przyszła tutaj, ani przez sekundę bym nie pomyślała, że H. może tęsknić za partnerem. Ale wiem swoje.

Mniej więcej w czasie, gdy braliśmy z Jackiem ślub, H. była w skazanym na porażkę związku z Mattem. Trwał około sześciu miesięcy, ale skończył się tak, że oboje się znienawidzili i od tej pory H. nie miała żadnego chłopaka na poważnie.

- Jak tam życie intymne? - pytam, kiedy otwiera butelkę wina. - Co się stało z tym, jak mu było?

Krzywi się.

- Kompletny osioł.

- O nie! Myślałam, że coś z tego będzie. A co z tym drugim, Gregiem?

- Do niczego. Wyższe sfery. Klasyka, obsesja na punkcie mamusi, a poza tym nie przestawał gadać o swojej szkole z internatem, mimo że skończył ją dwadzieścia lat temu.

Ewidentnie ktoś go kiedyś wydupczył w szatni na wuefie, ale był zbyt zablokowany, żeby się do tego przyznać.

Z H. muszę rozmawiać ostrożnie. Wiem, że ona chce tego, co ja mam - męża, dziecka i wspólnej przyszłości, ale im bardziej zakorzenia się w swoim życiu singla, tym bardziej się to wszystko oddala. Jej życie jest tak uporządkowane i wygodne, że ten wymarzony musiałby być naprawdę niesamowity, żeby chciała choć zastanowić się nad zrezygnowaniem z czegokolwiek. I tu tkwi problem. H. uważa, że miłość wymaga wyrzeczeń, a nie jest pewna, czy ma ochotę zamienić swoją białą sofę na rycerza na białym koniu.

Jednak w końcu, przy kolacji, rozluźnia się i znów jest moją starą kumpelą. Za oknem nad dachami Londynu ciemnieje niebo, pusta butelka po winie stoi na stole między nami, a ja czuję, jak kiedyś, że jesteśmy sobie bliskie i że mogę jej powiedzieć wszystko, a ona mnie wysłucha.

- A jak tam mężuś? Wszystko wspaniale jak zawsze? Pomimo siedmiolecia? - pyta.

Co mam jej powiedzieć? Od tak dawna nikt nie pytał mnie o samopoczucie ani nie interesował się kondycją mego związku, że czuję się bezbronna i odsłonięta. W bezpiecznej intymnej atmosferze kuchni H. mam ochotę się zwierzać, mam ochotę powiedzieć jej, że między mną i Jackiem nie jest tak wspaniale, jak bym chciała. Że małżeństwo to ciężka harówka. Że widuję go rzadziej, niż bym chciała, że nie kochamy się tak często, jak bym chciała, a teraz gdy pracuje dla Jessie Kay, ma cel i ambicje, jakich mi brakuje, więc jestem zazdrosna i rozżalona.

Już mam zamiar jej o tym powiedzieć, lecz nagle coś mnie powstrzymuje. W końcu to tylko przejściowy etap. Ze mną i z Jackiem wszystko w porządku. Wpuszczanie H. do sanktuarium mojego małżeństwa wydaje mi się świętokradztwem - a poza tym, tak naprawdę, wcale nie mam ochoty na zgłębianie tego problemu.

Więc zamiast mówić o Jacku, obrabiam tyłek Kate, co trochę poprawia mi nastrój.

- Chcę, żeby wydarzyło się coś niezwykłego - przyznaję.
- Czuję się trochę przytłoczona codziennością. - Pochyliam się i biorę ją za rękę. - Strasznie bym chciała, żebyś wyszła za mąż.
- Dla mnie czy żeby coś się działo?
- Żeby coś się działo, ma się rozumieć - śmieję się. - Po prostu się nudzę. Sto lat nie byłam na fajnej imprezie. Mam wrażenie, że wszyscy bawią się o wiele lepiej niż ja.
- Dopiero gdy to mówię, dociera do mnie, jakie to prawdziwe.
- Cóż, wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie muszę wychodzić za mąż, żeby być szczęśliwa, ale jakoś miałam nadzieję, że to może stanie się w tym roku... - Wzrusza ramionami.
- Nie wiem. Tak trudno kogoś znaleźć. Było o tyle prościej, gdy włoczyłyśmy się po klubach, a potem szło się z kimś do łóżka i dopiero później sprawdzało, czy nam odpowiada.
- Wzdycha.
- A teraz nie możesz tak zrobić?
- Co, iść i wyrwać kogoś w nocnym klubie? Chyba nie ma nic gorszego.
- Daj spokój, nie jesteśmy takie stare - próbuję ją pocieszyć.
- Zbyt młode też już nie jesteśmy. Nie pamiętasz, jak dawniej przyglądałyśmy się kobietom w naszym wieku? Wydawały nam się tak strasznie stare. Mówiłyśmy, że to stare baby udające młódki i że mogą zatańczyć najwyżej z własną torebką.
- A co z tą stroną internetową, o której mówiłaś?
- Szukam kutasa kropka com?
- Wiem, że H. zapłaciła majątek za członkostwo na jakiejś ekskluzywnej stronie randkowej.
- Tak się nazywa? - pytam, zaszokowana.
- No coś ty - wykrzywia się do mnie i włącza laptopa.

Ostatecznie zgodzi się na dziewięćdziesiąt procent

Patrzę na ekran i natychmiast się wciągamy. Ten cały cyrk z randkami internetowymi to dla mnie kompletnie nowy świat. Jak można siebie opisać i zaproponować jako potencjalnego kandydata na randkę, nie wydając się przy tym aroganckim, uniżonym albo wręcz zdesperowanym?

Proszę FL, żeby mi pokazała, co o sobie napisała. Nachyliła się i czyta razem ze mną.

- Tess i Jodie mi pomogły - zwierza się. To jej dwie znajome, których nigdy nie poznałam. Albo jej „ciepłe siostry”, jak lubi insynuować Jack.

Jakim cudem H. ma tyle różnych hobby? Ja nawet nie mam kiedy pomalować paznokci u nóg, a FL, mimo że piastuje odpowiedzialne stanowisko, najwyraźniej ma czas „chodzić na salsę” i „przeszukiwać pchle targi w poszukiwaniu klasycznych plakatów filmowych”. Nie wspominając już o tym, że „chodzi regularnie na zagraniczne filmy” czy „jeździ się odprężyć do spa”.

„Może miała na myśli Spar, supermarket?”, zastanawiam się sceptycznie, bo o ile wiem, w życiu nie była w żadnym centrum fitnessu.

- Ale przecież ty się nie interesujesz sztuką... ani szachami... i na pewno nie jesteś cierpliwa - zauważam, czytając dalej.

- Właśnie że tak.

- Nieprawda.

- Prawda, do cholery.

- I chyba zapomniałaś wspomnieć, że masz fioła na punkcie kontrolowania otoczenia - dodaję.

- Nie ma nic złego w tym, że ktoś lubi porządek - rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

Doczytuję do końca, nie komentując, że znam ją przez całe dorosłe życie i z tego, co wiem, oprócz jakiegoś koncertu na pagórku w Richmond Park, nigdy nie „wspinała się po górach”, nie „uwielbiała muzyki etnicznej” ani nie wykazywała

śladu „zainteresowania przyrodą”. To znaczy, jeśli nie liczyć obserwowania chłopaków. Ale w końcu kim ja jestem, żeby się czepiać?

- No, na ekranie wyglądasz super. Ja bym cię przeleciała - orzekam. Macha na mnie ścierką, ale widzę, że jest zadowolona.

- O, poczekaj. To nie wszystko!

Przewijam w dół do długiego tekstu zawierającego listę kryteriów H. dla potencjalnego zalotnika. Jestem zszokowana.

„Wrażliwy i czuły, ale męski i niezależny. Musi lubić zgiełk miejskiego życia, ale też sport na świeżym powietrzu, podróżować, być domatorem i duszą towarzystwa. I dbać o zdrowie, ale uwielbiać dobrą zabawę. Musi pasjonować się polityką i sztuką i być erudytą. Podczas dyskusji powinien okazywać szacunek rozmówcy. Musi pamiętać o urodzinach i robić niespodzianki. Musi lubić dobre jedzenie i wino i kochać piękno”.

I tak dalej.

I dalej...

„Nie ma takich facetów”, myślę. Proponowałabym raczej: „Umiarkowanie wrażliwy, gdy mu się przypomni, czasem totalny palant. Ulubione zajęcia: drapanie się po jaskach i bekanie”.

- Naprawdę myślisz, że znajdziesz to wszystko w jednym facecie? - pytam.

- Zgodzę się ostatecznie na dziewięćdziesiąt procent.

- Dziewięćdziesiąt?

- No dobra. Osiemdziesiąt. Ale musi być zabójczo przystojny.

Gwiżdżę.

- To lepiej zacznijmy szukać.

Efekt bombonierki

Po kilku kolejnych kieliszkach wina naprawdę zaczyna mi się to podobać. Widzę, że może się stać takim samym

nałogiem jak surfowanie po internetowych agencjach nieruchomości. To jak oglądanie wystaw sklepowych w wyobraźni. Każda kolejna twarz to nowe marzenie.

- Kurczę, nie mogę uwierzyć, ile tu gorących towarów!

- Tak, ale nie bądź naiwna. Wszyscy wybierają najatrakcyjniejsze fotografie. Większość z tych facetów naprawdę wygląda inaczej. Wszyscy są najprawdopodobniej starsi, grubszy i bardziej łysi.

- Ale nawet jeśli... czemu tego nie było, gdy ja nie miałam męża?

Pytam poważnie. Świat tak bardzo poszedł naprzód, a ja stoję w miejscu.

Nagle, widząc tak szeroki wybór, czuję spóźniony żal, że kiedy poznałam Jacka, on wydawał się moją jedyną opcją. Dobra: zakochałam się w nim, ale może dlatego, że byłam gotowa się zakochać, a Jack przypadkiem pojawił się we właściwym momencie?

Wtedy uderza mnie pewna myśl.

Co by było, gdybym zakochała się w kimś innym? Czy byłabym tak samo szczęśliwa? Czy mogłabym być szczęśliwsza?

Gdybym, jak H. teraz, mogła wtedy przebierać w mężczyznach, czy nie wybrałabym kogoś, do kogo pasowałabym lepiej? Kogoś bywałego w świecie i kulturalnego? Kogoś, kto mógłby utrzymać mnie i gromadkę dzieci? Albo kto chciałby siedzieć w domu, podczas gdy ja robiłabym zawrotną karierę? Albo kogoś z wyższych sfer, kto zabierałby mnie w rejsy jachtem?

Bo na ekranie przed sobą widzę nagle tyle możliwości, że przez chwilę czuję się, jakbym zdecydowała się na baton z automatu, podczas gdy przez cały czas za rogiem był luksusowy sklep z wyrobami czekoladowymi.

Może jestem po prostu wstawiona. Mrugam mocno oczami, wstrząśnięta, że przyszła mi do głowy taka zdradziecka myśl. Jack nie jest idealny, ale jest mój. Robię to dla H., nie ci la siebie, upominam się.

Kontynuuję przeszukiwanie witryny, a ona sprząta w kuchni.

I wtedy znajduję profil bez zdjęcia.

Już mam go pominąć, ale łapię się na tym, że czytam, co mówi o sobie Tom. Podoba mi się jego zakłopotanie, że musi się w ten sposób reklamować, ale niestety po kilku dłuższych związkach okazało się, że został samotny wśród żonatych znajomych. Im więcej czytam, tym bardziej mi się podoba. Jest autoironiczny i zabawny.

- Z czego się śmiejesz? - pyta H.

- Z tego Toma. Jest wydawcą. - Ustawiam ekran pod takim kątem, żeby mogła przeczytać.

- Ale nie ma zdjęcia.

- To dlatego, że nie chce, aby go oceniano po wyglądzie.

- Bo jest brzydki.

- Albo zabójczo przystojny. Tak czy inaczej, zgadzam się z nim. W miłości nie liczy się wygląd. Chodzi o to, jak się z tym kimś czujesz. Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinnaś dać sobie spokój z szukaniem, wyjść za tego Toma i rodzić mu dzieci.

H. uśmiecha się do mnie szeroko.

- Pani Rossiter, coś mi się wydaje, że to pani ma na niego chrapkę.

- Jestem mężatką.

- Ale miałabyś, prawda, gdybyś wciąż była sama? - nalega, żebym się zadeklarowała.

- Okay. Przypuszczalnie, hipotetycznie, gdybym była na twoim miejscu, tak.

Gdy kota nie ma

Droga do domu jest długa, zwłaszcza z zawartością butelki białego wina we krwi. Jestem wykończona, gdy otwieram drzwi, po jednej z tych sennych nocnych odysei w metrze i autobusie, które sprawiają, że człowiek czuje się, jakby grał w jakimś realistycznym filmie *art house*.

Delikatnie przekręcam klucz w zamku. Spodziewam się zastać Jacka śpiącego na sofie, ale czuję papierosy, słyszę muzykę, brzęk kieliszków i śmiech.

Znajduję go w ogrodzie z Kate i trojgiem jej znajomych: Bells, Maksem i jeszcze jedną niesamowicie chudą, ładną dziewczyną, której imienia nie zapamiętuję, ale to coś pretensjonalnego, jak Persefona czy Paris.

- Gdybym wiedziała, że urządzacie przyjęcie, wróciłabym wcześniej - mówię, chociaż to nieprawda.

Mój kąśliwy komentarz jest przeznaczony dla Jacka. Czuję się urażona. Nie wychodziłam nigdzie sama od miesiący. Oczekiwałam, że poważnie potraktuje opiekę nad dzieckiem. Miałam nadzieję, że da mi buziaka, przytuli mnie i zapyta, jak minął wieczór. Szczerze wątpię, czy choć raz zajrzał do Bena.

- Wychodzimy - oznajmia Kate. - Pretesh gra w klubie Urban Wall.

Guzik mnie to obchodzi. Patrzę przez okno na zegar na ścianie kuchni. Jest pierwsza w nocy.

- Co? Teraz?

- Noc jeszcze młoda - śmieje się Max.

- Idziesz z nami? - pyta Kate, ale z tego, jak strzela oczami w kierunku Jacka, wnioskuję, że to podchwytliwe pytanie. Umówili się.

- Nie, dzięki. Jestem padnięta. Idę spać.

Już mam się odwrócić, położyć dłonie na ramionach Jacka i odzyskać go dla siebie, gdy Kate rzuca:

- To może Jack pójdzie? Nie będzie ci przeszkadzało, skoro się kładziesz.

- Taaa, musi iść - wtrąca Max. Ma głupią fryzurę i kolczyk w nosie. - Kurde, będzie fajowo.

Nie chcę robić idioty z Jacka przed jego nowymi kumplami, przedstawicielami złotej młodzieży, przypominając mu, że:

a. Musi wstać rano do pracy.

b. Jest o wiele za stary na dubbing.

c. Minęła pierwsza w nocy i powinien już spać od co najmniej trzech godzin.

- Jack może robić, co chce - mówię do Maksa. - Nie jestem jego niańką.

Ale Jack celowo interpretuje mój komentarz na swoją korzyść. Wzrusza ramionami w geście, który ma znaczyć: „Co mam robić? Zostałem do tego zmuszony”.

Odzywa się komórka Kate.

- To pewnie taryfa - mówi. - A nie, to Sally - dodaje, czytając SMS-a.
- Czy ktoś widział jej torebkę? Pisz, że mogła ją zostawić tutaj.

Sally?

Lepiej, żeby nie chodziło o tę osobę, którą mam na myśli. Sally McCullen. To ta zdzira, która próbowała uwieść Jacka, gdy zaczęliśmy ze sobą chodzić.

Była tu?

W moim domu?

Jak tylko wyszłam za próg?

Jack dogania mnie w sypialni.

- Była tu pięć minut - mówi szeptem, chwytając mnie za ramię.

Ale ja jestem zazdrosna i wściekła. Strząsam jego dłoń.

- Tak, jasne.

- Przestań, Amy, nie bądź taka. Przyszła, żeby zobaczyć się z Kate. Co miałem zrobić? Nie prosiłem, żeby została.

- Dawniej nie miałeś skrupułów.

- O, do jasnej cholery. - Jack jest już zły, ale wciąż szepcze. Ben porusza się w swoim łóżeczku. Oboje patrzymy na niego przez chwilę, ale chyba się nie obudzi. - Czy kiedykolwiek dałem ci powód, żebyś mi nie ufała?

- Tak - przypominam mu. - Raz. Właśnie z nią.

- Przecież wiesz, że ja bym nigdy... to znaczy, jesteśmy małżeństwem, prawda? Teraz jest inaczej.

- Właśnie. I dlatego powinieneś rozumieć, co w związku z tym czuję.

- Ale nie rozumiem. Uważam, że jesteś śmieszna. Słyszę pozostałych w korytarzu.

- Taryfa już jest. Jack, idziesz? - woła Kate.

Jack patrzy na mnie. Ja na niego.

- To idź sobie. I pieprz się - syczę. Brzmi to bezwzględnie, nawet ja to słyszę.

Podnosi ręce.

- Wiesz co? Nie potrafię z tobą rozmawiać, jak jesteś w takim nastroju - mówi, zwalając na mnie odpowiedzialność za tę sytuację.

Odwraca się i wychodzi. Drań.

Ale on już tak bardzo wyszedł z wprawy

Leżę w łóżku, gotując się ze złości. Sypialnię przecina promień księżycy. Po jego drugiej stronie widzę przez pręty łóżeczka buzię Bena.

Wygląda, jakby był w więzieniu. Ale to ja się tak czuję.

W głowie roi mi się od pytań „dlaczego?”.

Dlaczego Jack się tak zachowuje?

Dlaczego nie widzi, co za wredny babsztyl z jego siostry?

Dlaczego nie jest po mojej stronie?

Dlaczego uważa, że to w porządku iść do klubu z Sally McCullen?

Dlaczego mu nie ufam?

Na te pytania nie ma odpowiedzi. Po chwili mój gniew zamienia się w poczucie winy. A jeśli Jack przechodzi kryzys wieku średniego? Może nie jest ze mną szczęśliwy? Może nudzi się przy mnie? Może za rzadko ze sobą sypiamy?

I może faktycznie za dużo się kłócimy. Może na -prawdę mamy problem. A jeśli mamy, czy Jack myśli o seksie z kimś innym? W końcu już tak wyszedł z wprawy, jeśli chodzi o dziewczyny, że mógłby nawet nie zauważyć, że ktoś taki jak Sally McCullen go podrywa.

Aż będzie za późno...

Strach przeszywa mnie jak zimny dreszcz.

W głowie migają mi obrazy Jacka w nocnym klubie. Potem wszystko ulega deformacji i nagle widzę ten pornos, który oglądaliśmy, a w nim Jacka z Sally McCullen i jakąś inną, zgrabną dwudziestoparoletnią dziewczyną o idealnych, sterczących cyckach i płaskim brzuchu. Jestem chora z zazdrości.

Próbuję wyliczyć wszystkie zalety Jacka. Przypominam sobie, na jaką szczęśliwą wyglądałam na zdjęciu w mieszkaniu H. Patrzę na śpiącego Bena i widzę, że jest mieszanką najlepszych cech Jacka i moich. Rozglądam się po naszej sypialni. Nad łóżkiem wisi mój akt, który Jack namalował niedługo po tym, jak się pobraliśmy. Obok mnie leży pluszowy miś, którego mi dał, gdy zaszłam w ciążę. Gdziekolwiek spojrzę, widzę rzeczy, które przypominają mi o naszym wspólnym życiu. Więc dlaczego nie ma go teraz w naszym wspólnym łóżku?

Gdy Jack wraca do domu, jest już jasno. Słyszę, jak idzie chwiejnym krokiem przez sypialnię i potyka się o coś. Zamieram i udaję, że śpię.

Pełźnie po łóżku od strony moich stóp. Mimo że leżę odwrócona do niego plecami, dociera do mnie smród papierosów, gorzały i fast foodu. Mam ochotę wymiotować.

Jego palce wędrują po moim udzie. Wiem, co to znaczy.

Nie mogę uwierzyć. On myśli, że będę się z nim kochać.

Teraz?

I mimo wszelkich moich wcześniejszych obaw, zaczyna mnie ogarniać wściekłość.

Jest napalony. A napalony jest dlatego, że tańczył całą noc z seksownymi, skąpo ubranymi klubowiczkami, które na pewno robiły mu niedwuznaczne propozycje i dawały jasno do zrozumienia, że mogą to zrobić w toalecie. Nie jestem głupia.

Jak on ŚMIE.

Zdenerwowana zwijam się w kłębek i odsuwam dalej na moją część łóżka.

Jack mruczy coś i wzdycha ciężko. Wali się na swoją stronę i ściąga ze mnie kołdrę, którą się przykrywa.

Ciągnę ją z powrotem.

On przeciąga ją znowu do siebie.

Szarpię ją z powrotem, najmocniej jak mogę.

- Przestań - syczę.

- To jednak nie śpisz - odzywa się.

Kiedy przyszedł, ogarnęła mnie wielka ulga, ale teraz wraca furia. Nie mam zamiaru mu odpowiadać. Nie dam mu tej satysfakcji. Poza tym wiem, że ignorowanie dotknie go bardziej niż cokolwiek innego.

- Co, nie będziesz ze mną rozmawiać? - pyta.

Nie, do jasnej cholery, nie będę. Chyba że przeprosi za to, że jest takim bezmyślnym gnojkiem.

- No, żebyś potem nie mówiła ... - Nachyla się nade mną. Jego oddech cuchnie. - Chciałem się z tobą pogodzić. To ty tu zachowujesz się dziecinnie. Nie ja.

Po czym szarpnięciem ściąga ze mnie całą kołdrę i, przytrzymując ją na sobie w stalowym uścisku, szybko zapada w sen.

Nie będzie ekshumacji wypadków ostatniej nocy

Jestem blisko szczytu Primrose Hill. Po niebie fruwać latawce, dzieciaki wrzeszczą, rzucając frisbee. Dookoła na trawie leży mnóstwo ludzi. *Co, nie mają jakichś pubów, do których mogliby pójść?*

Obok z warkotem przemyka motorower, a z dżipa nieopodal dobywają się dudniące basy. Z londyńskiego zoo dobiega skrzeczenie małp w klatkach. Rany, świetnie wiem, jak one się czują.

Jest pora lunchu. Leżę u boku Amy na zżartym przez mole kocu w szkocką kratkę. Jesteśmy tak sztywni i milczący jak para świeżo zabalsamowanych zwłok. Ben śpi skulony między nami.

To ja, Jack Rossiter, Topniejący Człowiek. Słońce pali. Przez tego kaca odnoszę wrażenie, że mózg mam jak gąbka na Saharze. Jest mi tak gorąco, że chętnie zdjąłbym skórę.

Masz przechłapane, Jack...

Dlatego poprosiłem Amy, żeby się ze mną spotkała w porze lunchu, a potem zaserwowałem jej niespodziankę - piknik z jedzeniem kupionym w ekskluzywnych delikatesach na Primrose Hill Road, niedaleko miejsca, gdzie pracujemy z Green-sleeves w ogrodach wytwornej dzielnicy z okresu regencji.

Piknik miał być w ramach przeprosin za to, że zeszłej nocy zachowałem się jak pijany cham - do tej samokrytyki doszedłem dziś rano przy śniadaniu, gdy w mojej czaszce jako wspomnienie wczorajszej stolicznej grzmiała rosyjska orkiestra dęta, a Amy znad pudełka płatków śniadania-

wych rzucała mi piorunujące spojrzenia niczym snajper w czasie oblężenia Stalingradu, który właśnie celuje w kolejną ofiarę.

Zerkam na nią ostrożnie, gdy strzepuje z przegubu mrówkę i zmienia pozycję. Kładzie ręce pod głowę i przygląda się przez koronę dębu szybko zmieniającym kształty chmurom.

Ja też spoglądam w niebo i jak wieszcz szukam na nim dobrych omenów, jednak zamiast dostrzegać wśród cumulusów, wolno płynących nad miastem od Wembley do Canary Wharf, uśmiechnięte twarze czy puchate króliczki, widzę same wiertarki udarowe, okręty i armaty.

Amy ma na twarzy lustrzane okulary przeciwsłoneczne, więc nie potrafię stwierdzić, co myśli.

Może i dobrze, rozważam ponuro, ponieważ najpewniej coś w stylu: „Po co wysłałam za takiego kompletnego debila?”.

A jeśli zadaje sobie właśnie to pytanie, ma niestety rację. I to po trzykroć: faktycznie spiłem się jak bela; rzeczywiście dałem nogę, żeby sobie pohulać, i zostawiłem ją z dzieckiem; i owszem, ona prawdopodobnie n a p r a w - d ę zasługuje na kogoś lepszego niż ja...

Chociaż nic z tych rzeczy nie powiedziała. Nie musi, bo świetnie wie, że jej milczenie rani mnie najbardziej.

Właściwie nie odezwała się od pół godziny, czyli od kiedy tu przyszła. Nie tknęła też jedzenia (same jej ulubione potrawy), które starannie wybrałem i troskliwie ułożyłem na specjalnie kupionym tekturowym talerzyku.

Czuję się przygnębiony, odrzucony, wewnątrznie posiniaczony, i zaczynam mieć obawy, że mój gest pojednania od początku był skazany na porażkę.

Nagle Amy pokazuje palcem na niebo.

- Popatrz - mówi. - Tamta wygląda całkiem jak gruba baba dojąca krowę.

Nie widzę idyllicznej postaci z chmury Amy, ale jestem zdecydowany za wszelką cenę podtrzymać wątłą nić komunikacji.

- A ta za nią wygląda jak napalony farmer, który zaraz...

- Przestań, Jack. - Obraca się i wreszcie raczy mnie zauważyć. - Ben i tak ma już dość plugawy słownik...

Zsuwa okulary i nieoczekiwanie uśmiecha się szeroko. Jakby słońce wyszło zza chmur. Czuję, że serce mi rośnie.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że odezwał się tak do mamy

- dodaje Amy.

To aluzja oczywiście do Straszego Wypadku z M**** podczas urodzin Bena, od których na dobrą sprawę zaczęła się nasza kłótnia.

Wspomnienie może niezbyt przyjemne, ale jestem zachwycony, bo widzę, że właśnie przyćmiewa je uśmiech Amy.

Uśmiech, który, widzę to z jeszcze większym zachwytem, jest w tej chwili skierowany do mnie.

A to oznacza, że Amy, mimo wszystko, zdecydowała się mi wybaczyć wczorajszy wypad z Kate i resztą.

Przypuszczalnie znaczy to także, że wybaczyła mi te bełkotliwe końskie zaloty po moim powrocie, po których szybko odpłynąłem...

- Chcesz może... - zaczynam.

Ale okulary Amy opadają z powrotem na twarz szybciej niż przyłbica rycerza właśnie wyzwanego na pojedynek.

- Nie, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać, Jack. Nie tym razem. Nie o czymś tak oczywistym.

Szczerze mówiąc, chciałem ją zapytać, czy chce spróbować greckiej pasty kawiorowej, ale z tonu jej głosu domyślam się, że lepiej jej w tej chwili nie wyprowadzać z błędu.

Amy ciężko wzdycha.

- Jestem tu, okay? Zaprosiłeś mnie tutaj. Kupiłeś te wszystkie rzeczy.

- Pokazuje na piknik. - I to wystarczy

- dodaje wspaniałomyślnie. - Teraz chcę tylko, żebyśmy oboje zostawili to, co się stało wczoraj w nocy, za sobą, i poszli dalej.

Mnie nie trzeba tego dwa razy powtarzać.

- Stoi - oświadczam.

Czuję się, jakby ktoś zdjął mi z ramion plecak pełen ołowianych odważników.

Ledwo mogę powstrzymać szeroki uśmiech, ale udaje mi się. Ostatnia rzecz, której teraz potrzebuję, to znów wywołać kłótnię swoją zadowoloną miną.

Wygląda na to, że puszczamy to, co się stało, w niepamięć.

I dzięki Bogu.

Amy okrąża na czworakach Bena, a potem zaczyna mnie usadzać pod pnem drzewa. Poprawia mnie jak starą poduszkę, aż w końcu opiera się o mnie, z twarzą zwróconą do słońca.

Oplatam ramionami jej talię i się uśmiecham.

To wielka ulga, że postanowiła nie odgrzebywać niefortunnnych wypadków ostatniej nocy, ponieważ naprawdę nie jestem pewien, jaki byłby sens angażować się w debatę pod hasłem „Dlaczego Jack Nie Powinien Wychodzić Do Klubu Bez Amy”.

Przede wszystkim doprowadziłoby to nas z powrotem do tematu Tej, Której Nazwiska Nie Wolno Wymieniać (trochę bez sensu, nawiasem mówiąc, jako że Sally McCullen nawet się wczoraj nie pojawiła w Urban Wall).

A po drugie, naprawdę uważam, że nie sposób usprawiedliwić - chyba tylko moim upojeniem alkoholowym i oślim uporem - wyjścia bez Amy w taki sposób, w jaki to zrobiłem.

Oczywiście, nigdy bym się jej do tego nie przyznał - przecież jestem dorosły i wolno mi chodzić gdzie chcę i kiedy chcę.

A jednak wiem, że się myliłem.

Debata pod hasłem „Dlaczego Jack Nie Powinien Wychodzić Do Klubu Bez Amy”

Jasne, że lubię się od czasu do czasu nawalić i rzucić na parkiet parę towarów. Który normalny facet tego nie lubi? Ale bez Amy? Taki samotny stateczek, kołyszący się na morzu wśród obcych spoconych ludzi? Czy przyjście do klubu solo nie jest jak deklaracja: „Chcę zrobić coś zbereźnego z kobietą, która nie jest moją żoną”?

Ponieważ właśnie o to chodzi w klubach nocnych, co nie? Żeby się pieprzyć z kim popadnie. Okay, udajemy, że chodzi o inne rzeczy. „Chodzi o muzykę. Żeby trochę poskakać. Żeby się upić i powygłupiać”. Ale wszystko to można robić, nie wychodząc z domu, więc czemu nie zaoszczędzić na taksówce? „Chodzi o to, żeby poznać nowych ludzi”. Taa, poznać i bzyknąć.

Bo przy takiej głośnej muzyce z całą pewnością nie poszedłeś tam dyskutować o filozofii...

A jeżeli w dubbingu faktycznie chodzi o flirt i seks, to jaki jest sens w tym, żeby ktoś taki jak ja - ktoś, kto nie szuka żadnych pozamałżeńskich sekscesów - udawał się tam w pojedynkę?

To jakby zarezerwować stolik w restauracji specjalizującej się w stekach, gdy się jest wegetarianinem.

Albo pójść do salonu samochodowego, gdy nie ma się prawa jazdy. Nie planujesz przejażdżki. To po co tam jesteś? Tylko żeby popatrzeć na lśniące karoserie i zastanawiać się: co by było gdyby?

Bo to doprowadza tylko do frustracji i rozdrażnienia. Wydaje ci się, że jesteś jak sprężyna, która zaraz wystrzeli.

Dokładnie tak się czułem wczoraj w nocy, gdy wytoczyłem się z Urban Wall, w poszukiwaniu jakiegoś KFC, przed powrotem w kochające i troskliwe ramiona żony...

Kiedy wcinałem skrzydełka w KFC przy postoju taksówek, w mojej pijanej głowie wciąż tańczyły gibkie, chętne dziewczyny, które widziałem w klubie.

Rozgrywały się tam fantastyczne scenariusze. Czułem się tak jak za czasów moich rozpasanych kawalerskich lat, kiedy chodziłem do klubów z jedną myślą: wyrwać jakąś dziewczynę i wskoczyć z nią do łóżka...

Ta właśnie mentalna regresja doprowadziła mnie po powrocie do niezgrabnej próby seksu z Amy, ponieważ brutalna prawda jest taka: to wcale nie z Amy chciałem uprawiać seks. O nie. Tylko z dziewczynami, z którymi tańczyłem w klubie. Nie mogłem się opędzić od tych obrazów. To było tak, jakbym został podjarany za pomocą pilota.

Dziś, na trzeźwo, nie jestem z tego dumny. Tak naprawdę czuję wstyd. Jednak to nie zmienia faktów.

Wcale nie jestem lepszy niż chwalipięty z City, jak Rory, którzy spędzają wieczory w lokalach z tańcem erotycznym, a potem wracają do swoich naiwnych, oszukiwanych żon-symboli statusu i zmuszają je, żeby ich doprowadziły do finału.

Mimo że to wczorajsze instynktowne odrzucenie mnie przez Amy było z jej strony raczej podświadome - muszę przyznać, że miała całkowitą rację.

Właśnie na to zasługiwałem.

Chociaż niewykluczone, że mogła też wchodzić w grę kwestia wrażeń sensorycznych - zważywszy, że prawdopodobnie śmierdziałem jak nasączony wodą, panierowany i smażony w głębokim tłuszczu pet.

Takie nowe zjawisko

Ale, jak to mówią - było, minęło.

A przyszłość, myślę, wpatrując się wciąż w prześwitujące przez gałęzie dębu niebo nad Primrose Hill, to zaczynanie od nowa. I możliwość zmian. I nadzieja, że nawet ja mogę któregoś dnia stać się ideałem, na jaki zasługuje moim zdaniem Amy.

W tym momencie, skoro temat mojej niefortunnej nocnej wyprawy został łaskawie, cudownie uznany za ściśle tabu, należałoby omówić wczorajsze wyjście Amy.

- Co tam u H.? - ośmielam się zapytać.

- Cała w nerwach.

Pochyliam głowę i wdycham słodki zapach szamponu Amy.

- Z jakiego powodu?

- Facetów.

- Ach...

Życie singli, H. czy też Matta, jest źródłem nieustannej fascynacji dla zaobrączkowanych, jak Amy i ja. Słuchanie

o ich perypetiach zawsze wzbudza w nas uczucie ulgi i nostalgii, i wciąga nas jak kombatantów, wspominających meldunki z linii frontu.

- Z kim się teraz spotyka? - pytam.

- Z nikim.

- Z nikim? - Biorąc pod uwagę, że Matt wspomniał kiedyś, iż w łóżku jest „głodna jak wilk”, trudno mi w to uwierzyć.

- To znaczy, z nikim konkretnym - poprawia się Amy

- ale potencjalnie z wieloma...

- To znaczy?

- Wypróbuj taką nową rzecz. Randki przez Internet.

- A tak. Coś o tym słyszałem. Zdaje się, że potrzebne jest do tego coś, co się nazywa elektryczność i komputer... To żadna nowość, kochanie. Działa od lat.

- Dla mnie nowość.

- To brzmi, jakbyś sama tego próbowała - drocę się z nią.

- Nie mów, że załatwiasz sobie kochanka na boku?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, że to randki, Jim - Amy udaje głos ze *Star Trek* - ale nie takie, jak za naszych czasów. Teraz robią to inaczej.

- Ja myślę. Osobno. Podłączeni do laptopów. Z elektrodami w tyłkach.

Amy szturcha mnie pod żebro.

- Jesteś przeciwnikiem postępu? Mówię tylko, że oni najpierw poznają się wirtualnie, a dopiero potem spotykają się osobiście.

- I tak wydaje mi się to dziwne.

- Ale nie jest. To najnormalniejszy w świecie sposób, żeby ludzie się poznali.

- Taa, ludzie, którzy lubią sobie wsadzać elektrody do tyłków.

Znowu szturchaniec.

- Ja mówię poważnie. H. powiedziała, że to postęp.

- A tyłek jej wibrował, jak o tym rozmawialiście? Amy wzdycha.

- Ona tylko szuka szczęścia, Jack, jak wszyscy...
- No to nie znajdzie go w sieci. Nie uda jej się.
- Dlaczego?
- Choćby dlatego, że to jest jak wszystko w Internecie: tak naprawdę nie wiesz, w co wchodzisz. Aż jest za późno. Po prostu tam nie ma kontroli jakości, prawda?
- Kontroli jakości? Ja tu mówię o ludziach, Jack, nie o częściach w fabryce.
- W przypadku ludzi kontrola jakości jest jeszcze ważniejsza. Musisz umieć oceniać. To pierwsza rzecz, której się uczysz, gdy zaczynasz chodzić na randki w realu: odróżniać dobrych od złych... zabawnych od nudnych...
- Albo, jak w twoim przypadku, duże cycki od małych...
- Może. No i co z tego? Co jest złego w staroświeckim sposobie, kiedy facet wchodzi do baru, zauważa laskę, która mu się podoba, podchodzi do niej i sprawdza, czy ona chce to zrobić?
- No, dzięki, Fredzie Flintstonie, za twoją przemyślaną i światłą opinię. Następnym razem gdy zobaczę, jak zbliżasz się do mnie w pubie ze swoją twarzą neandertalczyka, ucieknę z miasta pierwszym prehistorycznym autobusem.
- Na to o wiele za późno - przypominam jej. - Pozwoliłaś mi się zaciągnąć do jaskini dawno temu.
- Zdaje mi się, że to ja cię ciągnęłam...
- Racja, Wilmo, ale zapamiętaj moje słowa, założę się, że wszyscy ci faceci, których H. podrywa online, to zwykli nieudacznicy...
- Właściwie, niektórzy są całkiem przystojni.
- A ty skąd to wiesz? - Następuje wymowne milczenie. - To znaczy, że tam zaglądałaś? - pytam.
- Pytasz o zdjęcia? Tak. H. mi pokazała. Prosiła o moją opinię. Śmieję się.
- Wybierałaś z nią chłopaków?
- Dla niej. To duża różnica.
- Ale jednak doszłaś do wniosku, że są tam gorące towary.

- Chyba tak, ale...

- Ale? - Serce zaczyna bić mi mocniej.

- Och, sama nie wiem. Chodzi o tę całą mentalność singla...
przebieranie w nieznanym... chodzenie na gorące randki...

- Wspaniały seks...

- Czasem kilka razy w nocy... Teraz ja ją szturcham pod żebro.

- Hej - mówię. - Żartowałem.

- Ja też. Ale serio, to wszystko jest tak odległe od mojego obecnego życia. To było tak dawno, że prawie nie pamiętam. Czuję się, jakby to się przydarzyło innej osobie, na innej planecie...

- Tak. - Wzdycham. - Dokładnie wiem, co masz na myśli.

- Nie musisz aż tak okazywać, że ci tego brakuje - karci mnie.

- Wcale nie.

- Myślę, że westchnienie świadczy o tęsknocie, Jack.

- Ja westchnąłem?

- Jak wiatr w zaroślach.

- Nie chciałem.

- W porządku. Wzdychanie nie jest zabronione prawem... ani tęsknota, jeśli już o to chodzi... - Następuje pauza. Potem Amy zdejmuje okulary, odwraca się i zerka na mnie. - A więc, czego ci brakuje? - pyta. - Gdy myślisz o kawalerskich latach?...

Nie potrafię powiedzieć, czy tylko mnie prowokuje, czy chce być złośliwa, ale zaczynam się martwić, że debata „Dlaczego Jack Nie Powinien Wychodzić Do Klubu Bez Amy” może jednak nie jest całkiem zakończona.

- Niczego - odpowiadam. - Naprawdę - dodaję. - Mówię serio - podkreślam.

Ale mimo tych zaprzeczeń, Amy szuka czegoś w moich oczach, jak ktoś, kto patrzy w głąb studni i wypowiada życzenie.

Nie mam więc wyjścia. Muszę, jak tchórz, odwrócić jej uwagę od siebie i odbić pytanie.

- Dlaczego pytasz? Jest coś, czego tobie brakuje?
- Nie - odpowiada od razu.
Tym razem ja zaglądam jej głęboko w oczy. Nawet nie mrugnie.
- No to dobrze - kończę temat.
- Tak. - Odwraca się znowu ode mnie. - Dobrze. Zapada milczenie, a ja patrzę w dół na czubek jej głowy i zastanawiam się, o czym ona myśli.
Zastanawiam się też, dlaczego odpowiedź, której jej przed chwilą udzieliłem, nagle wydaje mi się wielkim kłamstwem.

Trójkątny ołtarzyk Amy Crosbie

Czy brakuje mi czegoś z lat kawalerskich? Gdy pobraliśmy się z Amy, w ogóle o tym nie myślałem. Wtedy byłem zagorzałym zwolennikiem prostego równania:

2 cycuszki + 1 pupa = tego się 3mać.

To jedna z wielu rzeczy, na które się zgodziłem w dniu ślubu - w domyśle, rzecz jasna, bo tego nie było w kościelnej przysiędze.

I było łatwe. Monogamia ma wiele zalet. Daje satysfakcję emocjonalną, gwarantuje przynajmniej jeden dobry prezent urodzinowy rocznie, zaufanie i podziw dla kogoś tak silne, że chce się z nim mieć dzieci, zagrzane łóżko w zimie i, co najważniejsze: robienie lodu na życzenie, to, że ktoś cię pocałuje, nawet gdy masz gripę, i w końcu rzecz najwspanialsza: miłość...

Ale monogamia ma także swoje złe strony.

Najgorsze jest to, że uprawiasz seks tylko z jedną kobietą.

A mężczyzna jest z natury, o czym wiedzą wszyscy mężczyźni, istotą niestałą, libertynem, zboczeńcem, jeśli ktoś woli...

Pragnienie nieograniczonej reprodukcji mamy zapisane w genach. Na szczęście, począwszy od dnia ślubu, z powodzeniem udawało mi się je tłumić.

Głównie dlatego że kocham i szanuję Amy, ale był to też rezultat mojej rosnącej świadomości - dzięki osobistej obserwacji i codziennemu przeglądaniu „Sun” - że bzykanie się na lewo i prawo, a w szczególności cudzołóstwo, nie prowadzi zwykle do niczego dobrego.

W rozwiązłości seksualnej chodzi o dreszczyk podniecenia, jaki wywołuje przekraczanie granic - jednak problem z granicami jest taki, że im więcej ich się przekracza, tym częściej chce się to robić. Można być tego równie pewnym, jak faktu, że po pierwszej bazie w baseballu nieuchronnie nastąpi czwarta...

Jeśli zdradzisz raz, istnieje prawdopodobieństwo, że zrobisz to ponownie. Jeśli spróbujesz trójkątka, zachce ci się orgii. Następnie, nie wiedząc kiedy, lądujesz w podziemnym klubie, żeby się przyglądać, jak twoja żona oddaje mocz na karła, podczas gdy poborca podatkowy z Hull o imieniu Clive, ubrany w kombinezon z czarnej skóry, powoli leje wosk ze świecy na twoje jądra...

Gdzieś o tym czytałem.

Innymi słowy, niewierność może stanowić poważne zagrożenia dla twojego małżeństwa oraz zdrowia.

I dlatego w poprzek Alei Pokus stoi zapora o nazwie Wierność, przez którą wasz Jack nigdy się nie przedarł.

Za bardzo sobie cenię to, co mam, żeby ryzykować tego utratę. Amy wciąż mnie pociąga, a pod względem emocjonalnym nikt jej nie dorównuje. Z nikim nie rozmawia mi się lepiej niż z nią i nikomu innemu nie mógłbym się zwierzyć (z wyjątkiem obecnych spraw, ma się rozumieć). Kocham tylko ją i zawsze tylko ją będę kochał. I dlatego jest też jedyną osobą, z którą kiedykolwiek będę uprawiał seks. Koniec, kropka.

Podczas gdy dawniej mój fiut był nieustraszonym odkrywcą, poszukiwaczem przygód, czymś w rodzaju fallicznego Phineasa Fogga, czy też Phaliusa Fogga, który miał zwiedzić świat w osiemdziesiąt numerków... teraz stał się zakonnikiem, oddanym jednemu i tylko jednemu ołtarzowi...

Trójkątnemu ołtarzykowi Amy Crosbie.

Mimo owego na pozór trwałego duchowego nawrócenia, martwi mnie, że Phalius tak naprawdę nigdzie nie wyjechał. Po prostu zaczął się pod surowym mnisim habitem, czekając na właściwy moment...

A teraz korci go, żeby się gdzieś wyrwać.

Właśnie z powodu tej chętki, ponoć typowej po siedmiu latach małżeństwa, gdy Amy zapytała mnie, czy brakuje mi czegoś z lat kawalerskich, nie byłem w stanie powiedzieć prawdy.

Ponieważ prawda jest taka:

W chwili obecnej z lat kawalerskich najbardziej brakuje mi... wszystkich tych innych kobiet, z którymi mógłbym uprawiać seks...

Na pewno nie wypada tak odpowiedzieć ani nawet pomyśleć.

Taka odpowiedź mogłaby nawet zasłużyć na policzek.

Ale nie warto zaprzeczać, bo dowody są oczywiste. Najpierw wziąłem opiekunkę do dziecka za Amy... potem pożerałem wzrokiem tę dziewczynę w pubie... następnie, ten prąd, jakbym dotknął węgorka elektrycznego, gdy Jessie zdejmowała ze mnie koszulę... a wczoraj w nocy dziewczyny w klubie i wszystkie te pytania „co by było gdyby”, które zaczęły przelatywać mi przez głowę...

Nie wierzę ani trochę w tak zwany Kryzys Roku Siódmego. To, że ostatnio zacząłem się więcej rozglądać, nie może mieć nic wspólnego z naszym stażem małżeńskim, a jednak najwyraźniej nachodzą mnie jakieś dziwne ciągoty.

I dlatego powinienem uważać.

Bo taki stan ma to do siebie, że głośno domaga się zaspokojenia.

A to jest coś, czego mi nie wolno.

Muszę się pilnować. Muszę poczekać, aż to minie. A tymczasem koniecznie pamiętać, czym jest mój fiut: bestią, która chce zasiać nasienie na obcym polu, dzikim zwierzęciem, które zdradzi mnie przy pierwszej sposobności.

Można to też ująć bardziej poetycko:

między moimi nogami sina ropucha piąta kolumna która mnie nie
słucha tłusta kiełbasa co może aż do świtu magiczna różdżka laska
dynamitu

To fragment wiersza, który kiedyś przysłał mi e-mailem Matt,
autorstwa uznanego poety Duncana Forbesa, któremu najwyraźniej
nieobce są utrapienia wieku męskiego.

Wyłącznie na stopie zawodowej

Jest niedzielny wieczór. Leżymy z Amy na łóżku, popijając gorącą
czekoladę z kubków z napisem „Gotowe na wszystko”, które
podaowałem jej na Gwiazdkę. Na stoliku nocnym włącza się właśnie
nasz stary laptop firmy Toshiba, do którego włożymy zaraz DVD z
Amazona.

Jesteśmy tutaj, bo w salonie Kate i jej nowy facet na zmianę skaczą po
kanałach telewizyjnych i wsadzają sobie nawzajem języki do gardła.
(„Niczym para laryngologów dokonująca symultanicznych badań”, jak
zwięźle ujęła to Amy).

To chyba o czymś świadczy, że mimo woli naszą główną przestrzenią
życiową stała się sypialnia, którą w dodatku dzielimy z Benem, w tej
chwili cicho pochrupującym w swoim łóżeczku.

Chyba więcej przestrzeni miałem, gdy byłem dzieckiem.

Pomimo ciasnoty, Amy i ja jesteśmy w jakich takich humorach. Jakoś
nam się układa, jesteśmy dla siebie uprzejmi, aczkolwiek w sztuczny
sposób, niczym para w filmie propagandowym z lat pięćdziesiątych.
Nie powtórzyłem tamtego błędu i nie wyszedłem więcej z Kate i jej
paczką. Nie sprze-

czaliśmy się od naszej rozmowy na Primrose Hill. Teoretycznie więc jest między nami lepiej.

Mimo to wyczuwa się u nas jakieś napięcie, którego wcześniej nigdy nie było. Jakbyśmy oboje wiedzieli, że zamiast zagipsować pęknięcia w naszym związku, przykryliśmy je tapetą.

Czuję się przez to jak w okresie próbnym, jakby w każdej chwili wszystko mogło runąć.

- O której wrócisz jutro? - Amy szepcze, nie chcąc zbudzić Bena. Odwija kołdrę i wślizguje się pod nią. - Bo jeśli późno

- ostrzega mnie - to prawdopodobnie zabiorę Bena do Sophie na podwieczorek.

- Jak zwykle - szepczę. - O piątej. - Ale zaraz się reflektuję. - Ach, nie. O siódmej. Muszę parę godzin popracować u Jessie.

- Och. Sądziłam, że spotykacie się dopiero we środę...

- Nie spotykam się z nią. Idę do ogrodu. Dała mi klucz

- wyjaśniam.

- Jesteś zaufanym pracownikiem.

W głosie Amy nie ma podejrzliwości, bo niby czemu miałyby być? Jestem ostrożny i utrzymuję moją relację z Jessie wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. Wprawdzie Jessie nie było w domu, kiedy tam pojechałem dwa razy, w każdym razie, mam dobre intencje.

To część mojego nowego życia.

To efekt mojej determinacji, żeby ignorować Ciągoty.

Niemniej jednak, łapię się na tym, że od chwili, kiedyśmy zaczęli rozmawiać o Jessie, wiercę się niespokojnie na łóżku.

Ponieważ w tej kwestii nie do końca byłem z Amy szczery.

Przede wszystkim, skłamałem, gdy zapytała mnie o wargę skaleczoną podczas bójki z Rolandem w atrium - czy podczas „draki w dżungli”, jak teraz o tym myślę.

Skłamałem też o T-shircie, który pożyczyła mi Jessie.

Ale te kłamstwa były bezinteresowne, bo były dla nas.

Gdybym opowiedział Amy o tej bójce, zaczęłyby się o mnie martwić, i chciałyby, żebym przestał tam pracować, a na to

nie mogę sobie pozwolić. Albo ona przestałaby brać udział w programie Jessie, co byłoby beznadziejne, zwłaszcza że Amy ma nadzieję, że to może zaowocować jakimś stałym zajęciem, może nawet płatnym...

Nie, tych kłamstewek nie żałuję ani trochę. Gryzie mnie coś innego: Zełgałem Amy na temat Jessie. Zasugerowałem, że wygląda jak pasztet.

I zrobiłem to instynktownie, bez zastanowienia.

Dlaczego moja podświadomość kazała mi to zrobić?

Jest tylko jedna możliwa odpowiedź: aby ukryć przed Amy prawdę, że wcale nie uważam Jessie za pasztet. Że tak naprawdę to superlaska.

Ledwie to pomyślałem, gdy nagle - błysk! - przez ułamek sekundy widzę postać Jessie - i bynajmniej nie taką z niedzielnego dodatku do gazety codziennej. Bardziej z pisemka schowanego pod łóżkiem nastolatka. Z pozlepianymi kartkami.

Ale trwa to tylko chwilę. I obraz znika.

Cieszę się, że gdy otwieram oczy, widzę znów Amy. Moją Amy, tu i teraz, nie w żadnej fantazji, ale stuprocentowo realną...

Szybko ją przytulam.

- A to co? - pyta. Przesuwam ręką po jej włosach.

- Tak sobie.

Opiera się z powrotem o poduszki.

- Czy sądzisz, że Jessie poleci cię komuś? Założę się, że ma mnóstwo bogatych znajomych z wielgachnymi ogrodami.

- Przypuszczam, że to możliwe - mówię, wkładając DVD i naciskając „play”.

Amy milczy, a ja patrzę na nasze dwa szlafroki, które leżą na stosie przy drzwiach ze splecionymi rękawami. Zwinęliśmy je z apartamentu hotelowego podczas miesiąca miodowego w Bangkoku. Kiedyś były puszyste i nieskazitelnie białe, ale teraz są poprzecierane i poplamione. Ten widok przygnębia mnie bardziej, niż powinien.

Wchodzę pod kołdrę, odchylamy się do tyłu na poduszki i przyciskamy blisko do siebie głowy, tak żebyśmy mogli razem korzystać z pojedynczej pary słuchawek podłączonych do komputera.

Gaszę lampkę na stoliku nocnym.

Film nazywa się *Kontakt*, a główną w nim rolę gra Jodie Foster. Opowiada on o uczonej, która wysyła w kosmos sygnały elektroniczne w nadziei, że nawiąże kontakt z istotą z jakiejś innej samotnej planety.

Półtorej godziny później patrzę na napisy końcowe ze łzami w oczach, a Amy obok mnie śpi smacznie i cicho pochrapuje.

Jak byk na łące przy autostradzie

- Masz czas na jeszcze jedno? - pyta Jessie.

Kuca w otwartych drzwiach lodówki jak sprężona do skoku tygrysica, z dwiema butelkami japońskiego piwa Asahi w rękach. Ma na sobie - jak mnie poinformowała (gdy od niechcienia zauważyłem, że jej w tym do twarzy) sukienkę od Diane von Fürstenberg, okulary przeciwsłoneczne Dolce and Gabbana, a na głowie klasyczną chustkę z Relic.

- Lepiej nie. - Wskazuję głową na dwie puste butelki stojące już na stole. - Za dużo, żeby prowadzić samochód.

To jest dobra odpowiedź, odpowiedź, z której mogę być dumny, zwłaszcza w kontekście nieprzyzwoitych wizji z Jessie w roli głównej, które mam w głowie od paru dni.

To dokładnie taka odpowiedź, jaką powinien dać mężczyzna walczący z Ciągotami.

- Ale zdaje się mówiłeś, że spotykasz się ze znajomym w Portobello Gold? - pyta Jessie.

- Mówiłem.

- No, to tylko pięć minut piechotą. Możesz przecież zostawić samochód na podjeździe i wrócić po niego rano. - Uśmiecha się przebiegle. - No, dalej, daj moim wścibskim sąsiadom powód do plotek.

Nie czekając na odpowiedź, Jessie wstaje i zamyka drzwi lodówki wprawnym ruchem bioder. Zamiast się na nią zirytować, że udaremniła mi próbę odejścia, uśmiecham się, myśląc, jaki to dziewczęcy gest.

- Co? - pyta, widząc, że się na nią gapię. Znowu robi ten ruch biodrami, żeby sprawdzić, czy lodówka jest dobrze zamknięta. - A, to? - Rumieni się nieznacznie. - Wiem, to nawyk z dzieciństwa, z którego już powinnam wyrosnąć, ale tak to jest, gdy człowiek wraca do domu rodziców. To taka pętla czasu, która sprawia, że się czuję, jakbym znowu była nastolatką. - Uśmiecha się do mnie. - I mam ochotę się zachowywać jak nastolatka.

Z wprawą otwiera obie butelki piwa za pomocą magnetycznego otwieracza na drzwiach lodówki, a potem uśmiecha się szeroko.

Ja też się uśmiecham. Wygląda dobrze i wie o tym. Podobnie jak ja, gdy byłem kawalerem, i jak Amy, kiedy ją poznałem. To nie znaczy, że Amy już nie jest atrakcyjna. Oczywiście, że jest. Ale to inny rodzaj atrakcyjnego wyglądu, bardziej swojski, a nie taki „zobacz, jaka jestem cool”, który obnosi Jessie.

To dziwne, przychodzi mi teraz do głowy, ale Jessie, chociaż jest starsza od Amy, wygląda dużo młodziej. Może dlatego, że ma niezwykle gładkie czoło, bez zmarszczek, ale też śmieje się więcej niż Amy i chyba mniej się stresuje. W jej towarzystwie jest fajnie.

- Zdrówko! - woła. Przysiada na brzegu starego inkrustowanego stołu z drzewa tekowego, przy którym i ja siedzę, i wciska butelkę piwa w moją dłoń.

Dzisiaj jest czwartek. Mija tydzień od naszego pikniku z Amy na Primrose Hill. To moja piąta wizyta w domu Jessie, ale dopiero drugi raz się spotykamy.

Kiedy dzisiaj po południu przyszedłem, była już w domu i wygrzewała się w słońcu na leżaku w ogrodzie. Teraz jest siódma i siedzimy w kuchni od kwadransa, od kiedy niebo się zachmurzyło i skończyłem pracę. Gra radio (warto za-

uważyć, że nie jest to Radio CapitalChat, ale konkurencja - o wiele bardziej niegrzeczne Emotion FM).

Idę za wzrokiem Jessie, która rozgląda się po kuchni. Jest to wielkie pomieszczenie w kształcie litery L, z jednej strony wychodzące na ogród, a z drugiej na salon i atrium. Nietrudno zrozumieć, co Jessie ma na myśli, mówiąc o pętli czasu.

Meble są czyste, ale staroświeckie, z drewnianymi drzwiczkami w stylu wiejskiego gospodarstwa z lat osiemdziesiątych. W jednym rogu stoi kuchenka starego typu i nigdzie w zasięgu wzroku nie ma ani jednego przedmiotu ze stali nierdzewnej. Nawet kalendarz ścienny nad wędną aspistrą w kącie jest sprzed trzech lat i otwarty na grudniu, jakby komuś po prostu przestało zależeć na upływie czasu.

Jessie zauważa, że się na niego gapię.

- Tata zmarł przed mamą. Ona po tym zamknęła się w sobie. Naprawdę byli w sobie zakochani. Aż do samego końca.

- Mają szczęście.

Jessie wygląda na zaszokowaną.

- Że nie żyją?

- Nie... - zaczynam protestować, ale potem uświadamiam sobie, że droczy się ze mną. - Szczęście, że tak długo byli w sobie zakochani.

- Myślałam, że właśnie o to chodzi w małżeństwie.

- Bo tak jest.

- U ciebie też?

Bezpośredniość tego pytania wytrąca mnie na sekundę z równowagi.

- Masz na myśli z Amy? Przytakuje.

- Chyba że masz więcej żon...

- Yy, nie. Tak. Między nami jest świetnie.

- To gdzie ona jest teraz?

- W tej chwili? Znowu kiwa głową.

- Nie wiem. - Sprawdzam godzinę na komórce. - W domu. Pewnie kąpie Bena.

- Waszego syna...

- No, nie mam na myśli lokatora - żartuję. - A tak przy okazji, jej naprawdę sprawia frajdę występowanie w twoim programie - dodaję szybko. Ponieważ pierwszy raz w ogóle wspomnieliśmy Amy, dochodzę do wniosku, że mogę ją przy okazji zareklamować.

- Taak, mój producent lubi, jak od czasu do czasu dzwonią zwykli ludzie. Uważa, że program staje się przez to prawdziwszy.

Zwykli ludzie? To tym Amy jest dla Jessie? Kimś w pewien sposób gorszym od niej? Czy tak postrzega też mnie? Czy dlatego ze mną teraz rozmawia, bo przez to czuje się bliżej życia, bo załatwiła sobie prostego ogrodnika z brudem za paznokciami?

Ona rozprasza moje podejrzenia, mówiąc:

- I myślę, że ma rację. Dobrze jest mieć w programie kogoś z jakimś doświadczeniem życiowym. Fale eteru okupuje stanowczo zbyt wielu wymuskanych prezenterów, takich jak ja.

- Skoro tak twierdzisz.

- Byłeś wtedy z Amy? - pyta nagle. - Kiedy rodziła?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Mówiła o tym któregoś dnia... na antenie...

To dla mnie coś nowego. Nie mogę pojąć, w jaki sposób poród może pasować do działki Amy, którą jest moda. Musiała pewnie opowiadać o ubraniach ciążowych...

- Jak było? - pyta Jessie. - To znaczy, z twojego punktu widzenia.

Wietnam. Rewolucja francuska. Waterloo.

- Niesamowicie - mówię.

Patrzy na mnie znad swojego piwa.

- A gdy już wróciliście do domu? Jak wam się wtedy układało?

- Zadajesz dużo pytań.

- Jestem dziennikarką. To moja praca. A w każdym razie, jestem ciekawa. Zawsze się zastanawiałam, jak ludzie sobie

- radzą z taką nagłą zmianą stylu życia. Myślałam, jak by to było...
- Cóż - zwlekam chwilę, żeby się zastanowić. Potem, może ośmielony alkoholem, a może dlatego, że udziela mi się jej śmiałość, postanawiam nie raczyć jej wersją poprawną politycznie, ale powiedzieć prawdę. - Słyszałaś o uprowadzeniach przez istoty pozaziemskie, prawda?
 - Tak, ale w to nie wierzę.
 - No to powinnaś uwierzyć. Śmieje się.
 - Serio - mówię - bo to się dzieje naprawdę. Codziennie, z tysiącami kobiet w ciąży. Idą na oddział położniczy całkowicie zdrowe na umyśle, a wychodzą chwilowo z m i e n i o n e , inne, nie są sobą...
 - To by z pewnością wyjaśniało, dlaczego jeden z czołowych ekspertów od macierzyństwa nazywał się doktor Spock¹ - sugeruje Jessie.
- Uśmiecham się, pociągając kolejny łyk piwa.
- Zgadza się, a po tym jak Amy wróciła do domu ze szpitala, tak właśnie było... jakbym obserwował „Amy po drugiej stronie lustra” albo „Amy ze strefy mroku”, jakby stała się daleka, obca i kompletnie pochłonięta swoim własnym nowym światem.
 - Straszne.
 - Nie, po prostu dziwne. Inne.
- Chyba powinienem mieć wyrzuty sumienia, że opowiadam Jessie o naszych osobistych sprawach, ale nie mam. Teraz gdy już zacząłem, mam wrażenie, że nie mogę przestać.
- Była na prochach?
 - Nie, ale tak się zachowywała. Całe tygodnie. Wciąż tylko wpatrywała się w Bena, a mnie jakby nie zauważała.
 - Pewnie to naturalne. Po takiej traumie.
 - Tak, trauma to dobre słowo, ale ludzie go nie używają. Myślą, że jeśli tak to nazywasz, jesteś bezduszny. Cud. To

¹ Aluzja do bohatera serialu s.f. *Star Trek*. Spock jest kosmitą, pół Wolkanem, pół człowiekiem.

chcą słyszeć. Cud narodzin. Ale to jest jak najbardziej trauma. I dla mężczyzny, i dla kobiety. Przysięgam, widziałem horrory, w których było mniej krwi.

- Kurczę... może powinniśmy wziąć też ciebie do programu...

- Nie, bo nie chcę, żeby Amy się kiedykolwiek dowiedziała. ..

- O czym? O tym jak się czułeś?

- Tak. Nigdy jej tego nie powiedziałem. Jak bym mógł?

- Skoro to ona przeszła przez cały ten ból...

- Właśnie. To znaczy, byłem w pełni świadomy, że moją rolą jest uczestniczyć w tym wszystkim. Miałem być zaangażowany, współczujący i troskliwy, i byłem. Nadal j e s -t e m. I naprawdę szanuję Amy za to, że nosiła w sobie Bena i go urodziła, i j e s t e m jej wdzięczny, że zostawiła pracę i zajmuje się naszym synkiem, żebym ja nie musiał rzucać swojej. Podobnie jak uważam, że opieka nad dzieckiem jest ciężką pracą...

- Mąż idealny - kwituje Jessie. Śmieję się.

- A gdybym ją oskarżył, że po porodzie była hormonalnym upiorem...

- Nigdy by się już do ciebie nie odezwała...

- Właśnie.

- A więc chcesz powiedzieć, że... nie jesteście już tak blisko jak kiedyś...

- Nie. - Marszczę czoło. - Nie, wcale tego nie powiedziałem.

Podnosi rękę.

- Przepraszam... stary nawyk dziennikarki radiowej... wkładanie własnych słów w usta innych.

Czuję ukłucie paniki.

- W twoich uszach tak to zabrzmiało? Kiwa głową.

- Trochę. Zapada cisza.

- Chyba wystarczy na dziś.
- Wyluzuj. To tylko rozmowa. Ludzie za mało ze sobą rozmawiają. Zwłaszcza o sprawach osobistych. Nie sądzisz?

- Może...

- Mnie też tego brakuje. Uśmiecham się niezręcznie.

- Daj spokój, ty wciąż siedzisz w radiu. Rozmowy osobiste to twoja praca.

- Nie chodzi mi o rozmowy na antenie. To wszystko sztuczne. Mam na myśli rozmowy intymne. Twarzą w twarz. Jak teraz.

Znowu zapada milczenie.

- A ty? - pytam, dochodząc do wniosku, że powiedziałem już więcej, niż trzeba. - Czy kiedykolwiek myślałaś o dziecku?

- Jestem zbyt samolubna. Za bardzo lubię zabawę.

- Ale mówiłaś przedtem, że zawsze się zastanawiałaś...

- Masz dobrą pamięć. - W zamyśleniu przesuwam palcem po krawędzi butelki, a potem ciągnie: - Pewnie tak, chyba wciąż biorę to pod uwagę. Ale nie uważam, że człowiek musi mieć dzieci. Że nie mając dzieci, jest się w jakiś sposób niekompletny.

- A może po prostu nie znalazłaś jeszcze właściwego faceta.

- Albo za dobrze się bawię, szukając...

- Może i tak...

- A ty, Jack? - Zagląda mi w twarz. - Czy ty wciąż szukasz?

- Ja jestem żonaty.

- Nie o to pytam.

Jej słowa - i spojrzenie, które im towarzyszy - sprawiają, że brakuje mi słów. Wpatruję się w podłogę i postukuję stopą w rytm melodii z radia, niezdolny spojrzeć Jessie w twarz.

Odwykłem już od tego, że ktoś uważa mnie za obiekt seksualny - jeśli trafnie interpretuję to, co tu się dzieje. Prawdę mówiąc, jestem bardziej przyzwyczajony do lekceważenia ze strony kobiet, zwłaszcza od chwili, gdy zostałem ojcem.

Kobiety w tych sprawach mają szósty zmysł. Jakby wyczuwały węchem, że masz dziecko. Dla nich jesteś jak stary byk pasący się na łące przy autostradzie, który nieszkodliwie przeżuwa trawę, patrzy, jak obok pędzi świat, i ani trochę nie przypomina swoich przodków, dzikich bizonów.

Masz obrączkę na palcu, ale równie dobrze mógłbyś, jak ten byk, mieć ją w nosie. Jesteś udomowiony, wykastrowany, pozbawiony seksapilu. Nikt już nie postrzega cię jako drapieżnika, do tego stopnia, że kobiety rozmawiają w twojej obecności o rzeczach, o których nie śmiałyby mówić przy singlu, właśnie z obawy przed utratą seksapilu.

Pamiętam, jak kiedyś niefortunnie usiadłem sobie na obe-sranej przez gołębie ławce przy piaskownicy w Queen's Park między dwoma mamusiami. Kobiety te z detalami omawiały objawy szczególnie zjadliwej grzybicy pochwy, na którą cierpiała jedna z nich - jakby mnie tam nie było...

Podnoszę wzrok i widzę, że Jessie wciąż na mnie patrzy, wciąż czekając na odpowiedź.

Otwieram usta, niepewny, co ona chce usłyszeć ani co jej powiem.

Wtedy dzwoni moja komórka. Szybko ją wyjmuję i odbieram. To Matt:

- Nie obchodzi mnie, co tam robisz - woła. - Kończ to i rusz tyłek. Już jesteś spóźniony.

Wzruszam przepaszająco ramionami do Jessie, mówiąc Mattowi:

- Będę za pięć minut.

- Wygląda na to, że będziemy musieli kiedyś wrócić do tej rozmowy - mówi Jessie, gdy wsuwam komórkę do kieszeni i sięgam po marynarkę. - Szkoda - dodaje - bo właśnie zaczynało się robić interesująco...

Wkładam marynarkę.

- No...

Jessie podnosi butelkę do ust.

- Już się nie mogę doczekać. Twoje zdrowie.

Stary dobry Casanova

Siedzimy przy naszym stałym stoliku w rogu w Portobello Gold. Matt rozwodzi się nad tym, dlaczego z Honey do niczego się nie spieszy.

- Próbowałem tego całego cyrku pod tytułem „Znajdź tę jedyną” z H. i nie wyszło. Chciałem się zakochać, ale tylko dostałem po tyłku. Mam nauczkę. Nie możesz sobie zaplanować, że się w kimś zakochasz, podobnie jest z wiernością. Nie możesz sobie zaplanować, że będziesz komuś wierny. Po prostu nagle okaże się, że tak jest, i wtedy będziesz wiedział, że wybrałeś właściwą osobę. Jak wy z Amy.

- Matt się śmieje. - Kurczę, kto by pomyślał, że ty kiedykolwiek ustatkujesz się przy jednej dziewczynie? Ale tak zrobiłeś. To się po prostu stało. Przyszło na ciebie, kiedy nie szukałeś, co nie?

Chwila ciszy.

- Co nie? - upewnia się Matt.

- No, tak, jasne. To znaczy, oczywiście. Patrzy na mnie z zaciekawieniem.

- Ciągle jeszcze jesteś myślami w pracy. Zrelaksuj się.

- Stuka swoją szklanką w moją. - A ja tymczasem przyniosę następną.

Gdy patrzę, jak Matt odchodzi z naszymi pustymi szklankami i miesza się z tłumem przy barze, moje myśli wracają do Jessie.

Czy ona naprawdę próbowała mnie podrywać? Tam w kuchni, tuż przed telefonem Matta. Czy trafnie odczytałem te sygnały? Bo zadzwonił, nim się wyjaśniło, jakie są jej intencje. A poza tym wyszedłem z wprawy. To tak, jakbym próbował sobie przypomnieć francuskie czasowniki nieregularne. Wydaje mi się, że mam rację, ale mogę się mylić.

I dlatego podejmuję decyzję: nie ma potrzeby wspominać o tym Amy. Bo może w ogóle nie ma o c z y m wspominać. A nawet jeśli jest, spasowałem przecież i wyszedłem. Wyszedłem z życia Jessie i wróciłem do swojego.

Innymi słowy, czy jest coś na rzeczy, czy nie, czy dzieje się coś czy nie, radzę sobie z tym bardzo dobrze. Prawda? Prawda.

A stresuję się tym tylko dlatego, że jestem zmęczony. Matt ma rację. Potrzeba mi paru piw i relaksu.

Żeby zacząć myśleć o czym innym, biorę do ręki komórkę Matta. Pamiętam, jak wspominał, że na ekranie ma zdjęcie Honey, ale teraz widzę, że nawet w tej prostej sprawie postąpił jak typowy prawnik, który mówi tylko to, co chce powiedzieć.

Prawdę mówiąc, na wyświetlaczu widnieje tylko część Honey. Albo raczej dwie części. Zamiast jej twarzy, której się spodziewałem, albo miłej fotki ich obojga z kolacji przy świecach, widzę cycki.

Cycki Honey.

Przynajmniej zakładam, że jej, bo zdjęcie jest wykadrowane i nie widać twarzy.

W efekcie te piersi wydają się dziwnie aseksualne i oderwane od ciała. Przypominają mi te tandetne stare pocztówki przed sklepami z pamiątkami na Piccadilly Circus, te, na których kobiece piersi są pomalowane tak, żeby wyglądały jak postaci z kreskówek, szczeniaki czy świnki...

Zawsze się zastanawiałem, co te modelki, teraz pewnie już babcie po siedemdziesiątce, myślą dziś o tych artystycznych perełkach.

„A, tak, to był taki żart. Chodziłam wtedy z członkiem gangu motocyklowego, który zużył całą puszkę pasty do butów, żeby moje cycki wyglądały jak Pepe, skunks z kreskówki...”.

Jestem też ciekaw, co Honey na to, że Matt obnosi to zdjęcie na komórce i pokazuje znajomym.

- Zboczeniec - mówię, gdy wraca z piwem. Wrywa mi komórkę.

- Nie ja - protestuje. - To ona pstryknęła to zdjęcie i kazała mi ustawić jako wygaszacz ekranu. Wysyła mi takie fotki. W pracy. Podczas zebrań. To ją rajcuje. A jednak - pozwala

sobie na refleksję, patrząc na telefon z uznaniem - nie ma to jak fajna parka dwudziestoparoletnich zderzaków, co?

A jeszcze lepiej świetna parka czterdziestoparoletnich zderzaków, wtrąca moja podświadomość, znów podrzucając mi obraz Jessie ubranej tak, jak przy pierwszym naszym spotkaniu, w staniku, z papierosem w ręce...

Potrząsam głową, żeby rozproszyć tę wizję, i pociągam duży łyk piwa.

- Kto to jest? - pytam, pokazując ruchem głowy na dwie bardzo atrakcyjne dziewczyny, blondynkę i brunetkę, które właśnie weszły do pubu, a teraz machają do nas i zmierzają w naszym kierunku.

- O, nie mówiłem ci? - Matt wstaje i poluzowuje krawat. - Poprosiłem Honey, żeby wpadła, jak będzie miała czas. Wygląda na to, że przyprowadziła koleżankę.

Nie chce mi się protestować, że nie, nie mówił mi o tym, ani przypominać mu, że to miał być (sam tak zaproponował) spokojny męski wieczór.

- Honey, to jest Jack - mówi Matt z dumą. Całuje blondynkę w usta i odwraca ją twarzą do mnie. - Honey zajmuje się sztuką - wyjaśnia.

I najwyraźniej sama jest swoistym dziełem sztuki.

- Miło cię poznać. - Nie odrywam wzroku od jej twarzy, bardzo się starając, żeby oko nie opadło mi nawet o milimetr, bo mam mały problem. Mianowicie umysł płata mi figle i widok realnej klatki piersiowej Honey w błyszczącym T-shircie zastępuje zdjęciem z ekranu telefonu.

- To moja koleżanka Carmen - Honey przedstawia brunetkę, która posyła mi szeroki uśmiech. - Uważaj na niego, Car - chichocze Honey. - Matt mi mówił, że w dawnych czasach, zanim się hajtnął, był niezłym Casanovą...

„W dawnych czasach...”.

Co dalej, zastanawiam się? Zacznie się do mnie zwracać „Hej, tatusiu” czy mówić o mnie „oldboj”?

Nie wiem, co Matt jej naopowiadał, ale chyba całkiem jej jakoś umknęło, że on i ja jesteśmy w tym samym wieku.

- Żonaty? - Carmen patrzy na mój palec serdeczny, żeby się upewnić.
- Szkoda, co nie? „Szkoda...”.

W obliczu tego komplementu nie mogę się oprzeć uczuciu wdzięczności i dumy.

Stary byk na pastwisku jeszcze ma w sobie trochę wigoru.

Szczerze mówiąc, czuję się bardziej jak ten mądry stary byk z dowcipu, ten, który stoi na szczycie wzgórza z młodym narwanym byczkiem, i obaj patrzą w dół na łąkę pełną krów. „Pobiegnę tam i wydymam jedną” - emocjonuje się młody byczek. Na co stary byk mówi spokojnie: „A ja pójdę i wydymam wszystkie”.

Nie to, żebym planował kogoś wydymać, ale jednak miło jest wiedzieć, że może jeszcze bym mógł...

Z podbechtanym ego, pytam dziewczyny, czego się napiją. Podchodząc do baru, spostrzegam w swoich krokach sprężystość, jakbym nagle stał się kilka lat młodszy.

Gdy czekam na swoją kolejkę, dzwoni moja komórka: to Amy. Nie odbieram, bo straszny tu hałas, a przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Prawda jest taka, że nie chcę odbierać. Jestem zadowolony i rozluźniony i wolałbym, żeby nic nie zepsuło mi dobrego nastroju. Co w tym złego? Tylko kilka drinków. Więc wyłączam telefon i zerkam na Matta i resztę.

Dwa razy w ciągu jednego dnia potraktowany jako obiekt zainteresowania... Nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Czyżby wschodziła moja szczęśliwa gwiazda? Czy to tylko kaprys losu? Może po prostu wyglądam dobrze w tych dżinsach? Może moje włosy przypadkiem osiągnęły optymalną długość i styl? Czy też cała moja osoba stała się nagle modna?

Albo, co bardziej prawdopodobne - ta myśl uderza mnie z niepokojącym głuchym łomotem - i o wiele, wiele gorsze, może stałem się jak Jodie Foster w tym filmie, który niedawno oglądałem? Może sam zacząłem wysyłać sygnały? I tęsknić za odzewem?

Strzeż się potrawki z kurczaka

Oglądam w telewizji nocne powtórki *Pary nie do pary*. Zegar na wideo przeskakuje na pierwszą trzydzieści osiem. Wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem po dywanie w salonie. Znów siadam. To żałosne. Powinnam się wyluzować, mówię sobie. Jack już tyle razy wracał późno. Moje nerwy nie ściągną go do domu wcześniej.

Biorę pusty kieliszek i idę wstawić go do zlewu. Mieszkanie wydaje się dziwnie ciche. Rozglądam się po kuchni, która zrobiła się jakoś strasznie ciasna. Ogarnia mnie uczucie beznadziei.

Od czasu naszego lunchu na Primrose Hill stosunki między mną a Jackiem nie wróciły do normy, a seksu nie było od chwili, gdy przyłapali nas Kate i Simon. Tak naprawdę, jak dobrze się zastanowić, coś niedobrego dzieje się od urodzin Bena.

Nie wiem, co się stało, ale bez przerwy jesteśmy dla siebie opryskliwi i czepiamy się jedno drugiego, a ostatnio złapałam się na tym, że po dziecinnemu pokazałam język Jackowi za jego plecami, wściekła za jakiś jego bezmyślne niedopatrzenie.

Oczywiście, nie pomaga nam fakt, że przypadkiem mieszkamy z chyba najbardziej gruboskórną, samolubną istotą płci żeńskiej na ziemi, ale mimo wszystkich czynionych przeze mnie aluzji, Jack wciąż nie chce poprosić swojej siostry, żeby się wyprowadziła.

Jednak dzisiaj mieliśmy być sami. Tylko we dwoje. Kate pojechała na parę dni na jakąś firmową imprezę, a Ben śpi,

zapakowany do łóżka wcześniej (mimo protestów), żebym mogła wszystko przygotować.

Bo dzisiaj wieczorem wszystkie kłótnie i wzajemne oskarżenia miały się zakończyć, by mógł wrócić romantyzm, którego zabrakło w ostatnich kilku tygodniach. Ponieważ oboje się zgodziliśmy, że potrzebujemy spędzić trochę czasu ze sobą.

Więc się naprawdę postarałam.

I wszystko na nic. Potrawka z kurczaka tkwi nietknięta w garnku na kuchence, surowe warzywa leżą pokrojone na deseczce. Świece na stole niezapalone, odprasowane serwetki wciąż złożone, a dwa kryształowe kieliszki, jedyne, które zostały z naszej najlepszej ślubnej zastawy, puste.

Za oknem jest ciemno. Widzę swoje odbicie w szybie drzwi kuchennych. Włosy mam w nieładzie, tam, gdzie wyostały się spod spinek. Mam na sobie bluzkę z głębokim dekoltem i łańcuszek, który podarował mi Jack, ale zamiast wyglądać sexy i ponętnie, jak siedem godzin temu, gdy spodziewałam się powrotu Jacka, jestem wymięta i zmęczona. Wypiłam za dużo wódek z tonikiem; czuję się pijana, ruchy mam nie-zborne. Chciałabym pójść do łóżka i zapaść w głęboki czarny sen, ale jestem zbyt nakręcona.

Znowu sprawdzam komórkę, ale nie ma żadnych nowych wiadomości. Jack wcześniej przysłał mi SMS-a, że idzie do Jessie, ale zapomniał, że obiecał Mattowi spotkać się z nim później na drinku. Gdy oddzwoniłam, nie odebrał. Potem, o dziesiątej, przysłał kolejnego SMS-a, że zostaje jeszcze z Mattem i jednak nie przyjdzie do domu na kolację - i żebym na niego nie czekała.

Jestem tak pochłonięta wyobrażaniem sobie miejsc, w których on może być, i wymyślaniem elokwentnej przemowy o tym, jakie to nie fair, że tylko on się bawi, że gdy Jack wchodzi po cichu do kuchni i rzuca klucze na stół, niemal wyskakuję ze skóry.

- Ach, więc wreszcie wróciłeś! - Włączam lampę. On zastyga jak włamywacz, przyłapany na kradzieży.

- Jezusie! Myślałem, że śpisz.

- Nie jestem Jezus i nie śpię.

- Jest strasznie późno.

Widzę, że jest pijany. Oczy ma przekrwione i, mimo że sama jestem trochę wstawiona, nie ma mowy, żebym pozwoliła mu się wykręcić. Czuję, że gwałtownie trzeźwieję.

- Bardzo dobrze wiem, że jest strasznie późno, Jack.

- Sorry, mała. Nie zdawałem sobie sprawy. Komórka mi się rozładowała.

Akurat pozwolę mu się tak wyłgać!

- O, czyżby?

Wreszcie Jack załapuje, że nie jestem w zbyt dobrym nastroju.

- Co się stało? - pyta.

- O... nic takiego. Tylko spędziłam cały dzień, przygotowując specjalną kolację dla ciebie, bo powiedziałeś, że wrócisz do domu, i uzgodniliśmy, że spędzimy miły wieczór razem. Cenny czas dla siebie. „Żeby odnowić więzi”, zdaje się, że tak to określiłeś. „Tylko my dwoje”.

Patrzy na zastawiony stół kuchenny i wreszcie do niego dociera.

- Och. Mogłaś mi powiedzieć.

- To miała być niespodzianka.

- Cóż, nie wyszło mi. Możemy zjeść tę kolację jutro wieczorem. - Podchodzi i próbuje mnie dotknąć, ale ja robię unik, opieram się o szafkę i krzyżuję ramiona. - Słuchaj, nie mogłem nic zrobić, obiecałem Mattowi, prawie się nie widzimy, a Honey powiedziała...

- Byłeś z Mattem i Honey? Nie mówiłeś, że ona tam była.

- Nie mówiłem?

- Nie.

Czuję, jak jeżą mi się włoski na karku. Osobiście wcale nie mam chęci poznawać tej całej Honey, po tym jak odmówiła przyjscia na urodziny Bena, bo może sobie zniszczyć sukienkę. Uch! Przepraszam bardzo, cóż to za hrabina! Ale myśl o Jacku, Matcie i Honey przekomarzających się

w najlepsze całą noc w pubie napełnia mnie oburzeniem. Dawniej był Matt, Jack i ja.

- To jaka ona jest? - pytam, bębniąc palcami po swoim ramieniu.

- Jak zwykle. Blondynka... duże cycki.

- Naprawdę? Niewiarygodne.

- Ma też sprośne poczucie humoru. - Jack śmieje się i wygląda, jakby chciał podzielić się ze mną czymś, co powiedziała Honey, ale widząc moje piorunujące spojrzenie, najwyraźniej zmienia zdanie i uśmiech znika z jego twarzy.

- No to będziemy musieli ją zaprosić na kolację - rzucam sarkastycznie. - To znaczy pod warunkiem, że jakoś przeżyje przyście tutaj w swoich markowych ciuchach. „I jeśli cycki jej się zmieszczą w drzwiach”.

- Ona nie jest taka, naprawdę. Jest bardzo w porządku. Ona i Carmen...

- Kto to jest Carmen?

- Przyjaciółka Honey. Proszę, coraz lepiej.

- Rozumiem. Jak to się stało, że o niej też nie wspomniałeś? - pytam.

- Nie wspomniałem?

- Nie.

Jack podchodzi do zlewozmywaka. Wyjmuje szklankę z szafki i nalewa do niej wody z dzbanka z filtrem. Nawet od tyłu widzę, że coś ukrywa. Jego marynarka wydaje się emanować poczuciem winy.

- A, tak. No, Carmen wpadła razem z Honey i była głodna, więc poszliśmy do restauracji.

Zerkam na mój garnek z pieczołowicie przygotowaną potrawką z kurczaka.

- Co? Poszliście do restauracji?

- Tak.

Zaciskam usta tak mocno, że czuję ból. Nie mogę uwierzyć, że poszedł gdzieś na kolację. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam

jego ulubiony deser (creme brulee) i poparzyłam sobie palec, opalając palnikiem wierzch. A on przez cały ten czas siedział w restauracji. Miałabym ochotę je go opalić palnikiem.

- Do której restauracji?

- Och. Tam... wiesz... w Park Lane. Do tej... yy... do tej eleganckiej. Ja chyba śnię.

- Mówisz o Nobu?

- Taak. Carmen tam pracuje. Udało jej się skombinować dla nas stolik. Fajnie, co?

Przyciskam do skroni kciuk i palec wskazujący. Czuję, jak serce wali mi w piersi.

- Czekaj, niech to sobie uporządkuję. Byłeś w Nobu. Poszedłeś do Nobu, jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Londynie. Beze mnie.

Jack odwraca się do mnie. Przetyka łyk wody i odstawia szklankę.

- To nie tak, jak myślisz. Wszystko w porządku. Matt płacił.

- Nie obchodzi mnie, kto p ł a c i ł, do cholery. Obchodzi mnie, że poszedłeś do Nobu beze mnie, za to z jakąś pieprzoną dziewczuchą o imieniu Carmen.

- W twoich ustach to brzmi, jakby to była randka.

- A nie była? Bo tak to dla mnie wygląda. Podwójna randka. Matt i Honey. Jack i Carmen. Kurczę, jakie to urocze.

- To był przypadek. Tak po prostu wyszło...

- Co to było, Jack? Cztery łyżeczki. Jeden pudding.

- Pudding? Żartujesz? Po daniu dnia? Chryste, nie. Żadne z nas nie miało już miejsca nawet na miętówkę.

- Jak śmiesz sobie z tego żartować?

- Daj spokój! Nobu! Odmówiłabyś?

- Tak! - krzyczę mu w twarz.

- Amy. Bądź rozsądna. Proszę. Daj spokój. To nie była moja wina...

- Nie. To ty bądź rozsądny. W zeszłym tygodniu szalejesz całą noc w klubie z Sally McCullen...

- Nie było jej tam. Przysięgam...

- A teraz idziesz sobie na kolację do restauracji, do której ja zawsze chciałam pójść i do której obiecałeś mnie kiedyś zabrać, idziesz z jakąś dziewczyną, która ma imię, jakby tańczyła na rurze!

- Piekłisz się o tę restaurację? O to ci chodzi? Gdybym zjadł kolację w pubie, byłoby okay?

- Nie, ty kretynie! - Teraz krzyczę głośniej i napływają mi do oczu łzy. Powstrzymuję je wysiłkiem woli. Nienawidzę się rozklejać, gdy staram się coś komuś wytłumaczyć, ale to silniejsze ode mnie.

Jack patrzy na mnie, kompletnie zdezorientowany. Widzę, że nie ma pojęcia, dlaczego się złościę.

- Przykro mi. Czy chcesz, żebym to właśnie powiedział?

- Nie. Chcę, żebyś to czuł, nie tylko powiedział.

- Nie rozumiem, czemu na mnie krzyczysz. Nie zrobiłem nic złego. To nie grzech zjeść kolację.

Wpatruję się w niego i przez sekundę mam wrażenie, że patrzę na kogoś nieznanego. Czy on jest pozbawiony uczuć? Czy aż tak go nie obchodzi, że nie rozumie, jak się czuję?

Nie mogę na niego dłużej patrzeć. Odwracam się i opieram dłońmi o szafkę. Czuję, jak w piersi wzbiera mi złość.

- Dobrze. W takim razie rób, co chcesz - rzucam.

- Co to ma znaczyć?

- Najwyraźniej nie chcesz spędzać ze mną swojego wolnego czasu.

- Co w tym dziwnego, skoro wciąż tylko grasz mi na nerwach? - mamrocze te słowa, ale ja słyszę je tak wyraźnie, jakby krzyknął mi je do ucha.

Jak on ŚMIE! Coś we mnie pęka.

Biorę garnek z potrawką, obracam się i ciskam go z całych sił na podłogę. Garnek spada z efektownym brzękiem i kurczak rozbryzguje się na wszystkie strony.

Jack gapi się na mnie, zdumiony.

Ben zaczyna płakać. Przeciskam się koło Jacka i otwieram drzwi sypialni. Biorę Bena na ręce i tulę jego główkę. Cała się trzęsę.

- Dlaczego to zrobiłaś? - pyta Jack, stając w drzwiach.

- Kate nie wraca dzisiaj na noc - rzucam, ledwo panując nad głosem. Twarz mam mokrą od łez. - Możesz spać w pokoju Bena.

- Co?

- Słyszałeś.

- Wyrzucasz mnie z sypialni?

- Ponieważ najwyraźniej straciłeś dla mnie cały szacunek, nie widzę powodu, żeby z tobą dzielić łóżko. Tak, wyrzucam cię!

Proszę zająć stanowiska

Następnego ranka budzę się w ubraniu i z kacem. W lustrze widzę, że ze smugami tuszu wyglądam jak Marilyn Manson. Myślę o H. i zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby mnie mogła teraz zobaczyć. Na pewno wyrecytowałaby nasz ulubiony cytat J.R.-a z *Dallas*: „Sue Ellen, jesteś włóczęgą, pijaczką i beznadziejną matką, tak powiedział mój tatuś przed śmiercią”.

Wstaję i idę do łazienki, żeby nie wystraszyć swoim widokiem Bena, jak się obudzi. Gdy cicho otwieram drzwi, porusza się w swoim łóżeczku.

W korytarzu zastygam, nasłuchując. Skradam się po dywanie do pokoju Bena, gdzie spała Kate. Drzwi są uchylone. Zaglądam przez szparę przy zawiasach. Łóżko jest nietknięte.

Idę do salonu i zatrzymuję się w drzwiach. Z sofy zostały zdjęte poduszki, w wyniku czego na stelażu ukazała się warstwa rodzynek, miniaturowych samochodzików, drobnych monet i jeden z moich zaginionych kolczyków. Narzuta na sofę i wszystkie poduszki leżą w kupie na podłodze

i wyglądają jak porzucona dziecięca kryjówka, ale Jacka nie ma już w legowisku.

Widok wgłębienia po jego głowie na poduszce sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Nie dlatego, że jest mi przykro, ponieważ zbyt emocjonalnie zareagowałam i wyrzuciłam go z sypialni. Czy że po raz pierwszy, od kiedy jesteśmy małżeństwem, złamaliśmy jedną z naszych świętych zasad i poszliśmy spać pokłóceni. Po prostu to wgłębienie świadczy o nieobecności Jacka, i wiem, co to znaczy.

Że zajął stanowisko.

A gdy wchodzę do kuchni i widzę na podłodze zastygłą potrawkę z kurczaka, dokładnie wiem, co to za stanowisko: daleko, daleko w Krainie niesprawiedliwie potraktowanych. Przebywa tam jako nielegalny imigrant, nie zapominajmy o tym, ale jednak tam jest.

Mija godzina za godziną, i nie ma od niego żadnych wiadomości. Czuję się coraz gorzej. W mojej głowie toczy się taka walka, że ledwo mogę funkcjonować. Waham się, robiąc zakupy w supermarkecie, przypalam lunch dla Bena, i jakby tego było mało, farbuję sobie na szaro całe białe pranie. A jeszcze nie minęło południe.

I przez cały czas wiem, że Jack jest w pracy i o mnie nie myśli. Jak on może tak po prostu się wyłączyć? Czy nie rusza go to, że prawie sięgnęliśmy dna? Nigdy wcześniej nie byliśmy obrażeni na siebie tak długo.

W końcu, gdy Ben ucina sobie drzemkę, poddaję się i dzwonię do Jacka, żeby sprawdzić, czy jest gotów do przeprosin.

- O - mówi, gdy słyszy, że to ja. Ma nieprzyjazny głos. Biorę głęboki oddech.

- Posłuchaj. Czy możemy to jakoś rozwiązać? - pytam. - Pogadamy później? Naprawdę uważam, że powinniśmy.

- To zależy, Amy.

- Od czego?

- Od tego, czy będziesz w stanie zachowywać się rozsądnie. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś psychopatką i nie zaczniesz demolować domu?

- Ja...

- Bo mówię ci, twoje zachowanie wczoraj w nocy było poniżej krytyki.

Moje zachowanie, też coś. Nie rzuciłabym tą cholerną potrawką z kurczaka, gdyby nie jego postępowanie, ale Jack zdaje się całkiem zapomniał, że to on zawinił.

Żałuję, że w ogóle do niego zadzwoniłam.

W telefonie zapada długa cisza. Do oczu napływają mi łzy.

- No to zobaczymy się później - rzucam.

- Może tak, może nie.

Tajemnicza kobieta

W porze lunchu idę do Gracelands. To ulubiona kafejka Bena, a ponieważ jest piątek, na pewno spotkamy tam kogoś znajomego. Wyjście z domu uspokaja mnie, co pozwala mi nieco rozsądniej ocenić sytuację, ale nadal jestem przygnębiona. Mimo gorącego słonecznego dnia, w środku czuję chłód. Mój związek ogarnął arktyczny mróz, który wszystko zmienił.

Najtrudniej znieść mi to, że Jack odwrócił kota ogonem, całą awanturę sprowadzając do tej pieprzonej potrawy.

Czy naprawdę tak bardzo przesadziłam z emocjami? Rozum mi mówi, że chyba tak, ale nie serce. Serce mam wciąż zranione tym, co powiedział Jack, że wciąż tylko gram mu na nerwach. A jeśli to prawda, wyrzucenie go z sypialni tylko pogorszyło sprawę. Im więcej o tym myślę, tym bardziej się spinam. Według Jacka to ja jestem winna. Ale to nieprawda. Wiem, że nie.

W tej kafejce są wysokie sufity, ściany z cegły, drewniana podłoga i rustykalne stoliki. W gablocie szeroki wybór sałatek i smakowicie wyglądająca musaka i lazania, ale z powodu kaca niedobrze mi na samą myśl o jedzeniu.

Po drugiej stronie sali siedzą Camilla i Faith. Machają do mnie. Podchodzę i dosiadam się do nich. Jednak mimo

ciepłego przyjęcia, czuję się jak intruz. Wyczuwam jakąś atmosferę konspiracji, jakby na mój widok przestały rozmawiać. Ben rzuca się w stronę kącika zabaw, gdzie są już Amalie i Tyler.

- Miło, że przyszłaś. Nie spodziewaliśmy się ciebie. - Camilla uśmiecha się promiennie, gdy kelnerka stawia przed nimi talerze. Ja zamawiam mocną kawę. Tylko tyle dam radę przełknąć.

Camilla nie patrzy na mnie, ale mój radar działa. Ma coś do powiedzenia. O mnie.

- Co jest? - pytam, gdy nasze oczy wreszcie się spotykają. Zerka na Faith, a potem pyta:

- Umówiłaś się na lunch z Jackiem?

- Z Jackiem? Nie. Dlaczego?

- Ach, bo właśnie go widziałyśmy. Jakąś minutę temu

- wyjaśnia Camilla.

Serce mi skacze. Jack jest tutaj? Może przyszedł, żeby mnie poszukać?

- Gdzie? - pytam.

- Był w samochodzie.

- W samochodzie?

- Niesamowita bryka - wtrąca Faith, kiwając głową w stronę Camilli. Dostrzegam w jej oczach figlarne iskierki.

- Lexus kabriolet. Dostosowany do indywidualnych potrzeb. Nówka.

Nie znam nikogo, kto by miał lexusa kabriolet.

- Nie mogliśmy uwierzyć, gdy koło nas śmignęli. Wyglądali, jakby się świetnie bawili - ciągnie Camilla.

Oni?

- Ona musi mieć majątek, skoro stać ją na taki samochód - dodaje.

Ona?

Czuję, że zaczynam się czerwienić.

- A, tak, właśnie sobie przypomniałam, Jack jest dzisiaj z jakąś klientką - blefuję.

Faith patrzy na mnie. Potem na Camillę.

- To pewnie jechali do centrum ogrodniczego?
- Pewnie tak. - Kiwam głową, ale prawda jest taka, że nie wiem, dokąd jechał Jack ani tym bardziej z kim...

Przypadkowy kontakt fizyczny

Bardzo głośno grają *Suspicious Minds* Presleya. Siedzę i czekam na H. W czwartkowy wieczór w Soho pub jest prawie pełny.

Jaki cholernie trafny tytuł piosenki. Jack i ja też nie możemy dalej żyć z głowami pełnymi podejrzliwych myśli. Nie wiem, jak nam się udało dojść do tej patowej sytuacji. Musimy być dla siebie uprzejmi ze względu na Bena, ale cała czułość zniknęła jak nożem uciął. Nie mogę wydostać z Jacka ani odrobiny życzliwości czy skruchy.

Śpimy w jednym łóżku, bo Kate wróciła z wyjazdu służbowego, ale Jack nawet na mnie nie patrzy, nie mówiąc już o dotykaniu. Na dodatek, chociaż w naszym mieszkaniu jest jak w piecu, po raz pierwszy w ciągu całego naszego wspólnego życia zaczął nagle wkładać starą piżamę, aby dać mi do zrozumienia, że przypadkowy kontakt fizyczny nie wchodzi w grę.

Zresztą, prawie go w tym tygodniu nie widziałam. Przebywa poza domem, twierdząc, że pracuje do późna. Wiem, co robi, tylko dlatego że po powrocie opowiada o tym Benowi.

Im bardziej mnie ignoruje, im bardziej jest niemiły, tym bardziej mnie to oburza. Powinien przeprosić, wytłumaczyć się. Kim jest ta jego piękna klientka? Jeśli to faktycznie była klientka Greensleeves. A może ktoś, kogo poleciła mu Jessie? Jedna z jej bogatych przyjaciółek?

Dlaczego w ten piękny dzień on jeździ sobie w słońcu w jej kabriolecie, kiedy ja czuję się tak podle?

Zapytałabym go wprost o tę tajemniczą kobietę, ale ponieważ komunikacja między nami jest niemal zerowa, nie miałam właściwie okazji.

Nigdy, przenigdy nie ciągnęliśmy kłótni tak długo - ale najbardziej niepokoi mnie, że formalnie rzecz biorąc, to już nie jest kłótnia. To coś przerodziło się w stan permanentnej udręki.

Może właśnie tak dochodzi do rozpadu małżeństw. Teraz widzę, jak to się odbywa. Kłóćcie się. Nie rozwiązujecie problemu, a życie toczy się dalej. Po jakimś czasie przegapiacie okazję do rozmowy, która położyłaby kres nieporozumieniu i cierpieniom. Okazuje się, że nie macie już dostępu do emocji, które odczuwaliście tak mocno, gdy kłótnia się zaczęła, ponieważ wyparowały, stając się kropelką trucizny, która, jak kwas siarkowy, skwierczy i wypala dziury we wszystkim, co dobre i prawdziwe.

I dlatego potrzebuję H. Chcę od niej usłyszeć, że słusznie robię, nie ustępując Jackowi i stosując strategię wyczekiwania, aż on się złamie, ale chcę też omówić, jak długo powinnam to ciągnąć, ponieważ bardzo możliwe, że w tym tempie to ja się złamię pierwsza. A jeśli nie uda mi się skłonić Jacka do przeprosin, będę musiała opracować plan kapitulacji, tak aby jak najmniej stracić i nie stworzyć żadnych precedensów.

Poza tym potrzebuję po prostu wyjść z domu. Dzisiaj jest tam Kate, a nie mogę się zdobyć, żeby omawiać z nią moje problemy małżeńskie, chociaż wiem, że miałyby na to ochotę. Wciąż mi się przygląda z tak zakłopotaną, pełną współczucia miną, że chętnie bym ją walnęła. Wścieka mnie, że ona uważa się za eksperta od związków, chociaż sama właśnie z kimś zerwała.

Dlatego umówiłam się z H. po pracy. Zapewniła mnie, że świetnie się składa, bo chciała, żebym odegrała rolę przyzwo-itki na jej randce z „Tomem Bez Zdjęcia” z tamtej strony internetowej. Ustaliłyśmy, że spotkamy się przed ich randką, abyśmy sobie mogły pogadać, a potem, kiedy on się pojawi w pubie, ja się zmyję. To znaczy, pod warunkiem, że nie okaże się odrażający, czego obawia się FL, bo wtedy obie uciekniemy.

Więc w teorii wszystko jest ładnie i pięknie, tylko że H. nie przyszła. Siedzę tu sama jak sierota od pół godziny. Dwa

razy przeczytałam „Metro”, kończę drinka i już wiem, że niepowtarzalna okazja, by omówić z H. moje problemy, przepadła.

Dlaczego H. mi to robi, gdy jestem w potrzebie? Muszę się przed kimś wygadać. Muszę jej opowiedzieć o tajemniczej kobiecie, z którą widziano Jacka w lexusie. Kim ona była? Co to wszystko znaczy? Czy powinnam się martwić? Jak mam przestać wyobrażać sobie Jacka śmiejącego się do jakiejś pięknej kobiety, która w mojej głowie zdążyła już przybrać postać Grace Kelly skrzyżowanej z Jackie Onassis?

Rozglądam się po pubie. Widzę grupki ludzi, którzy przyszli na drinka po pracy, i przypominam sobie wieczory, gdy wychodziłam z dziewczynami z Friers. Obiecywałyśmy sobie, że wypijemy tylko jednego, ale kończyło się na wycieczkach od baru do baru. Czasem dołączał do nas Jack i szliśmy coś zjeść do jakiejś taniej restauracji. Wtedy o siódmej wieczorem byłam jeszcze pełna energii, nie padałam na nos z wyczerpania. Były to wieczory pozbawione napięcia, bo w domu nie czekała opiekunka do dziecka. Wieczory, gdy narzucałam na siebie jakiś fajny kusy ciuszek, kupiony podczas przerwy na lunch, i tańczyłam do drugiej nad ranem.

Nagle te stare dobre czasy i cały ten spontan wydają się strasznie odległe.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzę, ludzie świetnie się bawią. Każdy ma kogoś, z kim może pogadać, i wszyscy się śmieją. Przy sąsiednim stoliku odbywa się wieczorek panieński; jego uczestniczki śpiewają razem z EMsem, machając do rytmu boa z piór.

Wszystkie są starsze ode mnie i ubrały bohaterkę wieczoru w kostium elfa. Ona ma sflaczałe ramiona i stary tatuaż i wygłupia się jak aktorka z bajki muzycznej dla dzieci. Na ich stoliku między pustymi szklankami po dużym jasnym piwie z jabłecznikiem leżą przedmioty o fallicznym kształcie. To pewne siebie kobiety, które kompletnie nie dbają o to, co ktoś sobie o nich pomyśli. Z ich konwersacji zdążyłam wynioskować, że wszystkie palą, wszystkie z nabożeństwem

oglądają *Coronation Street* i *EastEnders*, a z pubu pójdą jeszcze na bingo, ale mimo to podziwiam je. Wygląda, że znalazły sposób na to, jak być szczęśliwe. Żadna z nich nie zaplątałaby się tak głupio jak ja.

Gdy piosenka się kończy, wszystkie wybuchają gromkim śmiechem.

- Czekasz na mężusia? - pyta jedna z nich, ta, która siedzi najbliżej mnie. Ma jasnoniebieskie boa z piór, a wargi obwiedzione ciemnokasztanową konturówką i wypełnione metalicznym różem. Policzki ma zaczerwienione. Musiała zauważyć, że się na nie gapię.

- Nie, na przyjaciółkę - wyjaśniam, zakłopotana.

- Babskie pogaduszki?

- Coś w tym rodzaju.

Nie potrafię się tłumaczyć. Nie mogę tu zostać i rozmawiać z grupką nieznajomych. Chwytam torebkę i szykuję się do wyjścia.

Cholernie zabójczy przystojniak

W tej samej chwili jednak dostrzegam samotnego mężczyznę przy barze. Rozgląda się po pubie i wyraźnie kogoś szuka. Gdy spotykamy się wzrokiem, podchodzi do mojego stolika.

- Hej - uśmiecha się. Zęby ma idealne. W jego zielonych oczach migoczą znaki zapytania. - Ty jesteś Helen?

Mam ściśnięte gardło i zaczynają mi się pocić dłonie.

O mój Boże. To on! To jest Tom. Internetowa randka H.

Właśnie wali się z hukiem teoria H. o braku zdjęcia. Mój instynkt ani trochę mnie nie zawiódł. *On jest absolutnie cholernie zabójczo przystojny*. Jest wysoki, opalony i ma kędzierzawe ciemne włosy. Ma na sobie lnianą koszulę z krótkimi rękawami, a z górnej kieszonki wystają mu ładne okulary przeciwsłoneczne. Emanuje jakimś magnetyzmem, który sprawia, że nie mogę wydusić z siebie słowa.

- Yy... ja...

- Mogę usiąść? - pyta, wskazując stołek obok mojego. Czerwienię się. Wiem o tym, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Czy ty jesteś...? - zaczynam.

- Tom - mówi. - Tom Parry. Dla znajomych Tommo. Uśmiecha się znowu i wyciąga rękę, żeby uścisnąć moją.

Uścisk ma mocny i ciepły. Jego irlandzki akcent przywodzi na myśl porośnięte wrzosem wzgórze i leniwe nocne imprezki w wiejskich pubach.

- Nie jestem H... Helen. To nie ja - wyrzucam z siebie. - To znaczy, w pewnym sensie ja. Jestem jej przyjaciółką. Miałam się z nią spotkać wcześniej, a potem wyjść, po twoim przyjeździe, ale jej tu nie ma i...

- Ach - mówi Tom, lekko urażony.

- Jestem Amy.

- No cóż, Amy - znowu się uśmiecha. - Jestem zachwycony, że mogę cię poznać. Może zostaniesz na jeszcze jednego drinka i poczekaś ze mną na H? - Wskazuje ruchem głowy na mój pusty kieliszek po ginie z tonikiem.

Wszystko jest nie tak. Powinnam odmówić i wymknąć się pod jakimś pretekstem - ale H. pewnie zaraz się pojawi, a Tom jest taki swobodny. Zachowuje się, jakby sytuacja była całkiem normalna.

- No, zgódź się. Nie zostawiaj mnie. - Zerka w kierunku sąsiedniego stolika. „Dziewczęta” bezwstydnie pożerają go wzrokiem. Chyba się zorientował, że jeśli zostanie sam, zjedzą go na kolację.

- Okay. - Siadam z powrotem. - Tylko jednego. Dzięki. Idzie do baru z moim kieliszkiem.

- Nie marnujesz czasu, co? - rzuca ta w niebieskim boa, śmiejąc się z innymi.

- Boże, co za obciach. - Zakrywam twarz.

- Aleś sobie przygruchała przystojniaczka, co? - woła panna młoda. - Jeśli go nie chcesz, to ja go sobie zamawiam.

- Ja też, i to dwa razy! - skrzeczy jedna z jej koleżanek. Wszystkie pękają ze śmiechu.

Patrzę na Toma, który stoi przy barze. Jakby wyczuwając mój wzrok, odwraca się i uśmiecha. Mój żołądek wykonuje fikołka.

Gdzie jest FL? To o n a powinna odbierać uśmiechy z baru. Znam tego faceta od dwudziestu sekund, ale jest fantastyczny. Idealny dla niej. Tom to te dziewięćdziesiąt procent.

Co najmniej.

Sprawdzam komórkę. Jest wiadomość głosowa. Cholera. Jak to się stało, że nie słyszałam telefonu? Naciskam guzik, żeby odsłuchać wiadomość. To H.

- Stara, sorry, sorry, sorry, nie dam rady. Utknęłam na tym zebraniu. Możemy się spotkać kiedy indziej? Przepraszam. Wiem, że mnie zabijesz. Nie odbierasz, więc pewnie jesteś w drodze do domu. W każdym razie, jeśli byś wpadła na tego Toma, przeproś go ode mnie. Potem mu wyślę e-maila i umówimy się na inny termin.

- Nie wierzę. Ona nie przyjdzie! - informuję Toma, gdy wraca do stolika z moim drinkiem. - H., to znaczy Helen. Mówi, że strasznie przeprasza, ale zatrzymali ją w pracy...

- Żartujesz? Ale mam pecha. Widzisz, to mój pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie umawiałem się na randkę przez Internet...

- Ja też nie - mówię, i dopiero wtedy uświadamiam sobie swoją gafę. - To znaczy, ja nie...

- I od razu zostałem wystawiony... - Tom jednak się uśmiecha.

Zauważam, że uczestniczki wieczoru panieńskiego poszturchują się nawzajem i gapią się na nas. Ta w niebieskim boa posyła mi wymowne spojrzenie.

- Dobry wieczór paniom. - Tom wznosi swoje piwo w ich kierunku. Odpowiadają zachwyconym chichotem.

- Zdrówko. - Pochyla się ku mnie. Teraz gdy jest tak blisko, czuję, jak ładnie pachnie trochę piżmowo, ale świeżo. Jack już niczym nie pachnie, przynajmniej nie dla mnie, bo oboje używamy tego samego dezodorantu i szamponu Bena, i płynu do kąpieli. Ale Tom... on pachnie inaczej. To nowy zapach. I, nie da się zaprzeczyć, piekielnie pociągający.

- A więc... chyba nie można zbyt polegać na tej twojej koleżance? Wygląda na to, że oboje nas zawiodła.

Czuję, że powinnam ująć się za H.

- Ona jest świetna, naprawdę, spodobałaby ci się.

- Na pewno.

On też by się jej spodobał. Jest na tyle przystojny, że mógłby być modelem, ale też na tyle męski, żeby zaspokoić jej fantazje o wysportowanym facecie.

- Po prostu ma ważną pracę w telewizji i jest szefową - upieram się.

- Aha. - Nie wygląda na to, by zrobiło to na nim wielkie wrażenie. - A ty? Co robisz? Też pracujesz w telewizji? - Słowo „telewizja” wypowiada z ironią, jakby traktował tę instytucję niezbyt poważnie.

- Kiedyś pracowałam w modzie, ale teraz mam małego synka, więc jestem tylko mamą...

- Gratulacje. - Sączy swoje piwo i patrzy na mnie. Oczy mu błyszczą.

- Farciarz. Znaczy, twój mąż.

Pociągam łyk drinka.

- A ty jesteś wydawcą? - pytam. Tom unosi brwi.

- Czytałaś mój profil?

- Tak, właściwie to pomagałam H. wybrać.

Natychmiast uświadamiam sobie, jak źle to zabrzmiało. Jakbym to ja go wybrała. Wstrzymuję oddech. Czuję się zdemaskowana.

Niezręczna sytuacja.

- Hm... założę się, że to ciężka praca, wychowywanie dziecka na pełny etat? - rzuca, ignorując moją uwagę, a w jego oczach czai się uśmiech. Niech się schowa George Clooney.

- Tak, ale to nie jest przecież prawdziwa praca.

- Hej, nie umniejszaj swojej roli - nagle poważnie. - Moim zdaniem to jest najważniejsza praca na świecie, i najmniej doceniana. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jakiego poświęcenia to wymaga. Moja mama wychowała nas wszystkich sama i mam dla niej ogromny szacunek.

I już. Może to dlatego, że z powodu kłótni z Jackiem od tygodnia jestem spragniona rozmowy z kimś... z kimkolwiek. Albo może dlatego, że z Tomem się tak łatwo rozmawia. W każdym razie nagle gawędzimy, jakbyśmy się znali od lat. Darujemy sobie całą tę nerwową wstępną gadaninę. Przechodzimy od razu do konkretnych, interesujących tematów.

Dowiaduję się mnóstwa fascynujących rzeczy o nim: że jego duchowa ojczyzna to zachodnie wybrzeże Irlandii, że jego ostatnia dziewczyna była muzykiem, wyjechała do Ameryki nagrywać płytę i wkrótce odeszła ze swoim producentem, że jego dziadek miał prasę drukarską i tak zaczęło się u Toma zamiłowanie do książek.

Potem dowiaduję się, że uwielbia wyzwania i że pomagał organizować w zeszłym roku rajd, i sam brał w nim udział, jadąc starym bentleyem - tak przejechał całą Europę. Jego życie wydaje się dynamiczne i pełne dziwaczkich przygód.

- A ty co robisz, żeby się odprężyć? - pyta mnie. Śmieję się.
- Wiesz, ostatnio niewiele. Oprócz dzwonienia do radia dla frajdy.
- Naprawdę? Do której stacji?
- Na pewno o niej nie słyszałeś.
- Kto wie.
- To... to dość nowa stacja. Radio CapitalChat.
- Nie gadaj! - odstawia piwo na stół. - Uwielbiam CapitalChat. Bez przerwy mam je włączone.
- Serio? Mój mąż, Jack, uważa, że tego radia słuchają tylko znudzone gospodynie domowe i świry. Strasznie się cieszę, że jesteś zaprzeczeniem jego teorii.

Naprawdę się cieszę.

- Do kogo dzwonisz? - pyta Tom.
- Do programu Jessie Kay. Lubię ją.
- Ja też. Uwielbiam wszystkie te zagadki i „Moim zdaniem”. Zaraz, zaraz - mówi Tom, wskazując na mnie. Jego twarz przybiera pytający wyraz. - Nie jesteś chyba... Amy z Zachodniego Londynu?

Zakrywam policzki i kiwam głową, a w moim brzuchu zrywa się do lotu rój motyli.

- Żartujesz, prawda?

- Nie wierzę. Słyszałeś mnie?

- Czy słyszałem? Uważam, że jesteś fantastyczna! Zawsze słucham tego programu, czekając, czy ty się w nim pojawisz. To, co mówiłaś o gościach, którzy gromadzą śmieci... o naszym wewnętrznym śmieciarzu? Cytowałem cię cały dzień.

- Naprawdę?

- Jasne. To było szalenie zabawne, i takie prawdziwe. Czuję się głupio, bezwstydnie, oszłamiająco zaszczyciona.

I czuję też, po raz pierwszy od bardzo dawna, że mam jakąś tożsamość. Jestem Amy z Zachodniego Londynu, która ma swoje zdanie i do powiedzenia coś, czego ktoś chce słuchać.

Wkrótce w pubie robi się za głośno, żeby kontynuować rozmowę. Gdy Tom proponuje, żebyśmy wyszli, wstaję i ruszam do wyjścia, ale tam orientuję się, że go ze mną nie ma. Oglądam się i widzę, że stoi przy barze i mówi coś do barmana. Ten pokazuje Tomowi butelkę szampana, a Tom kiwa głową, a potem wręcza mu dwa dwudziestofuntowe banknoty. Barman zanoszą szampana do stolika wieczorku panińskiego.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pytam, gdy dołącza do mnie na chodniku. - To było takie słodkie.

- Czasem trzeba przywrócić ludziom wiarę w człowieka. Udało mu się. Moja wiara została przywrócona, a co dopiero tych pań.

- To co robimy? - pyta, zacierając ręce. Stojąc obok niego, uświadamiam sobie, jaki jest wysoki. Góruje nade mną. Zauważam też po raz pierwszy, że jest wysportowany. Widzę mięśnie na jego ramionach.

Wiem, że powinnam iść do domu. Każda komórka mózgowa, którą posiadam, wrzeszczy na mnie, żebym natychmiast z tym skończyła. To jest zbyt piękne, żeby nie było totalnie grzeszne.

- Muszę wracać... - mruczę bez przekonania.
- Daj spokój. Nie masz nic przeciwko temu, żeby mi dotrzymać towarzystwa, prawda? Zostać wystawionym do wiatru raz jest źle, dwa razy - to już niemal despekt, a poza tym, nie mogę uwierzyć swemu szczęściu, że poznałem Amy z Zachodniego Londynu.
- Przestań...
- Słuchaj, zarezerwowałem stolik w pobliskiej restauracji, na wszelki wypadek, a teraz umieram z głodu. Nie cierpię jeść sam. Co ty na to? - Jego akcent ma nieodparty wdzięk.
- Ja...
- Daj spokój. Co ci szkodzi?
- Ale ja cię prawie nie znam.
- No to co?
- To, że zwykle nie robię takich rzeczy.
- Co? Nie jesz kolacji? Śmieję się, zakłopotana.
- W porządku. Zwykle zachowuję się przyzwoicie w restauracjach. Możesz mi ufać.

Myślę o Jacku, który poszedł do Nobu z Mattem, Honey i Carmen. On nie widział w tym żadnego problemu, prawda? „Jedzenie nie jest grzechem”. To jego słowa. I dlaczego, do cholery, nie miałabym się trochę zabawić?

Moja pierwsza randka internetowa

Okazuje się, że restauracja, którą zarezerwował Tom, znajduje się w prywatnym klubie w niszczej kamienicy na Dean Street. To jedno z tych miejsc, których nigdy nie znajdziesz, jeśli nie jesteś wtajemniczony. Na drzwiach są ukryte klawisze domofonu. Ktoś wpuszcza nas do środka, czuję dreszcz podniecenia.

Prowadzą nas rozchwianymi schodami z ciemnego drewna do pięknej jadalni. Krochmalone białe obrusy, świece i piękne żyrandole. Od lat nie byłam w takim eleganckim miejscu.

- Znają mnie tutaj - mówi Tom, gdy podchodzimy do najlepszego stolika w rogu. Na jego widok kelnerka nieomal omdlewa z zachwytu.

- Co słyszeć, Anno? - pyta Tom. Ona się uśmiecha.

- Dzięki, w porządku, Tommo.

- Jest dzisiaj angielskie risotto ze szparagami? Kiwa głową.

- Więc moja urocza towarzyszka musi go spróbować - decyduje Tom. Anna obrzuca mnie spojrzeniem pełnym zaciekawienia i podziwu.

Mam wrażenie, że urosłam. Podoba mi się, że zostałam określona jako urocza towarzyszka Toma. Podoba mi się jego spokojna pewność siebie i maniery, dzięki którym wszystko wydaje się ekskluzywne i podniecające.

- Opowiedz mi o Jacku - prosi, gdy siedzimy już przy butelce drogiego białego wina. - To musi być wspaniały facet.

Kręcę głową. Siedząc w tej restauracji z Tomem, czuję się jak na randce i nienajlepiej sobie z tym radzę. Tom chyba wyczuwa moje zmieszanie.

- Nie chcesz o nim rozmawiać?

- Nie. Tak. Ja...

- W porządku.

- Na pewno?

Tom rzuca mi uspokajające spojrzenie.

- Możesz mi powiedzieć wszystko. Prawdopodobnie nigdy się już nie spotkamy, więc co masz do stracenia? A poza tym, potrafię słuchać.

Potrafi. Wcale nie czuję się skrępowana, ale mimo to nie mówię, że jesteśmy na siebie obrażeni ani o incydencie z potrawką z kurczaka. Za to przyznaję, że Jack to istotnie wspaniały facet, ale ten wspaniały facet wciąż pracuje. Nagle wyznaję, że czuję się samotna, a wychowywanie dziecka jest dla mnie trudne, że Jack i ja tak przywykliśmy do siebie, tak popadliśmy w rutynę, że rzadko znajdujemy czas, żeby sobie przypomnieć, dlaczego to, co jest między nami, jest tak wyjątkowe.

Innymi słowy, mówię mu o wiele za dużo.

- O rany, to brzmi tak, jakbyśmy nie byli szczęśliwi - wzdygam. - A ja jestem. Owszem, czasem się kłócimy, ale uważam, że jesteśmy szczęśliwi.

- Cóż, przynajmniej to ci nie przeszkadza randkować w Internecie.

Podnoszę wzrok i widzę, że się ze mną droczy.

- To pewnie niezbyt ci się podoba, Tom. Wzrusza ramionami.

- Nie. To po prostu przeznaczenie.

- Przeznaczenie?

- Czy nie powinniśmy raz na jakiś czas zapomnieć o rutynie i zrobić coś niecodziennego? Tylko po to, żeby się zrelaksować i poczuć, że się żyje?

- Nie sądzisz, że powinnam mieć z tego powodu wyrzuty sumienia?

- Nie. Ani trochę.

Może Tom ma rację, że to przeznaczenie. Może został mi zesłany. Może wpadłam na tego nieznanego faceta, żeby pomógł mi przemyśleć parę rzeczy?

- Nie jest tak źle - mówi Tom. - Jeśli mam być szczery, zazdroszczę ci. Strasznie bym chciał mieć dzieci. Spędzałbym z nimi cały czas. Mam mnóstwo siostrzenic i siostrzeńców i często poświęcam im poranki, budując obozowiska i zabierając na różne przygody.

Z jego słów wynika, że zajmowanie się dziećmi to coś fantastycznego. Ekscytującego. Ja też tak sobie to kiedyś wyobrażałam.

- Cała rzecz polega chyba na tym, żeby mieć dużo dzieci - stwierdza Tom, opisawszy idyllę na rodzinnej farmie w Gal-way. - Całą dużą paczkę.

- Bardzo bym chciała mieć więcej - wyznaję. Tom nachyla się do mnie. Uśmiech ma uroczy.

- I powinnaś. Tacy ładni ludzie powinni się jak najwięcej rozmnażać.

Jak w bajce o Kopciuszku

Gdy wychodzimy z klubu Toma, jest prawie północ. Rozmawialiśmy cały wieczór jak przyjaciele, którzy nie widzieli się od dawna, i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, która jest godzina. Omówiliśmy wszystko, od polityki po sztukę, i oczywiście książki. Dałam Tomowi mój adres e-mailowy, żeby mi przysłał listę godnych polecenia książek. Wcale mi się nie chce spać, czuję się pobudzona, jakby mój umysł nagle sobie przypomniał, po co istnieje - żeby wchłaniać całą tę wiedzę i mądrość.

- Jadę linią Bakerloo - informuję go, wkładając kurtkę na chodniku. Za dużo wypłam i martwię się, że nie zdążę na ostatnie metro.

- Ja idę kawałek dalej na Charing Cross, żeby złapać pociąg. Mogłabyś przejść się ze mną i tam wsiąść do metra?

Nocne powietrze jest balsamiczne, w oddali, na Charing Cross Road, czekają beczynnie czerwone autobusy i czarne taksówki, a my stoimy w świetle latarni. Nagle postanawiam, że jeśli nie zdążę na metro, złapię nocny autobus. Patrzymy sobie w oczy - za długo.

- Okay - mówię, ale serce mi wali. Dlaczego po prostu się z nim nie pożegnam?

Kierujemy się w stronę Trafalgar Square. Idziemy obok siebie w dół schodami przed National Gallery i dalej między fontannami. Jest pełnia księżycy i tarcza Big Bena błyszczy w oddali. Zegar ogłasza północ, dochodzi do nas echo jego uderzeń. Jest w tym wszystkim coś magicznego. Coś, co przypomina mi Piotrusia Pana.

- O czym myślisz? - pyta Tom. Dopiero wtedy zauważam, że patrzy mi w twarz.

- Że tak łatwo zobojętnieć na Londyn, czy jakiegokolwiek inne miasto, jeśli człowiek porusza się tylko po jednym kwadraciku na mapie. Zapomina się o istnieniu mnóstwa rzeczy, dzięki którym chce ci się żyć. Dzisiejszy wieczór przypomniał mi, dlaczego uwielbiam tu mieszkać.

- Dlaczego?

- Bo jest tu tyle możliwości.

Nie widzę jego wzroku. Nie potrafię powiedzieć, co myśli. Czy to zabrzmiało dla niego prowokacyjnie? Czy moja uwaga o możliwościach mogła sugerować, że mam na myśli siebie i jego?

Czy i s t n i e j e coś takiego jak „ja i on”?

- A ty? Co ci się podoba w mieście? - rozpaczliwie próbuję podtrzymać konwersację albo skierować ją na inne tory, już sama nie wiem jakie.

- Ach, cóż, wszyscy myślą, że wieś jest inspirująca, ale ja bym powiedział, że miasto to miejsce stworzone do marzeń

- odpowiada Tom.

- Chyba tak.

- To o czym marzysz? - pyta.

- Nie wiem. Chyba już przestałam.

- Człowiek przecież nie wyzbywa się marzeń?

- Zawsze chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci.

- A inne rzeczy? Czego byś chciała dla siebie?

- Po prostu, żeby jakoś szło. Starać się być szczęśliwą.

- Okay, ale powiedzmy, że to już masz, czego wtedy byś pragnęła? - pyta.

Być z Jackiem. To jest odpowiedź, którą podrzuca mi serce. W ułamku sekundy. Potem przypominam sobie wszystko, co się wydarzyło. Jak odległe są moje życzenia od rzeczywistości. Zważywszy, że nawet ze sobą nie rozmawiamy.

Więc mówię Tomowi, że chciałabym zrobić coś interesującego ze swoim życiem, nie pozwolić mu minąć bez celu. Że marzę o pracy w radiu, tylko nie mam pojęcia, jak się tam dostać. Zwierzam mu się, że nie śmiem nawet pomyśleć o tym, że mogliby mnie przyjąć bez żadnego doświadczenia

- ale zamiast się ze mną zgodzić, jak by to zrobił Jack, Tom uważa, że powinnam spróbować.

- Gdybyś miała własny program, słuchałbym go codziennie - zapewnia.

Mój własny program, akurat. Sama myśl wydaje się szalona. Szalona, ale i cudowna.

- Więc jednak masz marzenia. - Uśmiecha się do mnie.
- Widzisz, wiedziałem, że masz.
- Właściwie nigdy o tym nikomu nie opowiadałam. Za bardzo się wstydziałam...
- Nie powinnaś. Dlaczego nie miałabyś tego zrobić? Dlaczego akurat ty nie miałabyś spróbować szczęścia?
- Bo nie mam za bardzo szczęścia.
- Nie?
- No... nie wygrałam jeszcze na loterii.

Z jakiegoś powodu moje słowa brzmią głucho. Towarzystwo Toma sprawiło, że poczułam się wielką szczęściarą, jakbym otrzymała jakieś błogosławieństwo.

Tak dawno nie rozmawiałam z nikim w ten sposób, nie spoglądałam na życie w szerszej perspektywie. Dawno nie spotkałam też kogoś, kto by prowadził takie życie jak Tom. Kto sięga do gwiazd.

- Chciałabym być taka jak ty - wyrzucam z siebie.
- Wiesz, robić to, co naprawdę chcę robić, podróżować i... nie wiem, ty po prostu wydajesz się wiedzieć, o co chodzi w życiu.
- Nie wiem, czy to prawda. Nie wiem wszystkiego, ale chyba wierzę, że tylko od ciebie zależy, czy twoje życie jest wspaniałe.

Doszliśmy do Charing Cross i stoimy przy wejściu do metra. Przemyka mi przez myśl, że jest to dokładnie centrum Londynu. Że gdy na autostradzie widać napis „Londyn 65”, to znaczy sześćdziesiąt pięć mil do tego miejsca. Mam wrażenie, że znajduję się w sercu wszechświata.

Dookoła nas przemykają ludzie, ale Tom i ja stoimy nieruchomo. Czuję się dziwnie wzruszona. Nie chcę się z nim żegnać. Nie chcę, żeby ten czar przysł.

- Świetnie dzisiaj się bawiłam - mówię mu.
- Ja też. To był odlot.
- No to... cześć, Tom - rzucam lekko, ale serce mi wali jak młotem. Gdy nasze oczy się spotykają, czuję się niewiarygodnie, intensywnie naelektryzowana.

- Dzięki za kolację. Kiwa głową.
- Dasz sobie radę w drodze do domu?
- Jasne.

Ale nie ruszam się. Moje stopy nie chcą się ruszyć.

- Powiem FL, że jesteś świetną partią - mój głos brzmi dziwnie.

Żadne z nas nie robi ruchu. Wciąż się w siebie wpatrujemy.

I nie ma już sensu zaprzeczać. To, co próbowałam ignorować cały wieczór, staje się nagle przerażająco oczywiste. Oszalałam na jego punkcie. Tak po prostu.

Moje ciało jest jednym wielkim pożądaniem.

On też to musi wyczuwać, bo przestrzeń między naszymi twarzami maleje i mam wrażenie, że widzę siebie w powiększeniu.

Potem czuję jego usta na swoich, a w głowie huczy mi tornado.

Stoimy nieruchomo, z ustami złączonymi w niesłychanie delikatnym pocałunku. Zdaje mi się, że moje stopy oderwały się od chodnika i unoszą się w powietrzu. Potem obejmują mnie jego ramiona i jestem cała nim otoczona. Jego ciałem, jego zapachem. Ta odmienność jest zniewalająca. Jakbym wysiadła z samolotu po wylądowaniu w jakimś gorącym egzotycznym miejscu w środku zimy.

Wtedy jego język wciska się do moich ust.

I tornado odrywa mi czubek głowy. Przypominam sobie wszystko.

Jack.

Ja.

Ben.

Robię niezgrabny krok do tyłu, uwalniając się od Toma.

- Przepraszam. - Podnosi ręce. - Nie chciałem... Jestem tak wzburzona, że się cała trzęsę.

- W porządku, rozumiem.

Ale jak może rozumieć? Że kompletnie straciłam głowę. Że to nie powinno... n i e m o ż e się dziać.

- Ja... ja po prostu nigdy wcześniej nie czułam takiej chemii - usprawiedliwia się.

Ja też nie, od czasu gdy po raz pierwszy całowałam się z Jackiem, ale nie mogę Tomowi tego powiedzieć. W ogóle nie mogę mówić.

- Nie miałem zamiaru... - powtarza.

Przykładam palec do ust i potrząsam głową. Z ust wyrwa mi się słaby jęk. Mam wrażenie, że znajduję się w świetle reflektorów.

Wtedy on robi krok ku mnie i chwyta mnie za ramiona.

- Amy, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś niesamowita. Jaka piękna...

- Tom. Proszę. Przestań.

Patrzymy na siebie. Chce mi się płakać, bo on też wydaje się zdezorientowany. Jakby ogarnęło nas coś większego od nas samych.

A potem on mówi:

- Posłuchaj, Amy, wiem, że to szaleństwo... ale... czy możemy się jeszcze kiedyś spotkać?

Na dachu

Jestem spocony jak koń wyścigowy po minięciu mety, bo wniosłem na dziesiąte piętro dziesięć worków kompostu do przesadzania roślin. Nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu, wypijam butelkę chłodnej wody Evian. Dopiero potem zaczerpuję powietrza.

Z miejsca, w którym stoję, widzę budynek parlamentu i wierzchołek koła zwanego Londyńskim Okiem. Jestem na świeżo pokrytym drewnem tekowym dachu dziesięciopiętrowego biurowca na Covent Garden. Słońce pali mnie w gołe plecy. W oddali samoloty przecinają jasne niebo jak ostrza łyżew zamarznięty staw. Z ulicy w dole dochodzi monotonny szmer aut, w który od czasu do czasu wdzierają się okrzyki i dźwięk klaksonów. Ciepły wietrzyk przynosi zapachy z pobliskich fast foodów: pizza, chleb czosnkowy, hamburgery i frytki...

Jednak tu, gdzie jestem, ma się wrażenie, że to bardziej oaza niż centrum dziesięciomilionowego miasta.

Dach okolony jest ścianą bujnych wysokich klasycznych roślin, takich jak wawrzyn, bambus, szorstkowiec, trzmielina i ketmia, wszystkie w terakotowych donicach i rynienkach. Na środku stoi plażowa buda z blachy falistej i drewna, wyposażona w robioną na zamówienie wygiętą drewnianą ładę o kształcie deski surfingowej.

Za ładą znajdują się dwie lodówki na napoje z oszklonymi drzwiczkami oraz dozowniki do butelek. Ich widok sprawia, że mam ochotę włożyć kąpielówki, rozwalić się na leżaku z koktajlem i leniuchować przez resztę dnia.

Inaczej mówiąc, jest tu odłotowo i inspirująco. Ale nie może być inaczej, ponieważ autorem projektu jestem ja sam.

Ten budynek należy do agencji reklamowej Pep Talk, czyli sprawnie działającej, artystowskiej instytucji kierowanej przez niziutkiego pyzatego Hawajczyka, Jamesa Petersa, który uczył się w szkole z internatem razem z moim szefem, Rupertem.

James, albo „Slim Jim” (szcuple Jim), jak przekornie lubi być nazywany, chciał mieć miejsce rozrywki dla swoich pracowników i wyobraził je sobie jako skrawek swojej ojczyzny na londyńskiej ziemi. Spełniłem jego życzenie. Dziesięć minut temu przyszedł na górę, żeby zobaczyć efekt, i jego reakcja była entuzjastyczna.

Rupert wobec tego też powinien być mi wdzięczny. Fajnie, biorąc pod uwagę, że w następnym tygodniu przypada doroczna ocena mojej pracy. Kto wie, może nawet dostanę premię - a dzięki temu zamówię sobie wizytówki i wynajmę furgonetkę...

Rozglądam się dookoła z dumą, ale nie cieszę się aż tak, jak się spodziewałem. Chyba dlatego, że nie ma tu nikogo, z kim mógłbym dzielić tę chwilę. Nikogo ważnego. To znaczy Amy. Ponieważ normalnie byłaby pierwszą osobą, której chciałbym się pochwalić czymś tak ważnym i usłyszeć jej opinię, żeby uznała, że jest świetne. Bo wtedy ja też poczułbym się fajnie.

Dom i Lee - obaj Południowoafrykańczycy po dwudziestce, z rudoblond włosami do ramion - opierają się o balustradę dachu, paląc skręty i przyglądając się przechodzącym w dole dziewczynom.

- Hej, szefie - woła do mnie Dom - niech pan zobaczy tę laskę. Można by jej za dekolt wrzucić puszkę coli, a nie zahaczyłaby o brzegi...

Hmm. Pojemnik recyklingowy ozdobiony sutkami. Pomysł niewątpliwie intrygujący i oryginalny, a jednak trudno mi sobie wyobrazić, żeby rada miejska Westminsteru włączyła go do swego programu utylizacji odpadów.

- A tyłek ma jak dojrzała brzoskwinia - dodaje Pete, inny z moich kolegów z Greensleeves.

W innej sytuacji stałbym tam z nimi, w najlepsze taksując dziewczyny. Wiem, to żalosne, ale w każdym facecie drzemie prymitywny robot, gwizdzący za laskami, którego od czasu do czasu trzeba spuścić ze smyczy.

Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj seks jest ostatnią rzeczą, o której mógłbym myśleć. Prawdę mówiąc, czuję się w tej chwili tak, że można by mnie zaprosić do rezydencji Hugh Hefnera z grupką króliczków-nimfomanek z „Playboya”, pragnących spełnić każde moje erotyczne życzenie, a ja bym je co najwyżej poprosił, żeby włożyły z powrotem swoje majteczki z rozcięciem w kroku i otwarte staniczki i zostawiły mnie samego z kubkiem gorącego kakao i DVD z Inspektorem Morse'em.

Żeby móc kogoś pożądać, najpierw sam musisz czuć się pożądanym.

A po ostatniej nocy wydaję się sobie mniej więcej tak atrakcyjny jak para zafajdanych gaci.

Zeszłej nocy Amy poszła spotkać się z H. Miał to być tylko szybki drink, ale wróciła dopiero po północy. W tym czasie ani razu do mnie nie zadzwoniła. Gdy wreszcie wróciła do domu... nic. Ani „Cześć”, ani „Jeszcze nie śpisz?”. Kompletnie nic.

Nawet się przy mnie nie rozebrała. Jak nieśmiała koleżanka z pokoju na wycieczce szkolnej wycofała się do łazienki całkiem ubrana. Słuchałem szumu prysznic, wydawało mi się, że całe wieki. Gdy wróciła, była owinięta szlafrokiem. Nie zdejmując go, położyła się na kołdrze, na samym brzegu materaca, możliwie najdalej ode mnie.

Jak długo może trwać kłótnia?

Chciałbym to wiedzieć.

Ponieważ nasza jest już stanowczo zbyt długa i zbyt intensywna.

Kiedyś wyobrażałem sobie swój związek z Amy jako piękną górę, na którą się razem wspinamy, ale teraz okazuje się, że zsuwam się po jej ostrym stoku samotnie, z opuszkami

obtartymi i zakrwawionymi od nieudanych prób, by się na niej utrzymać...

Czekałem, aż Amy wyciągnie rękę, żeby mnie podciągnąć z powrotem.

Ale ona tego nie zrobiła.

A ja nie wiem, czy sam potrafię się wdrapywać na szczyt. Zwłaszcza że nie jestem pewien, czy Amy w ogóle chce, abym tam z nią był.

Jeśli ona nie pragnie tam mojego towarzystwa, to ja nie wiem, czy pragnę jej.

Gdyby odmawiała mi tylko seksu i pieszczot, gdyby karała mnie w jakimś szalonym wiktoriańskim stylu, jak wtedy, gdy kazała mi spać w drugim pokoju, mógłbym to znieść.

Gdybyśmy się kłócili, też bym sobie z tym radził. Gdyby mnie obrzucała okropnymi wyzwiskami, mógłbym je wchłonąć jak gąbka.

Przeżyłbym jakoś nawet, gdyby się dąsała. Bo wtedy wiedziałbym, że podroczę się z nią trochę i jej przejdzie. Albo że po prostu w którymś momencie sama się złamie.

Ale my się nie kłócimy. Nie dąsamy. My po prostu... k o -egzystujemy. Jak grzyby w zaciemnionym pomieszczeniu. Lub złote rybki w akwarium.

Nie mogę znieść jej obojętności.

Sposobu, w jaki na mnie patrzy, jakby jej już nie zależało - jakby wołała być gdzieś indziej.

To mnie wkurza. Sprawia, że też mam ochotę ją ignorować. I tak właśnie robię. Bo to ona jest winna. To ona zapaćkała kuchnię kurczakiem. To ona nie chce ustąpić.

Więc swoją postawą wysyłam do niej następujący komunikat:

„Witaj, Nieruchomy Obiekcie, jestem Niepowstrzymaną Siłą...”.

Dlatego jestem zdumiony, kiedy na wyświetlaczu dzwoniącego telefonu widzę imię Amy. Po raz pierwszy od wielu dni telefonuje do mnie do pracy.

Rzucam:

- Cześć. I słyszę:

- Muszę się z tobą zobaczyć. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Nie „Może się spotkamy na lunchu?” albo „Czy chcesz wyskoczyć na szybką kawę?”. Nic takiego niezobowiązującego. I zaakcentowała słowo „musieć”. I użyła go dwa razy. Jakby chciała powiedzieć: „To jest konieczne. Bezwzględnie należy to zrobić”. Czy ja tego chcę, czy nie.

Gdy tylko słyszę te słowa, włoski na karku - pierwotny mechanizm ostrzegawczy, w który wyposażyła mnie natura, aby alarmować, że coś mi grozi: tygrysy szabłożeńne, wściekłe mamuty, przewracające się drzewa i inne śmiertelne niebezpieczeństwa - podnoszą mi się jak kolce jeżozwierza.

Serce mi wali.

- Wszystko z tobą w porządku?

- Tak.

Ale wyczuwam napięcie w jej głosie. Wtedy w tle zaczyna płakać Ben.

- Coś się stało Benowi? - denerwuję się.

- Nic. Po prostu muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

W cztery oczy?

Moje serce zaczyna szaloną gonitwę.

Najpierw „Jest coś, o czym musimy porozmawiać...”. A teraz: „W cztery oczy...”. Nawet osobno te dwa wyrażenia mogłyby wyprowadzić z równowagi. Ale razem? To całkiem jakby zestawić ze sobą słowa Smith i Wesson. Albo kung i fu. Czy Celinę i Dion.

Inaczej mówiąc, są one wyjątkowo nieprzyjemne i groźne, i ani trochę mi się nie podobają.

Nie można osiągnąć mojego wieku, nie opanowawszy kilku podstawowych zasad survivalu, więc rozpoznanie nieuchronnego zagrożenia, jakie wróżą te dwa zdania, jest tak proste, jak dla Eskimosa zasada: „Nie jedz śniegu, który jest żółty”.

Równie dobrze Amy mogłaby teraz siedzieć na wprost mnie z perwersyjnym uśmiechem Johna Malkovicha, ładując do pistoletu przeznaczone dla mnie kule.

Ponieważ to oczywiste, że po „Jest coś, o czym musimy porozmawiać” oraz „W cztery oczy” zawsze następuje „bo”. Które rzadko wróży coś miłego. Prawie nigdy: „Bo chciałam ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham” albo: „Bo kupiłam ci miłego kotka w prezencie”.

Przeważnie jest to przykre „bo”. Na przykład: „Bo Jane Sanders mówi, że ją macałś w zeszłym tygodniu na wycieczce szkolnej do muzeum, ty kłamliwy draniu”. (Clare Fleming, z którą chodziłem od dwóch tygodni, do mnie, w czerwcu 1987 roku, sekundę przed tym, jak wylała mi na głowę napój malinowy i zarzuciła, że używam więcej żelu do włosów niż dziewczyna).

Albo: „Bo nie chcę już z tobą chodzić, bo chcę chodzić z Brianem Wilkinsonem, bo on ma pałę jak rolada, jaja jak szynki, a jego ojciec właśnie mu kupił nowiutkie renault 5. I jeszcze dlatego, że Clare Fleming ma rację: faktycznie używasz więcej żelu do włosów niż dziewczyna”. (Jane Sanders, z którą chodziłem wtedy od sześciu dni, do mnie, w lipcu 1987 roku, sekundę zanim wskoczyła do nowiuteńkiego renault 5, własności Briana „Wielkiej Pały” Wilkinsona, a on z piskiem opon wywiózł ją z mojego życia). - To możesz się ze mną spotkać czy nie? - pyta Amy. Ze znużeniem - bo ten nasz spór pozbawia mnie energii jak wampir wysysający krew - spoglądam w niebo, czy nie widać błyskawic, nagłego zaćmienia słońca lub stada nietoperzy. Nadstawiam uszu, czy nie słychać melodramatycznych fortepianowych akordów, dudniących Pa! Pa! Pa! Pam!

Niestety, nie dostrzegam żadnego z tych tradycyjnych zwiastunów nadchodzącej zagłady, więc, choć niechętnie, zgadzam się.

W końcu może to być ten przełom, na który czekam. Może ona właśnie ma zamiar przyznać się do winy.

Seria ciosów zakończona nokautem

W miarę jak zbliżam się do St James's Park, wzbiera we mnie obawa. Nie czuję się jak zwykły cywil, idący na spotkanie z rodziną w jednym z piękniejszych londyńskich parków, ale raczej jak samotny rewolwerowiec podążający nerwowo pustą, zakurzoną główną ulicą miasteczka bezprawia na Dzikim Zachodzie. Z której strony padnie pierwszy strzał? Przeżyję do zachodu słońca czy skończę w płytkim grobie?

Gdy idę wielką zadrzewioną aleją Mail, zerkam na brzydki kadłub pałacu Buckingham. Założę się, że książęta William i Harry nie grzęzną w ten sposób w sieciach kobiecych intryg. Prawdopodobnie zlecają załatwianie swych problemów emocjonalnych ochmistrzowi lub wiernemu członkowi służby.

„Pójdź tu, Jeeves, a żywo! Dowiedz się, czego chce ta krnąbrna dziewczka - a jeśli będzie się upierać, żeby nam zawracać głowę, wtrąć ją do Tower na dekadę lub dwie, aż zrozumie swój błąd. A tymczasem, Jeeves, mój drogi, przyprowadź nam stadko dorodnych wiejskich dziewczuch i przynieś naszą wysadzaną klejnotami prezerwatywę. Odnosimy bowiem wrażenie, iż mamy właśnie iście królewski wzwód”.

W osiemnastym wieku St James's Park był ogólnie znanym miejscem, gdzie dżentelmeni przychodzili się połajdaczyć, ale w dzisiejszych czasach jest sceną o wiele bardziej cywilizowanych zajęć.

Mijam grupkę kościstych emerytów, ćwiczących tai-chi, i grubego sapiącego faceta, który robi pompki, a pogania go osobista trenerka, wyglądająca, jakby właśnie wyszła z salonu piękności. W oddali na trawie leży kobieta w różowym bikini - przypomina lalkę Barbie porzuconą po dziecięcym pikniku.

Docierając do kafejki, gdzie umówiliśmy się z Amy, przyglądam się forsiastym mamuśkom, defilującym dumnie z wytwornymi pociechami w wytwornych wózeczkach, i wreszcie lokalizuję Piekielny Niebieski Wózek, który wygląda przy nich jak samochodzik na baterie na linii startu w wyścigu Grand Prix.

Amy stoi w cieniu wielkiego płatanu. Ma na sobie długą białą spódnicę i czarny podkoszulek, włosy upięte w górze. Uśmiecham się, widząc, jak Ben na niepewnych nóżkach usiłuje gonić wiewiórkę, niczym pijak ścigający dziesięciofuntowy banknot porywany wiatrem.

Macham do Amy, ale ona chyba mnie nie widzi. A jeśli nawet, postanawia nie odmachować.

Gdybym był synoptykiem, a Amy frontem pogodowym, moja prognoza brzmiałaby tak: początkowo mroźno, z dużym prawdopodobieństwem wichru o sile 8-9 stopni w skali Beauforta, a następnie burze z wyładowaniami elektrycznymi...

Innymi słowy, przygotowany jestem na najgorsze.

Na przykład spodziewam się ujrzeć coś, co nazywam na własny użytek jej „twarzą Muncha”, ze względu na fakt, że jest uderzająco podobna do twarzy na najslynniejszym obrazie znanego norweskiego artysty, zatytułowanym *Krzyk*.

W wykonaniu Amy jest to przelotne spojrzenie pełne przerażenia i wstrętu, którym mnie ostatnio wita, po czym przybiera tradycyjną maskę obojętności.

Ale mina, którą mnie częstuje dzisiaj, jest o wiele bardziej ambiwalentna. Mniej Edwarda Muncha, a więcej Leonarda da Vinci. Raczej *Mona Lisa* niż *Krzyk*.

Budzi się we mnie nadzieja. Czy to naprawdę ślad uśmiechu błąka się w kącikach ust Amy? Czyżbyśmy mieli za chwilę zostawić za sobą nasze niesnaski i pójść dalej?

I wtedy, znienacka, Amy faktycznie się uśmiecha, i to bynajmniej nie nieśmiało. To taki rodzaj uśmiechu, którego nie powstydzilby się koń.

Lub, mówiąc bardziej oględnie, taki, który można by pokazać w telewizyjnej reklamie pasty wybielającej zęby.

Powinienem odpowiedzieć uśmiechem. I próbuję. Ale nie mogę.

Mam problem, bo nie potrafię oprzeć się myśli, że w uśmiechu Amy jest coś sztucznego, jak w reklamie. To tylko zęby. Nie oczy. W oczach czai się coś mrocznego - gdybym nie znał Amy lepiej, mógłbym wręcz pomyśleć, że strach...

Z całą pewnością nie są to oczy kogoś, kto ma za chwilę przeprosić czy okazać skruchę.

- Mój tata, mój tata, mój tata!

Ben naciera na mnie jak mały nosorożec. To taka frajda zobaczyć go o tej porze dnia, że na chwilę zapominam całkiem o Amy i unoszę go wysoko do góry.

- Cześć, mój Benie - śmieję się, a on rozkłada rączki i nóżki, jak opadający swobodnie spadochroniarz akrobata.

- Ja latam, tata! Patrz, mama! Patrz, jak ja latam!

- Tata też niedługo poleci - mówi Amy.

- Co to ma znaczyć? - pytam defensywnie, ponieważ to brzmi jak groźba.

- Zaraz ci powiem.

- Powiedz mi teraz.

- Nie. Chyba powinieneś najpierw usiąść.

Znowu jeżą mi się włoski na karku, stają na baczność jak publiczność na meczu piłki nożnej, kiedy piłka leci do bramki.

Nic dziwnego, bo „Chyba powinieneś najpierw usiąść” brzmi jeszcze bardziej złowroźbnie niż „Jest coś, o czym musimy porozmawiać” i „W cztery oczy”. Właściwie, ciężko byłoby znaleźć bardziej złowieszcze zdanie w całym języku angielskim (wyjąwszy „Dziś jest dobry dzień, by umrzeć” i „Jeszcze tu wrócę” - żadnego z nich, na szczęście, nie słyszy się codziennie).

Bo prawdę mówiąc, jeśli ktoś nas prosi, żebyśmy usiedli, zanim nam coś powie, zwykle uważa, że od tej wiadomości możemy zemdleć.

Stawiam Bena na ziemi i trzymając jego maleńką rączkę w swojej, podążam za Amy do pobliskiej żeliwnej ławki i siadam obok niej.

Ona podaje Benowi pudełko rodzynek, a potem zwraca się do mnie:

- Mam ekscytującą wiadomość.

Znowu ten uśmiech, mam wrażenie, że jeszcze bardziej intensywny. Teraz jest w nim coś maniakalnego, jak w twarzy Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*, gdy rozwalił siekierą drzwi łazienki.

Nagle czuję się, jakbym połknął kamień.

- Nie jesteś chyba w ciąży?

Jeśli odpowie, że tak, naprawdę zemdleję. Ponieważ - nienawidzę siebie za to, że tak myślę - gdyby teraz zaczął jej rosnać brzuch, to by było najgorsze, co mogłoby nam się przytrafić. Jesteśmy splukani i przestało nam się układać. Mamy za małe mieszkanie, poza tym dziecko nie rozwiązałoby żadnych problemów i...

Już mam to wszystko z siebie wyrzucić, gdy Amy wybucha śmiechem.

W tym momencie i ja zaczynam się śmiać, bo dopiero wtedy uświadamiam sobie, jak śmieszne jest moje pytanie. Nie tylko Amy bierze pigułki, ale przecież nasze życie erotyczne jest w tej chwili w takiej fazie, że gdyby monitorował je elektrokardiogram, każdy profesjonalny obserwator orzekłby, że pojawienie się linii płaskiej jest tylko kwestią czasu.

- Nie - potwierdza.

- Więc o co chodzi?

- Wygrałam konkurs.

- Co?

- Konkurs. Wygrałam wycieczkę na zakupy w Nowym Jorku.

Krzywię się i marszczę brwi.

- Żartujesz sobie.

- Nie.

- Mój Boże.

- Właśnie.

- Ale jak?

- Z opakowania po czekoladzie.

Czuję się jak bokser nokautowany serią ciosów.

- Myślałem, że takich rzeczy nikt nigdy nie wygrywa.

- No więc wygrywa, i ja właśnie wygrałam, i ty też.

- Co to znaczy?

- To wycieczka dla dwóch osób.

- Ale mówiłaś, że to zakupy... Znowu pojawia się uśmiech z reklamy.

- Mężczyźni też robią zakupy, Jack. To znaczy, wiem, że ty nie, ale możesz się nauczyć.

To wszystko dzieje się za szybko. Jąkam się, zakłopotany.

- Ale czy nie chcesz... nie wiem... zabrać kogoś innego?

- Na przykład kogo?

- Na przykład H.

- Nie, chcę zabrać ciebie. - Nagłe przestaje się uśmiechać. - Dlaczego? - pyta. - Nie chcesz jechać?

Zdaję sobie sprawę, że powinienem skakać albo nawet krzyczeć z radości, jak Charlie Bucket po wygraniu złotego biletu na wizytę w fabryce czekolady Willy'ego Wonki.

W końcu taki ogromny kawał szczęścia nie trafia się codziennie.

I naturalnie, gdy wiadomość Amy zaczyna do mnie powoli docierać, czuję dreszczyk emocji, ale nie mogę, nie pozwolę sobie na żadne „Hurra!”.

Tak naprawdę czuję się z tym jak weganin z krwistym rumsztykiem wołowym w brzuchu. Nieważne, dokąd Amy i ja możemy dzięki tej wygranej pojechać. Ważniejsze jest to, gdzie znajdujemy się w tej chwili. Na ulicy Rozpacz w miasteczku Nieszczęśliwiec W skazanym na zagładę budynku, wokół którego ryczą buldożery...

Więc zamiast wykrzyknąć „Oczywiście, że chcę!” i zacząć śpiewać własną spontaniczną interpretację *Congratulations*, jednocześnie tańcząc z Amy walca na świeżo skoszonym trawniku St James's Park, zaczynam:

- Ale...

I to jedno słowo, po którym nieuchronnie następuje zawieszenie głosu, wystarczy, by na sekundę powróciła „twarz Muncha”. A może ona wcale nie zniknęła?

- Co to znaczy „ale”? - pyta agresywnie. - Nie ma żadnych „ale”.

- Ale co z Benem?

- Już to załatwiłam. Mama mówi, że się nim zajmie. Przychodzą mi do głowy dwa słowa, *fait* i *accompli*. Oraz

pytania: Jakim cudem Amy powiedziała o tym swojej matce

przede mną? Czy to dlatego, że moja opinia w ogóle się dla niej nie liczy?

- Trzy dni? - upewniam się.

- Tak.

Nie chce mi się nawet dyskutować o ryzyku zostawienia „Mojego Skarbu” z Jan na tak długo. (Choć natychmiast przychodzi mi do głowy, że na pewno pojawią się problemy z indoktrynacją, manipulacją uczuciami i programowaniem lojalności, jak w filmie *Kandydat*). Jestem zbyt zajęty zastanawianiem się, jak długie oddalenie od Bena wpłynie na nas.

- Ale... nie będziesz za nim tęsknić? - pytam. Wiem, że ja tak. Najdłuższy czas, jaki do tej pory spędziłem bez niego, to jedna noc, kiedy pojechałem na wieczór kawalerski Uga do Swansea. I nawet wtedy, gdy po przebudzeniu o siódmej rano, skonsternowany ujrzałem nad sobą nieznamy sufit sali sypialnej w pubie, gdzie się zatrzymaliśmy, złapałem się na tym, że usycham z tęsknoty za moim synkiem jak suka, której właśnie odebrano szczeniaki.

- Och, daj spokój, Jack. To wakacje. Bezpłatne wakacje. - Patrzę, jak ekscytacja znika z jej twarzy. - A może to nie wakacje są problemem - sugeruje - ani spędzenie trzech dni bez Bena. Może po prostu nie chcesz spędzić trzech dni ze mną.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale i nie zaprzeczasz.

Kiedy próbuję odzyskać przytomność umysłu po tym freudowskim przejęzyczeniu, które zauważyła Amy, Ben pyta:

- Tata, gdzie jedziesz?

- Tata nigdzie nie jedzie.

- Nie mogę uwierzyć, że masz zamiar zrezygnować z takiej okazji - warczy Amy. - Że wolisz zostać tutaj, dusić się w mieszkaniu i oglądać pieprzoną telewizję z twoją siostrą, zamiast spędzić kilka dni w Nowym Jorku.

Czekam, aż fala uderzeniowa tej minieksplzji opadnie.

- Właściwie - mówię wtedy, starając się panować nad głosem - powiedziałem Benowi, że nigdzie się nie wybieram

w tej chwili. Jako że jest za mały, aby mieć poczucie czasu czy wiedzieć, co to podróż za granicę, domyślam się, że o to właśnie pytał. Ale tak czy inaczej, wielkie dzięki - kończę - za to, że już wiem, co myślisz o naszym życiu w Londynie. Ona patrzy w ziemię.

- Przepraszam - mówi wreszcie.

Wygląda, jakby miała się rozplakać. Nagle mnie też ogarnia wzruszenie.

- Ja też przepraszam - wyznaję.

- Za co?

- Za to, że nie cieszę się z tego wyjazdu... Po prostu...

- Co po prostu?

- Boję się, że polecimy i okaże się, że tam jest tak samo jak tutaj...

- Masz na myśli, między nami?

- Właśnie. - Niedobrze, że to mówię, niedobrze, że dotarliśmy do punktu, w którym czuję, że m u s z ę to powiedzieć.

- A jak jest między nami?

- Nie wiem. - Teraz ja wpatruję się w ziemię. - Nijak.

- Nijak?

- Można tak to ująć. - Brzmi lepiej niż k i e p s k o, co jest bliższe prawdy.

- To zrobmy coś, żeby nie było nijak - proponuje Amy. Wygląda na to, że naprawdę tego chce.

Serce zaczyna mi bić mocniej.

- Myślisz, że możemy? - pytam, ponieważ mam wątpliwości. Miłość nie jest jak woda z saturatora. Nie można włączać i wyłączać bąbelków, kiedy się chce.

- Możemy spróbować. Postarać się. Ja się postaram.

- To ja też.

W jakimś sensie uważam za śmieszne to werbalne negocjowanie ugody, te drobne kroczki w kierunku porozumienia. Są tak oficjalne i tak odległe od tego, jak było dawniej, kiedy nasz związek rządził się sam i nie trzeba go było kontrolować, korygować i planować. A w tej chwili niemal mam ochotę uścisnąć jej dłoń.

Zamiast tego zmuszam się do uśmiechu. A Amy go odwzajemnia. I tym razem nie wygląda on wcale jak reklama pasty do zębów. Wygląda na szczery. Uroczy. I prawdziwy.

- No to okay - podsumowuję - więc zrobmy to. Lećmy do Nowego Jorku.

- Na pewno?

- Tak. Lećmy i się zabawmy. Nawet pozwolę ci nauczyć mnie, jak się robi zakupy. Chodź. - Biorę ją za rękę i wstajemy z ławki. - Kupimy coś do jedzenia i omówimy termin.

Siadamy przy stoliku przed kawiarnią i kupujemy kanapki i coś do picia. Ben karmi wiewiórki chrupkami. I w końcu zaczynamy się dogadywać.

- Powinam już iść - stwierdza Amy pół godziny później. Biuro organizujące tę wycieczkę do Nowego Jorku dało

Amy kilka terminów do wyboru. Bierzymy pierwszy wolny, ponieważ ten najbardziej pasuje jej mamie. W następny weekend.

Wsadzam Bena do wózka. Jest śpiący, zmęczony upałem i bieganiem. Pytam Amy:

- Jak wrócisz do domu?

- Metrem.

- Odprowadzę cię.

- Dobrze.

Wracamy ścieżką w kierunku Mail.

- Jak tam randki internetowe? - pytam. Amy potyka się o kamień. Zatrzymuje się.

- Co?

- Randki internetowe...

Zastyga i wpatruje się we mnie, jakbym jej właśnie powiedział, że ma we włosach pająka.

- No wiesz - przypominam jej - ci faceci, których wybiera H. Nie powiesz mi chyba, że nie donosi ci, jak jej z nimi idzie.

- A, tak. - Kiwa głową, wreszcie rozumiejąc. - Tak, coś mówiła.

Znowu ruszamy.

- No i?
 - Miałam rację, to wszystko jest jak z innej planety.
 - A gdzie byliście wczoraj wieczorem?
 - Och, w restauracji.
 - W której?
 - W Zumie.
 - A, tak, Matt opowiadał o niej któregoś dnia. Jak było?
 - W porządku.
 - Tylko w porządku? Co jadłyście?
 - Taj ski makaron ryżowy z czymś tam...
 - Myślałem, że to japońska restauracja?
 - Tak, ale... Śmieję się.
 - To czemu serwują tajskie jedzenie? Odwraca się do mnie.
 - Co to ma być? - warczy. - Jakies pieprzone „dwadzieścia pytań”?
- Ta nagła agresja uderza mnie jak strzał z pistoletu. Staję jak wryty. Ponieważ przed chwilą wyciągnąłem rękę do zgody, czuję się bardziej dotknięty niż w innej sytuacji. Wystarczy, że człowiek na moment traci czujność, bach, dosięga go zabójczy cios. Wzbiera we mnie gniew. Tłumię złość, choć też mam ochotę wybuchnąć. Liczę do pięciu.
- Nie chciałam. - Amy szybkim ruchem ścisną moją dłoń. - Po prostu jestem zmęczona, okay?
 - Nie ma sprawy - mówię, dalej pchając wózek. Nie patrzę na nią, na wypadek, gdyby nie spodobało mi się to, co zobaczę. Nie chciałbym odkryć, że nic się nie zmieniło. - Zapomnijmy o tym. Oboje się staramy, pamiętasz?
 - Tak.
- Gdy dochodzimy do Mail, skręcam w lewo w kierunku Trafalgar Square.
- Dokąd idziesz? - pyta Amy.
 - Na Charing Cross.
 - Miałam zamiar wsiąść na Piccadilly.
 - Charing Cross jest bliżej i po drodze do pracy.

Mimo że za moją propozycją przemawia zdrowy rozsądek, ponownie zapada między nami niezręczne milczenie. Przechodzimy pod Łukiem Admiralicji i przez ulicę na Trafalgar Square.

Dopiero wtedy na nią zerkam. Wpatruje się w ziemię jak więzień na spacerniaku. Czuję, że upadam na duchu.

Mam nadzieję, że jest po prostu zmęczona.

Mam nadzieję, że oboje naprawdę postaramy się przez to przejść.

Mam nadzieję.

- Tu jest pięknie - ryzykuję, gdy przechodzimy obok kolumny Nelsona. - Może kupimy sobie lody i wyluzujemy się na parę minut?

Amy nie zwalnia kroku.

- Nie.

Nawet jednego „dziękuję”.

Przecinamy ulicę i idziemy Stranem do stacji Charing Cross.

I wtedy znów spostrzegam to, czego bałem się najbardziej: obojętność. Gdy na pożegnanie całuję ją przelotnie w usta, widzę, że powróciła na jej twarz i zakrywa ją jak woalka.

Znowu spogląda przeze mnie, nie na mnie.

Patrzę, jak wchodzi z Benem na stację, i czekam, aż mi pomacha albo prześle mi w powietrzu całusa, jak dawniej. Ale nie robi żadnej z tych rzeczy. Nawet się nie ogląda. Znika w tłumie.

Zostaję z wrażeniem, że wszystko jest takie kruche, że lada moment Amy i ja możemy się znowu rozbić na kawałki.

Początek końca

Amy wyszła, Kate jest jeszcze w pracy, a ja siedzę w mieszkaniu z Benem i rozkoszuję się każdą chwilą.

Zmieniłem kuchnię w olbrzymią jaskinię, drapując koce i prześcieradła wokół stołu kuchennego i krzeseł. Ben buszuje

pod stołem, a ja udaję, że jestem potworem, tupię na zewnątrz, na co on piszczy przerażony i zachwycony.

Na wieży dudni jego ulubiona płyta, *No!* zespołu They Might Be Giants, a cały blat umazany jest lodami czekoladowymi, bo wcześniej robiliśmy koktajle mleczne do ciasteczek i chrupek, które Ben jadł na podwieczorek.

Amy kazała mu dać przed wpół do szóstej zapiekankę warzywną z lodówki, ale Ben ogłosił, że jest głodny teraz, o piątej, i „nie cie waziwnej piekanki”, tylko chrupki. Więc się ugiąłem. No i dobrze, jak się okazało, bo wnioskując z tego, jak szybko pochłonął wszystko, co mu dałem, biedaczek musiał być strasznie głodny.

I wygląda na to, że nie stała mu się żadna krzywda, bo teraz, trochę po szóstej, jest najwyraźniej pełen energii. I wcale mu się nie chce spać, a przecież gdy wracam z pracy, zazwyczaj jest śpiący.

Gdyby ktoś chciał znać moje zdanie, wokół kwestii spożycia cukru przez dzieci robi się o wiele za dużo hałasu. Przecież mleczne zęby i tak wypadają, nie? Więc co z tego, że są trochę zepsute?

Jednak chyba nie powinienem wtajemniczać Amy w moje poczynania. Wychowanie dziecka to teoretycznie jej działka, przy czym pomimo naszego niezręcznego zawieszenia broni w St James's Park, wciąż nie jest między nami najlepiej. Nie mam zamiaru wprowadzać niepotrzebnego zamieszania.

- Czyżbyś jakimś cudem był sam?

Podskakuję, jakby tym razem to mnie przestraszył potwór. Ben jeszcze głośniej wrzeszczy pod stołem, myśląc, że to część zabawy.

W drzwiach kuchni stoi Kate, zdejmując biały żakiet.

Ogarniam wzrokiem bajzel dokoła i uśmiecham się.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Kate przewraca oczami i podchodzi do zlewu, żeby napełnić czajnik.

- Jak było w pracy? - pytam.

- Tak sobie.

Ben odważnie zerka przez szparę w kocach i widzi, że to Kate, a nie mięsożerny potwór.

- Kej-kate! - krzyczy, gramoląc się z jaskini i podbiegając, żeby ją uściskać.

- Cześć, przystojniaku. - Kate całuje go w czubek głowy.

- Bajeczka? - pyta Ben, patrząc na mnie i kiwając władczo głową, po czym wpycha do buzi kolejne ciasteczko.

- Jasne - mówię. - Czemu nie?

- Chcesz herbaty? - pyta Kate.

- Poproszę.

Idę włączyć Benowi w salonie *Spirited Away: W krainie bogów*. Kate tymczasem poskładała już koce i prześcieradła, układając je na stercie na jednym z krzesel.

- Gdzie Amy?

- Poszła na zakupy. Wiesz, przed naszym wyjazdem do Nowego Jorku.

Kate podaje mi filiżankę z herbatą i oboje siadamy przy stole.

- A, tak. To już za dwa dni. Musisz się strasznie cieszyć.

- Szaleję z radości - mówię, a dawka mimowolnego sarkazmu w moim głosie przeraża nawet mnie. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakby...

- Jakbyś nie chciał jechać? - pyta Kate.

- Tak. Bo chcę.

Kate patrzy na mnie w sposób, w jaki potrafi patrzeć tylko siostra, która zna swojego brata od trzydziestu lat: jakby nie wierzyła w ani jedno moje słowo.

I nie myli się. Ponieważ mam opory przed tym wyjazdem i ciągle czuję się trochę rozbity. To wszystko stało się tak szybko i wcale nas do siebie nie zbliżyło. Nic się nie poprawiło. Bąbelki, które obiecywała Amy, nie pojawiły się. Czuję się nieswojo i jestem raczej przygnębiony niż uradowany perspektywą spędzenia trzech dni z Amy, *mano a mano*.

Kate dmucha na herbatę i zerka na mnie znad kubka.

- Czy mam rację, zgadując, że w tej chwili nie jest między wami za dobrze?

Chciałbym zaprzeczyć i powiedzieć jej, żeby mi dała spokój i się odwaliła. Chciałbym roześmiać się jej w twarz i zapewnić, że bardzo się myli.

Jednak pytam:

- To aż tak widoczne? Kiwa głową ze smutkiem.

- Jak gówienko w cukierni.

Jej brak wahania wytrąca mnie z równowagi. Myślałem, że całkiem dobrze udaje mi się ukrywać zmartwienia i wątpliwości. „A może to nie ja się zdradziłem”, myślę, i nagły strach przyprawia mnie o ciarki.

- Amy ci coś mówiła?

- Nie. Tylko że... wiesz, że w wyobraźni zawsze mamy jakiś obraz drugiej osoby. Na przykład ja tatę zawsze widzę z kuflem piwa w ręce. A mamę zapłakaną po jego odejściu...

- Tak...

- No, a ciebie i Amy zawsze widziałam roześmianych i objętych...

Wzdycham. Ja też zawsze tak nas sobie wyobrażałem.

- A teraz rzadko was widuję w tym samym pokoju - ciągnie Kate. Sięga przez stół i bierze mnie za rękę. - Bądź ze mną szczerzy, proszę. Czy to chodzi o mnie? O to, że tu jestem? Wiesz, w waszej prywatnej przestrzeni... Bo jeśli tak, mogę się w każdej chwili stąd wyprowadzić... do hotelu.. . Za nic w świecie nie chciałabym pogarszać stosunków między wami...

Wiem, że to propozycja warta rozważenia, ale widząc desperację w jej oczach, w żaden sposób nie mogę się na to zgodzić. Poza tym wczoraj wieczorem powiedziała nam, że za dwa tygodnie wyprowadza się do koleżanki, która ma wolny pokój. Wyrzucić ją teraz byłoby podłością.

- Nie - odpowiadam. - To nie ma nic wspólnego z tobą. A jeśli nawet miało na początku, to teraz nie, na pewno nie. Chodzi o mnie - wyznaję. - Amy po prostu wkurza wszystko, co ja robię. Denerwuje się, gdy gdzieś wychodzę, ale jak zostaję w domu, sama wychodzi.

- Więc wciąż ci nie wybaczyła, że wtedy poszedłeś z Mattem do Nobu? - pyta Kate.

- Nie.

- Próbowałeś przeproszać? Wzruszam ramionami.

- Przepraszanie to moja specjalność.

- Mam na myśli porządne przeprosiny. Nie tylko takie dyplomatyczne, żeby załagodzić spór.

- Jest jakaś różnica?

- Tak, jeśli jesteś kobietą. Potrafimy poznać, czy są szczere, czy nie.

- Będę o tym pamiętał. Ale tu już nie chodzi o przeprosiny. To wszystko zaszło o wiele dalej. - Trę oczy, nagle bardzo zmęczony. - Po prostu ostatnio nie przepadam za swoim towarzystwem.

- Więc powiedz jej o tym. Powiedz jej, co czujesz.

- Dzięki za radę.

- Mówię serio.

- Wiem, próbowałem. Powiedziałem jej, że moim zdaniem nie jest między nami dobrze, gdy poinformowała mnie o wycieczce do Nowego Jorku. Obiecała, że spróbuje to naprawić. I dodała, że oboje powinniśmy się starać.

- No, to brzmi całkiem dobrze.

- Wtedy też tak pomyślałem, ale od tamtej pory... za każdym razem, gdy z nią rozmawiam, to jest jak... - z wysiłkiem szukam słów. - Jak rozmowa z telefonistką. Zadajesz pytanie i dostajesz w odpowiedzi informację, ale w tym dialogu nie ma emocji... Tak jest między nami w tej chwili. Nasze rozmowy są powierzchowne. Mówimy o wyrzucaniu śmieci, o tym, co jest w telewizji, że Benowi trzeba kupić nowe buty, ale kiedy poruszamy jakikolwiek temat związany z uczuciami, ona się denerwuje. Mówię ci, Kate, równie dobrze moglibyśmy być kolegami z pracy, i na dodatek takimi, którzy nie za bardzo się lubią. - Potrząsam ze smutkiem głową. - Nie chcę, żeby nasze małżeństwo zamieniło się w umowę biznesową.

- Nie. Jasne, że nie. Najważniejsze powinno być to, że oboje się kochacie i kochacie Bena.

Patrzę na moją siostrę, na moją młodszą siostrzyczkę, i widzę, że się naprawdę martwi. Mówię jej:

- Myślałem, że zawsze tak będzie. Ja i Amy kontra świat. Nigdy nie łudziłem się, że wygramy, bo wiesz, tutaj nie da się wygrać, świat w końcu wszystkich miażdży, wszyscy się starzeją i chorują, wszyscy umierają, ale miałem nadzieję, że łatwo swojej skóry nie sprzedamy. Że nie zrejerujemy tak po prostu.

- A tak się właśnie czujesz? Jakbyście oboje się poddali?

- Może. Wiesz, jak to jest. Ludzie snują plany na przyszły rok. I następny. I marzysz, co będzie, gdy dostaniesz tę nową pracę. I do jakiego domu się przeprowadzicie, i o tych wszystkich fajnych miejscach, gdzie spędzicie wakacje...

- Tak, ale to połowa zabawy.

- No właśnie. Amy i ja już nie rozmawiamy o takich rzeczach. Przestaliśmy robić plany. Zamiast patrzeć w przyszłość, stoimy w miejscu. Albo spoglądamy w przeszłość. I nie wiem, co jest gorsze. - Zagryzam wargę. - Wiem tylko, że oboje czujemy się nieszczęśliwi.

- Ale każdy związek przechodzi wzloty i upadki - zauważa Kate.

- Nie mówię o wzlotach i upadkach. Mówię o upadkach i upadkach. To jasne, że wcześniej też przechodziliśmy trudne chwile. Na przykład kiedy urodził się Ben. Ale nie było aż tak. Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść tego, co się dzieje między nami. Tego, że ona odsuwa mnie od swojego życia. Ale najbardziej nie mogę znieść, że to jest zaraźliwe. Bo mam ochotę odplacać jej tym samym.

Uświadamiam sobie, że to tak właśnie wygląda. Jakbyśmy jednocześnie kochali się i nienawidzili.

- Tak było pod koniec z Tone'em i ze mną. - Kiwa głową Kate. - A potem kazał mi się zabierać.

Krzywię się.

- Potrafisz człowieka pocieszyć!

Kate zatyka usta ręką.

- O Boże. To zabrzmiało okropnie. Wcale nie mówię, że tak będzie z tobą i Amy - dodaje pośpiesznie. - Wy dwoje jesteście całkiem inni. Byliście ze sobą od zawsze.

„Ludzie mówili tak samo o mnie i Zoe Thompson”, przychodzi mi nagle do głowy, jednocześnie uzmysławiając sobie, że nie myślałem o Zoe od lat. Od czasu gdy zerwaliśmy w 1995 roku, po dwuletnim chodzeniu ze sobą.

Ale świetnie wiem, dlaczego właśnie teraz mi się przypomniała - bo ja i Zoe pod koniec przestaliśmy ze sobą rozmawiać, dokładnie tak jak teraz ja i Amy.

Żołądek mi się przewraca.

Czy to jest właśnie to? Początek końca? Czy Amy i ja zaczęliśmy już tylko grać jakieś role, zamiast żyć prawdziwym życiem?

- Założę się, że to wszystko rozejdzie się po kościach - pociesza mnie Kate. - Pewnie po prostu potrzebujecie zmiany krajobrazu.

- Witaj Nowy Jorku! - staram się, żeby to brzmiało z przekonaniem. - Wóz albo przewóz.

- Potraktuj to jak nowy początek - zachęca mnie Kate.

- Definitywnie zakończ tę błazenadę. - Podnosi się i staje za mną, ściskając moje ramiona. - Przetrwasz to, bracie. Wiem, że tak będzie. - Przytula mnie, a ja odwzajemniam uścisk.

- Wiem - wzdycham. - Po prostu musiałem się wygadać. Masz rację. Nowy Jork to dobry pretekst, żeby ruszyć z miejsca.

Przytula mnie znowu, tym razem mocniej. Patrzę jej w oczy. Nagle wydaje się taka dorosła, a ja czuję się taki mały.

- Nigdy nie myśl, że jesteś sam, bo nie jesteś. Masz mnie

- zapewnia takim tonem i tak mocno mnie przy tym ściska, że wiem: ona nie lekceważy moich lęków, a to, co, jak się obawiam, dzieje się z moim małżeństwem, n a p r a w d ę się dzieje.

Jej dłonie nie zdradzają wieku

Radio CapitalChat Codzienna dyskusja Jessie: Co, twoim zdaniem, jest najważniejsze w związku? Dzwoni: Amy z Zachodniego Londynu

To, co mówiłaś, Amy, jak zwykle było bardzo interesujące. A więc, gwoli podsumowania dla naszych słuchaczy, twierdzisz, że to szczerłość jest najważniejszą rzeczą w związku.

Tak. Nieważne jaki mamy problem, szczerłość jest zawsze najlepszą strategią. A ty jesteś całkowicie szczerą z Jackiem? Zawsze? Oczywiście.

A Jack jest szczerą z tobą? *Tak...*

Nie sądzisz, że czasem ucieka się do kłamstewek? *No... może... ale ufam mu.*

A on z pewnością ufa tobie. Może czas na wnioski. Nie chcę mówić za ciebie, Amy, ale chyba chodzi ci o to, że najważniejsze jest zaufanie. Może ważniejsze niż szczerłość? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, i tak dalej... Ale chciałabym usłyszeć, co sądzą inni słuchacze. Po przerwie na reklamę...

Hylo wspaniale - woła Alex, bo nie rozłączam się ze sludicin po swoim wystąpieniu.

Ale ja czuję się brudna. Jak oszustka. Po raz pierwszy zadzwoniłam tylko po to, żeby być w radiu, a nie dlatego, że wierzyłam w to, co mówię. Bo wszystko - wszystko, co właśnie powiedziałam na antenie - to kłamstwo.

- Jessie w studio unosi kciuk - ciągnie Alex. - Naprawdę, wielka szkoda, że jej nie widzisz. Ona chyba nawet dłonie ma zrobione.

- Zrobione? Co masz na myśli?

- No wiesz. Botoks. Albo operacja plastyczna. Te jej dłonie są tak cholernie doskonałe, że nie wyglądają na prawdziwe. Wszyscy jesteśmy tego pewni. Musiała coś zrobić...

Botoks? Operacja plastyczna? Jessie? To zdecydowanie nie pasuje do mojej wizji kobiety „przeterminowanej”, żyjącej życiem starej panny w starym domu swojej matki. I dlaczego miałyby sobie zoperować dłonie, a nie całą resztę? To jest pozbawione wszelkiego sensu, ale nie mam okazji spytać o to, bo słyszę:

- Więc lecisz do Nowego Jorku? Fantastycznie. Szkoda, że nie możemy polecieć z tobą i zrobić transmisji.

- Jackowi na pewno by się to nie spodobało.

Nie jestem nawet pewna, czy Jack naprawdę chce lecieć. A jeśli mam być szczerą, nie wiem, czyja sama chcę. Wygląda na to, że wszyscy się tym ekscytują poza mną. Zmije omal nie zwariowały, gdy im powiedziałam wczoraj o tej wycieczce. Camilla trajkotała jak najęta na temat sklepów z przecenionymi ciuchami od znanych projektantów, a Faith, która podobno pracowała tam kilka lat przed ślubem (co było dla mnie kompletną nowością), zaczęła mi dawać dobre rady. A teraz Alex też mówi, jakiego mam farta. Ale ja czuję się przegrana.

- No, wszystko jedno - ciągnie. - Na pewno będziesz zachwycona. Te zakupy! I wszystko w cenie nagrody?

- Przeloty, hotel i tysiąc dolarów kieszonkowego - wyliczam, ale mój entuzjazm brzmi fałszywie.

- Ty szczęściaro. Ja w Nowym Jorku mógłbym to wydać w sekundę. O, muszę lecieć. Jessie znowu strzela z bata. To

jej problem, Amy. Uważa się za Boga! Do usłyszenia wkrótce, kochana. Pa, pa.

Gdy się rozłącza, natychmiast oddzwaniam na ten sam numer i rozmawiam z recepcjonistką z CapitalChat.

Bo nagle czuję, że muszę mieć zdjęcie Jessie Kay.

Jak jest naprawdę

Wychodzę z metra przy Green Park. Jest szósta po południu. Na Piccadilly wylewa się tłum ludzi wracających z pracy, w którym jestem tylko jednym z wielu ciał, jednak mam wrażenie, że tak się rzucam w oczy, jakbym miała nad głową neonową strzałkę.

Skręcam za róg na brukowane uliczki Shepherd Market. Rozum podpowiada mi, że powinnam się zatrzymać, ale coś, czego nie rozumiem, a już na pewno czego nie mogę zwalczyć, zmusza mnie, by iść dalej. Podjęłam decyzję, żeby zrobić to osobiście, i czuję, że to decyzja właściwa. Tego wymaga przyzwoitość. Czyż nie? W końcu to ja uważam, że najlepszą strategią jest szczerowość. Przecież tak niedawno powiedziałam w radiu.

Dostrzegam go natychmiast, gdy docieram do The Grapes, pubu, gdzie się umówiliśmy. Siedzi przy jednym ze stolików przed lokalem, czytając książkę, i ma na sobie kremowe lniane spodnie i taką samą luźną koszulę. Wokół niego stoją mężczyźni w szarych garniturach i piją piwo. W słońcu późnego popołudnia Tom Parry wygląda niemal jak święty.

Przez moment kusi mnie, żeby odwrócić się i uciec, ale on, jakby mnie wyczuł, podnosi wzrok i macha. Jakby złowił rybę i zwijając żyłkę, ciągnął mnie ku sobie.

- Amy z Zachodniego Londynu. - Wstaje z uśmiechem.

Przyszłaś.

Nic dotyka mnie, ale ja wyczuwam jego ciało, jakby wysyłała energię w moim kierunku. Zagryzam dolną wargę i spoglądam w dół na swoje stopy, torebkę trzymam przy kola-

nach. Specjalnie włożyłam nowe czerwone buty na koturnie. Czy on docenia moje starania o to, żeby dobrze wyglądać?

Myślę o kłamstwach, które tak lekko przeszły mi przez usta w rozmowie z Jackiem. Fikcyjna wyprawa do teatru z Ali, dodatkowy bilet, który zwolnił się w ostatniej chwili. Jakby wszystko specjalnie tak się ułożyło, żebym mogła teraz tu stać.

- Przyniosę ci drinka. - Tom uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę, jakbym była jakąś ulotną istotą. - Nie odchodź, okay?

Kiwam głową. Nie mogę na niego patrzeć. Nie mogę patrzeć na jego usta. Zostaną one już na zawsze zamknięte w tamtej chwili o północy i w pocałunku, którego nie mogę zapomnieć. Sama myśl o tym sprawia, że zamiast żołądka mam jakąś galaretę.

Uświadamiam sobie, że Tom i ja mamy wspólną przygodę, o której nikt poza nami nie wie, i że właśnie dopisujemy jej dalszy ciąg. Mimo swojej decyzji czuję się cudownie, dekadenccko samolubna, bo od kiedy poznałam Toma, po raz pierwszy od ponad siedmiu lat mam wrażenie, że żyję własnym życiem. Jakbym nawiązała kontakt z jakąś częścią siebie, o której już zdążyłam zapomnieć, tą, która nie jest żoną, matką, córką czy przyjaciółką, tylko po prostu mną.

Potem przypominam sobie, po co tu przyszłam.

Przyszłam, żeby mu powiedzieć, jak jest naprawdę.

Siadam na skraju ławki i wpatrując się w stolik, słucham, o czym mówią mężczyźni w garniturach, stojący opodal.

- Czy wiesz, że w tej galerii sztuki był kiedyś burdel? - mówi jeden z nich.

- Ale się pozmieniało.

- Nie całkiem, w okolicy wciąż kręci się mnóstwo panienek.

- Ćśśś.

Zapada krótka cisza. Zauważam, że patrzą na mnie. O mój Boże! Czy oni myślą, że jestem jedną z takich? Mam nadzieję, że nie, ale muszę przyznać, że w pewnym sensie czuję się

jak dziwka. Spoglądam na moją czerwoną spódnicę. Może powinnam była włożyć czarną.

Tom wychodzi z pubu, niosąc mojego drinka. Uśmiecha się, i znów powraca to wrażenie lekkości.

- Co czytasz? - pytam, wskazując głową książkę na stoliku.

- Właśnie skończyłem. Jutro mam się spotkać z autorem.

- Jest dobra?

- Wspaniała. Może ją weźmiesz? Będę ciekaw twojej opinii.

Popycha książkę w moją stronę, a ja wyciągam po nią rękę. Wtedy jego palce muskają moje. Odczuwam to jak wstrząs elektryczny i szybko cofam dłoń.

Co ja sobie wyobrażam? Niedobrze mi ze zdenerwowania.

- Amy? - Tom zagląda mi w oczy.

Kręcę głową i znów spuszczam wzrok, usiłując sobie przypomnieć przemowę, którą przygotowałam.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nie mam szczęścia i nigdy niczego nie wygrałam?

Przytakuje.

- Cóż, myliłam się. Właśnie wygrałam wycieczkę do Nowego Jorku dla dwóch osób.

- Wow! Zabierzesz mnie? - pyta. Jego oczy się śmieją. - Uwielbiam Nowy Jork. To jedno z moich ulubionych miejsc. Mógłbym cię oprowadzić.

- Nie, nie - jąkam się, wytrącona z równowagi swobodą, z jaką to zaproponował. - Nie, to już w ten weekend i jadę z Jackiem. Jedziemy razem.

Zaplanowałam sobie, co powiem dalej, ale siedząc naprzeciw Toma, zapominam języka w gębie. Mam wrażenie, że powinnam go przeprosić.

Przełykam ślinę.

- Więc przyszedłam ci powiedzieć, że...

- Amy?

Patrzę na niego. Jego spojrzenie jest tak intensywne, że nie mogę odwrócić wzroku.

Proszę, nie mów nic więcej. Wystarczy, że tu jesteś.

Uśmiecha się, a jego uśmiech jest piękny - i natychmiast uświadamiam sobie, że zachowuję się jak głupia krowa. Że znowu przegrałam z własnym ego; ponieważ świadomość, że ktoś tak atrakcyjny jak Tom uważa mnie za atrakcyjną, jest chyba największym komplementem, jakie moje ego kiedykolwiek otrzymało - i jak ćpun, błaga o więcej, więcej, więcej.

Wzdycham, wciąż patrząc na niego, i się poddaję.

- O Boże - uśmiecham się wbrew sobie. - Słuchaj, Tom, cokolwiek to jest, to absurdalne. Spotkaliśmy się tylko raz i...

- Czasem wystarczy tylko raz, żeby sobie uświadomić, że ktoś naprawdę ci się podoba. Mnie wystarczył. Ktoś mi powiedział, że gdy już wiesz, to wiesz. Nigdy w to nie wierzyłem, aż do teraz.

- Nie możesz, to znaczy...

- Posłuchaj tylko, co mam do powiedzenia. - Wyciąga nad stolikiem swoją dłoń, ciepłą i silną, i przytrzymuje moją.

- Ale Tom, ja...

- Widzisz, nie mogłem przestać o tobie myśleć. Ani przez chwilę, od kiedy się poznaliśmy.

Widzę, że mówi serio. Kręcę głową, wzburzona i zakłopotana. Do oczu napływają mi łzy.

- Nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem?

- Jestem mężatką. Jestem żoną Jacka. Nie wiesz, co to znaczy?

- Tak, ale myślę, że nie jesteś w nim zakochana. Może kiedyś, ale już nie. Rzeczy się zmieniają, Amy. To niczyja wina, ludzie dojrzewają i zaczynają mieć inne potrzeby. Pozwoliłaś mi się pocałować, Amy. Pozwoliłaś mi się pocałować, bo chciałaś, żebym to zrobił.

Znowu kręcę głową. Sam dźwięk słowa „pocałować” w jego ustach sprawia, że pamiętna scena ożywa.

- Proszę, Tom, nie mów tego wszystkiego. Kiwa głową.

- Okay, przepraszam.

Wyciągam dłoń spod jego ręki.

- Po prostu... Nie jestem pewna, dlaczego przyszedłam. Nie powinnam.
- Biorę głęboki wdech. - Ale chciałam ci to powiedzieć w twarz. Nie możemy się już spotykać. Nie mamy żadnej wspólnej przyszłości. Dlatego tu jestem.

No, powiedziałam to. Powiedziałam mu, co postanowiłam, że to się musi skończyć. Ale Tom się uśmiecha. Jakby mnie nie słyszał.

- Nie będę nalegał, choć bardzo bym chciał natychmiast zabrać cię do domu i się z tobą kochać. Choć oboje bardzo byśmy tego chcieli. Bo chcesz, prawda, Amy? Nie mów, że o tym nie myślałaś?

Czuję, że na twarz wypływa mi rumieniec. Jest mi niedobrze ze strachu. Wstaję. Trzęsę się. Myślę o bieliznie, którą mam na sobie. *O tym seksownym nowym komplecie, który mam na sobie.* Oczywiście, wkładając go, oszukiwałam samą siebie, że ładna bielizna pozwoli mi poczuć się pewniej, ale może Tom zna mnie lepiej niż ja sama. Znowu oszołomił mnie swoją umiejętnością nazywania rzeczy po imieniu, mówienia prawdy.

- Idę - informuję go.

Tom również wstaje. Obejmuje mnie ramieniem.

- Nie chciałem cię wystraszyć, przepraszam, jeśli to zrobiłem. Amy, dla mnie to też jest coś ważnego.

Odsuwam się od niego.

- Żegnaj - rzucam. - To jest pożegnanie. Zachodzi mi drogę.

- Przemyśl to, gdy będziesz w Nowym Jorku - prosi cicho. - Obiecuj mi. Obiecuj, zanim odejdiesz.

Dawka trudnej miłości

Stoję na podziemnym parkingu biurowca, w którym pracuje H. Zwołałam nasze spotkanie w trybie awaryjnym. Będzie mnie słuchała od London Bridge do Islington, gdzie mnie wysadzi, a sama pojedzie na przyjęcie do znajomej.

H. wycelowuje pilota w samochód, który otwiera się, wydając krótki sygnał. Dźwięk odbija się echem wśród betonowych murów i filarów. Podskakuję z okrzykiem. Nerwy mam w strzępach.

H. opuszcza okulary słoneczne i spogląda na mnie sponad nich surowo.

- Wsiadaj - rzuca. Najwyraźniej te skąpe szczegóły, które podałam jej jako powód naszego spotkania, nie spotkały się z takim zrozumieniem, jak się spodziewałam.

Siadam na niskim fotelu, czując klaustrofobiczny lęk. Wkładam dłonie między kolana.

- Obawiam się, że dach jest zepsuty - informuje EL, zapalając silnik. Ciężka bransoletka z wisiorkami, którą ma na ręce, pobrzękuje przy skrętach kierownicy. - Dziadostwo. Naprawią mi w przyszłym tygodniu.

Jestem jak pieniaąca się masa emocji. Wyjeżdżamy na poziom ulicy i H. pewnie włącza się do ruchu.

- Okay, mów wszystko - rozkazuje. - Od początku. Ze szczegółami.

Więc biorę głęboki wdech i mówię jej wszystko. Opowiadam o mojej kłótni z Jackiem, a potem o tym, jak niesamowite było spotkanie z Tomem. Mówię jej o kolacji, o tym, jak się przed nim otworzyłam, jak dodał mi pewności siebie. Relacjonuję wszystkie szczegóły naszych rozmów i romantyczny spacer w świetle księżyca. W końcu pozostaje już tylko jedna rzecz.

Gdy zatrzymujemy się na światłach przy rondzie na London Bridge, mówię jej o pocałunku.

- Całowałaś się z nim! - woła. Wpatruje się we mnie, zszokowana.

Zakrywam twarz i kiwam głową.

- Szlag by to trafił, Amy.

- Wiem, wiem. Och, H., tak się pogubiłam. Jestem chora z poczucia winy. Nigdy nawet nie pomyślałam o zdradzie przed spotkaniem Toma. Gdyby Jack kiedykolwiek...

- Jack? Tu nie chodzi o Jacka - przerywa mi. - Może raczej pomyśl o tym, że ukradłaś mi faceta?

- Nie ukradłam go, H.

- Właśnie że tak. Poszłaś na moją randkę.

- Tylko dlatego, że ty się nie pojawiłaś.

- Bardzo przepraszam, że mam pracę.

Światło zmienia się na zielone i H. rusza z piskiem opon.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - prychna, oburzona. Widzę rzekę, niebieską farbę Tower Bridge, lśniąca w ostatnich promieniach wieczornego słońca. - Ale ty chyba od początku miałaś zamiar mi go odebrać - ciągnie, kiwając głową ze świętym oburzeniem.

- Co? Nie bądź śmieszna. Ja...

- Tak było. Spodobał ci się, gdy przeczytałaś o nim na tamtej stronie. Nie zaprzeczaj.

- Och, pieprz się! - wołam. To naprawdę absurd.

- Nie, to ty się pieprz.

Zachowujemy się jak baby, które biorą się za łby w programie Jerry'ego Springera. Dzięki Bogu, że ona prowadzi.

- Zapamiętaj sobie. - Dźga palcem w moim kierunku. - J a zapłaciłam abonament za dostęp do tej strony, nie ty. To nie fair. Tom był moim jedynym tropem.

Brzmi to tak, jakby była detektywem prowadzącym sprawę, a nie dziewczyną szukającą chłopaka.

- Uspokój się, dobra? Przykro mi. Gdybym mogła to wszystko cofnąć, tobym cofnęła.

- Ale nie możesz. A poza tym, ja już go nie chcę. Nie po tym wszystkim. Może jestem zdesperowana, ale nie potrzebuję okruchów z twojego stołu, wielkie dzięki.

Patrzę na nią. Czy ona kompletnie oszalała? Jak można być tak skoncentrowaną na sobie? Kusi mnie, żeby wysiąść z samochodu, ale za bardzo jestem zaangażowana i zbyt dużo jej już powiedziałam. Może i jest szaloną, zazdrosną, pokręconą starą krową, ale mam tylko ją.

- Słuchaj, nie utrudniaj mi tego. Mam mętlik w głowie.

- Biedaczka.

- H.! Proszę. Tylko posłuchaj. To nie wszystko.

Więc opowiadaj jej o wycieczce do Nowego Jorku i jak źle jest między mną a Jackiem. I o spotkaniu, które właśnie odbyłam z Tomem w Shepherd Market. O tym, że miałam zamiar zerwać, ale wszystko wymknęło mi się spod kontroli i że nie tylko z nim nie skończyłam, ale jeszcze on będzie na mnie czekał.

- Czego się spodziewałaś? Wysyłasz mu sprzeczne sygnały

- mówi H., przewracając oczami. - Przyszłaś tam ubrana w ten sposób - pokazuje ruchem głowy na mój strój, a ja czuję się jak prawdziwa lafirynda w moim biustonoszu

- żeby mu powiedzieć, że nie chcesz go już widzieć. Halo?! Co facet ma sobie pomyśleć?

- Wiem, ale...

- Jeśli chcesz rozpieprzyć swoje małżeństwo z pomocą mojej internetowej randki, nie ma sprawy, ale nie oczekuj ode mnie współczucia.

- H.!

- A co chciałaś usłyszeć? Ty przynajmniej masz dwóch facetów, między którymi się możesz miotać.

- Posłuchaj, przepraszam. Nie chciałam, żeby tak się stało.

- To chcesz go czy go nie chcesz? Zdecyduj się, do cholery.

- Myślałam, że się zdecydowałam, ale w Tomie jest coś takiego... nie wiem, H. Może on ma rację. Może faktycznie chciałam, żeby mnie pocałował. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam. A kiedy powiedział, że nie mógł przestać o mnie myśleć... cóż, ja też nie mogłam. Czuję, sama nie wiem... taką dziwną chemię.

- Chemię? Gówna prawda. Chodzi po prostu o to, że po raz pierwszy od wieków ktoś zwrócił na ciebie uwagę. Ktoś, kto chce ci wleźć do majtek.

Kurczę, jest brutalna. Żałuję, że jej powiedziałam. Żałuję, że się w ogóle odezwałam.

- Zejdź na ziemię, Amy. Myślisz, że wciąż będziesz czuła tę „chemię”, jak powiesz o nim Jackowi? Albo gdy go przedstawiś matce? Czy swojemu synowi, jeśli już o to chodzi? Co ty

sobie roisz? Że uciekniesz z nim na jakieś wiejskie zadupie do Irlandii? Nie zapominasz czasem, że masz już swoje życie?

- To nie tak, po prostu... - Ale nagle już nie wiem, j a k jest. Poza tym, że zrobił się wielki cholerny bałagan.

Zerka na mnie.

- Okay, odpowiedz mi na parę pytań. Szczerze. Wspomniał o seksie czy nie wspomniał?

- Nazwał to kochaniem się...

- Uch! Zaraz puszczę pawia. Okay, pytanie numer dwa: czy sprawia wrażenie kogoś, kto ma zwyczaj stawiania na swoim?

- No, jest biznesmenem, który odnosi sukcesy, jeśli o to ci chodzi, więc chyba tak...

- A mówił ci, że lubi wyzwania?

- No...

- A nie uważasz, że to nie w porządku zerować na kobietach, które są wyraźnie zameżne? Zwłaszcza na takiej, która ma bardzo małe dziecko?

- On tego nie planował. To było przeznaczenie.

- Przeznaczenie? Myślisz, że pierwszy raz wciskał komuś taki kit? Daj spokój, to jest taki sam banał, jak słowa, że „być wystawionym do wiatru raz to źle, ale dwa razy już zahacza o despekt”. Tak powiedział, prawda? To j e s t dokładny cytat?

Skręcam się i rumienię ze wstydu. Żałuję, że tak dokładnie zrelacjonowałam przebieg wydarzeń.

- Posłuchaj, Amy, mamy faceta dobiegającego czterdziestki, który wciąż jest singlem i najwyraźniej przeraża go jakikolwiek poważny związek, o czym świadczy fakt, że wybiera najkrótszą drogę do kompletnie nieodpowiednich kobiet.

- Ale - wytykam jej - przez Internet umówił się z tobą. To znaczy, że ty też jesteś kompletnie nieodpowiednia?

- Najwidoczniej - mruczy H. - ale tu już nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

Ukrywam twarz w dłoniach. Nie wierzę, że on jest taki. Ale coś mi nie daje spokoju. A jeśli H. ma rację? Co, jeśli Tom opowiada mi bajeczki od samego początku?

- Przepraszam, że ci popsułam zabawę - ciągnie FL, najwyraźniej zadowolona, że jej słowa robią wrażenie - ale z tego, co mówisz, on mi wygląda na typowego drania, a zanim poznałaś Jacka, słyszałaś z tego, że przyciągasz właśnie takich facetów. Nawet Jack był draniem, gdy go poznałaś. Przepraszam bardzo, a czy zapomniałaś już o Nathanie?

Przechodzi mnie dreszcz na wspomnienie, jak dałam się nabrać Nathanowi. Jaki z niego był przystojniak, czaruś, a przy tym totalny gnojek. Jak mnie trzymał w niepewności, nigdy nic nie obiecując, zawsze niesłowny, zawsze niewierny.

I H. ma rację, nie był pierwszy. Jestem wstrząśnięta, że ona pamięta moją przeszłość. Szokuje mnie też, że postrzega mnie w kontekście moich związków, w których gdzieś w środku jest Jack, a na końcu Tom. Dawno nie myślałam o sobie w ten sposób. Sądziłam, że historia moich związków dobiegła końca w dniu naszego ślubu.

- Ale Tom wcale się taki nie wydawał - upieram się. - Wydawał się uroczy. Naprawdę uroczy.

- Co jest specjalnością drani, oczywiście. - H. wygląda na zadowoloną z siebie, jakby właśnie rozwiązała jakąś zagadkę.

Wciąż tego nie kupuję.

- Więc uważasz, że nie mówił szczerze?

- Uważam, że używa wyrafinowanej taktyki, żeby cię zaciągnąć do łóżka, ponieważ w tym momencie nie może cię mieć. A więc najbardziej ze wszystkiego zależy mu na tym, żebyś uległa. Żebyś się z nim przespała. Tym sposobem nieźle się ustawi, do wyrka z miłą mężatką, która nie będzie mu się wtrącać do życia towarzyskiego ani się do niego nie wprowadzi, tylko będzie się z nim bzykać na boku.

- To nie tak. Gdybyś go słyszała... nie mówił o tandetnym romansie. Mówił, żebym wybrała między nim a Jackiem. A poza tym tu nie chodzi o Toma - staram się odsunąć od siebie myśl o tym niemożliwym wyborze. - Chodzi o mnie. O fakt, że ja też go pragnęłam.

- Kochana, nic nie poradzisz na hormony, ale możesz się im oprzeć. Nie przeczę, że seks z wysokim przystojnym

ciemnowłosym Irlandczykiem może być odlotowy, ale czy naprawdę myślisz, że on z tobą zostanie i weźmie na siebie cały bagaż twego życia, po tym jak już sobie z tobą po-harcuje?

Zerka na mnie, a ja milknę. Gdy zbliżamy się do Farringdon, czuję, że mój rozum próbuje jeszcze argumentować, wymyślić scenariusz, w którym Tom jest bohaterem pozytywnym, ale nagle ta przelotna intensywna namiętność, którą czułam, wydaje mi się nieuchwytna, jak niksująca smużka dymu.

- To co mam robić?

- Przekroczyłaś już pewną granicę - mówi ostrzegawczym tonem. - Kiedyś mi powiedziałaś, że istnieje wielka przepaść między niepocałowaniem kogoś a pocałowaniem; i bardzo mały krok od pocałunku do pójścia do łóżka.

- Tak powiedziałam?

- Tak powiedziałas. Więc musisz przemyśleć dokładnie, do czego to wszystko zmierza. Cała ta rozmowa o emocjach jest tylko rozmową. Tak naprawdę jeszcze nic się nie stało. Wciąż jeszcze masz czas, żeby wcisnąć hamulec.

Oczywiście ma rację. Pójście do łóżka z Tomem byłoby jak wybuch bomby jądrowej w moim życiu. Nie potrafię sobie wyobrazić skutków.

I, jeśli mam być całkiem szczerą, nie potrafię sobie też wyobrazić tego seksu. To znaczy, czy ja naprawdę chcę z nim pójść do łóżka? Siedząc tu, w aucie, nie jestem tego taka pewna. Wiem, że chcę się zatracić w samym uczuciu, chcę być przez niego uwodzona, a to nie to samo.

Tak dawno nie kochałam się z nieznajomym. Czy naprawdę byłoby tak fantastycznie? Równie dobrze mogłoby być krępująco, niezręcznie albo wręcz całkiem do kitu. A co, jeśli bym poszła ślepo tą drogą i pozwoliła zdecydować losowi, a seks by się okazał do bani? Co wtedy?

A jeśli seks okazałby się super, ale on nie? Gdyby on okazał się kolejnym Nathanem w masce? Bo w końcu, co ja tak naprawdę o nim wiem?

A najważniejsze z tego wszystkiego jest to końcowe pytanie za sześć milionów dolarów: co seks z Tomem oznaczałby dla mnie i dla Jacka? I to jest to. Odpowiedź, która groźnie majaczy na horyzoncie.

Jak drapacz chmur.

Jak podświetlone litery HOLLYWOOD.

Słowo na R.

Nagle czuję się, jakbym miała z wymiotować.

- O Boże, H. - jęczę. - Co ja zrobiłam?

- No, chyba nic dziwnego, że prześlizgnął się przez twój radar. Wyszłaś już z wprawy, a świat uczuć to dżungla.

Czuję się, jakbym się naćpała i z hukiem wróciła do rzeczywistości. Otwieram oczy i obserwuję ruch uliczny, autobusy i reklamy. Wszystko wydaje się bardzo realne, ostre i poza moją kontrolą.

- Ale to było takie... sama nie wiem... jak bajka. Takie romantyczne, wiesz?

- Bajka srajka - szydzi H. - Nie przyszło ci do głowy, że bardzo łatwo jest być romantycznym, gdy w grę nie wchodzi rzeczywistość? To mrzonki, Amy.

Serce mnie boli i zaczyna mi się zbierać na płacz.

- Wiem, ale ja tego naprawdę chciałam. Potrzebowałam.

- Każdy potrzebuje romansu i każdy lubi ulegać pokusie. Dlatego czekolada się tak dobrze sprzedaje.

Jak ona może być taka beznamiętna? Taka... praktyczna?

- Ale jakim cudem ja czułam taką pokusę, podczas gdy Jack...

- Jack nie ma pokus? - przerywa, patrząc na mnie. - Skąd wiesz?

Milczę. Czuję, że już nic nie wiem o Jacku. O nas.

Dzwoni komórka H., którą ona odbiera. Rozmowę słyhać przez zestaw głośnomówiący w samochodzie, ale nie słucham. Myślę o Jacku w tym lexusie kabrioletcie. Z tą kobietą. Czy z nim też się coś takiego dzieje? Czy nie mógł się uwikłać w podobną sytuację, jak ja z Tomem?

Sama myśl o tym, sama możliwość, sprawia, że brakuje mi tchu z przerażenia. Ale nie. Jack by tego nie zrobił. Nie mógłby.

Mógłby...?

Patrzę na ciemniejące niebo za szybą i budynki, które mijamy. Wszyscy ci ludzie, żyjący swoim życiem. Czy ich życie jest tak skomplikowane jak moje? Dlaczego mnie to spotyka? Nas?

H. kończy rozmowę i klepie mnie po kolanie.

- No, rozchmurz się - woła. - To nie koniec świata. Nie?

- Po prostu zrób sobie przysługę - ciągnie.

- Jaka?

- Nie spotykaj się więcej z Tomem.

- Nie spotkam się.

- I na litość boską, obiecaj mi, że nigdy, przenigdy nie powiesz Jackowi. Co się stało, to się nie odstanie. Nie możesz cofnąć tego pocałunku, ale możesz udawać, że go nigdy nie było. I przestań się czuć winna, i tak to przeżywać, i nie przymuszaj o szczerości. Amy, raz w życiu zachowaj się pragmatycznie.

Odgarniam włosy z twarzy.

- Obiecuję.

- I lepiej nie łam tej obietnicy, bo mówię ci, jak powiesz Jackowi, wszystko zepsujesz. Zniszczysz na zawsze wasze małżeństwo. Mężczyźni czegoś takiego nie wybaczą. Oni są zaborczy. Znaczą teren jak psy. Powiedz Jackowi o Tomie, a zamieni się to w największy konkurs obsikiwania drzewek, jaki możesz sobie wyobrazić. Więc musisz znieść to po męsku i potraktować jako doświadczenie na przyszłość. Uznaj to za wybryk.

- Wybryk?

- No, może bardziej ostrzeżenie, że powinnaś zacząć szukać odpowiedzi bliżej domu. Ty i Jack jesteście świetną parą.

- Tak?

- Tak. B y l i ś c i e. A teraz weź się w garść, przyjaciółko - ostrzega mnie - i przywróć tę magię.

Dojechałyśmy do Islington i zatrzymujemy się przy stacji metra Angel. H. pochyla się i ściska mnie.

- Dzięki za rozmowę i podwiezienie.
- Masz to w pakiecie usług koleżeńskich.
- Mówię serio. Dziękuję. - Czuję potężną falę emocji. To chyba ulga.
- Zdaje się, że właśnie uratowałaś mi życie.
- Będziesz miała nauczkę, żeby nie podbierać koleżankom randek. A teraz jedź do domu, pogódź się z Jackiem i baw się świetnie w Nowym Jorku.

Zakochany w „brazylijce”

Pukam do drzwi gabinetu Jessie Kay i słyszę: - Tak!

Czuję to natychmiast po wejściu: *eau d'Amsterdam*, *parfum* z Portobello Road, trawka, marycha, jak zwał, tak zwał.

Jessie siedzi przy antycznym sekretarzyku. Rozmawia przez telefon i gorączkowo macha do mnie, żebym wszedł, potem pokazuje palcem na fotel z brązowej skóry obok podwójnego okna, które wychodzi na ogród. Ma okulary przeciwsłoneczne od Gucciego i perłową prześwitującą bluzkę, której dwa górne guziki są rozpięte, a na szyi czarne korale.

Te eleganckie ubrania przypominają mi o Amy, która dzisiaj jest na West Endzie. Ogląda jakieś przedstawienie z Ali, a potem idzie na zakupy - jakieś nowe bluzeczki i trochę sztucznej biżuterii. Ale czemu ona kupuje ciuchy teraz, skoro właśnie po to mamy lecieć do Nowego Jorku, nie rozumiem. Kobiety! Robią rzeczy, których nigdy nie pojmem.

Siadam i patrzę przez szybę na drzewa, planując w myślach, żeby przyciąć dzikie wino, bo zaczęło zarastać okno i zabierać światło.

Mimo mroku, pokój sprawia wrażenie miłego i przytulnego. Owszem, to może mieć coś wspólnego z oparami marihuany, ale też ze staroświecką atmosferą tego miejsca. Podobnie jest z kuchnią - widać, że Jessie nie zdążyła jeszcze zrobić tu remontu.

Na ścianach wisi para olejnych obrazów przedstawiających okręty podczas sztormu, oba w stylu Williama Taggarta, któ-

rego lubię, i oba zdecydowanie domagające się konserwacji. Regały z książkami są wyraźnie z epoki PG (pre-Google), pełne różnych encyklopedii, słowników, atlasów i innych wydawnictw tego typu, widzę też co najmniej tuzin starych oprawionych roczników „Puncha”.

Drewniana wieża w kącie gra piosenkę *America* Simona i Garfunkela, na której się skupiam, żeby nie podsłuchiwać rozmowy Jessie, zresztą i tak dotyczącej tematów zawodowych (coś o dochodach z reklam w jej programie).

Słyszę jednak, że nazywa tego, z kim rozmawia, „tchórzem” i „dinozaurem”, a wreszcie przerywa rozmowę, trzaskając słuchawką.

- Mój pieprzony producent, Alex - narzeka. - Naprawdę doprowadza mnie do szału.

Wstaję, a ona podchodzi do mnie.

- Jak się masz, kochanie? - pyta i całuje mnie w oba policzki. - Przepraszam, że wczoraj nie wyszłam się przywitać, ale utknęłam tu na całe popołudnie, musiałam się zajmować cholernymi idiotami. - Uśmiecha się do mnie promiennie. - Ale dość o mnie. Co u ciebie? - Wskazuje ruchem głowy na okno. - Obserwowałam cię, jak pracujesz. Wygląda to wspaniale.

- Dzięki. - Idąc za jej wzrokiem, rejestruję na parapecie konopie indyjskie, wysokie mniej więcej na stopę. Ona też zorientowała się, że to spostrzegłem.

- O, ty też się trochę zajmujesz roślinkami - mówię.

- A! To Rolanda. Było Rolanda. Nawet nie wiem, jak się toto hoduje. - Wskazuje głową w kierunku małej torebki na biurku. Jest przezroczysta i widać papier do zwijania skrętów. - To też jego - wyjaśnia. - Znalazłam w szufladzie szafki nocnej. Szkoda, żeby się zmarnowało...

Jakby pragnąc to udowodnić, bierze na wpół wypalonego skręta z popielniczki na sekretarzyku i się zaciąga. Wydmuchuje dym w moim kierunku i uśmiecha się leniwie, jak kotka. Wyciąga skręta w moją stronę.

- Chcesz?

- Nie, jeśli jest tam tytoń. - Rzuciłem palenie, gdy Amy zaszła w ciążę i poprzysiągłem, że nigdy więcej nie tknę papierosa.

- W porządku - mówi Jessie. - Jest czysty.

Biorę go nieufnie. Nieufnie, bo mam już za słabą głowę do haszyszu - nie palę zbyt wiele. Wnioskując z tego, jak kiepsko ten skręt został zwinięty, Jessie najwyraźniej też nie jest wielką palaczką. Poza tym nie wydaje się w najmniejszym stopniu naćpana, czyli skręt jest prawdopodobnie niezbyt mocny. Więc myślę sobie, co mi tam, sztacham się parę razy, po czym oddaję go jej.

- Dzięki.

Znów się uśmiecha, a ja zauważam, że wydaje się niższa niż zwykle. Patrzę w dół i widzę, że jest bosą, jakby pozowała na hippiskę. Ma na sobie krótką śliwkową spódnicę, która ukazuje jej zgrabne łydki, a wokół kostki srebrną bransoletkę. Tak naprawdę wygląda fantastycznie. Zabójczo.

Kładzie zapalniczkę na stole, a skręta w popielniczkę, która, jak teraz widzę, spoczywa na kartce papieru A4, gdzie narysowałem szkic altanki. Uważam, że wyglądałaby fantastycznie na końcu ogrodu, między dębem i bukiem czer-wonolistnym.

- Miałaś okazję na to spojrzeć? - pytam.

- Co? A, tak.

- I?

- Jest cudowna. - Wyciąga szkic spod popielniczki, jak magik machający serwetą. Trzyma go przed sobą i taksuje wzrokiem, przechylając głowę. - Wiesz, świetnie rysujesz.

- Dzięki. - Czuję się rozleniwiony, bo narkotyk zaczyna działać.

- Byłeś szkolony?

- Nawet tresowany - żartuję. - Już od lat nie siusiam na dywan.

Unosi okulary i przewraca oczami.

- Chodzi mi o to, czy masz jakieś wykształcenie artystyczne?

Siada w fotelu, a ja na biurku i opowiadam jej o moim wykształceniu, o tym, jak pracowałem w galerii, o obrazach, które sprzedałem, i jak to się wszystko potem rozpadło.

- Więc, jak widzisz, nie było z tego pieniędzy - kończę.
- W każdym razie ja ich nie zarabiałem. Chyba nie byłem dość dobry.
- Teraz czuję się przyjemnie pobudzony i nie mam ochoty wymyślać usprawiedliwień.

W przeciwieństwie do Jessie.

- To, że nie zarabiałeś tym na życie, nie znaczy, że nie byłeś dobry, Jack. Jest mnóstwo sławnych malarzy... jak Modigliani i Toulouse-Lautrec... którzy za życia nie zarobili ani grosza.

- Tak, ale obaj popełnili samobójstwo - zwracam jej uwagę
- a wcześniej cierpieli nędzę, dostali depresji i uzależnili się od absyntu. I - ciągnę - mimo że to było bardzo kuszące, gdy zrobiło się naprawdę źle, postanowiłem pójść bardziej konwencjonalną drogą. Poza tym, miałem żonę i dziecko w drodze. Dokonałem jedyne możliwego wyboru.

Kiwa palcem.

- Ach, ale wybory można cofnąć, Jack. Wszystkie
- mówi w taki sposób, że zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle rozmawiamy jeszcze o sztuce.

Patrzę przez okno i zastanawiam się, która jest godzina. Przychodzi mi do głowy, że naprawdę powinienem wracać do domu. Potem widzę Amy w naszej maleńkiej kuchni, jak przygotowuje podwieczorek dla Bena, i zastanawiam się, w jakim będzie humorze. Wyobrażam sobie to chłodne powitanie i nagle wydaje mi się, że o wiele przyjemniej byłoby zostać tutaj. Sięgam po skręta i zapalam go ponownie.

- Nie masz nic przeciwko temu? - pytam.

Zaciągam się długo i głęboko, patrząc, jak Jessie przechodzi przez pokój i zatrzymuje się przed dużym owalnym lustrem w drewnianej ramie. Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, odgarnia włosy, a jej odbicie uśmiecha się do mnie.

- Jeszcze nikt nigdy nie malował mojego portretu - rzuca.
- Nie?

Przygląda się sobie w lustrze.

- Myślisz, że byłaby ze mnie dobra modelka?

- Pewnie.

- Dlaczego?

- No... - Jestem trochę rozbawiony i zażenowany, że tak mnie przyparła do muru. - Nie wiem... bo masz interesującą twarz...

- Interesującą?

- Yy, tak... no wiesz... ekspresyjną.

- Czy chcesz powiedzieć, że uważasz mnie za atrakcyjną? Śmieję się.

- No pewnie, jasne... a raczej, tak, jesteś... Odwraca się do mnie.

- Namalowałbyś mnie?

- Nie. Nie, nie mógłbym.

- Dlaczego?

Normalnie nie odpowiedziałbym na to pytanie, ale czuję, że narkotyk rozwiązał mi język, więc opowiadam jej historię Sally (Której Nazwiska Nie Wolno Wymieniać) McCullen. Sally była ostatnią kobietą, której portret namalowałem. Właśnie wtedy zacząłem spotykać się z Amy. Gdy Amy odkryła, że Sally pozuje mi nago, zaczęła wariować. Ale jeszcze nie tak bardzo, jak wtedy, kiedy przyznałem się, że Sally wykorzystwała mnie oralnie, gdy spałem. Przysięgam, że to się stało przypadkiem i nie było w tym mojej winy.

Jessie przestaje się śmiać, mruży oczy i stwierdza:

- A więc nie zawsze byłeś takim grzecznym chłopczykiem. Takim grzecznym chłopczykiem - jaki m? Kusi mnie,

żeby zapytać, ale nie pytam. Z obawy, dokąd mogłaby doprowadzić ta rozmowa. I tak już ryzykuję, ponieważ, kiedy widzę, jak Jessie chłodno mi się przygląda, znowu odzywają się we mnie Ciągoty, a Phalius drga mi w spodniach, nagle przebudzony.

- Muszę już wracać do domu. - Zsuwam się z biurka i staję przed nią na niepewnych nogach. Nagle czuję, że jestem na sporym haju.

Ignoruje moje słowa.

- Jeśli mnie nie namalujesz - mówi - może mógłbyś mi udzielić paru rad.

- Jasne.

- Jest na górze.

- Co?

- To, co wymaga porady...

Otwiera drzwi i przywołuje mnie kiwnięciem palca.

- Chodź - śmieje się. - Nie bądź taki nieśmiały...

- Naprawdę muszę... Ale jej już nie ma.

Wychodzę za nią na korytarz z podłogą w szachownicę.

- Możesz zostawić buty na dole? - woła do mnie z marmurowych schodów. - Wczoraj położyli dywany.

Właściwie mam na sobie klapki, ale robię, jak każe, zostawiam je w korytarzu, a potem do niej dołączam. Naprawdę chcę się wykręcić, ale bez powodzenia, bo ledwie ją doganiam, ona znowu rusza w górę, i wreszcie kończy się na tym, że ją ścigam.

Na piętrze czuć świeżą farbę. Podłoga w dwóch sypialniach, które mijamy, wyłożona jest folią. Pokonujemy kolejne piętro, na szczycie schodów skręcamy w prawo i podążamy długim białym korytarzem z widokiem na ogród, który wydaje się stąd jeszcze wspanialszy.

- To moja sypialnia z czasów dzieciństwa - wyjaśnia Jessie, gdy docieramy do stromych drewnianych schodów i znów ruszamy w górę.

- Rozbiłam tu sobie obóz, kiedy w głównych sypialniach na dole był remont.

Kilka stopni przed szczytem schodów Jessie zatrzymuje się bez ostrzeżenia, tak że wpadam na nią. Wypina pupę, zmuszając mnie do zejścia o stopień w dół.

- Ojej! - śmieje się i rusza dalej.

„W coś ty się wpackował? Trzeba było wracać do domu”, mówię sobie. „Nie powinienesz być się godzić na to wchodzenie na górę”.

Szukam gorączkowo jakichś wykrętów, jakiegoś powodu, żeby zawrócić, ale mam kłopoty z koncentracją. Po tym

skręcie jestem jakiś tępy, a tytek Jessie w krótkiej spódniczce znajduje się teraz tuż przed moimi oczami. Ma kształt idealnej brzoskwini.

Na drzwiach u szczytu schodów widnieje pełno naklejek oraz napis: „Wstęp wzbroniony! Tak, to dotyczy ciebie!”.

- Ta-da! - woła Jessie, otwierając je, i znika w środku. Wchodzę za nią do pokoju, który jest typową sypialnią

nastolatki. Na ścianie wiszą plakaty gwiazd pop z lat osiemdziesiątych: Kajagoogoo, Duran Duran, The Belle Stars i tym podobne.

Jessie podchodzi do zdjęcia Simona le Bon i całuje go w usta.

- Cholernie komiczne, co? Jak już ci mówiłam ostatnim razem: cały ten dom jest jak pętla czasu, a zwłaszcza ten pokój. Dla mnie to jakby czas się cofnął...

Kiwam głową, rozglądając się dookoła. Na poplamionym kremowym dywanie leżą porozrzucane ubrania: dzinsy wywrócone na lewą stronę, zmięta biała sukienka i para czarnych majtek. Na rozłożonej wersalce egzemplarz „Vogue'a” i pomięte papiery. Na biurku w kącie pokoju spoczywa komputer Amstrad pokryty pajęczynami.

Jessie otwiera drzwi obok biurka i wychodzi na szeroki balkon z balustradą. Dołączam do niej, żeby popatrzeć na dachy Zachodniego Londynu w świetle zachodzącego słońca.

- Pięknie - mówię.

- Właśnie po to potrzebuję twojej rady. Chcę tutaj ćwiczyć jogę, ale przydałaby mi się jakaś zasłona z roślin, bo lubię to robić nago.

Wymieniam rośliny, które będą się nadawać, prawie te same, które wykorzystałem do dekoracji dachu Slim Jima w Covent Garden, wytrzymałe i gęsto ulistnione. Jednak Jessie nie słucha zbyt uważnie. Wkrótce wracamy do sypialni.

- Niezła galeria. - Patrzę na ściany pokryte zdjęciami. Musi ich być tutaj chyba setka.

Chwyta oprawioną w ramkę fotografię i podaje mi. To czarno-białe zdjęcie ślubne.

- Moi rodzice.
- Twoja mama była bardzo piękna.
- Naprawdę tak sądzisz?
- Tak.
- Wszyscy mi zawsze mówią, że wyglądam dokładnie jak ona.
Nie mogę się nie uśmiechnąć, zakłopotany tym, jak zmieniła moje słowa w komplement dla siebie.
- Niezłe ubranko - droczę się z nią na widok jej zdjęcia w wieku dwudziestu paru lat w czerwono-czarnej marynarce z poduchami. Ma na sobie kabaretki i czerwone zamszowe buty. Jej figura nie zmieniła się ani trochę. - Mogłabyś statystować w *Thrillerze* Michaela Jacksona.
Rumieni się.
- Takie rękawy były wtedy bardzo modne, jeśli chcesz wiedzieć.
- A to kto? - pytam, pokazując ruchem głowy na przystojnego faceta, który stoi obok niej na innym zdjęciu. Tu Jessie wygląda jeszcze młodziej, góra na osiemnaście lat.
- Duncan Musgrove.
- Dawny chłopak?
- Mój pierwszy chłopak. A w każdym razie mój pierwszy prawdziwy chłopak - wyjawia. - Z nim straciłam cnotę.
- Och.
- W tym pokoju.
- Aha.
- Siada na brzegu wersalki.
- Dokładnie na tym materacu.
- Aha.
- Idealnie przed tym lustrem - dodaje, patrząc na swoje odbicie.
- Naprawdę? Puszczaj do mnie oczko.
- Chyba nie myślałeś, że jesteś pierwszym facetem, którego przemycałam tu na górę, co?

Pewnie powinienem być zaszokowany szczerością Jessie i powiedzieć, że takie rewelacje dotyczące jej życia erotycznego są niezbyt stosowne w kontekście naszej zawodowej relacji. A potem, oczywiście, powinienem wyjść.

Nie robię żadnej z tych rzeczy. Ponieważ jest mi tu... nie wiem... dobrze... i spokojnie... i swobodnie... i przyjemnie... Czuję się trochę jak nastolatek. Wszystko wydaje się takie świeże.

Podchodzę do lustra i przyglądam się własnemu odbiciu. Może to efekt skręta, ale ten Jack, którego widzę, który stamtąd na mnie patrzy, wydaje się nagle inny i, mimo że nie chcę reagować jak Alain de Botton, zaczynam się zastanawiać: Czyja się zmieniałem? Czy w ogóle się zmieniamy? My, jako ludzie? Czy zmieniamy się i dorastamy z upływem lat, a czasem oddalamy się od siebie? A jeśli faktycznie się zmieniałem, to czy nie jest prawdopodobne, że Amy też? A co, jeśli nie zmieniliśmy się tak samo? Jeśli rozeszliśmy się w różnych kierunkach? Jeśli już nie pasujemy do siebie?

Ponieważ tak się właśnie czuję... jakby Amy była milion mil stąd...

- Duncan był ode mnie starszy - ciągnie Jessie. - Byłeś kiedyś z kimś starszym od siebie, Jack? Powinieneś spróbować. To bardzo pouczające. Powinno się tego spróbować przynajmniej raz w życiu.

Nie odpowiadam. Odwracam się i patrzę znów na fotografie.

- Nie mów, że jesteś zakłopotany.

- Nie.

- Powiedzieć ci, co u Duncana było naprawdę dziwaczne?

- Co?

- Miał fiuta dokładnie w kształcie muchomora. Naprawdę, dokładnie. Łącznie ze spiczastą końcówką.

Zaczyna chichotać, ja też. To jest zaraźliwe. Narkotyk jest najwyraźniej mocniejszy, niż początkowo sądziłem, bo nagle oboje opadamy na wersalkę, a po policzkach ciekną nam niekontrolowane łzy śmiechu.

Zanim się obejrzałem, zaczynamy się dzielić sekretami niczym para podwójnych agentów z okresu zimnej wojny. Opowiadam jej, jak w kilka minut straciłem cnotę z Mary Rayner. Ona wyznaje, że w wieku siedemnastu lat w tajemnicy przespała się z chłopakiem swojej przyjaciółki, a w zeszłym roku z jej mężem.

I tak dalej, i tak dalej.

Aż w końcu nie ma o czym opowiadać.

Ale mimo to, nawet gdy już mija nasza seksualna *glasnosf*, rozmowa toczy się dalej, niepowstrzymanie, jak rzeka, która wpada do Niagary. Jakbyśmy byli parą bohaterów science fiction, którzy właśnie przedarli się przez Wir Przyspieszonej Przyjaźni. Stosunki między nami nigdy już nie będą takie same.

Oczywiście częściowo z powodu narkotyku, ale nie tylko.

Z Amy nie doświadczam już takiej świeżej zażyłości. Towarzystwo Jessie ma posmak nowości, jest jak przebijanie łyżeczką folii w nowym słoiczku z kawą, natomiast Amy jest swojska, raczej jak wydrapywanie resztek dżemu z dna słoika.

Amy i ja wiemy o sobie zbyt wiele. Nie zostało już nic do odkrycia. Natomiast z Jessie przypominam sobie dawne czasy randek. Czuję się młody, i napalony.

W głowie tłoczą mi się niestosowne zdania (jak ekshibicjoniści czekający, by wyskoczyć zza krzaka): „Jak na starszawą laskę, masz odjazdowe bufory. Są prawdziwe? Mogę dotknąć? Założę się, że z takimi mięśniami jesteś w wyrku jak dynamit”.

Oczywiście, nie mówię ich na głos, ale chciałbym. Bardzo bym chciał.

Potem Jessie idzie się wysikać, a pod jej nieobecność efekt skręta słabnie, czuję się, jakby odetkały mi się uszy podczas lądowania samolotu, i ten urok, pod jakim chwilowo się znalazłem, pryska.

Wstaję i znowu patrzę na siebie w lustrze. Ile jeszcze mam czasu, zanim zacznę wyglądać staro, nawet we własnych oczach? Bo to przecież kiedyś nastąpi. Wczesny wiek średni ustąpi miejsca późnemu, a potem proces będzie postępował,

aż pewnego dnia spojrzę w lustro i zobaczę, że jestem siwy albo łysy, a skórę mam jak pergamin. Jądra będą mi zwisać przy udach jak bolas argentyńskich ranczerów, a mój fiut będzie wyglądał jak niedopałek kubańskiego cygara.

Ta myśl powinna mnie przygnębiać, ale tak naprawdę napęłnia mnie ogniem. Bo wciąż jestem młody. Wciąż mam to, co trzeba. To nadal we mnie jest. Czyli powinienem się pieprzyć, jak tylko nadarzy się okazja. Póki się da. Te dni są cenne. Nie mogę pozwolić, żeby się marnowały. Nie chcę kiedyś siedzieć w jakimś domu starców, spoglądając wstecz na swoje życie z żalem. Chcę siedzieć tam z uśmiechem, wiedząc, że bawiłem się tak dobrze, jak tylko się dało.

Naprawdę czuję się dobrze, tu, u Jessie, robiąc to, co robię. Nie mogę się powstrzymać, żeby się szeroko nie uśmiechać do swego odbicia. Flirtuję! Flirtuję i czuję się z tym świetnie, jakbym ćwiczył dawno nieużywany mięsień: im bardziej nad nim pracuję, tym jest łatwiej. Czuję się jak świeży absolwent Szkoły Uwodzenia, jakbym miał tę kobietę owiniętą wokół małego palca.

Potem uśmiech znika mi z twarzy i znów opadam na wersalkę, bo to przecież nie w porządku, że tu jestem. Bardzo nie w porządku. Od jakiegoś czasu nie działam już na własny seksualny rachunek. Jestem Jack Rossiter. Mąż Amy. Ojciec Bena.

Kurde, muszę stąd zwiewać, zanim zrobię coś, czego będę żałował.

Siadam na krawędzi wersalki. Usiłuję wstać. Tylko że w tym momencie zastygam. Bo oto Jessie wróciła.

Stoi w drzwiach z dłońmi na biodrach, a ja jestem tak oszołomiony jej widokiem, że myśli o ucieczce, i praktycznie rzecz biorąc, wszystkie inne też, odpływają mi z głowy. Aż zostają w niej tylko dwie cyfry - i dwie litery.

90DD.

Wygląda na to, że zagadka została rozwiązana. Od kiedy Jessie powiedziała mi, że szyfr do jej alarmu jest taki sam

jak rozmiar jej biustonosza, zastanawiałem się, czy żartuje, czy to prawda.

Już się nie muszę więcej zastanawiać.

Sam widzę, jak jest.

A widzę Jessie nagą, jak ją Pan Bóg stworzył, seksowną, pociągającą i cudowną.

Nawet jeśli niektóre części jej ciała są zbyt idealnie zaokrąglone, żeby mogły być prawdziwe, to co z tego? Gdyby jej chirurg plastyczny był teraz tutaj, nie miałbym innego wyjścia, jak pogratulować mu superroboty.

I nie tylko ja jestem pod wrażeniem. Phalius właśnie zakochał się w „brazylijce”.

Wystarczy, jak powiem, że Ciągoty aż wrzeszczą.

- Co ty robisz? - pytam.

- A jak myślisz?

Zbliża się do mnie, a ja podnoszę ręce.

- Nie.

- Nie bądź niemądry. Przecież tego chcesz.

- Nie chcę - protestuję. Co jest kłamstwem, ponieważ chcę. Tylko nie mogę.

Zatrzymuje się przede mną i pochyla, przesuwa dłońmi po swoich nagich udach.

- Nie wierzę ci - szepcze. - Po tym wszystkim, co mi opowiedziałeś...

- Ale to było kiedyś. Zmieniłem się.

- Nikt nie zostawia swojej przeszłości całkiem za sobą, Jack - przyklęka - a zwłaszcza nie ktoś taki jak ty, ktoś, kto był kiedyś takim niegrzecznym chłopcem...

Popycha mnie z powrotem na wersalkę i sięga do mojego paska.

- Nie bój się. - Mruga do mnie. - Obiecuję, że cię nie ugryzę. Jestem w tej chwili pewien tylko jednego: że to zdanie

mogłoby być mniej przekonujące, tylko gdyby zostało wypowiedziane przez lwa.

Erotyczna piguła

- Czuję się jak w filmie - mówi Jack, gdy żółta taksówka zatrzymuje się przed hotelem na Thompson Street.

- No to zaczynamy - wołam. - Wielkie Jabłko.

Zsuwam się z czarnego siedzenia i zwinnie wyskakuję z taksówki na chodnik. Patrzą na fasadę hotelu, która biegnie w górę do rozgwieżdżonego nieba, i gdzieś znika całe moje zmęczenie i niepokój.

- Dobry wieczór państwu, witamy w Nowym Jorku. Jestem Stephan i zaraz zajmę się państwa bagażem. Jedną chwileczkę.

Gapimy się z Jackiem na absurdalnie przystojnego portiera, który właśnie do nas przemówił. Ma w uchu słuchawkę i ubrany jest w czarny markowy garnitur.

- Okay - mruczę. - Dzięki.

- Proszę bardzo - rzuca mi promienny uśmiech. Wewnątrz oczekuje nas konsjerżka, jakbyśmy byli dawno

niewidzianymi gośćmi. Ma ponad sześć stóp wzrostu i najbardziej przenikliwe zielone oczy i nieskazitelną cerę, jakie kiedykolwiek widziałam. Idzie z królewską godnością przed nami. Widzę, jak Jackowi okrągłej oczy, gdy próbuje ocenić nieprawdopodobną długość jej nóg.

Hall na piętrze jest szokujący. Słysząc muzykę funky i wszystko wydaje się niesamowicie stylowe i wielkie - nawet dekoracje roślinne wykonano z całych gałęzi drzew czereśniowych. Gdy czekamy przy recepcji, zauważam grupę top-modelek rozwalonych na markowych sofach i siorbiących

mrożoną kawę przez słomki, zapewne po zakończonej sesji zdjęciowej. Jack ściska mnie za rękę, najwyraźniej tak samo zdumiony i podekscytowany jak ja.

Po chwili zostajemy zawiezieni na szczyt hotelu wytworną czarną windą, a potem zaprowadzeni do naszego apartamentu. Jack daje napiwek Stephanowi, który przyniósł nasz bagaż, i udaje mu się zachować powagę, aż do momentu, gdy Stephan wychodzi, delikatnie zamykając za sobą drzwi. W tej sekundzie oboje patrzymy na siebie, a potem zaczynamy piszczeć jak para dzieciaków.

- Jasna cholera! - woła Jack.

Apartament jest większy niż całe nasze mieszkanie. Jack zrzuca buty i oboje zaczynamy skakać po łóżku. Nigdy wcześniej nie widziałam tak wielkiego łoża. Kładziemy się obok siebie i ćwiczymy wspólne taczanie się, aż wybuchamy chichotem.

Od dawna nie byłam tak blisko z Jackiem. Przyglądamy się sobie nawzajem, zakłopotani tą intymną sytuacją. Przebiega mi przez myśl, że znowu to stracimy i wycofamy się do osobnych skorupki, w których żyjemy od wielu tygodni.

Ale wtedy Jack się uśmiecha.

I ja uśmiecham się do niego.

I wiem już, że nam się uda, że oboje naprawdę chcemy się postarać. Wszystko będzie dobrze. Jack całuje mnie i szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Zróbmy sobie imprezkę.

Zeskakuje z łóżka i otwiera gwałtownie barek, który jest cały wypełniony. Wyjmuje buteleczkę laurent perrier. Tymczasem ja sprawdzam szuflady i szafki.

- O mój Boże! Popatrz na to. - Znajduję tam różne rarytasy. Odkręcam słoik z aromatycznym olejkiem do masażu i podstawiam pod nos Jackowi: - Powąchaj.

- Spójrz na to. - Jack otwiera zębami plastikową torebkę. - Ho, ho! To mieszek do ucieszek! Serio - śmieje się - tak jest napisane na opakowaniu. - Wysypuje z niej na łóżko prezerwatywy, małe opakowanie z napisem „żel stymulujący łechtaczkę”, świecę zapachową, musującą pigułę do kąpieli

erotycznej i specjalną składankę relaksacyjną na CD. - Ale jazda!

Rozpakowuję i wążam pigułę.

- Spróbujmy tego - proponuję. - Kochanie, myślę, że mamy czas akurat na to, żeby się odświeżyć przed tym darmowym koktajlem w prywatnym barze na dachu - przypominam mu swoim najlepszym nowojorskim akcentem, po czym żło-pię szampana i odwijam czekoladkę z opakowania, które stworzył Jack.

Jestem w euforii. Kręci mi się w głowie z podniecenia. Nie czułam się tak od... no, od naszej nocy poślubnej. Zanoszę kąpielową pigułę do łazienki.

- Rany! Zobacz tutaj! - wołam.

Jest tam wielki aneks prysznicowy, ze specjalnym krzeselkiem, gdzie wodę można puszczać pod różnymi kątami, i olbrzymie jacuzzi na jakieś dziesięć osób. Są dwie identyczne umywalki i stos oślepiająco białych ręczników, a na brązowo-czarnych kafelkach wiszą dwa niewiarygodnie puszyste szlafroki. W zasięgu wzroku nie ma żadnej plastikowej kaczuszki, wanienki z nadzutymi gąbkowymi literkami, do połowy napełnionej starymi mydlinami, ciekących butelek szamponu dziecięcego, ani jednego plastikowego okręcika czy łodzi podwodnej.

Innymi słowy: to jest raj.

Całą minutę kombinuję, jak napuścić wody do wanny, ale gdy już leci, podchodzę do luster nad umywalkami. Oświetlone są jak w garderobach gwiazd filmowych. Jest też koszyczek pełen darmowych kosmetyków do makijażu, więc wyjmuję ołówek do brwi i zaczynam eksperymentować.

W drzwiach staje Jack z kartką papieru w ręce.

- Co to jest? - pytam.

- Cennik. - Minę ma ponurą.

Ręka zastyga mi w bezruchu, gdy nasze spojrzenia spotykają się w lustrze.

- Jesteśmy w tym hotelu od siedmiu i pół minuty, a mamy. .. dwieście osiemdziesiąt pięć dolarów do tyłu.

- Cholera.

Idę za nim z powrotem do sypialni i patrzę, jak podnosi kieliszek i wypija duszkiem szampana. Nie wiem, co sobie myśli, ale podejrzewam, że to może być początek kłótni. Wiem, jak podejrzliwie Jack odnosił się przez cały czas do naszej „bezpłatnej” wycieczki - to ja powtarzałam, że wszystko będzie w porządku.

Nie zniosę kolejnej kłótni. Od kiedy wróciłam po rozmowie z H., dokonuję nadludzkich wysiłków. Za każdym razem gdy choćby tylko zbaczamy na niebezpieczny tor, robię manewr zawracania.

Nie gderałam, gdy guzdrał się przy wyjściu z domu i spóźniliśmy się do mojej mamy. Nie uniosłam się, kiedy oskarżył mnie, że zapomniałam jego iPoda, ani nie odpysknęłam, gdy napadł na mnie, że pomyliłam drogę na parking przy lotnisku. Opanowałam się nawet wtedy, kiedy w samolocie kazał mi przestać mówić o Benie.

Więc teraz, jeśli to koniec zabawy i początek awantury, ja już nie mam siły. Nie potrafię już dłużej chodzić wokół niego na paluszkach.

Ale Jack odwraca się i podaje mi kieliszek.

- A, odpuśćmy sobie - proponuje. - Może weźmiemy tę czekoladę do domu dla Bena.

Biorę kieliszek z tak wielką ulgą, że aż mi słabo.

- Jack, myślisz, że nic mu nie będzie? - pytam.

Czas wyprawia z nami dziwne rzeczy. W tej chwili znajdujemy się po innej niż Ben stronie kuli ziemskiej. Jeszcze dziś byłam razem z nim w kuchni mojej matki, a wydaje się, jakby upłynął miesiąc.

- Nie, oczywiście, że tak nie myślę - droczy się ze mną.

- Przestań. Jest mi naprawdę ciężko. -I rzeczywiście: tak bardzo tęsknię za moim dzieckiem, że odczuwam to niemal jak ból fizyczny. - Nigdy dotąd nie zostawiałam go na tak długo.

- Wyluzuj. Twoja matka zepsuje go do szpiku kości i zaprzepaści całą twoją dobrą robotę. Na pewno zaczęła już mu jeść z ręki.

- Myślisz?

Przypominam sobie Bena, szlochającego, jakby miało mu pęknąć serce, jego piątki chwytające mnie za włosy, gdy wrzeszczał, żebym go nie zostawiała.

- Chodź - mówi Jack z uśmiechem. - Przyjechaliśmy tu, żeby się zabawić, pamiętasz? Jest piątkowy wieczór i jesteśmy w Nowym Jorku. Darujmy sobie kąpiel i chodźmy do baru na dachu. Co ty na to?

Z powrotem na wygodnej rafie

Gdy się budzę, słońce wlewa się przez okno sypialni. Jack siedzi na parapecie, lekki wietrzyk porusza firanką i słychać, jak Nowy Jork budzi się do życia.

Serce mi skacze. Po raz pierwszy od kiedy pamiętam, Jack robi coś zdumiewającego. Szkicuje. Jest tym całkiem pochłonięty i nie zauważa, że się obudziłam.

Patrzę na jego twarz zalaną słońcem.

Mój Jack.

Uśmiecham się, wracają do mnie obrazy zeszłej nocy. Spacerowaliśmy, trzymając się za ręce przez ulice SoHo, weszliśmy do restauracji ze stolikami przykrytymi obrusami w biało-czerwonej szachownicy, serwującej steki, i zamówiliśmy największą kolację w naszym życiu. Potem znów spacer i bar, gdzie piliśmy tequilę i graliśmy w bilard, i poznaliśmy jakichś ludzi, którzy zabrali nas do klubu jazzowego, gdzie tańczyliśmy do świtu, aż padliśmy ze zmęczenia.

Mieliśmy więcej zabawy w jeden wieczór niż w sumie w ciągu ostatnich pięciu lat.

Brakuje mi tchu, gdy pomyślę, jaki błąd mogłam popełnić, gdybym nie zerwała z Tomem. Teraz, gdy to już skończone, czuję się jak ryba, która właśnie wystawiła głowę ze swojej miłej, bezpiecznej rafy i omal nie została pożarta przez rekina.

Co też mi przyszło do głowy?

Teraz, kiedy tutaj leżę, wydaje się to kompletnie absurdalne, niepojęte, ale wolę się nad tym nie rozwodzić. Nawet nie dopuszczę do siebie tych myśli. To już przeszłość. H. miała rację. To był tylko wybryk. Ostrzeżenie od losu. Dziś jest nowy świt mojego związku z Jackiem.

Ziewam i przeciągam się, rozkoszując się pozycją rozgwiezdy pod indyjską kołdrą z bawełny.

- Która godzina? - pytam.

Jack odwraca się i uśmiecha do mnie.

- Wczesna, ale to nieważne. Prawda, że jest wspaniale? Podchodzi i kładzie się koło mnie. Bierze mnie za rękę

i słuchamy odległych dźwięków ruchu ulicznego, trąbienia taksówek i głosów ludzkich.

- Dziwne - mówi Jack. - Takie wielkie miasto, a jednocześnie taki tu spokój.

- Strasznie mi się podoba - przyznaję. - Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów obudziłam się, a Ben nie wskoczył mi na głowę. I nie muszę wyjmować naczyń ze zmywarki. Ani robić płatków. Ani sprzątać. Ani szukać bucików...

Obracam się i krzyczę radośnie w poduszkę, wierzgając nogami.

Jack śmieje się i głaszcze mnie po plecach.

- Biedna Amy. To czasem jest dla ciebie mnóstwo bezmyślnej harówki, co?

Odwracam się i patrzę na niego. Po raz pierwszy wspomniiał o moim codziennym życiu. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że to widzi.

- Wiem, że jestem beznadziejny - ciągnie. - Jak wrócimy do domu, obiecuję, że będę wcześniej wstawał i więcej się zajmował Benem. Wiesz, tęsknię za nim, gdy jesteśmy tak daleko.

Unoszę się na łóżku i całuję go. Czuję się dziwnie poruszona.

- Naprawdę?

- Tak, dziwnie jest bez niego. Miło, ale dziwnie.

- Zadzwonimy?

Wybieramy numer mojej mamy. Ja trzymam słuchawkę, głowy mamy przyciśnięte do siebie, moja mama na drugim końcu daje telefon Benowi. Jego głosik brzmi bardzo cienko i słysząc, że jest zdezorientowany.

- Jesteś grzeczny? - pytam go.

- Nie! - odpowiada. Jack się śmieje.

Mama każe mi kończyć, nie mówiąc nic o tym, jak Ben daje sobie radę beze mnie.

- To rozmowa międzynarodowa - przypomina mi. Mówi bardzo głośno i wyraźnie, mimo że świetnie słysząc.

Odkładam słuchawkę.

- Widzisz - mówi Jack. - Mówiłem ci, że będzie okay. Ale ja zaciskam usta.

- O co chodzi? - pyta, zakładając mi włosy za ucho.

- O nic - śmieję się i uderzam dłonią w usta, a po twarzy płyną mi łzy.

- Wszystko w porządku.

Jack mnie przytula.

- Nic się nie martw. To normalne, że za nim tęsknimy... ale wiesz co? Znam świetny sposób na to, żebyś przestała o nim myśleć...

Po godzinie bajecznego, zmysłowego, satysfakcjonującego, niczym nieprzerwanego porannego seksu spędzam prywatne pół godzinki w łazience, robiąc makijaż przy dźwiękach muzyki. Wyjście z hotelu zabiera nam mniej niż minutę, bo nie muszę pakować pieluch, soczku ani wybierać, którą ciężarówkę weźmiemy do wózka. Gdy wychodzimy na ulicę, czuję się cudownie odświeżona.

Pozaznaczałam prawie wszystkie strony w przewodniku Time Out, który dostałam przed wyjazdem od Faith. Jestem zdumiona, jak ona dobrze zna to miasto. Nie potrafię sobie wyobrazić Faith mieszkającej tutaj, a co dopiero uprawiającej dubbing i drinkującej w tych wszystkich miejscach, które mi poleciła, ale wygląda na to, że jej nie doceniałam. Gdybym to ja w poprzednim wystrzałowym życiu obracała się w kręgach nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, dołożyłabym starań, żeby Camilla i reszta Żmij wszystkiego się o tym dowie-

działy, ale Faith trzymała buzię na kłódkę. Nie miałam pojęcia, że kiedyś pracowała za granicą. Może jednak nie jest taka głupia.

Zrobiłam długą listę miejsc, do których chcemy pójść: Bloomingdales, Saks, the Mac Shop, Kheils, Donna Karan... lista jest nieskończona. Jednak Jack nie dostraja się do mojego zakupoholicznego szaleństwa. On chce zobaczyć Frick Collection, Muzeum Guggenheima i Fiat Iron Building. Nie damy rady.

Wychodzimy więc z hotelu na zalany słońcem chodnik, oniemiała z wrażenia. Ja zaplanowałam trasę po sklepach, ale Jack jest głodny, więc po drodze zjadamy śniadanie złożone z bajgli i koktajlu mlecznego, i niemal natychmiast się gubimy.

Ale to nieważne. Pobyt w Nowym Jorku działa na mnie, jakbym dostała zastrzyk niebywałej energii. Mam na sobie moją ulubioną letnią sukienkę na jednym ramiączku wokół szyi i nowe okulary przeciwsłoneczne, które wyglądają, jakby były markowe, ale tak naprawdę kupiłam je za dziesięć funtów w Tesco. Jack włożył spodnie trzyczwarte, klapki i bajerancką baseballówkę, którą kupiliśmy wczoraj wieczorem.

Tak rzadko chodzimy gdzieś razem w dzień, że gdy kątem oka łapię nasze odbicie w wystawie sklepowej, idących tak obok siebie, jestem zaskoczona, jak do siebie pasujemy.

Za każdym rogiem czeka nas nowy widok i kolejne atrakcje. Mam wrażenie, że przepełnia mnie jakaś czysta spontaniczność. Strasznie mi się podobają żółte taksówki i stare budynki z żeliwnymi zygzakowatymi schodami pożarowymi i inna grafika znaków ulicznych. Uwielbiam te tłumy ludzi - oszałamiającą różnorodność strojów i krzykliwą mieszanek kolorów skóry i języków.

Na Spring Street cały chodnik pozostawiany jest kramami. Jack kupuje mi jedwabną opaskę w kropki, która pasuje do mojej sukienki. Zatrzymujemy się i patrzymy na dzieła ulicznej sztuki na sprzedaż. Mnie się podoba impresjonistyczne olejne malowidło linii horyzontu, ale Jack się krzywi.

- Też bym tak potrafił - mówi, odciągając mnie stamtąd. Jestem zachwycona, że to słyszę, bo ma rację. Potrafiłby. Jacka oburzają ceny ulicznych sprzedawców.

- Pamiętasz to okropne *Stadium w żółci*, które zrobiłem ojcu do biura? Było lepsze niż którykolwiek z tych obrazów.

- Dziesięć razy lepsze. Co najmniej - zapewniam go. - Szkoda, że z tym skończyłeś. Znam powody, ale tęsknię za czasami, gdy malowałeś.

- Hej! A może byśmy się tu przeprowadzili. - Jack uśmiecha się do mnie. - Pomyśl o tym. Moglibyśmy zamieszkać na niewielkim poddaszu w SoHo i prowadzić cygański tryb życia.

Śmieję się, ssąc słomkę z koktajlu.

- Ja bym mógł wciskać wielkie płótna turystom, a ty szyłabyś bajeczne ciuchy i sprzedawała do tych luksusowych butików. Aha, a może jeszcze prowadzilibyśmy Odgałęzienie i kazali sobie płacić majątek za sadzenie ludziom kwiatów w skrzynkach.

- Brzmi wspaniale, ale, kochanie, czy nie jest trochę za późno? Jak byśmy wozili Bena do szkoły i wnosili wózek po tych wszystkich schodach na poddasze?

Jack spuszcza nos na kwintę.

- Tak, pewnie masz rację. Chyba jesteśmy już za starzy.

- Ale nigdy nie mów nigdy - mówię. - Czemu, u diabła, nie mielibyśmy zrobić czegoś szalonego i się nie przeprowadzić? Ja nie chcę wiecznie mieszkać na Kensal Rise, a ty?

Jack patrzy na mnie.

- Naprawdę byś się przeprowadziła? Zostawiła wszystkie swoje przyjaciółki?

- Co, Żmije? To nie są przyjaciółki, Jack.

- Ale wydajesz się... nie wiem, mocno z nimi związana.

- Ale nie jestem. Ani trochę. Jak myślisz, dlaczego wciąż gram w totka? Bo gdybym wygrała, zabrałabym nas stamtąd w mgnieniu oka.

- Serio?

- Jasne, że tak. Zawsze marzyłam, że będziemy razem przeżywać mnóstwo przygód. I prowadzić ekscytujące życie.

Że przez cały czas będzie tak jak... jak t e r a z . - Zataczam szeroki łuk ręką.

- A nie jest tak? - pyta.

- Nie mów tego w ten sposób. - Widzę, że go uraziłam.

- Bo chyba to właśnie sugerujesz? Przecież wiesz, że staram się, jak mogę.

Wzdycham. Nie chcę się z nim sprzeczać. Biorę go za rękę.

- Nie krytykuję cię, Jack. Mówię tylko, że od nas zależy, czy nasze życie będzie wspaniałe. Nie sądzisz?

Jack dziwnie patrzy na mnie.

- Skąd to wzięłaś?

- Co?

- To. Nigdy tak nie mówisz.

Odbiera mi głos. Robi mi się niedobrze od wyrzutów sumienia, jakbym, mimowolnie cytując Toma, przywiozła go tutaj ze sobą. Mój sekret nagle wydaje się tak namacalny, jakby to Tom tu stał, trzymając mnie za rękę, nie Jack.

Zaszokowana, podnoszę dłoń Jacka i patrzę na nasze splecione palce. Moja obrączka lśni w słońcu.

- Mniejsza o to - rzucam. - Popatrz, tam jest Grand Central Station. Chodźmy go obejrzyć.

Turyści

Zanim docieramy na dworzec, Jack jest w swoim żywiole, wymienia tytuły wszystkich filmów, które widział, nakręcone w jego hali, ale gdy wchodzimy do środka, ja rozpoznaję tylko fragment z dziecięcej kreskówki *Madagaskar*.

Jack każe mi stanąć przy schodach, żebyśmy mogli pstryknąć fotkę dla Bena. Potem podchodzi bliżej i mówi, żebym usiadła na stopniach. Robi mi zdjęcie w zbliżeniu, ale jak zwykle trwa to wieki.

- Amy, nie rób tak, dobrze? - prosi, patrząc w okienko aparatu.

- Jak?

- Nie przybieraj swojej „miny do zdjęcia”.
- Ja mam „minę do zdjęcia”?
- Tak - upiera się Jack - i to mnie wkurza. Zawsze gdy pstrykam ci zdjęcie, robisz taki sztuczny uśmiech.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Postaraj się wyglądać normalnie. Próbuję przybrać neutralny wyraz twarzy, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cały czar chwili prysnął. Teraz już w ogóle nie mam ochoty się uśmiechać. Ludzie mijają mnie, schodząc ze schodów, a ja czuję duszność i irytację.
- Już. - Jack spogląda na moje zdjęcie na cyfrowym aparacie. - Mam cię.
- Pokaż. - Wyciągam rękę. Jack podaje mi aparat.
- Jest okropne! - protestuję. - Wyglądam strasznie. -1 naprawdę tak jest. Jak wycięta z tektury, bez żadnej emocji na twarzy.
- Nie, nieprawda.
- Usuń je - upieram się, ale Jack wyrywa mi aparat.
- Za bardzo się przejmujesz swoim wyglądem.
- Nieprawda.
- Prawda. Jesteś dla siebie taka surowa. Bez przerwy zaczynasz te absurdalne diety i wciąż narzekasz na swój obwisły brzuch i zmarszczki. I jak ja mam tu widzieć jakąś magię?
- Krzyżuję ramiona na piersi. Czuję się, jakby mnie rugał. Jack rozplata mi ręce.
- Skończ z tą postawą obronną. Jestem tylko szczery.
- Ale mnie atakujesz. Jack wzdycha.
- Okay. Więc powiedz mi, co wkurza cię we mnie. To będzie fair.
- Nie.
- Czemu? Na pewno jest coś we mnie, co cię irytuje. - Siada obok mnie. Wyciąga ręce przed siebie. - Mówię poważnie. Chcę to usłyszeć.
- Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Jack śmieje się nerwowo.

- Okay. Mamy przed sobą cały dzień. Miejsce jest dobre jak każde inne. Wal.

Patrzę na niego, potem w dół na ogromną, przepastną halę i tysiące obcych ludzi, z których każdy dokądś zmierza, i w górę na gwiazdy wymalowane na suficie. Jack ma rację. Jesteśmy w idealnym miejscu. Drobnie rzeczy, które denerwują mnie w domu, wydają się niczym wobec tego ogromu.

- Okay, ale nie będzie to w żadnym specjalnym porządku. Po pierwsze, zawsze oczekujesz, żebym szukała twoich rzeczy. T o mnie wkurza - oznajmiam.

- Ale ty jesteś w tym lepsza. Jesteś jedną z najlepszych poszukiwaczek rzeczy na świecie. Poza tym zawsze mi gdzieś przekładasz to, co próbuję znaleźć...

- Jack. Nie masz się teraz bronić. Po prostu mówię, jak jest.

- Okay - ustępuje.

- I nigdy nie chcesz mi opowiadać, co się dzieje w pracy.

- Hm?

- Camilla mówiła, że widziała cię z jakąś kobietą w sportowym samochodzie - strzelałam bez namysłu. Od tak dawna chciałam go o to zapytać, a teraz wspomniałam o tym, jakby to było coś oczywistego. Czuję wielką ulgę. - A ja nie wiem, kto to był - ciągnę. - To znaczy, przypuszczam, że jakaś twoja klientka, ale nie powiedziałeś mi o tym, i to mnie boli, bo zaczęłam sobie wyobrażać najgorsze...

Jack patrzy na mnie tępo, jakbym właśnie zapytała go, ile wynosi liczba pi do pięćdziesiątego miejsca po przecinku.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Camilla przysięgała, że to byłeś ty. Podobno w lexusie kabriolecie.

- Camilla nie powinna wtykać swojego głupiego arystokratycznego nosa w cudze sprawy. Powiem jej to następnym razem, gdy ją zobaczę. Wścibska krowa.

Jestem zaskoczona jadem w jego głosie.

- Przestań, proszę. Zapomnij o tym. Po prostu się pomyliła.

- Tak, tylko że ty już zaczęłaś „wyobrażać sobie najgorsze”. Jakie najgorsze, Amy? Że mam romans?

Serce wali mi jak młotem, bo właśnie to podejrzewałam. A przynajmniej coś w tym stylu - nie jestem pewna co. Teraz, gdy tak stanowczo obstaje przy swojej niewinności, czuję jeszcze większe wyrzuty sumienia, że w niego wątpiłam. Przychodzi mi do głowy, że on jest tym silnym, a ja dla kontrastu jestem żalosna. Przypominam sobie ostrzeżenie H. i przysięgam w duchu, że Jack nigdy, przenigdy nie dowie się o Tomie.

- Nie, Jack, nie. Nigdy bym tak nie pomyślała, bo wiem, że ty nigdy byś tego nie zrobił.

Jack lekko blednie.

- No to w porządku. - Sili się na uśmiech. - Postaram się być bardziej komunikatywny, ale wiesz, często dopytujesz się w taki sposób, że...

- Co masz na myśli?

- Czasem jestem zmęczony, a ty zadajesz mi setki pytań. Czuję się wtedy jak na przesłuchaniu.

Rozważam to sobie. Ma rację. Faktycznie go zadręczam.

Ta rozmowa jest oczyszczająca. Mam wrażenie, że rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy od wielu lat. Teraz, gdy wiem, że to, o czym myślałam w Londynie o Jacku i tej kobiecie, to bzdury, jestem bardziej zdecydowana, by przeszłość zostawić za nami.

Siedząc tak na schodach, poruszamy mnóstwo tematów, od mojej obsesji na punkcie prasowania do faktu, że Jack daje Benowi za dużo prezentów.

Potem omawiamy nasze kłótnie w samochodzie, to, że on zawsze na mnie krzyczy, żebym mu dawała wskazówki, a potem ignoruje to, co mówię. Umawiamy się, że jak będzie nas stać, sprawimy sobie nawigację satelitarną.

- Chodźmy na szampana i ostrygi, żeby to uczcić - proponuje w końcu Jack.

- Co uczcić?

- To, że tak cię wkurzam, a mimo to wciąż ze mną jesteś. Patrzymy na siebie przez sekundę. Potem wybuchamy śmiechem, a Jack mnie całuje.

King Kong

Potem wszystko układa się idealnie, śmiechowi i pocałunkom nie ma końca. Jakimś cudem rodzi się między nami niewymuszona więź, która przypomina mi, jak było między nami na początku. Idziemy na długi leniwy lunch, po czym stawiamy czoło zakupom w Macy's, aż widzę, że Jack jest znudzony. Wtedy łapiemy taksówkę i jedziemy zwiedzać Meat Packing District, zatrzymując się na piwo w pubie The Spotted Pig.

Czas płynie nam jak w jakimś zamroczeniu. Wieczorem razem bierzemy prysznic w hotelu i rozmawiamy o naszym pierwszym wspólnym prysznicu w pensjonacie w Brighton i o tym, jak zalaliśmy wtedy łazienkę. Na wspomnienie początków naszego związku oboje się śmiejemy. W radosnych nastrojach idziemy na występ kabaretu. Potem, o północy, robimy sobie ucztę jak małe dzieci - siedzimy po turecku na łóżku i dzielimy się kanapkami z masłem orzechowym i preclami. Czuję się jak bohaterka najlepszej przygody w moim życiu.

Następnego ranka jemy późne śniadanie w Greenwich Village. Wsuwamy naleśniki z syropem klonowym, kiełbaski i bekon i rozmawiamy z typowo amerykańską kelnerką, która nieustannie donosi nam czarną kawę. Gdy wspomina, że ma małego synka, uświadamiam sobie, że przez cały ranek ani razu nie pomyślałam o Benie i choć przez moment mam wielkie wyrzuty sumienia, jednocześnie czuję, jakbym w pewnym sensie się odrodziła i określiła na nowo.

Po posiłku rzucaamy monetą, Jack wygrywa i decyduje, że naszym kolejnym przystankiem będzie Empire State Building.

- A co z Bloomingdales? - pytam.

- Musimy pójść na Empire State - stwierdza. - Grzechem byłoby tego nie zrobić.

Jestem zbyt szczęśliwa, żeby oponować.

W środku wije się ogromna kolejka. Oboje milkniemy, obserwując ludzi. Mam nieodparte wrażenie, że żadna z tych osób nie jest tak zadowolona z życia jak ja.

Wczoraj wieczorem, gdy wracaliśmy z kabaretu, Jack zaproponował, żebyśmy sporządzili listę rzeczy, które u siebie lubimy - tych, które nas uszczęśliwiają. Początkowo było to żenujące, sztuczne i za bardzo przypominało psychoterapię, ale pod koniec poczułam się świetnie. Dziwne, że wcześniej na to nie wpadliśmy. Błądzą wzrokiem po tłumie ludzi i przychodzi mi do głowy, że inaczej nigdy bym nie powiedziała Jackowi, że robi najlepsze chilli na świecie, że serce mi mięknie, gdy śpiewa Benowi w nocy, i uwielbiam rysunek, które bazgrze, rozmawiając przez telefon.

W rewanżu Jack powiedział, że uwielbia słuchać, jak bawię się z Benem, i że jego ulubiony zapach to moje ciało po kąpieli, i że zawsze całuje moje powieki, wychodząc do pracy, gdy jeszcze śpię.

To tylko drobiazgi, ale rozmowa o nich uświadomiła mi, że wciąż jest tyle rzeczy do odkrycia w Jacku i że on nadal mnie zauważa.

Ściskam dłoń Jacka i wzdycham do siebie. Przebywanie razem tak jak teraz to czysta rozkosz.

I wtedy nagle, w windzie na Empire State, widzę go.

Przez sekundę naprawdę myślę, że to on, i czuję, jakby żołądek runął mi w dół, w szybie windy, przez wszystkie sto dwa piętra, ale gdy mężczyzna się odwraca, okazuje się, że to nie Tom, tylko ktoś do niego podobny. I znów prześladowuje mnie wrażenie, że Tom jest gdzieś tu obok, czai się w cieniu.

Chcę, żeby zniknął. Chcę wybić go sobie z głowy.

Nie pocałowałam go, usiłuję przekonać samą siebie, próbując rozwiać narastającą panikę. To znaczy, prawie go pocałowałam, ale przerwałam w połowie. Nie poszłam na ca-

łość. To nie była prawdziwa pieszczota. Nie ma powodu, żebym się czuła winna.

„Idź sobie”, mówię do Toma w duchu. „Spadaj. Chrzaj się”.

Jedziemy na taras widokowy. Jack staje za mną, żeby mnie odgradzić od tłumu, i gapimy się w dół na Manhattan. Jest wspaniale.

- To zabawnie, że tu jesteśmy. Zawsze sobie wyobrażałem, że tu jest trochę jak w *King Kongu* - mówi.

- Mam nadzieję, że nie porwiesz mnie na sam szczyt i nie zaczniesz się walić w klatę.

Uśmiecha się i milknie.

- Czemu nie? To świetne miejsce na scenę miłosną, nie uważasz? Tu jest tak... epicko.

- Nawet przy całym tym tłumie?

- Co nas obchodzą tłumy. - Obejmuje mnie ramionami i przytula twarz do mojego karku.

Opieram ramiona na jego rękach i wpatrujemy się długo w widok na dole.

Oto my. Sami. Nie musimy się nigdzie spieszyć, nigdzie być, najwyżej w siódmym niebie. Mam świadomość, że to powinno się stać niesamowitym doświadczeniem - pierwszą piątką w banku wspomnień.

Problem w tym, że nagle przestałam się czuć jak w siódmym niebie. Wprost przeciwnie, sięgnęłam dna. Sądziłam, że będę w stanie zbagatelizować tę całą sprawę z Tomem, „potraktować ją jako doświadczenie na przyszłość”, jak mówiła H. Naprawdę miałam nadzieję, że będę w stanie zmusić się, by zapomnieć, i starałam się... naprawdę się starałam. Ale mi się nie udało.

Ponieważ teraz, gdy przypomniałam sobie i odświeżyłam wszystkie dobre rzeczy w moim małżeństwie, czuję przerażenie i wyrzuty sumienia. Stoję tu z Jackiem i serce bije mi szybciej, bo chociaż bardzo się staram i wmawiam sobie, że jest inaczej, z perspektywy czasu moja relacja z Tomem wydaje się czymś o wiele więcej niż drobną przelotną nielojalnością.

Wydaje się zdradą. Nie tylko Jacka, ale mnie samej. Nas. Wszystkiego, czym jesteśmy.

- Kocham cię, Amy - szepcze Jack, ściskając mnie mocniej. - Naprawdę, naprawdę cię kocham.

Zamykam oczy. Nie mogę mówić.

Milord i Milady

Jest już późno, gdy kończymy wizytę w Empire State Building i zmierzamy w stronę Muzeum Guggenheima. Żadne z nas nie czuje się na sitach stać w kolejce, więc ostatecznie idziemy się przejść po Central Parku.

Dziwnie jest być w parku bez wózka. Spacerujemy bardzo długo, zatrzymując się, by posłuchać śpiewaków jazzowych i obejrzeć dyskotekę na wrotkach. W końcu znajdujemy miejsce nad jeziorem i w późnym popołudniowym słońcu kładę się z głową na kolanach Jacka, patrząc w niebo. Jestem zmęczona i pieką mnie oczy.

Delikatnie gładzę Jacka po rękę.

- Opowiedz mi jedno ze swoich najszcześniejszych wspomnień - proszę.

- Po co?

- Nie wiem. Po prostu jestem ciekawa.

- Gdy Ben pierwszy raz powiedział „tata”. To było dla mnie coś. I... sam nie wiem... na przykład w tej chwili jestem bardzo szczęśliwy.

- Pamiętasz nasze pierwsze wakacje w Grecji? - pytam go. Nie miałam zamiaru o tym mówić, tak jakoś mi się wymknęło.

Od razu wiem, że wkroczyłam na śliski teren. To temat tabu, ponieważ te wakacje skończyły się źle. Jack rozbił wtedy nasz moped i przyznał się, że spędził noc z Sally McCullen. Nie wiem, po co do tego wracam.

- Oczywiście, że pamiętam.

- Ja pamiętam, że patrzyłam w niebo na tamtej plaży i czułam się tak samo szczęśliwa jak teraz - próbuję zbagatelizować temat, jakby już było bezpiecznie o tym mówić. Ale wcale nie jestem taka pewna, czy rzeczywiście.

Jack sięga mi pod sukienkę.

- Pamiętam tę plażę - szepcze. Chichoczę.

- Jack, przestań. Jeszcze ktoś zobaczy.

- Chodź - mówi. - Wracajmy do hotelu.

Ale kiedy jesteśmy już z powrotem w naszym pokoju, czuję się skacowana i otumaniona. Zaczynam odczuwać skutki zmiany strefy czasowej.

Biorę kąpiel z erotyczną pigułą i próbuję być bardzo seksowna, ale kończy się na pospiesznym, nijakim stosunku, którym żadne z nas nie jest usatysfakcjonowane.

Potem zapadamy w niespokojny sen. Budzę się z bólem głowy, zmęczona, ale zmuszam się, by wstać.

- Chodź - szturcham Jacka. - Wstawaj. Może wypróbujemy tę restaurację, którą zaznaczyłeś w przewodniku? Chyba nazywa się Balthazar. Z francuskim jedzeniem?

Mimo że bardzo się staram wprowadzić jakieś ożywienie, wygląda na to, że Jack pograżył się w jednym ze swoich medytacyjnych nastrojów. Idziemy do restauracji, ale rozmowa nam się nie klei i Jack przez większość czasu gada z kelnerem o angielskich kapelach, a ja wypijam prawie całe wino.

Później wracamy spacerkiem do hotelu i zatrzymujemy się w barze Milady na kieliszek przed snem. Jack zamawia drinka o nazwie Dark and Stormy² - bardzo adekwatnej do jego nastroju.

Nawet nie wiem, skąd bierze się ta sprzeczka. Może to dlatego, że oboje jesteśmy zmęczeni i trochę pijani, ale, chociaż wiem, że to go rozzłości, zaczynam gderać, że dłużej gadał z kelnerem niż ze mną.

² Dark (ang.) - ciemny, stormy (ang.) - burzliwy.

- Cóż, gdybyś się trochę zainteresowała kulturą popularną - odpowiada - to może byłabyś w stanie wziąć udział w rozmowie.

Jak on śmie się tak nadymać? Co tydzień czytam „Grazię”. Wiem o kulturze popularnej więcej niż on. Czy on potrafiłby wymienić wszystkich zwycięzców Big Brothera? Nie sądzę. Więc niech mi oszczędzi tego wykładu.

- Mówię tylko, że nie po to przyjechałam taki kawał drogi, żeby cały wieczór rozmawiać z kimś, kogo już nigdy nie spotkamy.

- Dlaczego nie? Czemu tak łatwo kogoś oceniasz? Uważasz, że on nie może mieć ciekawych poglądów, bo jest kelnerem?

- Nie, oczywiście, że tak nie twierdzę.

- Może to samo myślisz o ogrodnikach...

- Nie, Jack, nie.

- On przynajmniej ma pracę.

Czuję narastający gniew. To był przytyk do mnie i oboje dobrze o tym wiemy.

- Chodziło mu po prostu o dodatkowe napiwki.

- I co z tego? Nie mam nic przeciwko temu, żeby dać napiwek komuś, kto mnie interesuje, kto interesuje się tym co ja.

- A ja ciebie nie interesuję. To chcesz powiedzieć? Podnoszę głos, a szmer rozmów dookoła nas wyraźnie

przycicha. Policzki zaczynają mi płonąć. Jack wzdycha i pociera twarz.

- Dość - mówi. Głos ma nabrzmiały znużeniem. Milczę. Patrzymy na siebie.

- Ciągłe się tylko kłócimy - stwierdza. - Mam tego dosyć. Mówiliśmy, że postaramy się wszystko naprawić, ale nic nie jest lepiej. Jest gorzej.

Chciałabym, żeby cofnął te słowa. Mam wrażenie, że zerwał jakiś niepisany pakt między nami.

- Jak możesz tak mówić? Jest lepiej. Jest wspaniale. Tak dobrze się bawiliśmy wczoraj i dzisiaj.

- To dlaczego teraz się kłócimy?

Nie wiem, co powiedzieć, bo on ma rację. Kłócimy się i przychodzi nam to bardzo łatwo. Zbyt łatwo.

- A poza tym - ciągnie Jack - nie mówię o wczoraj i dzisiaj ani o pobycie w Nowym Jorku. Na urlopie każdy potrafi się dobrze bawić. Mówię o naszym prawdziwym życiu, nie bajkowym. Chodzi mi o następny tydzień, przyszły miesiąc, kolejne dziesięć lat.

Milknie. Nie mogę na niego patrzeć. Potem ciężko wzdycha.

- Między nami musi się zmienić, Amy.

Sposób, w jaki to mówi, przeraża mnie. Podnoszę na niego wzrok.

- Co masz na myśli?

Boję się tej rozmowy. Szkoda, że nie odbyliśmy jej dwa tygodnie czy miesiąc temu.

Patrzę na Jacka i czuję smutek. Jak on może zaczynać rozmowę o naprawie naszego związku, skoro w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jego kondycji? Skoro nie wie, co się stało. Skoro nie wie - i n i g d y nie może się dowiedzieć - o Tomie?

- Chciałbym wrócić do nas. Do dawnych nas. Do lat, gdy byliśmy ze sobą tak jak tutaj w Nowym Jorku. Gdy uwielbialiśmy się bawić i spędzać razem czas. I zawsze mówiliśmy prawdę.

Wpatruje się we mnie uporczywie.

- Czy jesteś ze mną całkiem szczerą, czy mówisz mi, o czym myślisz? O czym tak naprawdę myślisz?

- Co? - Serce zaczyna mi szaleć. Brak mi tchu. Czy to naprawdę aż tak widać? Czy on coś wie o Tomie? Czy cały czas coś podejrzewał?

- Ponieważ ja nie jestem szczerą z tobą - ciągnie.

- Nie? - mówię, zdezorientowana.

- Nie - głos mu się załamuje.

- O czym ty mówisz?

- Powinnaś o czymś wiedzieć... to dotyczy mnie i Jessie.

Powinnaś o czymś wiedzieć... to dotyczy mnie i Jessie

W chwili, gdy to dekonspirujące mnie zdanie jak wąż wyślizguje się z moich ust, wiem, że nie ma już odwrotu. Jestem oszołomiony i ciężko oddycham, jakby dusiły mnie własne słowa. Jak żołnierz, który biegnie się wysikać w ferworze bitwy, miotam się między strachem a ulgą.

Ułga bierze się z faktu, że rozpocząłem swoją spowiedź. Za chwilę uwolnię się od tej straszliwej tajemnicy, która dręczy mnie przez cały weekend.

Zdecydowałem się szukać ratunku, stawiając na pierwszym miejscu swoje małżeństwo. Trzymam je przed sobą jak pochodnię oświetlającą mi drogę. Mam zamiar zrobić to co Amy, wiem o tym, zrobiłaby na moim miejscu: powiedzieć prawdę.

Wtedy oblatuje mnie strach. A jeśli się mylę? Jeśli Amy nie ma racji? Jeśli prawda nie uzdrawia, jak ona twierdzi, tylko zabija? Co się stanie, jeżeli moje wyznanie nie okaże się zastrzykiem ożywczej energii, która wydzwignie nasze małżeństwo z upadku, z tej nieustannej miotaniny między szczęściem a nienawiścią, tylko okaże się przerażającym aktem samozniszczenia, jakbym wsadził granat do ust i wyciągnął zawleczkę?

Amy wpatruje się we mnie. Za jej plecami na stole bilardowym strzelają kule.

Żałuję, że rzuciłem palenie. To idealny moment, żeby wymknąć się po paczkę marlboro... i już nie wrócić...

Nagle czuję się niewiarygodnie słaby.

- O tobie i Jessie? - pyta Amy.

- Tak.

- Jessie Kay? - upewnia się.

Kiwam głową, bo zaschło mi w gardle, jakbym właśnie połknął garść piachu.

- Och, Jack - jęczy Amy, instynktownie chwytając mnie za rękę. - Chyba cię nie zwolniła?

Jęk Amy jest pełen współczucia, nie gniewu. Użala się nade mną, nie nad sobą - nie dlatego że być może zrujnowałem jej świeżą karierę radiową, ale dlatego że być może straciłem moją jedyną klientkę i potencjalne źródło rekomendacji.

Martwi się, bo pomyślała, że Odgałęzienie właśnie zostało ścięte.

To jest przykład jej wielkoduszności, która, jeśli mam być szczery, właśnie w tej chwili nie jest mi do niczego potrzebna. Czy Amy nie mogłaby być złośliwa? Potępić mnie? Albo chociaż mieć między zębami szpinak? Czy wielkiego syfa na nosie? Dlaczego musi być tak czuła? I wyglądać tak pięknie? Dlaczego serce właśnie w tym momencie zaczyna mnie boleć z miłości?

- Nie zwolniła mnie.

- Więc o co chodzi?

Głos mi się zmienia, bo czuję się podle. Zaglądam jej w oczy i mówię:

- Tak mi przykro...

Oboje jesteśmy na tyle dorośli, by wiedzieć, że każda historia, która zaczyna się od „tak mi przykro”, prawie na pewno skończy się łzami.

Nic dziwnego więc, że w jej głosie słychać podejrzliwość:

- Z jakiego powodu jest ci przykro?

Jeden z bilardzistów za jej plecami podnosi wzrok znad swojej snajperskiej pozycji przy kiju. W mroku połyskuje mu złoty ząb na przodzie. Czuję ucisk w piersi, jakbym był skrępowany drutem kolczastym. Na czoło występuje mi pot.

- Nie chciałem, żeby to się stało. Między mną a Jessie. - Mój głos brzmi obco. Jak głos dziecka.

Amy marszczy brwi. Z jej oka znika błysk, jakby ktoś zagasił ogień.

- Co to znaczy, między mną a Jessie?- chce wiedzieć.

- Przysięgam ci. Nie planowałem tego. Musisz mi uwierzyć, Amy. Proszę...

Wrywa dłoń z mojej dłoni.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

Miota te słowa w moim kierunku jak zatrute kurarą strzały. Przez sekundę mam wrażenie, że zamachnie się na mnie niczym Rocky Balboa.

Nagle, jak spod ziemi, wyrasta przed nami barman, który rzuca mi podejrzliwe spojrzenie.

- Wszystko w porządku? - zwraca się do Amy. Przypomina mi to trochę pytanie kapitana „Titanica” do

załogi: „Czy ktoś jeszcze poczuł wstrząs?”.

- Tak - odpowiada Amy.

Odprawia go wzrokiem. Twarz ma jakby zapadniętą.

- Ale ja nie rozumiem... - mówi to jak przez sen. - Nigdy nawet nie pomyślałam... ani na sekundę... - Zerka na mnie zdezorientowana, jakbym był jakimś nieznanym, który się właśnie do niej przysiadł. - Mówiłeś, że ona jest przyciężka... przeterminowana...

- Kłamałem.

- Co?

Oddycham coraz szybciej. Nie mogę znieść bólu w jej głosie. Nie mogę na nią patrzeć. Chciałbym wybiec na zewnątrz i wrócić jako ktoś inny, lepszy. Chciałbym wcisnąć się do budki telefonicznej i zamienić się w Super Jacka, a potem oblecieć cały świat tak szybko, żeby zawrócić jego bieg i cofnąć czas.

Chciałbym móc cofnąć to, co zrobiłem.

- Opowiedz mi, Jack - żąda Amy. - Wszystko. - Znowu słyszę panikę w jej głosie. - Opowiedz mi - powtarza. - I to natychmiast.

Więc opowiadam.

Ponieważ to ja chciałem tej rozmowy. Ponieważ nasz związek jest ostatnio tak pokręcony, zaplątany i pogmatwany, że dalsze kłamstwa tylko pogorszą sytuację.

Ponieważ nie mam wyboru.

Ponieważ muszę zdjąć to ze swojej piersi, jak modelka na trzeciej stronie tabloidu biustonosz.

Wyznania: Nr 5. Atak na poddaszu

- Nikt nie zostawia swojej przeszłości całkiem za sobą, Jack - przykłęka - a zwłaszcza nie ktoś taki jak ty, ktoś, kto był kiedyś takim niegrzecznym chłopcem...

Popycha mnie z powrotem na wersalkę i sięga do mojego paska.

- Nie bój się. - Mruga do mnie. - Obiecuję, że cię nie ugryzę.

Jestem w tej chwili pewien jedynie tego, że to zdanie mogłoby być mniej przekonujące, tylko gdyby zostało wypowiedziane przez lwa.

Jessie nie miała zamiaru mnie ugryźć. Zamierzała zjeść mnie żywcem.

Patrzyłem na jej wypielęgnowaną skórę, wyćwiczone mięśnie, staranną fryzurę, wymanicurowane paznokcie, wydepilowane łono (tak zwaną „brazylijkę”), doskonale zaokrąglone, wyrzeźbione skalpelem piersi, i patrzyłem, jak jej lubieżny język trzepocze lekko między wygiętymi wargami.

Jej palce zaczęły rozpinąć mi pasek, wykazując tę samą zadziwiającą zręczność jak podczas naszego pierwszego spotkania, gdy zdjęła mi poplamioną krwią koszulę.

Czułem, że Phalius drga jak fretka w worku, rozpycha się w moich dżinsach, jakby chciał je rozerwać.

Jeszcze sekunda i seksualny Rubikon zostanie przekroczony. Nie będzie już odwrotu. Legiony moich nasion gotowały się do bitwy i było tylko kwestią czasu, kiedy wpłyną triumfalnie przez bramy Rzymu.

Jessie odpięła guzik moich dżinsów.

Usłyszałem własny jęk.

Myślałem już kiedyś o tym, o niej. Wyobrażałem sobie tę chwilę dziesiątki razy, aż tu nagle proszę - scena z moich

marzeń - tylko sekundy dzielą mnie od jej urzeczywistnienia. I chciałem tego. Pragnąłem jej. Chciałem to zrobić natychmiast.

Moje Siedmioletnie Ciągoty wrzeszczały wniebogłosy, domagając się zaspokojenia.

Który mężczyzna by się temu oparł?

Następna decyzja trwała tylko chwilę, ale od razu wiedziałem, że będzie miała wpływ na całe moje dalsze życie.

- Przestań. - Chwyciłem ją za przegub. Podniosła na mnie wzrok, zdumiona.

- Co? - zapytała, ale zaraz uśmiechnęła się figlarnie. -A, rozumiem... chcesz go dobrać sam, co? - Usiadła, z szerokim wyczekującym uśmiechem, obserwując moje kroczki. - No, dalej, olbrzymie. Zobaczmy, jaki oręż tam chowasz...

- Nie rozumiesz. - Odwróciłem się na bok. - Wcale nie chcę go dobywać.

Chciałbym wierzyć, że moja nieoczekiwana powściągliwość wynikała z nagłego przypomnienia sobie o lojalności. Ponieważ na przykład nagle zobaczyłem w wyobraźni Bena, czekającego na mnie w domu. Albo niespodziewanie moja obrączka zabłysła w wieczornym słońcu. Czy przez coś równie szlachetnego i honorowego.

Ale nie mogę.

Chciałbym także przyznać, że w ostatniej chwili odezwały się wyrzuty sumienia, które uruchomiły bezpiecznik mojego erotyzmu, odcinając dopływ hormonów i endorfin do mych lędźwi i wysyłając Phaliusa z powrotem w mrok, z którego się wyłonił.

Ale to też nieprawda.

Mimo wszystko chciałem uprawiać seks z Jessie. Nie tylko miałem ochotę ją przelecieć, ale także zbadać językiem jej migdałki. I pomacać to i owo. I odświeżyć moją znajomość „brazylijskiego”. Nie wspominając o wzięciu jej pod ścianą z lustrem. I rozłożonej na biurku. Oraz na balkonie, bezczelnie od tyłu.

Nie, przyczyną mojej nagłej powściągliwości nie był ani nadmiar skrupułów, ani brak pożądania.

Tylko trawka.

To, że byłem zamroczony. I miałem mętlik w głowie. I przerażała mnie myśl o podjęciu jakiegokolwiek decyzji, nie mówiąc już o emocjonalnej, albo takiej, która wymagała racjonalnego rozważenia za i przeciw czy wyboru między dobrem a złem.

Co się stało? Po prostu spanikowałem. Zdałem się na jedyną rzecz, która mi została: instynkt. A instynkt podpowiadał mi, żeby trzymać instrument w spodniach i zwiewać gdzie pieprz rośnie.

I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie to, że plany Jessie kompletnie różniły się od moich.

- A ty gdzie się wybierasz? - chciała wiedzieć.

- Wychodzę.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek. Do domu. Przepraszam. To nie twoja wina. Przeprosiłbym ją jeszcze tysiąc razy, gdyby to miało mi pomóc się stamtąd wydostać. Nagle poczułem się jak uwięziony w sennym koszmarze. „Wypuść mnie stąd!”, krzyczał jakiś głos we mnie.

Jednak im dalej wycofywałem się wzdłuż wersalki, tym dalej Jessie pełzła obok po podłodze. Aż zatrzymaliśmy się oko w oko nad moim rozpiętym paskiem, jak dwa kraby szczipione ze sobą nad kawałkiem mięsa.

- Za późno na wątpliwości, Jack - ostrzegła mnie.

- Posłuchaj. Powiedziałem przepraszam, a powinienem był powiedzieć to wcześniej, ale naprawdę muszę iść.

- Kiedy wcześniej? - zapytała Jessie z dziwnym uśmiechem. - Zanim weszłam tu naga?

Popatrzyłem na sufit, nagle żałując, że nie jest ubrana.

- Tak.

- A może zanim położyłeś się tu ze mną i opowiedziałeś mi o swoim życiu erotycznym?

Zerknąłem na drzwi.

- Też.

- A może zanim zdecydowałeś się naćpać ze mną na dole i zacząłeś ze mną flirtować?

Spojrzałem na okno.

- Tak, również przed tym.

- A więc przyznajesz, że flirtowałaś ze mną? Popatrzyłem na podłogę.

- Tak, ale...

- To dobrze, bo szkoda by było, gdybym źle cię zrozumiała, gdy mówiłaś, że jestem atrakcyjna. Albo błędnie odczytała twoje intencje, kiedy się do mnie przycisnąłeś, wchodząc po schodach...

Wreszcie na nią spojrzałem.

- Zaraz, zaraz. To przecież ty...

- Ale przede wszystkim, Jack - przerwała mi - naprawdę nie chciałabym błędnie zinterpretować tego wybrzuszenia w twoich dżinsach, gdy próbowałam rozpiąć ci rozporek...

Jej oczy lśniły, jak komuś, kto wie, że właśnie wygrał debatę. Jak komuś, kto wie, że za chwilę dopnie swego.

Ale myliła się. Bo tu nie chodziło o biegłość w przerzucaniu się argumentami. Czy o jakąkolwiek logikę. Wciąż chodziło o to, co mówił mi mój instynkt. A mówił mi: uciekaj.

Spróbowałem wstać. Ona popchnęła mnie z powrotem na wersalkę.

- Nigdzie nie idziesz - oświadczyła. - Skończymy, co zaczęliśmy, i jeszcze mi za to podziękujesz, bo wiem, że tego właśnie chcesz...

Mimo że siedziałem bez ruchu, serce zaczęło mi walić, jakbym gonił odjeżdżający autobus. A potem się zerwałem. Błyskawicznie. Przetoczyłem się po wersalce i rzuciłem się do drzwi.

- Wracaj! - wrzasnęła Jessie.

Nie ma mowy. Uciekałem, jakby od tego zależało moje życie.

Potknąłem się w drzwiach i stoczyłem ze schodów. Gdy wylądowałem na półpiętrze, wydałem okrzyk bólu i złapałem się za prawą kostkę, którą skręciłem sobie, spadając.

Jessie ukazała się na szczycie schodów - jak czarny charakter z krwawego horroru. Piorunowała mnie wzrokiem, gdy skręcałem się z bólu.

- Spójrz tylko na siebie. Jesteś żaloszny. I ty nazywasz siebie mężczyzną?

Z dumną pewnością gladiatora, zbliżającego się do rannego przeciwnika, żeby go dobić, zaczęła schodzić po schodach. Nagle przypomniałem sobie, jak załatwiła Rolanda. Ta kobieta była królową taekwondo. Pomyślałem, że zaraz przełamie mnie na pół.

- Jak śmiesz nie chcieć się ze mną pieprzyć? - Wzięła się pod boki.

- Zamroczyłaś mnie trawką - jęknąłem, próbując stanąć na prawej stopie i krzywiąc się z bólu. - To nie moja wina, a poza tym już cię przeprosiłem. Czego jeszcze chcesz?

Ale ona nie słuchała.

- I nie waż się mówić, że wolisz być ze swoją głupią zaniedbaną żonką, prowadzącą swoje głupie, byle jakie, zaściankowe życie... - Jessie patrzyła na mnie spode łba, z wyniosłością i pogardą modelki na wybiegu. - Bo nie uwierzę w ani jedno twoje słowo...

Jedynym plusem bólu w kostce było to, że nagle rozjaśniło mi się w głowie.

Uświadomiłem sobie, że Jessie zachowuje się całkiem jak Glen Close w *Fatalnym zauroczeniu*.

Wyrażała się też pogardliwie o mojej żonie.

- Nie mów tak o Amy.

- Pieprzyć Amy - warknęła - i pieprzyć ciebie. I wiesz co? - dodała drwiąco. - Jesteście siebie warci. Bo patrząc teraz na ciebie, kompletnie nie mam pojęcia, co mogłam w tobie zobaczyć. Nawet nie jesteś przystojny! Poza tym zaczynasz łysieć. A twój pot śmierdzi.

Ogarnął mnie gniew, który zniweczył resztki moich intencji, żeby wyjść z tej sytuacji z uprzejmością, godnością i spokojem. A więc chce walczyć na argumenty osobiste? Świetnie. Nie będę jej dłużny. Taekwondo czy nie, powiem, co mam do powiedzenia.

- Czyżby? - warknąłem, wstając z trudem, a potem wystrzeliłem z najbardziej wyrafinowaną obelgą, jaką mogłem

wymyślić naprędce. - A twoje włosy na cipce wyglądają jak przypalony paluszek rybny.

Twarz jej spurpurowiała. „Tak, skarbie”, pomyślałem sobie. „Witaj w moim świecie... Teraz widzisz, jak to jest zdrzeć z panem Jackiem...”.

Pokazała palcem w głąb korytarza i ryknęła:

- Wynoś się, kurwa, z mojego domu!

- Och, już mnie nie ma - odpowiedziałem, skacząc na jednej nodze tak szybko, jak tylko mogłem. -1 miałaś rację - odkrzyknąłem. - Faktycznie uważam, że twój program to chała.

Dogoniła mnie na półpiętrze.

- A tobie czuć z ust i masz zęby jak Austin Powers - syknęła. Odwróciłem się do niej.

- A ty powinnaś zwolnić swojego chirurga plastycznego, bo masz nierówne cycki.

- Pieprzony kłamca.

- Nie, do jasnej cholery. Sama popatrz. Lewa jest większa niż prawa i widać blizny.

To była kompletna bzdura, oczywiście, ale kurczę, trafiłem w dziesiątkę. Cyce-jak-donice wydały z siebie zwierzęcy ryk.

- Skurwiel - usłyszałem krzyk, biegnąc ku marmurowym schodom.

- Krowa.

Biegła za mną, lecz nagle się zatrzymała.

- Zwalniam cię, kurwa!

- Nie, kurwa, sam się, kurwa, zwalniam.

Gdy dysząc, piorunowaliśmy się nawzajem wzrokiem, przyszło mi do głowy, że nie brałem udziału w takim zajadłym obrzucaniu się wyzwiskami od czasu, kiedy Aaron Wilson w 1979 roku odgryzł głowę mojej figurce Dartha Vadera w piaskownicy, po czym triumfalnie oznajmił, że moje buty śmierdzą siuškami.

Ale w tej sytuacji było jeszcze coś przerażająco znajomego. Następne słowa Jessie uświadomiły mi co.

- Maminsynek z mikroskopijnym fiutkiem - wypaliła, mrużąc oczy.

Proszę bardzo, oto dokładnie te same słowa, których użyła wobec Rolanda tamtego feralnego dnia, gdy się poznaliśmy.

Słowa, które miały kastrować. Rzucić faceta na kolana.

I wtedy mnie olśniło. Tu nie chodziło o mnie. Tu chodziło o nią. Nieważne kto tam stał, to mógł być ktokolwiek inny. To było jej modus operandi. Właśnie tak postępowała.

Jessie Kay manipulowała mężczyznami.

Była lalkarką, a ja tylko nową kukiełką w jej rękach.

Teraz, ponieważ odmówiłem zrobienia tego, czego chciała, wyrzucała mnie ze swojego łóżeczka.

Wynikało z tego, że Roland nie jest już moim śmiertelnym wrogiem, ale towarzyszem broni.

Pośpiesznie rozważyłem kilka obraźliwych zwrotów, których użył on pod jej adresem („psychotyczna zdzira" wydała mi się szczególnie trafna na początek).

Ale się zamknąłem.

Przecież tak naprawdę to nie miało znaczenia. Nie byłem Rolandem. Byłem Jackiem Rossiterem. Jessie nie była moją dziewczyną. Była moją szefową. I mimo że się do niej zbliżyłem - za bardzo - tak naprawdę nic się nie stało. Czyli nie musiałem się z nią teraz zadawać czy tolerować dłużej jej obelg.

Innymi słowy, nie było nic, co mogłoby mnie zatrzymać: mogłem się odwrócić i pokuśtykać do wyjścia. I to właśnie uczyniłem.

Zamilkłem i ogłuchłem na serię inwektyw wyrzucanych z jej ust jak z karabinu maszynowego, które ścigały mnie przez korytarz, po wyjściu na zewnątrz i jeszcze na podjeździe.

Zatrzymałem się dopiero przy Rzęchu, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy.

Dopiero wtedy znieruchomiałem i zmarszczyłem czoło, ponieważ gdzieś w głowie zaczęła mi migać czerwona lampka.

Spojrzałem w dół. I wtedy zobaczyłem, że nie mam nic na nogach. Ani butów, ani skarpetek. Styl Chrystusowy.

Zostawiłem u niej klapki.

Stałem się Człowiekiem Bez Butów.

Popatrzyłem na frontowe drzwi domu Jessie, które, co widziałem nawet stąd, wciąż były uchylone. Postąpiłem w ich kierunku. Potem się zatrzymałem.

Byłem o krok od popełnienia tego samego sztubackiego błędu co Roland. Chciałem wrócić do środka po tym, jak już stamtąd wyszedłem.

A jeśli mój krótki związek z Jessie Kay czegokolwiek mnie nauczył, były to dwie mądrości:

Są w życiu rzeczy, po które nie warto wracać.

Są w życiu sprawy, które warto zostawić za sobą raz na zawsze.

Odjeżdżając, przypomniałem sobie jeszcze raz, co lubił powtarzać mój znajomy, agent obrotu nieruchomości: że jeśli Notting Hill naprawdę ma bijące serce, to St Thomas's Gardens można nazwać jego rozrusznikiem.

No cóż, teraz zdałem sobie sprawę, że podczas mojego pobytu tutaj ja byłem tylko skrzepem.

Skończyło się pocałunkiem

Patrzę z rozpaczą na Amy nad stolikiem w Milady.

Serce wali mi od adrenaliny. W piersi czuję wciąż ucisk, jakby mi brakowało powietrza. Te wszystkie brudne sprawy, o których opowiedziałem Amy... które chcę zostawić za sobą... czuję się, jakbym próbował ścigać się w morzu z rekinem, a Amy jest moją jedyną nadzieją. Jeśli ona mi teraz nie pomoże, jeśli mi nie wybaczy, to koniec. Już po mnie. Moje życie nic nie jest warte.

- To znaczy, że właściwie nic nie zrobiłeś? - pyta. Wpatruje się we mnie ze łzami w oczach. Popijam swojego drinka.

- Nie w tym rzecz. Chciałem i omal tego nie zrobiłem. A kiedyś ci przyrzekłem, że nigdy do tego nie dopuszczę. Nigdy więcej. Od tamtej historii z Sally McCullen. Nie rozumiesz? Myślałem, że mam Phaliusa pod kontrolą, ale się myliłem. I...

- Kim, u diabła, jest Phalius? - przerywa mi. Krzywię się, trochę pijany, trochę zmieszany, zdumiony, że naprawdę powiedziałem to imię na głos.

- Nikt.

- Kto?

- Nieważne.

Ale po minie Amy poznaję, że ważne.

- Mój fiut - wyznaję.

- Twój fiut.

- Tak.

- Twój fiut ma imię?

- Nie. To znaczy, nie konkretnie, ale tak, chyba... Amy gapi się na mnie zdumiona.

- Po siedmiu latach małżeństwa mówisz mi coś takiego? Co ty sobie wyobrażasz, że kim ty jesteś, Jack? Pieprzonym D.H. Lawrence'em?

Pieprzonym D.H. Lawrence'em? Domyślam się, że nie chodzi jej o gwiazdę porno, ale o słynnego pisarza i poetę, autora *Kochanka lady Chatterley*, gdzie dwoje głównych bohaterów nadawało przezwiska swoim genitaliom.

- Nie, jasne że nie - mówię.

- Ale serio nazywasz go Phaliusem?

- Właściwie to nie. Nie na głos. To by był absurd. I lekka schizofrenia. Ale tak czasem o nim myślę.

Amy warczy.

- Nieważne. Słuchaj, nie chcę rozmawiać o Peniusie...

- Phaliusie.

- Możesz przestać o nim mówić na chwilę?

- Oczywiście.

- I pomyśleć o faktach. Czyli o tym, że wplątałeś się w niedobłą sytuację z Jessie, ale prawdopodobnie tylko dlatego, że byłeś naćpany, i jednak udało ci się z tego wyplątać. Mimo wszystko zdałeś się na instynkt. Mimo wszystko wróciłeś do mnie.

Patrzy na mnie z taką mieszanką determinacji, niepokoju i udręki, którą można ujrzyć na twarzy studenta weterynarii, po raz pierwszy w życiu wpychającego rękę do krowiego tyłka.

Gapię się na nią, osłupiały. Dlaczego jest dla mnie taka miła? Na jej miejscu, gdyby role były odwrócone, dostałbym szału...

- To znaczy, że jest w porządku? To znaczy, że ci to nie przeszkadza?

- Cóż, nie szaleję z radości, że przyjmujesz zaproszenia do sypialni obcych kobiet, ale nie mam ci co wybaczać. Dostałeś nauczkę, Jack, a każdemu od czasu do czasu zdarza się popełnić błąd. Każdemu.

„Każdemu oprócz ciebie”, myślę.

Nie zasługuję na nią. Naprawdę nie zasługuję.

Czuję, jak serce mi podskakuje. Chwytam ją za rękę.

- Boże, tak bardzo cię kocham.

Radość i ulga przebiegają przeze mnie jak kochankowie przez pole letniej koniczyny. Czuję się, jakbym siedział tu nagi. Powiedziałem to. Stało się. Nie mam już nic do ukrycia. Amy miała rację, uświadamiam sobie, patrząc z wdzięcznością jej w oczy. Zawsze ma rację. Prawda faktycznie uzdrawia. Rzeczywiście naprawia, nie niszczy.

Przełykam ślinę, w oczach mam łzy. Teraz gdy już ją odzyskałem, nie chcę ryzykować, że znów ją stracę.

- Już nigdy nie chcę być tak blisko zniszczenia naszego związku. Dlatego wszystko musi się zmienić. Musimy bardziej się o siebie troszczyć. Niezależnie od tego, co się stanie. Niezależnie od tego, ile to będzie od nas wymagało wysiłku. Musimy znowu uczynić nasze życie wspaniałym. I przysięgam, jeśli kiedykolwiek będzie mnie kusilo, żeby znowu zrobić coś głupiego, powiem ci o tym natychmiast. - Ściskam jej dłonie. - Chcę być dobrym mężem, Amy, i dobrym ojcem. Nie chcę skończyć jak mój stary. Nie chcę, żeby Ben mnie kiedyś znienawidził. Chcę spędzić resztę życia z tobą. Chcę cię uszczęśliwić i dać ci wszystko, na co zasługujesz.

Mówię to, żeby się dobrze poczuła, ale ona zaczyna płakać. Ogarnia mnie panika.

- Co jest? - Nie patrzy na mnie. - Przecież powiedziałaś, że jest w porządku... powiedziałaś, że...

- Ja... - próbuje się odezwać, ale głos ma zbyt zdławiony, żeby wydobyć słowa.

- Przepraszam - mówię. Nienawidzę siebie za to, że tak ją skrzywdziłem. - Tak mi przykro. Proszę, Amy, nie płacz...

Chowa twarz w dłoniach i zaczyna się trząść.

- Kocham cię, Amy. Kocham cię i wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci. Przysięgam, że będę...

- Przestań. - Podnosi na mnie wzrok. Oczy ma zaczerwienione i podpuchnięte. - Nic nie rozumiesz. To nie ty wszystko spieprzyłeś, tylko ja. - Po policzku płyną jej łzy. - Nie rozumiesz, Jack? Ja! - Wygląda, jakby jej było niedobrze. - To ja wszystko zniszczyłam.

Mam wrażenie, że z pomieszczenia odessano całe powietrze.

- O czym ty mówisz?

To, co ma do powiedzenia, mówi szybko. Słowa zderzają się ze sobą jak monety wypadające z otworu automatu do gry. Mówi coś o randce przez Internet. O facecie imieniem Tom, który pracuje w wydawnictwie. Trafalgar Square nocą. Pocałunek. A potem kolejny dzień. Kolejne spotkanie. Próbowwała skończyć tę znajomość. Ale tego nie zrobiła.

Czuję, że się duszę.

Przysięgi i zapewnienia spływają po mnie jak po kaczce. Bzdury, których nie chcę słuchać. Amy zrobiła to, czego ja nie zrobiłem. Całowała się z kimś innym. Nie obchodzi mnie reszta.

Gdy wstaję, potykam się i ślaniem jak człowiek na pokładzie tonącego okrętu.

Patrzę na nią, a ona wciąż mówi i płacze. Nic nie słyszę i nic nie czuję.

Nawet nie wiem, kim ona jest.

Odwracam się do niej plecami.

Idę w kierunku drzwi.

Nie mam ochoty się odwrócić, żeby sprawdzić, czy idzie za mną, bo nie chcę już na nią patrzeć.

Proszę zawrócić

Wychodzę na zewnątrz i zaczynam biec.

Puszczam się sprintem wzdłuż zatłoczonych kawiarni i barów. Zewsząd dobiega muzyka. Ludzie śmieją się i piją przy stolikach na chodniku. Koszykarze biegają po oświetlonym boisku. Ulicą przejeżdżają samochody. Grzmi sprzęt nagłaśniający. Walę stopami w chodnik, mało nie pękna mi płuca.

Opadam ciężko w drzwiach taniej restauracji. Wtedy dostrzegam światła taksówki, wyciągam rękę, zatrzymuje się, a ja wsiamam.

- Dokąd jedziemy? - pyta meksykański kierowca. Widzę tylko pasek jego twarzy w lusterku wstecznym, jakby patrzył na mnie z wnętrza skrzynki na listy.

- Nie wiem - rzucam. - Przed siebie.

- Co? Jak w jakimś filmie? - dowcipkuje.

- Tak. Właśnie tak. Wzrusza ramionami.

- Nie ma sprawy. Klient nasz pan.

Włącza licznik i ruszamy. Kulę się na swoim siedzeniu.

Jestem ogłuszony, jakby mnie ktoś uderzył w głowę młotem kowalskim.

Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła. Próbuję sobie wszystko poukładać w głowie, ale to nie ma sensu.

Jak to się mogło stać? Jak mogła mi tak zamydlić oczy? Przez cały czas myślałem, że ja stanowię zagrożenie dla naszej rodziny, a to była ona.

Myślę o Benie.

Myślę o Amy.

Myślę o sobie.

Ale nie potrafię myśleć o nas razem. Już nie.

Patrzę przez moje niewyraźne odbicie w szybie taksówki na neony nowojorskich sklepów. Na nieznanym ludzi dookoła. Na obcość tego wszystkiego.

Gdy wjeżdżamy na Times Square, myślę o Johnie Voigcie w *Nocnym kowboju*, o tym, jak się czuł, gdy po raz pierwszy

przyjechał do miasta. Tak ja się czuję w tej chwili. Tylko, rzecz jasna, nie jestem gejem i nie mam na głowie stetsona. Ale tak samo jak on jestem zagubiony w miejscu, którego nie rozumiem. Tak jak on się pogubiłem.

Taksówka mija stację metra. Przypomina mi się kwestionariusz badający zadowolenie klientów, który wypełniałem w pociągu na lotnisko Heathrow.

Na początku, tam, gdzie proszą o podanie przedziału wiekowego, zauważyłem, że oto znalazłem się w wyższym niż do tej pory, już nie w 25-34, tylko 35-50.

Cóż, może to jest właśnie to: koniec pewnego etapu w moim życiu i początek nowego.

Wycieram pot z czoła wierzchem dłoni i mój wzrok pada na obrączkę. W mroku taksówki wygląda jak rowek wycięty w moim ciele, aż do kości.

Jest mi niedobrze, ledwo się powstrzymuję przed puszczeniem pawia.

Nie mogę uciec od faktów, a fakty są jednoznaczne. Ona jest nie w porządku, ja tak. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

Nie zostało nam nic.

Jak na żonatego faceta, prawie bez pieniędzy, bez bagażu i z darmowym biletem powrotnym do domu, przed hotelem, w którym powinien spędzić noc ze swoją żoną, robię dość dziwną rzecz.

Ale dla mnie, po tym, co się stało, to jedyne, co mogę zrobić. Sprawdzam kieszeń marynarki, czy mam portfel i paszport. A potem zwracam się do taksjarza:

- Proszę zawrócić.

- Jedziemy z powrotem do SoHo? - pyta.

- Nie. Proszę mnie zabrać na lotnisko. Na JFK. Jak się da najszybciej. Ponieważ wracam do domu.

A w każdym razie do Londynu.

Bo nie wiem już nawet, co znaczy słowo „dom”.

Everest wyższości moralnej...

Jest wtorek, siedzę w kuchni mojej matki i padam ze zmęczenia. Właściwie nie wiem, jak mi się udało tu dotrzeć, ale przynajmniej ostatnia doba udowodniła mi, że jestem silniejsza, niż sądziłam.

Przyjechałam tu prosto z lotniska, pociągiem i taksówką. Nie spałam - nie licząc niespokojnej drzemki w samolocie - od kiedy Jack zostawił mnie w Milady w niedzielę wieczorem. Mam wrażenie, że to się wydarzyło w innym świecie.

Początkowo, gdy Jack wybiegł z knajpy, myślałam, że wybrał się na popijawę w nowojorskich pubach. Więc wróciłam do hotelu, żeby na niego zaczekać. Usiadłam na łóżku, wpatrzona w drzwi jak sparaliżowana. „Może mnie nienawidzić za to, co zrobiłam”, powtarzałam sobie, „ale nie może mnie nienawidzić wiecznie. A jeśli?”.

Rano, gdy Jack się nie zjawił, moja obawa o nasze małżeństwo zmieniła się w coś całkiem innego. W porze lunchu doszłam do przekonania, że go napadli i nie miał jak wrócić do hotelu. Po południu, że został brutalnie zamordowany w Bronksie. Dlatego zawiadomiłam personel hotelowy, który zwrócił się do policji.

Dopiero kiedy miałam anulować mój lot w poniedziałek wieczorem, a funkcjonariusz nazwiskiem Delancey zabierał się do zakładania kartoteki osoby zaginionej, zadzwonił Matt i powiedział, że Jack jest już w Anglii i nic mu nie jest.

I wtedy się wściekłam.

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Jack może zrobić coś takiego. Że może być tak głupi i samolubny. Że przez niego przejdę piekło.

Pomijając już oczywiste zakłopotanie, że musiałam wyjaśnić sytuację zdenerwowanym pracownikom hotelu i przeproszać, że zajmowałam czas policji, wciąż jestem wściekła, że Jack nie dał mi szansy, aby cokolwiek wytłumaczyć. Po tym, jak okazałam wyrozumiałość w sprawie Jessie, mógł przynajmniej mnie wysłuchać.

Może i byłam głupia, nawet naiwna, że wdałam się w aferę z Tomem, ale to, że Jack zostawił mnie w Nowym Jorku, jest gorsze. O wiele, wiele gorsze.

Jak mógł tak postąpić?

Jak mógł tak zepsuć naszą wycieczkę?

Chyba jestem jedyną osobą na świecie, której udało się wygrać podróż do amerykańskiej mekki zakupów i niczego nie kupić. Wróciłam do domu nawet z drobniakami.

A więc w głowie mi się nie mieści, że Jack uzurpuje sobie wyższą moralnie pozycję - a jeśli chodzi o wysokość, mówimy tu o Evereście - gdy nawet nie ma prawa dotrzeć do bazy.

Miarka się przebrała, gdy moje wytęsknione spotkanie z Benem okazało się kompletną katastrofą.

- Ciego tata nie ma? - zapytał mnie na powitanie. Próbowałam wziąć go na ręce, ale uderzył mnie.

- Chcę tata!

- Taty tu nie ma, kochanie - powiedziałam, chwytając go za przegub, żeby uniemożliwić kolejny cios. - Dasz buzi mamie?

- Nie!

Zostałam w kuckach na podłodze, z wyciągniętymi ramionami, a on tupiąc, wyszedł do ogrodu. Wtedy się rozplakałam.

Mama natychmiast zaczęła działać. Dlatego teraz siedzę przy jej kuchennym stole z filiżanką herbaty i pudełkiem chusteczek na plastikowym kwiecistym obrusie.

- Przyjdzie - pociesza, stawiając czajnik. - Pewnie tylko próbuje ukarać cię, że zostawiłaś go na tak długo. Ciesz się,

że cię nie ugryzł. Wiesz, niektóre dzieci robią to rodzicom, gdy się je zostawia.

Doprawdy, czy można kogoś jeszcze bardziej zdołować? Wyczuwam w jej głosie lekką nutę satysfakcji, że Ben mnie odrzucił.

- Pewnie jesteś zmęczona podróżą. A może się położysz, kochanie? - proponuje. - Mogę ci pościelić łóżko i...

- Nie, mamó. Dziękuję, ale muszę wracać do domu. Obserwuję Bena w ogrodzie na tyłach domu, na nowej

zjeżdżalni, którą mi kupiła, obok wielkiej piaskownicy. Najwyraźniej fantastycznie się tu bawił. Najwidoczniej wcale za mną nie tęsknił.

Czy naprawdę jestem aż tak zbyteczna?

Widocznie tak. Mężczyźni z moim życiu wydają się tak uważać. Opuszczają mnie całymi tabunami.

- Daj mu parę dni - radzi mama. - Pod koniec tygodnia ci wybaczy.

- Co? - pytam, znów skupiając na niej uwagę. - Nie martw się, mamó. Nie przejmuję się tak naprawdę Benem. Po prostu... nic. Miałam parę stresujących dni, to wszystko.

- Dobrze się bawiłaś?

- I tak, i nie.

Zapada cisza. Upijam łyk herbaty. Nie chcę o tym mówić. Postanawiam jej w to nie mieszać. Już raz skłamałam, mówiąc, że przyjechałam sama, bo Jack musiał wracać prosto do pracy, ale czuję, że moja determinacja słabnie. Potrzeba, żeby ktoś był po mojej stronie, żeby ktoś mi współczuł, wydaje się przemożna.

- No... chcesz mi opowiedzieć, co się stało? - pyta łagodnie.

Wycieram nos. Zmęczenie czyni mnie słabą i bezbronną wobec przenikliwego wzroku mojej mamy.

- Jack i ja głupio się pokłóciliśmy w Nowym Jorku, i tyle. Jack... zostawił mnie i wrócił do Anglii... - i opisuję jej mój piekielny dzień wczorajszy.

Zakrywa dłonią usta.

- Naprawdę coś takiego zrobił? Jack? Coś tak podłego, tchórzliwego, niekulturalnego...

- Mamo, proszę...

- Ale... ale... ale... coś ci się przecież mogło stać! Czy jego to nic nie obchodzi?

- W porządku. Jestem dorosła. Nic się nie stało - kłamię. Reakcja mojej mamy sprawia, że zachowanie Jacka wydaje mi się jeszcze gorsze. Jeszcze bardziej niewybaczalne.

Mimo wszystko czuję, że powinnam się wycofać. Skarżąc się na niego, przekroczyłam jakąś granicę, zaparłam się drużyny „Jack i Amy” i opowiedziałam się na nowo przy mojej matce, a na to jestem za stara. W dodatku, najwyraźniej popsułam i tak nienajlepsze stosunki Jacka z teściową. Nigdy mu tego nie wybaczy. Widzę to w jej twarzy.

- Nie chcę, żebyś się martwiła, mamo. To nic. Jack tylko chce... potrzebował po prostu trochę побыć sam.

Ale prawda jest taka, że nie wiem, czego chce czy potrzebuje Jack. Na pewno nie kontaktu ze mną ani ze swoim synkiem. Podobno uciekł do Matta i wyrzucił komórkę. Jack jest w Anglii od dwudziestu czterech godzin i nie raczył nawet przyjść po Bena.

- Jest jakaś inna kobieta, tak? - pyta mama.

- Mamo! To nie tak...

- Bo twój ojciec był taki sam. Wciąż się oglądał za spódniczkami. Wiem, jak to jest...

- Jack nie...

- Ale zostawić cię! Jak mógł? Jesteś matką jego dziecka!

Kładzie rękę na piersi i patrzy ze współczuciem na Bena. Przewracam oczami. Tak się kończy, gdy latami ogląda się telenowełe.

- To nie Jack, tylko ja - hamuję ją. - Opowiedziałam mu o czymś, co zaszło między mną i innym mężczyzną, a on... no cóż, nie zareagował zbyt dobrze.

Mama przygląda mi się, próbując zrozumieć, co właśnie powiedziałam. Przechyla się przez stół i kładzie dłoń na mojej.

- On cię bije?

- Kto?!

- Jack. Mnie możesz powiedzieć. Przemoc domowa jest bardzo powszechna, wiesz, kochanie. Nie byłabyś pierwszą kobietą, która szuka pocieszenia w ramionach innego mężczyzny. Angela Dixon z naszej ulicy... jej córka...

Pocieram twarz i wzdycham.

- Mamo, proszę, tylko pogarszasz sprawę. To nic z tych rzeczy.

Wypija łyk herbaty i patrzy na mnie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak się ostatnio postarzała. Czy ja też wkrótce będę tak wyglądać? Czy kurze łapki lada dzień zadomowią się na mojej twarzy? Czy czoło zmarszczy mi się od ciągłej nieufności w stosunku do płci przeciwnej? Czy w tym kierunku zmierzam?

- A ty i ten mężczyzna... czy to trwa od dawna? - chce wiedzieć mama. Mówi w ten swój charakterystyczny sposób, pozornie obojętnie. Pamiętam, jak przy tym samym stole pytała mnie, od kiedy uprawiam seks z moim pierwszym chłopakiem. Doświadczenie nauczyło mnie, że najlepiej jest nie odpowiadać.

- Nie. Posłuchaj. Nic nie zaszło. Nie powinnam ci była nic mówić. Proszę, nie martw się o nas. Jack i ja mieliśmy ostatnio kilka ciężkich miesięcy, to wszystko, i...

- Nic dziwnego, że jest wam ciężko. Mieszkacie w tej obskurnej norze. W Londynie. Byłoby o wiele lepiej, gdybyście przenieśli się bliżej mnie. Moglibyście mieć wtedy dom z prawdziwego zdarzenia. Ben wprost rozkwita na tym świeżym powietrzu, w dużym ogrodzie.

- Mówiłam ci już, nie stać nas na przeprowadzkę...

- Ale gdybyście mieszkali bliżej, mogłabyś pójść do pracy na pół etatu, a ja bym się zajmowała Benem.

Najwyraźniej wszystko już sobie obmyśliła. Nie mogę uwierzyć - przeżywam właśnie największy kryzys małżeński w moim życiu, a mimo to wszystko kręci się wokół niej.

- W tej okolicy nie mogłabym dostać takiej pracy, na jakiej mi zależy - odrzucam jej przerażającą propozycję. - Słuchaj,

mamo, to nie problem. Lubię się zajmować Benem. Zdaje się, że t y tego chciałaś?

- Tak, ale nie mogę patrzeć, jak sobie wszystkiego odmawiacie. Gdyby twój mąż dostał jakąś porządną pracę, zamiast obijać się w tym ogrodnictwie za marne grosze...

- Nie obija się, i to nie są marne grosze. - Czuję rosnącą złość. Myślałam, że jest zadowolona, że Jack pracuje dla Greensleeves. - Jack zrezygnował z malowania, żeby móc utrzymać mnie i Bena. Nie można sobie wyobrazić większego poświęcenia. - Wstaję. - I wolałabym, żebyś nie wykorzystywała sytuacji, żeby krytykować nasze małżeństwo, bo jeśli chcesz wiedzieć, mamo, jest ono bardzo dobre.

- Nie takie odnoszę wrażenie. Nie chcesz może tego słuchać, Amy, ale do tanga trzeba dwojga. Może i pobłądziłaś, ale dlaczego? Powinnaś zadać sobie to pytanie. Ponieważ twój tak zwany wspañiały mąż nie poświęcał ci dość uwagi, ot, co.

- Daj spokój z tymi insynuacjami.

- A jego pojmowanie obowiązków rodzicielskich? No! Nie można jej powstrzymać. Już się nakręciła.

- Przestań! Jack jest cudownym ojcem. Ben go uwielbia - krzyczę.

- To gdzie on jest? Gdzie jest, gdy go potrzebujesz? Broda mi się trzęsie i łzy płyną mi po twarzy. Szach i mat.

Nienawidzę jej.

Stawić czoło wrogowi

Mama najwyraźniej nie stosowała się do żadnych moich instrukcji, kiedy mnie nie było. Rozkład dnia Bena diabli wzięli. Gdy docieramy do domu, mój synek smacznie śpi, mimo że zbliża się pora podwieczorku.

„Jack musi już być w domu”, myślę, „mimo że dzwoniłam na nasz telefon stacjonarny pięć razy i usłyszałam tylko jego głos na sekretarce”.

Zaklinam go w myślach, żeby tam był. Zaklinam go, żeby się opamiętał i wrócił od Matta. Otwieram drzwi, szamocząc się z walizką i z Benem, ciężkim od snu na moim ramieniu. Nie dźwigałam takich ciężarów od lat i mięśnie wrzeszczą mi z bólu.

Trzask drzwi za moimi plecami momentalnie przywraca mi mój świat, oddalając w niebyt Nowy Jork. Cała ta przygoda odpływa w dal, dryfując jak kawałki kory na falach.

- Jack! - wołam. - Jack!

Jestem wykończona. Padam na kolana.

Potrzebuję go.

Musiał się już przecież do tej pory uspokoić. Musiał sobie uzmysłować, jak okropnie się czuję. Jeśli nawet nie, to przecież na pewno rozpaczliwie tęskni za Benem.

Nadstawiam uszu, pragnąc, żeby zawołał mnie po imieniu, żeby ta nowojorska histeria, te nieporozumienia także odpłynęły, żeby wróciła normalność i rozsądek.

Mieszkanie jest puste.

Kładę Bena do łóżeczka w naszym pokoju. Porusza się, ale nie budzi. Pochylam się nad nim i gładzę go po policzku. Cieszę się, że jest w domu. Cieszę się, że jest znów ze mną, tu, gdzie jego miejsce.

Rozglądam się po sypialni. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda normalnie, ale nagle dostrzegam, że zniknął budzik Jacka oraz moje ulubione zdjęcie Bena w ramce. Otwieram szafę i wydaję okrzyk. Jack zabrał swoje ubrania. Został tylko garnitur, w którym brał ślub.

Chwytam jego rękaw i przytulam do twarzy.

Przełykam ślinę. W gardle czuję suchość i drapanie.

A więc taka jest rzeczywistość. Wcale nie wróciłam do normalności. Jacka nie ma.

Gorączkowo przeszukuję resztę mieszkania. Nie ma żadnej kartki, żadnego znaku od niego. Na sekretarce mam wiadomość od Kate, która mówi, że wyjechała, ale słyszała, co się stało, wróci jutro i ze mną pogada. Jakbym potrzebowała jej rady.

Przerzucam stos listów na stoliku w korytarzu i wśród reklam pizzerii znajduję kopertę zaadresowaną do mnie. Rozrywam ją.

W środku jest zdjęcie z autografem.

Zdjęcie, o które prosiłam w Radio CapitalChat.

Zdjęcie Jessie Kay.

Stoję, gapiąc się na nią przez całą wieczność, i robi mi się niedobrze. Jessie uśmiecha się, a jej uwodzicielski wzrok emanuje sprytem i inteligencją. Ma idealny makijaż, idealne zęby, lśniące włosy i głęboki dekolt ukazujący idealny biust. To tyle, jeśli chodzi o „przyciężką i przeterminowaną”. Jest niezaprzeczalnie cudowna. Kobieta, przy której ślinią się wszyscy faceci niezależnie od wieku.

Podnoszę wzrok i widzę swoje odbicie w lustrze. Uderzający kontrast. Jestem wymięta i blada. W kącikach przekrwionych oczu zebrały mi się grudki tuszu, a same oczy podkreślone są grubymi limami jak u fana gotyckiego rocka. Włosy mam tłuste, spięte z tyłu, na białej podkoszulce widnieje plama z ketchupu. Wciągając powietrze, uświadamiam sobie, że ten niemiły zapach w mieszkaniu to ja.

Czy to możliwe, że zachowuje się tak, bo żałuje? Czy wkurza go, że do niczego nie doszło? Że miał szansę dmuchnąć takie cudo jak Jessie i tego nie zrobił? A teraz czuje się głupio i pluje sobie w brodę, bo wie, że podczas gdy on nie całował jej, ja całowałam kogoś innego.

Może dlatego go tu teraz nie ma. Może pragnie zemsty. Może poszedł zaszaleć i znaleźć sobie kogoś do zdrady, tak jak jego żona, kłamliwa oszustka.

Może nawet wrócił do Jessie. Może jest u niej właśnie w tej chwili.

Czuję się zbyt okropnie, żeby cokolwiek jeść, nie mam ochoty na nic z tego, co widzę w lodówce. Otwieram butelkę wina i nalewam sobie duży kieliszek.

Siedzę przy stole kuchennym, czując kompletną bezradność. Bez Jacka to nie jest dom, tylko jakaś ciasna klatka.

Wzdycham i opieram głowę na stole.

To jest nie do zniesienia.

Wstaję i biorę znów zdjęcie Jessie Kay. Potem jednym z pisaków Bena domalowuję jej wąsy. Wreszcie drę zdjęcie na małe kawałeczki i wyrzucam do kosza.

Nie jestem pewna, czemu jej tak nienawidzę. Nie jestem pewna, co gorsze: to, że próbowała uwieść Jacka, czy że jej się nie udało. Ponieważ to, że jej się nie udało, a udało się Tomowi, oznacza, że Jack jest silniejszy niż ja - a z tym nie sposób żyć, bo on nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć.

Włączam mój laptop i wchodzę online. Tak jak przypuszczałam, mam w skrzynce e-mail od Toma.

„Amy z Zachodniego Londynu - wróciłaś już? Miałaś okazję przemyśleć sprawę? Bardzo chciałbym się znowu z tobą zobaczyć...”.

Ogarnia mnie fala wstrętu i irytacji. On jest jak nadgorliwy szczeniak. I H. ma rację. W ogóle mnie nie zna. Jak śmie sądzić, że mu tak po prostu ulegnę. Gdyby nie Tom, nie zrobiłby się taki bajzel.

„Nie ma tu czego przemyśliwać”, odpisuję. „Przepraszam, jeśli ci namąciłam w głowie i wysyłałam błędne sygnały, ale ja nie jestem dziewczyną dla ciebie”.

Wpatruję się w moją wiadomość. Potem usuwam słowo „dziewczyną” i zastępuję je „kobietą”. A później, żeby mieć pewność, że nie zostawiam sobie żadnego pola manewru, dodaję: „Nie kontaktuj się ze mną już nigdy więcej”.

Klikam „Wyślij”, a potem usuwam jego dane z mojej listy adresowej. Tak po prostu Tom znika w cyberprzestrzeni.

Stanowiska bojowe

Kilka godzin później H. chodzi po mojej kuchni tam i z powrotem. Wylałam przed nią wszystkie żale i opowiedziałam, co się wydarzyło.

- A nie ostrzegałam cię? - pyta, wyraźnie rozdrażniona.

- Nie sądziłam, że on do tego stopnia przestanie panować nad sobą. Myślałam...

Przerywam, nagle zgaszona. Co myślałam? Czy w ogóle myślałam? Wtedy z pewnością nie myślałam o konsekwencjach. Pragnęłam tylko wyznaczyć prawdę. Czułam się tak okropnie po „spowiedzi” Jacka, że nie mogłam się powstrzymać. Ale wygląda na to, że H. miała rację. Jedyne, co mi się udało osiągnąć, to wielki chaos.

- Amy, ty głupia, głupia idiotko.

Wzdycha i kręci głową, potem patrzy na mnie i twarz jej łagodnieje ze współczuciem, bo z moich oczu płynie coraz więcej łez.

- Musisz mi pomóc go odzyskać, H. Mnie nie chce słuchać, ale może posłucha ciebie.

- Gdzie on jest?

- Wprowadził się z powrotem do Matta. Musi jednak przecież wiedzieć, że jestem w domu. Znał dzień i godzinę mojego przylotu. Pomyślałam, że jeśli tam pójdziemy...

Patrzę na nią, spodziewając się, że odmówi. Wiem, jaki ma stosunek do Matta. Od kiedy ich burzliwy związek się skończył, nie robią nic innego, tylko obsmarowują się nawzajem. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, ona kiwa głową.

- Chodźmy.

Jest niesamowita. Gdy zajdzie potrzeba, pomoże kobieta. Z nią u mego boku czuję się silniejsza.

Chowając dumę do kieszeni, dzwonię do Camilli i proszę, żeby wypożyczyła mi Yitkę. Camilla dokłada starań, by dać mi wyraźnie do zrozumienia, o jak wielką przysługę ją proszę, i nie mam wyboru, muszę się jej trochę podlizać. Dziesięć minut później Yitka pojawia się w drzwiach, żeby zająć się Benem, a ja wychodzę z H.

Dziwnie jest znaleźć się znowu w samochodzie przed pubem przerobionym na mieszkanie, gdzie mieszka Matt. Czuję się, jakbyśmy były nastolatkami i śledziły chłopaka któregoś z nas.

- Jesteś gotowa? - pyta H.

Kiwam głową i wysiadam z samochodu.

Pukamy i pukamy, ale Matta nie ma w domu, a jeśli jest tam Jack, to nie odpowiada.

- Co teraz? - pytam.

- Zadzwoń do Matta - decyduje H. Jestem zaskoczona, że wciąż ma jego numer w komórce.

Widzę w środku światło.

- Jack - wołam. - Jack, to ja. Otwórz. Muszę z tobą porozmawiać. - Kłękam i zaglądam przez otwór w skrzynce na listy.

- Wiem, że on tam jest, po prostu wiem - zwracam się do H.

- Matt zaraz tu będzie - odpowiada. Rozmawiała z nim. - Wtedy się wszystko wyjaśni.

Siadamy z H. na progu i patrzymy na przejeżdżające samochody. Tu zawsze było tak cicho, ale od czasu, gdy podniósł się status tej dzielnicy, ruch jest o wiele większy.

- Czy kiedykolwiek myślisz o Matcie?

- Czasem.

- Nie żałujesz?

- Nie, oboje się staraliśmy, ale nie trafiliśmy na właściwy czas. Ja chciałam czegoś więcej, a on zatrzymał się na etapie randek w pubie.

- Denerwujesz się, że się z nim spotkasz?

- Nie. Tylko wkurza mnie, że nie mam na palcu wielkiego odpieprzonego pierścionka zaręczynowego, który mogłabym mu wepchnąć do gardła.

Właśnie wtedy przed budynkiem zatrzymuje się Matt w swoim bmw. Spoglądam na H., która nie wygląda jak ktoś, kto spełniłby swoją groźbę, raczej jak zdenerwowana uczennica. Obie wstajemy.

Matt wygląda wystrzałow, jak zwykle, w modnym garniturze od Paula Smitha, na czubku głowy ma okulary przeciwsłoneczne. Podbiega do nas z uśmiechem.

- O rany, H. Wyglądasz... super. - Zatrzymuje się i gapi na nią. A ona na niego.

- Dzięki.

- Dobra. Dobra - mówi Matt, wyraźnie zakłopotany. Zwykle jest pełen sarkazmu i lubi się przekomarzać. Patrzą na siebie.

- Cześć - wtrącam.

Matt patrzy na mnie, jakby dopiero dotarło do niego, że tu jestem.

- Yy... no właśnie... Jack. Mam nadzieję, że przyszedłeś, żeby go zabrać do domu. Nie chcę go tutaj.

Wciąż stoimy na progu.

- Wejdźcie. - Matt otwiera drzwi.

Całe wieki u niego nie byłam. Zmienił wystrój. Brakuje mi starego zaniedbanego wnętrza, ale zapach, ten sam - napływ wspomnień z czasu, gdy spotykałam się tu z Jackiem - uderza mnie jak obuchem.

Patrzę, jak Matt znika na górze, a H. i ja zostajemy w salonie. Nadal jest tam barek i tarcza z rzutkami.

Ciekawa jestem, czy ona też poczuła podobny przyływ nostalgii. Przesuwa dłonią po oparciu starej sfatygowanej skórzanej sofy i milczy.

Matt za chwilę wraca na dół. Wyłamuje palce.

- Nie chce wyjść z pokoju - informuje nas.

- Och, na litość boską! - woła H. - Powiedz mu, że czas dorosnąć. Zmusz go, żeby wyszedł.

- Nie mogę. On nie odpowiada, a drzwi są zamknięte.

- Co, u diabła, tam robi? - pyta H.

- Przypuszczam, że to, co zawsze. Słucha gównianej muzyki. Wypija mi gorzałę. Rzępoli na gitarze i pogrąża się w depresji. Tak się zachowuje, od kiedy się tu zjawiał. Innymi słowy, wrócił do dawnych zwyczajów. Robi dokładnie to, co robił dawniej, za każdym razem, gdy z kimś zerwał...

H. piorunuje go wzrokiem, potem szybko zerka na mnie.

- Oj - mówi Matt - to znaczy, chciałem powiedzieć, że za każdym razem, gdy się z kimś pokłócił.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - proszę. Matt rusza razem ze mną na górę.

- Sam na sam.

- Jasne. Oczywiście, oczywiście. Idź, śmiało.

Idę korytarzem do dawnego pokoju Jacka i pukam.

- Jack! Jack, to ja.

Nic.

Przykładam ucho do drzwi. Słyszę, że w środku gra radio. Wyobrażam sobie, jak Jack siedzi na swoim starym łóżku. Tylko kilka stóp ode mnie.

- Wiem, że tam jesteś i chcę tylko, żebyś mnie posłuchał. Przykładam czoło do zamkniętych drzwi. To jest takie trudne.

- Chcę, żebyś wrócił do domu, Jack. Proszę cię, wróć. Do mnie i do Bena. Dla naszego wspólnego dobra...

Nic.

Wzdycham.

- Słuchaj, wiem, że jesteś wściekły, ale widzisz... jeśli chodzi o sprawę z tamtym facetem... z Tomem... szkoda, że nie pozwoliłeś mi wyjaśnić. Szkoda, że zostawiłeś mnie w Nowym Jorku, bo nie masz powodu czuć takiej złości. Wiem, że popełniłam błąd. Wiedziałam to niemal od początku. Nigdy tego nie planowałam, przysięgam ci.

Dziwnie jest tak mówić do Jacka, wiedząc, że słucha. To, że mi nie przerywa i mogę spokojnie wypowiedzieć wszystkie swoje argumenty, zachęca mnie do mówienia.

- Być może stało się tak dlatego, że bardzo się od siebie oddaliliśmy, ale nie chciałabym, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło, zrobię naprawdę, co w mojej mocy, żeby wszystko naprawić.

Czuję napływające do oczu łzy. Chcę już tylko, żeby otworzył drzwi.

- Oboje zrobiliśmy głupie rzeczy, Jack - czuję, jak gardło mi się ściska - i rozumiem dlaczego. Wiem, że jesteś wściekły i zraniony...

Ocieram łzy.

- Ale ten pobyt w Nowym Jorku, zanim się pokłóciliśmy, to był jeden z najlepszych momentów w moim życiu. Dzięki niemu przypomniałam sobie, jak nam kiedyś było dobrze razem. Jak do siebie pasowaliśmy.

- Amy...

Serce wywija mi koziołka na dźwięk mojego imienia.

Wtedy uświadamiam sobie, że słyszę go za sobą, nie przed sobą. To szepcze Matt. Stoi na końcu korytarza. Macham ręką, żeby mu pokazać, żeby sobie poszedł. Jak może być tak gruboskórny? Przciskam głowę do drzwi, chcąc, żeby się otworzyły.

- Ty jesteś osobą, z którą chcę się zestarzeć, Jack...

- Amy...

Macham ręką w kierunku Matta jeszcze gwałtowniej. Czy on nie widzi, że jestem w środku najważniejszej rozmowy w moim życiu?

- Chcę tylko - pociągam nosem - żebyś otworzył te drzwi i żebyśmy zaczęli od nowa. Proszę, Jack. Pamiętasz? Tak, jak zawsze chcieliśmy...

- Amy...

- Idź sobie - syczę do Matta, po czym uświadamiam sobie, że stoi tuż przy mnie.

- Ale jego tam nie ma - szepcze Matt, a potem odchrząkuje i mówi już normalnym głosem: - Jacka tam nie ma.

- Nie ma? - Patrzę na drzwi. Drzwi, przed którymi właśnie otworzyłam swoje serce. - To gdzie jest?

- W Dartmoor.

- Gdzie?

- W Dartmoor.

- Ale co tam robi?

- Łowi ryby.

- Łowi ryby?

- I mieszka pod namiotem. Zostawił wiadomość. - Matt podaje mi kartkę. - Właśnie ją znalazłem. Píše, że potrzebuje czasu, żeby pomyśleć. Naprawdę wyjechał. Sprawdziłem. Zabrał namiot i wędkę.

- Nawet nie wiedziałam, że ma namiot.

- O, tak, to jeden z wielu gratów, które zostawił w moim mieszkaniu po wyprowadzce. Zanim się poznaliście, uwielbiał! harcerskie życie. Jeździliśmy pod namiot przynajmniej raz w roku. Uwielbiał to, zawsze mówił, że to pomaga mu myśleć. Pewnie dlatego wyjechał. Bo ma wiele spraw do przemyślenia...

Walczę ze łzami i kiwam głową. Matt mnie przytula.

- Hej, nie martw się. Jack może sobie wyobrazać, że jest wielkim turystą, ale tak naprawdę nie przepada za własnym towarzystwem. Wytrzyma góra parę dni, a poza tym - dodaje z chytrym uśmiechem - pogoda ma się zrobić paskudna.

Zabawa w czekanie

Następnego dnia Bena roznosi energia, ale ja ledwo funkcjonuję. Mimo przepowiedni mamy, że mój syn wybaczy mi dopiero pod koniec tygodnia, mały jest pełen uczucia i tuli się do mnie. Nie wiem dlaczego, ale przez to jeszcze bardziej tęsknię za Jackiem.

Nie mogę uwierzyć, że pojechał do Dartmoor. Sam. Wyobrażam sobie, jak siedzi na brzegu rzeki z wędką, samotny i zziębnięty, w deszczu, myśląc tylko o tym, że żona go zdradziła, a zaufanie między nami przepadło na zawsze.

Potem wybieram się do Sainsbury's, gdzie mój syn daje przedstawienie. Gdy walczę z moim miotającym się, plującym Benem, który odmawia siedzenia w sklepowym wózku przy kasie, znów przywołuję obraz Jacka siedzącego na brzegu rzeki w słońcu i tym razem, w myślach, wpycham go do wody.

Jak on śmiał mnie z tym wszystkim zostawić!

Nie zrobiłam n i c z e g o, co by zasługiwało na taką karę. On zdecydowanie się zagalopował. Takie przesadnie mściwe odwety kończą się wojnami. Jak daleko zamierza się w tym posunąć? Czy skończymy, zwisając z żyrandola jak w filmie *Wojna państwa Rose*, i osiągniemy satysfakcję dopiero, gdy się nawzajem pozabijamy?

Kasjerka przesuwa nad czytnikiem jogurty z czeremchą, które wybrałam dla Jacka. Powstrzymuję ją i mówię, że chcę z nich zrezygnować. Patrzy na mnie wilkiem, ale nie dbam o to. Niech Jack sam sobie kupuje swoje pieprzone jogurty.

W domu zastaję Kate. Bawi się z Benem, a ja chowam zakupy. Potem włączam DVD z Teletubisiami i idę za Kate do sypialni Bena. Pakuje się.

- Dokąd się wybierasz? - pytam.

- Zdecydowałam, że będzie dla was lepiej, jak zniknę z horyzontu - wyjaśnia. - Zatrzymam się u Simona, a w przyszłym tygodniu zabiorę rzeczy. Nie chcę przeszkadzać.

- Przeszkadzać w czym? Tu jesteśmy tylko ja i Ben.

- Nie, naprawdę, uważam, że powinnam sobie pójść. Potrzebujecie przestrzeni dla siebie.

Jeszcze tydzień temu uznałabym tę wielkoduszną deklarację za irytującą w swej czystej ironii, ale nie teraz.

Nigdy nie sądziłam, że tak pomyślę, ale teraz, gdy nie ma Jacka, wolałabym nawet, żeby Kate została, żeby nie musiała spędzać kolejnej nocy samotnie.

Zapada chwila niezręcznej ciszy.

- Ben będzie za tobą tęsknił. Podobało mu się, że tu mieszkałaś. Dobrze sobie z nim radzisz.

- To łatwe z cudzymi dziećmi.

- Cóż, myślę, że kiedyś będziesz wspaniałą mamą. Kate śmieje się, a potem patrzy na mnie, jakbym zwariowała.

- Nie ja. Nie mam zamiaru mieć dzieci. - Kręci głową. - Właściwie wśród moich znajomych nie ma nikogo, kto chciałby mieć dziecko.

- Co, nigdy? Wzrusza ramionami.

- Ale przecież dzięki dziecku doświadczamy najsilniejszego rodzaju miłości, jaki istnieje.

- Skoro tak to czujesz, to czemu wciąż kwękasz, że ci ciężko? To niewinne pytanie zwała mnie z nóg, jakby w nasze mieszkanie właśnie rąbnęła ciężarówka.

- Naprawdę? Kiwa głową.

O Boże. Może ona ma rację. Może jestem starą zrzędą. I narzekałam nie tylko na Bena, ale również na Jacka. I to w radiu. Przed tysiącami słuchaczy.

Czy Jessie Kay obrała go sobie za cel, ponieważ uznała, że ja go nie kocham? Czy zrobiło się jej go żal, gdy usłyszała, jaką jestem beznadziejną żoną? Bo przecież to wszystko, co o nim mówiłam, że jest hipochondrykiem... i jeszcze gorsze rzeczy...

Skoro Kate odniosła wrażenie, że nie zachwyca mnie bycie matką Bena, a przecież nic nie może być dalsze od prawdy, to czy Jessie Kay nie mogła odnieść wrażenia, że nie zachwyca mnie bycie żoną Jacka?

- Wiesz - mówi Kate - ty i Jack... naprawdę mam nadzieję, że wam się uda.

- Jakim cudem, skoro on ze mną w ogóle nie chce rozmawiać?

- Musisz po prostu znaleźć jakiś sposób, żeby zmusić go do słuchania. To uparty sukinsyn, Amy. Zawsze taki był. Żadne z nas nie mogło uwierzyć, że masz do niego tyle cierpliwości. Ale jeśli on nie chce cię słuchać ani cię widzieć, to musisz znaleźć jakiś inny sposób.

I wtedy doznaję olśnienia... jest inny sposób.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Matta. Każę mu zapisać termin i częstotliwość stacji radiowej i podać ją Jackowi, kiedy wróci. Dokładnie na mój kolejny występ w programie Jessie.

Nie boję się powiedzieć, co myślę

Radio CapitalChat Codzienna dyskusja Jessie: Jaki sens ma małżeństwo? Dzwoni: Amy z Zachodniego Londynu.

Uważam, że małżeństwo ma wielki sens. Ale człowiek nie uświadamia sobie tak naprawdę, co to znaczy, dopóki nie założy rodziny. I dopóki nie stanie przed wyzwaniem. A ludzie... ludzie tacy jak ty, Jessie Kay, powinni bardziej szanować pary małżeńskie, bo czasem trudno ocenić na pierwszy rzut oka, jak wiele mąż i żona dla siebie znaczą. Bo po prostu nie wypada chwalić

się głośno tym, jak bardzo kocha się swojego męża. Ludzie noszą T-shirty z napisami „Kocham Nowy Jork” czy „Uwielbiam czekoladę”, ale nigdy „Kocham mojego męża”. A my, małżonkowie, już się nie obściskujemy publicznie. Więc ludzie uważają, że jesteśmy nudni i sztywni. Owszem, czasem to nasza wina, że zaczynamy być nudni, albo że nie dbamy o nasz związek, czy nie chce nam się od czasu do czasu zrobić czegoś ekscytującego.

Yyy... chwileczkę. Czy to Amy? Amy z Zachodniego Londynu?

Może w tej chwili za bardzo ulegam emocjom, ale wiem, że po siedmiu latach moim największym osiągnięciem jak do tej pory jest właśnie moje małżeństwo.

Cóż, Amy, obawiam się, że w naszym programie radiowym rozmawiamy o tym, na ile ważna jest instytucja małżeństwa we współczesnym świecie. Nie skupiamy się na indywidualnych przypadkach. Przykro mi, ale to nie miejsce na załatwianie spraw osobistych...

Czyżby, Jessie? Przepraszam, ale czy nie zrobiłaś z tego sprawy osobistej, próbując przespać się z moim mężem?

Ooooo-kaaay. Dziękujemy za telefon, Amy. A teraz... posłuchajmy muzyki...

Bo przecież próbowałaś uwieść Jacka, prawda, Jessie? W swoim domu? Czy nie zrzuciłaś szatek przed moim mężem i nie zamachałaś mu przed nosem swoimi wielkimi sztucznymi cycami?

Alex! ZDEJMIJ JĄ!

Ale wiesz co? On nie chciał, prawda, Jessie? Ponieważ ma pewną cechę, której ty nigdy nie będziesz miała: prawość. Jack, jeśli tego słuchasz, nie masz pojęcia, jak bardzo cię za to szanuję, i chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro. Bardzo, głęboko, strasznie przykro za to, że cię zawiodłam. Za to, że nas zawiodłam. Oddałabym wszystko, żeby cofnąć to, co zrobiłam.

Alex! SŁYSZAŁEŚ, CO POWIEDZIAŁAM?

Ale musisz wiedzieć, że nigdy, przenigdy nie przestałam cię kochać, Jack. Ani na sekundę. Przez cały ten czas, gdy jesteśmy razem.

Przepraszam państwa, ale zdaje się, że mój producent zasnął. Amy, masz się wyłączyć. Natychmiast.

Och, nie kompromituj się. Już znikam. Powiedziałam wszystko, co chciałam powiedzieć. Poza jedną rzecz. Jessie Kay... pieprz się!

Odkładałam słuchawkę i cała się trzęsę. Prawie w tej samej chwili dzwoni telefon. Serce mi podskakuje. To Jack, wiem, że to on.

- Halo?

- Kurczę, Amy, to było niesamowite. Od wieków czekałem, aż ktoś przywali tej starej jędzy. Cały zespół produkcyjny pieje z zachwytu.

- Alex?

- A ona szaleje - śmieje się - po prostu szaleje.

- Przepraszam, Alex. Wymknęło mi się to spod kontroli. Będziesz miał kłopoty?

- Oczywiście, że tak. To ja miałem cię wyłączyć, ale Jessie Kay sama się o to prosiła. Od lat traktuje mnie jak gówno.

- Przepraszam mimo wszystko.

- Słuchaj, muszę kończyć, ale jest jeszcze coś...

- Co?

- Mogę do ciebie zadzwonić w przyszłym tygodniu? Teraz nie mam czasu rozmawiać, ale przenoszę się do innej stacji radiowej, nowej, którą zakłada mój znajomy, i chyba znajdzie się tam miejsce dla kogoś takiego jak ty. Byłabyś członkiem zespołu. Pamiętam, że wspominałaś kiedyś, że chciałybyś pracować w radiu, a ja potrzebuję kogoś uczciwego, kto potrafi poznać się na tych, co gadają bzdury, i kto nie obawia się mówić, co myśli.

- Mówisz poważnie?

- W tej chwili niczego nie obiecuję... najpierw muszę porozmawiać z kilkoma osobami, ale mam nadzieję, że to się uda. To co? Mogę zadzwonić?

- Tak. Oczywiście, że tak. I, Alex, dziękuję ci. Za wszystko.

- Proszę bardzo. Aha, Amy, chciałbym się dowiedzieć, co z Jackiem. Mój chłopak, Linus, umiera z ciekawości, co było dalej.

Odkładałam słuchawkę i gapię się na nią, oszołomiona.

Trzeba wierzyć

Ale dalej nie ma nic.

Chodzę po mieszkaniu. Za każdym razem, gdy przejeżdża samochód, podskakuję. Cały rano wpatruję się w telefon i sprawdzam, czy są wiadomości, ale w końcu nie mogę już tego wytrzymać.

Trzęsę się, zabierając Bena do parku. Idziemy do piaskownicy. Ben wyskakuje z wózka i biegnie do niej razem z innymi dziećmi. Dziś jest tłok. Na szczęście przynajmniej Ben jest całkiem nieświadomy naszego kryzysu małżeńskiego.

Rozglądam się dookoła i czuję się kompletnie wyobcowana. Nie ma tu żadnych mężczyzn, jak zwykle, tylko kobiety, i nagle ogarnia mnie przerażenie.

Czy to koniec? Czy Jack naprawdę nigdy mi już nie wybaczy?

Nie mogę w to uwierzyć.

Jestem w miejscu tak dobrze znanym, a jednak czuję się tutaj obco. Wszystko się zmieniło. Właśnie przymusowo wylądowałam w swojej przyszłości, która wcale nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałam. Moja przyszłość jest jałowa, samotna i bezgraniczna.

Właśnie gdy dochodzę do wniosku, że nie mogę się poczuć już gorzej, widzę Faith, która do mnie macha.

Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie musiałam dzisiaj spotkać właśnie ją?

- Cześć, Amy - mówi, gdy opadam na ławkę koło niej. - Wyglądasz okropnie.

- Dzięki.

- Jak było w Nowym Jorku?

- Nie pytaj.

- Co się stało?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

„Och, Faith”, myślę, „oszalejesz z zachwytu i będziesz mi to wypominać po wsze czasy...”.

- Wiesz co? - mówię nagle. - Jesteś akurat tutaj, a ja potrzebuję przyjaciółki. Więc musisz mi wystarczyć.

- Nie rozumiem.

Biorę głęboki, drżący oddech.

- Faith, mąż mnie chyba zostawił. Patrzy na mnie z otwartymi ustami.

Zapada chwila ciszy.

Nagle wstrząsa mną mokry, chlipiący, niekontrolowany szloch. Faith kładzie mi rękę na ramieniu. Potem mnie przytula.

- Przepraszam - mówię w końcu, wycierając nos i łzy z twarzy. -

Wszystko spieprzyłam. Przepraszam, że tak się przy tobie rozmazałam.

Faith uśmiecha się do mnie, wręcz szczerzy zęby.

- Wielkie dzięki, Amy.

- Co?

Nie takiej reakcji się spodziewałam.

- Nie rozumiesz? - Bierze mnie za przegub.

- Nie?

- Jednak masz jakieś uczucia. Dzięki Bogu. Jesteś normalna. Nie taka jak one.

- Kto?

- Te głupie jędze.

- Masz na myśli Żmije?

- Tak je nazywasz? Bardzo adekwatnie. Jezu, przy nich czuję się taka do niczego.

- Ja też - przyznaję.

- Myślałam, że jesteś jedną z nich. Właściwie, że jesteś najgłupszą krową z całej grupy - mówi, ale spojrzenie ma życzliwe.

- Ja?

- Myślałam, że jesteś idealna i zawsze wszystko ci się udaje i ze wszystkim dajesz sobie radę.

Ocieram oczy i uśmiecham się.

- Otóż nie.

- Wiesz, tak bardzo się starałam na tych naszych spotkaniach. Myślałam, że to będzie łatwe, ale tak trudno jest być takim... pustakiem.

Uśmiecham się do niej przez łzy.

- Nie masz się czego wstydzic, Faith. Całkiem dobrze ci to wychodzi. Śmieje się.

- Szkoda, że wszystkie nie możemy być szczerze, tak jak my w tej chwili, bo wiesz co? Jeśli cię to pocieszy, moje życie też wcale nie jest takie wspaniałe.

- Nie? Zawsze mi się wydawało, że wszystko masz pod kontrolą.

- Bzdury. Niczego nie kontroluję. Jest wręcz przeciwnie. A czasem czuję się totalnie przygnębiona. Są dni, gdy kompletnie sobie nie radzę z tą całą opieką nad dzieckiem. I nie potrafię dojść do ładu z osobą, którą się stałam.

Nie bardzo mogę to pojąć. Gdy na nią teraz zerkam, widzę, że wygląda inaczej. Jak sprzymierzeniec, nie wróg.

- Serio? Ty też tak masz? Kiwa głową.

Wydmuchuję nos, nagle czując się o wiele silniejsza.

- Więc co się stało z Jackiem? - pyta Faith łagodnie. - Nie musisz mi mówić, ale... może ci to pomoże.

Więc opowiadam jej o Tomie i Jacku, i o tym, co dziś rano powiedziałam Jessie Kay w radiu, a ona słucha uważnie, a potem mówi mi, że dobrze zrobiłam.

To wyznanie przynosi mi ulgę i sprawia, że czuję się mocniejsza. Chciałabym ją uściskać za to, że jest taką dobrą przyjaciółką.

- Kurczę - rzucam na koniec mojej spowiedzi. - Cieszę się przynajmniej, że wiesz już, że nie jestem taka jak Camilla.

- Ileż razy mam ochotę ją zabić - przyznaje Faith. - Te jej intrygi. To, jak na siłę robi z nas grupę. To nie w porządku. Czy fakt, że urodziłyśmy dzieci w tym samym czasie oznacza, że mamy z sobą jeszcze coś wspólnego?

I zaczynamy roztrząsać wszystko, czego nie cierpimy u Żmij. Strasznie mnie to podnosi na duchu.

- Wiesz, Faith, tak się zastanawiałam... Czy jest jakiś sposób, żebyśmy mogły dzielić się opieką nad dziećmi? Bo mam nadzieję wrócić do pracy.

- Świetny pomysł - odpowiada. - Ja też o tym myślałam. Wydaje mi się, że praca trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Całodobowa opieka nad Amalie doprowadza mnie do szału.

Gdy omawiamy możliwości realizacji tego planu, pierwszy raz od wielu dni czuję się prawie normalnie. I wtedy go spostrzegam.

Patrzę, jak wchodzi przez bramę na plac zabaw. Potem zrywam się i biegnę. I Ben też go zauważa. I oboje do niego pędzimy.

Jack podnosi Bena z ziemi i całuje. Potem stawia go z powrotem.

Ben biegnie z powrotem do Faith, która niezbyt dyskretnym gestem unosi kciuk do góry, a potem zabiera małego na zjeżdżalnię.

Patrzę w oczy Jacka i mam wrażenie, że wszystko dookoła nas zamiera. Ludzie, krzyki, śmiech i płacz dzieci - wszystko

- aż zostajemy tylko Jack i ja. Twarzą w twarz. Mój facet...

Chyba...

Bo nie potrafię stwierdzić, czy naprawdę do mnie wrócił. Wiem tylko, że w chmurach zrobiła się szczelina i zaczyna przezierać przez nią słońce.

- Słyszałem, co powiedziałaś Jessie Kay.

- Słuchałeś? Nie byłem pewna...

- Matt nie dał mi wyboru. Zamknął mnie w moim starym pokoju i powiedział, żebym włączył radio i po co. Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, zostawi mnie tam, aż zgniję.

- Mówisz serio?

- Tak, i uwierzyłem mu. Wiesz, jaki potrafi być uparty.

- Jack dostrzega coś w moim spojrzeniu i czerwieni się.

- Prawie tak uparty jak ja...

Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko wyrzuciłam z siebie w programie Jessie Kay i Jack już to słyszał. Wiem za to, co ja chciałabym usłyszeć. Że mi wybaczył. Bo ja mu też wybaczyłam. Że to już za nami. Że możemy zacząć na nowo. Razem.

- Czy Matt ci powiedział, dokąd pojechałem? - pyta.

- Do Dartmoor. Na ryby. Jak było?

- Beznadziejnie. Pogoda. Ryby. Namiot. Wszystko.

- Przykro mi.

- Było beznadziejnie, bo nie było tam ciebie - wyznaje, patrząc mi w oczy - ani Bena. Tylko ja. Tkwiałem tam, a w głowie wirowały mi te wszystkie głupie słowa i kłótnie. I wiesz co?

- Co?

- Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że to wszystko nie ma znaczenia, bo nieważne, jak bardzo próbuję sam siebie przekonać, że postąpiłem słusznie, i tak czuję się źle.

- Tak?

- Bo zależało mi tylko na tym... chciałem tylko wrócić do ciebie i być z tobą i z Benem i już nigdy nie wyjeżdżać. - Wzdycha ciężko, jakby nagle zabrakło mu tchu. - Tylko że po tym, jak cię tak zostawiłem w Nowym Jorku, nie wiedziałem, czy przyjmiesz mnie z powrotem...

- Och, Jack.

- I chcę tylko wiedzieć, czy to prawda, co mówiłaś w radiu?

- Och, Jack. Tak, tak. - Zrzucam mu ramiona na szyję. Twarz mam mokrą od łez.

Obejmuje mnie i unosi lekko nad ziemię, a potem się do mnie uśmiecha.

- W takim razie... zobacz, że jednak można się obcis-kiwać publicznie.

Po czym następuje najwspanialszy, najbardziej zmysłowy pocałunek w moim życiu. Nieprzyzwoity, cudowny, i trwający w nieskończoność. Na tyle długo, że słyszę, jak kobiety zgromadzone przy piaskownicy zaczynają po kolei klaskać, a gdy się kończy, rozglądam się i widzę, że klaszcze też Faith.

- Chodź. - Jack puszcza mnie i uśmiecha się szeroko. Oczy mu błyszczą, a policzki ma zaróżowione. - Chyba czas wracać do domu.

Zamiast napisów końcowych

- To ma być fajne? - krzyczę do Jacka.
- Będzie fajnie, wierz mi - odkrzykuje.
- Nie wyglądasz, jakbyś się dobrze bawił.
- Bawię się. Tak wtedy wyglądałam.
- Oj, chyba nie. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz puścić pawia.
- No dobra, jest trochę strasznie. Ale to, co chcemy zrobić, ma wymiar symboliczny. O to tu chodzi. Obiecaliśmy sobie, że będziemy robić bardziej ekscytujące rzeczy, a tego nie możesz nazwać nudnym.

Ktoś klepie mnie po ramieniu.

- Gotowi?

Jack bierze mnie za rękę.

Wyglądam z drzwi samolotu. Ziemia jest daleko, daleko stąd. Myślę o Benie tam na dole, z H. i Mattem w bazie lotniczej, gdzie Jack i ja odbywaliśmy szkolenie.

- Kocham cię - mówię do Jacka, całując go z uśmiechem. Nasze gogle stukają o siebie głośno.

- Ja też panią kocham, pani Rossiter.

- Dobra, na trzy.

- Jest jeszcze coś - dodaję, gdy szuramy nogami w kierunku otwartych drzwi. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Co?

- Spóźnia mi się.

- Jak to się spóźnia?

- No wiesz, spóźnia. Nie chciałam mówić wcześniej, ale myślę, że chyba jestem...

Nagle trzymamy się za ręce i spadamy swobodnie, zapatrzeni w siebie. Lecimy razem. W wielkie nieznane.

Podziękowania

Po pierwsze dziękujemy naszym wspaniałym agentom, Jonny'emu Gellerowi i Vivienne Schuster, Carol Jackson oraz wszystkim w Curtis Brown. Dziękujemy również tym, którzy nas wspierają w Random House, a szczególnie Susan Sandon, Georginie Hawtrej-Woore, Claire Round i Cassie Chadderton za całą ich ciężką pracę. Gratulacje dla Kate i Faye! Jak zawsze, jesteśmy ogromnie wdzięczni za nieocenioną pomoc naszym przyjaciółom - wicie, o kim mowa - oraz za nieustanną inspirację naszej rodzinie, a zwłaszcza naszym aniołeczkom.